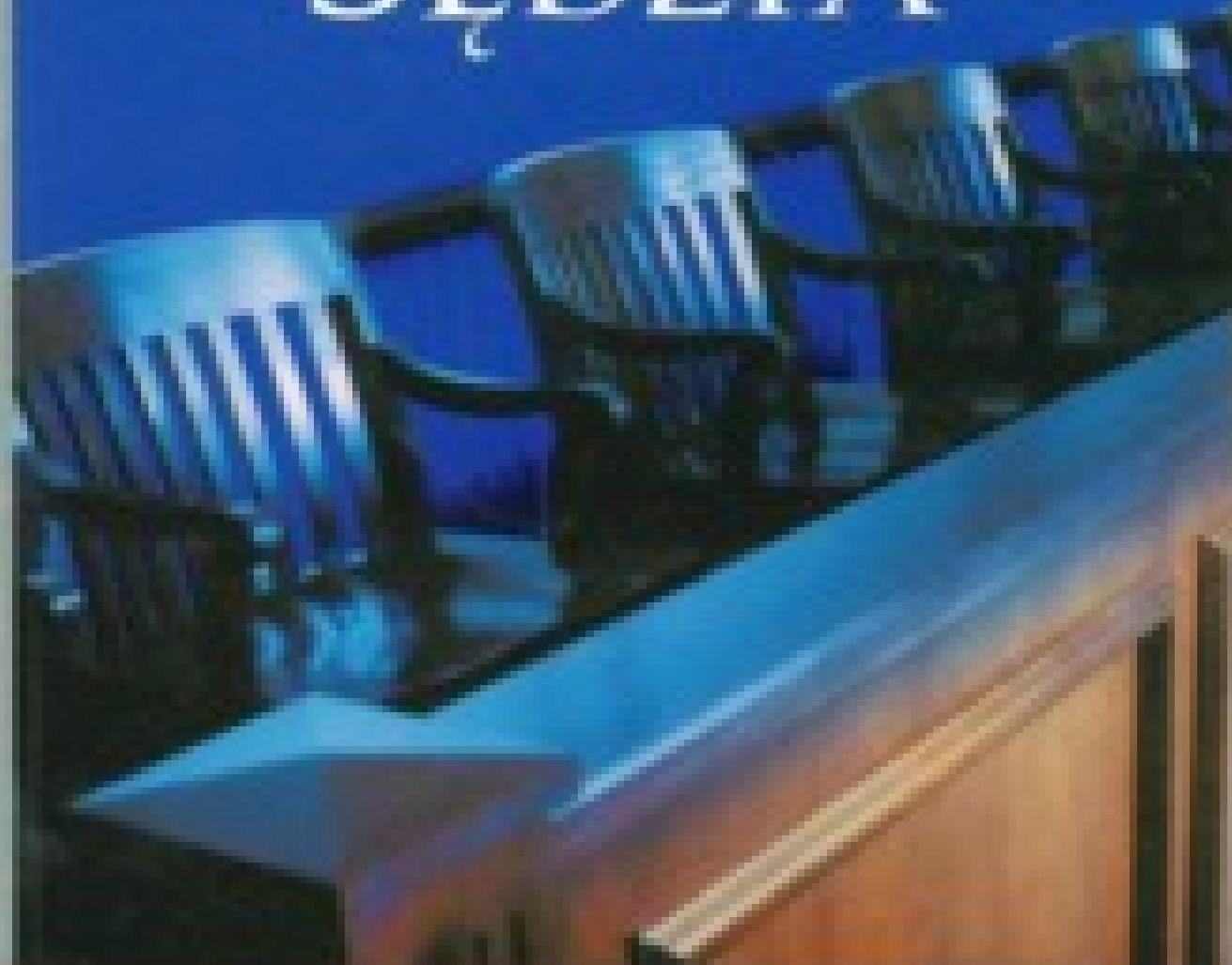


Najnowszy światowy bestseller

JOHN  
GRISHAM

OSTATNI  
SĘDZIA



**JOHN GRISHAM**

## **OSTATNI SĘDZIA**

Przekład Jan Krasko

### **CZEŚĆ I**

#### **ROZDZIAŁ 1**

Po dziesięcioleciach wytrwałej niegospodarności, złego zarządzania i troskliwego zaniedbywania, w roku 1970 „Ford County Times” wreszcie zbankrutował. Jego właścicielka i wydawca Emma Caudle miała dziewięćdziesiąt trzy lata i była przykuta do łóżka w domu pogodnej starości w Tupelo. Redaktor naczelny, jej syn Wilson Caudle, miał lat siedemdziesiąt kilka i metalową płytkę, którą nosił w głowie od I wojny światowej. Pokrywał

ją idealnie okrągły kawałek ciemnej skóry, którą przeszczepiono mu na szczyt wysokiego, stromego czoła, dlatego przez całe dorosłe życie musiał znosić przydomek Plama. Plama zrobił to. Plama zrobił tamto. Plama tu. Plama tam.

Za młodu pisywał reportaże z zebrań rady miejskiej, z meczów futbolowych, wyborów, rozpraw sądowych, spotkań kościelnych, ze wszystkiego, co działo się w hrabstwie Ford. Był dobrym reporterem, dokładnym i z intuicją. Rana głowy najwyraźniej nie przeszkadzała mu w pisaniu. Ale jakiś czas po II wojnie światowej płytka musiała się przesunąć i Caudle przestał pisać cokolwiek z wyjątkiem nekrologów. Uwielbiał nekrologi.

Spędzał nad nimi wiele godzin. Akapit po akapicie, elokwentną prozą opisywał szczegóły życia nawet najskromniejszych obywateli hrabstwa Ford. A gdy umierał obywatel wybitny, Caudle skwapliwie wykorzystywał okazję i zamieszczał tę wiadomość na pierwszej stronie.

Nigdy nie opuścił ani jednego czuwania przy zwłokach, ani jednego pogrzebu, nigdy nie napisał o nikim źle. Wszyscy odchodzili w chwale. Cudownie było tam umierać. A Plama był

bardzo popularny, chociaż stuknięty.

Do jedyne go poważnego kryzysu w jego dziennikarskiej karierze doszło w roku 1967, mniej więcej wtedy, gdy do hrabstwa Ford dotarł wreszcie ruch na rzecz przestrzegania praw obywatelskich. Przedtem gazeta nie wykazywała ani cienia tolerancji rasowej. Ani jedna czarna twarz nie ukazała się na jej stronach, z wyjątkiem twarzy kryminalistów - znanych lub podejrzanych o przestępstwo. Nie ukazało się ani jedno zawiadomienie o ślubie czarnej pary.

Ani jedna wzmianka o czarnych zawodnikach tej czy innej drużyny baseballowej, czy o czarnych studentach, którzy ukończyli uniwersytet z wyróżnieniem. Ale w roku 1967 Caudle dokonał zdumiewającego odkrycia. Otóż obudził się pewnego ranka ze świadomością, że w hrabstwie Ford umierają także Murzyni i że nikt o tym nie pisze. Czekał na niego nowy, wielki, jakże bogaty świat nekrologów, więc postawił żagle i odważnie wypłynął na niebezpieczne i nieznanne wody. W środę,

ósmego marca 1967 roku „Times” został

pierwszym stanowiącym własność białego tygodnikiem w Missisipi, który zamieścił nekrolog Murzyna. Prawie tego nie zauważono.

Ale już tydzień później Caudle opublikował aż trzy nekrologi Murzynów i ludzie zaczęli gadać. Miesiąc później zaczął się regularny bojkot, bo coraz więcej subskrybentów odwoływało prenumeratę i coraz więcej ogłoszeniodawców wstrzymywało się z zamieszczaniem ogłoszeń. Caudle wiedział, co się dzieje, ale zbyt zaferowany swoim nowym statusem integracjonisty, przestał zważać na tak trywialne sprawy, jak sprzedaż i zysk. Półtora miesiąca po zamieszczeniu historycznego nekrologu, tłustym drukiem na pierwszej stronie gazety wyłożył zasady swojej nowej polityki. Oznajmił czytelnikom, że będzie publikował to, co, cholera, zechce i jeśli białym się to nie podoba, po prostu przestanie zamieszczać ich nekrologi.

Godziwa śmierć jest w Missisipi ważną częścią życia zarówno dla białych, jak i dla czarnych, dlatego większość białych nie mogła znieść myśli, że mogliby odejść na wieczny odpoczynek bez chwalebego nekrologu autorstwa Plamy. A dobrze wiedzieli, że jest stuknięty na tyle, żeby spełnić swoją groźbę.

W kolejnym wydaniu roilo się od nekrologów Murzynów i białych, ułożonych w kolejności alfabetycznej i starannie ze sobą przemieszanych. Sprzedał się cały nakład i nastął

krótki okres prosperity.

Bankructwo nazwano nieumyślnym, jakby inni bankrutowali umyślnie. Watasze wierzycieli przewodził właściciel hurtowni papieru z Memphis, któremu „Times” był winny sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Kilku innych nie dostawało pieniędzy od pół roku. Zwrotu długu zażądał nawet poczciwy bank gwarancyjny.

Byłem tam nowy, ale słyszałem plotki. Siedziałem na biurku w pokoju od ulicy, czytając jakieś czasopismo, gdy do redakcji wkroczył karzełek w szpiczastych butach i spytał

o Wilsona Caudle'a.

- Jest w domu pogrzebowym - powiedziałem.

Karzełek był z tych zadziornych. Zauważyłem, że na biodrze, pod wymiętą granatową marynarką, ma spluwę, którą ukrywa tak, żeby wszyscy ją widzieli. Pewnie miał też pozwolenie na broń, ale w hrabstwie Ford pozwolenia nie wymagano, przynajmniej w latach siedemdziesiątych. Co więcej, patrzono na nie krzywym okiem.

- Muszę to doręczyć - odparł, machając kopertą.

nie zamierzałem mu pomagać, ale trudno być niegrzecznym dla karzełka. Nawet takiego ze spluwą.

- Jest w domu pogrzebowym - powtórzyłem.

- To zostawię to panu - oznajmił.

Chociaż mieszkałem tam od niecałych dwóch miesięcy i chociaż studiowałem w college'u na Północy, tego i owego zdążyłem się nauczyć. Wiedziałem, że dobrych wiadomości nie doręcza się urzędowo. Wysyła się je pocztą, jakimś środkiem transportu czy przynosi się je osobiście, ale nigdy nie doręcza ich urzędowy posłaniec. Dokumenty w kopercie były zwiastunem kłopotów i nie chciałem mieć z nimi nic wspólnego.

- nie - odparłem, spoglądając na niego z góry.

Prawa natury wymagają, żeby karły były potulne i płochliwe, i ten malec nie należał

do wyjątków. Spluwę nosił tylko dla zmyłki. Rozejrzał się wokoło z pogardliwym uśmiechem, ale wiedział, że sytuacja jest beznadziejna. Teatralnym gestem wepchnął

kopertę do kieszeni i spytał:

- Gdzie jest ten dom?

Pokazałem w lewo, w prawo, i wyszedł. Godzinę później w drzwiach redakcji stanął

chwiejnie Plama, wymachując jakimiś dokumentami i krzycząc histerycznie.

- To już koniec! To koniec! - zawodził, podczas gdy ja trzymałem już w ręku zawiadomienie o otwarciu postępowania upadłościowego. Z pomieszczeń na zapleczu wyszła Margaret Wright, sekretarka, i Hardy, drukarz. Próbowali go uspokoić, ale Plama usiadł w fotelu, podparł głowę rękami, ukrył twarz w dłoniach i boleśnie się rozszłochał. Przeczytałem zawiadomienie na głos, żeby wszyscy wiedzieli, o co chodzi.

Było w nim napisane, że Wilson Caudle ma stawić się za tydzień w Oksfordzie na spotkaniu z wierzycielami i sędzią, i że na spotkaniu tym zostanie podjęta decyzja, czy tygodnik będzie ukazywał się nadal do czasu, aż syndyk zrobi swoje. Wyczułem, że Margaret i Hardy bardziej martwią się o swoją pracę niż o rozszłochanego i załamane Caudle'a, mimo to stali tam i dzielnie poklepywali go po ramieniu.

Caudle nagle wstał, zagryzł wargę i oznajmił:

- Muszę powiedzieć mamie.

Wszyscy troje wymieniliśmy spojrzenia. Emma Caudle odeszła z tego świata już przed laty, choć jej słabe serce wciąż biło, a raczej pikało, skutecznie opóźniając pogrzeb. Ani wiedziała, ani ją obchodziło, jakiego koloru galaretką ją karmią, a już na pewno miała gdzieś hrabstwo Ford i jego gazetę. Głucha i ślepa, ważyła niecałe trzydzieści sześć kilo, a Plama chciał rozmawiać z nią o nieumyślnym bankructwie. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że on też już od nas odszedł.

Plama znów się rozplakał i ruszył do drzwi. Pół roku później miałem napisać jego nekrolog.

Ponieważ studiowałem i ponieważ wciąż trzymałem w ręku wezwanie do sądu, Hardy i Margaret popatrzyli na mnie z nadzieją, że coś doradzę. Chociaż nie byłem prawnikiem, tylko dziennikarzem, powiedziałem, że zaniosę dokumenty do adwokata Caudle'ów. I że zrobimy to, co nam powie. Uśmiechnęli się słabo i wrócili do pracy.

W południe wpadłem do Lowtown, czarnej dzielnicy Clanton, w Quincy's One Stop kupiłem sześć piw i pojechałem na długą przejażdżkę moim spitfire'em. Jak na koniec lutego było wyjątkowo ciepło, więc opuściłem dach i poprułem nad jezioro, nie po raz pierwszy zastanawiając się, co ja tu właściwie robię.

Dorastałem w Memphis i przez pięć lat studiowałem w Syracuse, zanim babkę zmęczyło płacenie za moją przedłużającą się edukację. Stopnie miałem mierne i brakowało mi roku do zrobienia dyplomu. No, może roku i pół. Babka, BeeBee, pieniędzy miała w bród, ale nie znosiła ich wydawać, więc po pięciu latach doszła do wniosku, że wystarczająco mnie dofinansowała. Gdy zakręciła kurek, byłem bardzo rozczarowany, ale się nie skarżyłem, przynajmniej nie jej. Miała tylko jednego wnuka i duży majątek. Czysta rozkosz.

Studiowałem na kacu. Na pierwszym roku miałem ambicję zostać wścibskim reporterem w „New York Timesie” albo w „Washington Post”. Chciałem zbawić świat, ujawniając korupcję, zagrożenia ekologiczne, rozrzutność rządu i niesprawiedliwość, którą cierpią słabi i ciemieni. Czekwały na mnie nagrody Pulitzera. Po mniej więcej roku tych wzniosłych marzeń obejrzałem film o korespondencie, który ganiał po całym świecie, wypatrując wojen, uwodząc piękne kobiety i jakimś cudem znajdując czas na pisanie reportaży, za które zgarniał nagrodę po nagrodzie. Znał osiem języków, nosił brodę, wojskowe buty i wykrochmalone spodnie khaki, które nigdy się nie zagniały. Zapuściłem brodę, kupiłem sobie wojskowe buty i spodnie, próbowałem nauczyć się niemieckiego i podrywać co ładniejsze dziewczyny. Na trzecim roku, gdy średnia moich stopni zaczęła wykazywać stałą tendencję spadkową, porwała mnie myśl o pracy w małomiasteczkowej gazecie. Nie umiem wyjaśnić dlaczego, wiem tylko, że było to mniej więcej wtedy, gdy poznałem i zaprzyjaźniłem się z Nickiem Dienerem. Pochodził z rolniczej części stanu Indiana i jego rodzina od dziesięcioleci prowadziła dobrze prosperującą gazetę. Jeździł

małym, luksusowym alfa romeo i zawsze miał pełno kasy. Zostaliśmy dobrymi kumplami.

Nick był bystry i rozzgadany, mógł studiować medycynę, prawo czy inżynierię. Ale on chciał tylko wrócić do Indiany i przejąć rodzinny interes. Bardzo mnie to dziwiło, ale pewnego wieczoru zdradził mi po pijaku, ile jego stary wyciąga z małego tygodnika o nakładzie sześciu tysięcy egzemplarzy. „To żyła złota” - mówił. Tylko lokalne wiadomości, śluby, imprezy kościelne, listy najlepszych uczniów i absolwentów, reportaże sportowe, zdjęcia drużyn baseballowych, kilka przepisów kulinarnych, kilka nekrologów, poza tym same ogłoszenia. Może trochę polityki, ale tak, żeby nie wzbudzać kontrowersji. A potem wystarczy tylko przeliczyć kasę. Jego ojciec był milionerem. To dziennikarstwo bezstresowe i na luzie, szmalowne, bo forsa rośnie ci na drzewach, tak przynajmniej twierdził.

Spodobało mi się to. Po czwartym roku, który powinien być moim ostatnim, lecz nie był, spędziłem lato na praktyce w redakcji małego tygodnika w górach Ozark w Arkansas.

Zarabiałem tyle co nic, ale BeeBee była pod wrażeniem, bo mnie zatrudnili. Co tydzień wysyłałem jej gazetę, którą co najmniej w połowie napisałem sam. Jej właściciel, redaktor i wydawca w jednej osobie, pewien cudowny staruszek, był zachwycony, że ma reportera, który chce pisać. Był też dość zamożny.

Po pięciu latach studiów w Syracuse moje stopnie okazały się nie do poprawienia i źródło wyszło. Wróciłem do Memphis, odwiedziłem BeeBee, podziękowałem jej za trud, powiedziałem, że ją kocham. Ona na to, żebym znalazł sobie pracę.

Siostra Wilsona Caudle'a mieszkała wtedy w Memphis i jakiś czas później obie panie spotkały się przypadkiem na jednej z tych imprez dla miłośników gorącej herbaty.

Wystarczyło kilka telefonów i spakowany, byłem już w drodze do Clanton w Missisipi, gdzie niecierpliwie czekał na mnie Plama. Po godzinnym spotkaniu informacyjno - instruktażowym spuścił mnie ze smyczy i mogłem grasować po całym hrabstwie.

W następnym wydaniu zamieścił krótki, słodki artykulik, a raczej komunikat z moim zdjęciem, pisząc, że odbywam w „Timesie” staż. Komunikat trafił na pierwszą stronę. W

tamtych czasach trudno było o dobry news.

Komunikat zawierał dwa horrendalne błędy, które miały mnie prześladować przez wiele lat. Pierwszym i mniej poważnym był fakt, że Syracuse dołączyło do grona najbardziej elitarnych uniwersytetów w północno - wschodnich stanach, przynajmniej według Plamy, który poinformował swoich coraz mniej licznych czytelników, że otrzymałem wykształcenie w Ivy League. Upłynął miesiąc, zanim ktoś mi o tym wspomniał. Zaczynałem nabierać przekonania, że nikt tej gazety nie czyta albo - co gorsza - że ci, którzy ją czytają, są kompletnymi idiotami.

Drugi błąd odmienił moje życie. Urodziłem się jako Joyner William Traynor. Do dwunastego roku życia zadrezczałem rodziców pytaniem, dlaczego dwoje inteligentnych jakoby ludzi nadało niemowlakowi imię Joyner. Chociaż oboje temu zaprzeczali, w końcu wyszło na jaw, że była to gałązka oliwna ofiarowana przez jednego z nich krewnemu, z którym się kiedyś pokłócili, a który miał ponoć pieniądze. Imiennik, nie imiennik, nigdy faceta nie spotkałem. Dla mnie umarł spłukany, a ja już do końca życia miałem być Joynerem. Zapisałem się do Syracuse jako J. William - dość imponujące imię jak na osiemnastolatka. Ale Wietnam, zamieszki, cały ten bunt i niepokoje społeczne przekonały mnie, że J. William brzmi za bardzo instytucjonalnie, zbyt prawomyślnie. I tak zostałem Willem.

Plama nazywał mnie Willem, Williamem, Billem, czasem nawet Billym, a ponieważ zawsze na te imiona reagowałem, nigdy nie wiedziałem, co wymyśli następnym razem. W

komunikacie pod zdjęciem mojej uśmiechniętej twarzy pojawiło się kolejne imię. Willie Traynor. Byłem przerażony. Nigdy w życiu nie pomyślałem, że ktoś może nazwać mnie Williem. Chodziłem do prywatnej szkoły średniej w Memphis, potem do college'u w Nowym Jorku i ani razu nie spotkałem tam nikogo o tym imieniu. Nie byłem prostakiem, swojakiem i równiachą. Jeździłem triumphem spitfire'em i nosiłem długie włosy.

Chryste, i co miałem powiedzieć teraz kumpłom z bractwa studenckiego w Syracuse?

Co miałem powiedzieć BeeBee?

Ukrywałem się w mieszkaniu przez dwa dni, wreszcie zebrałem się na odwagę, żeby stawić czoło Plamie i zażądać, żeby coś z tym zrobił. Nie bardzo wiedziałem co, ale skoro popełnił błąd, niech go, do cholery, naprawi. Wmaszerowałem do redakcji i wpadłem na Daveya „Gadułę” Bassa, redaktora sportowego.

- Hej, spoko masz imię - powiedział. Wszedłem do jego gabinetu, żeby poprosić o radę.

- Ale ja nie mam na imię Willie - zacząłem.

- Teraz już masz.

- Mam na imię Will.

- Będą cię tu uwielbiać. Przemądrzały dupek z Północy, który nosi długie włosy i rozbija się zagranicznym samochodziakiem sportowym. Kurczę! Pomyślą, że to superimię, w sam raz dla ciebie. Będziesz jak Joe Willie.

- Jak kto?

- Joe Willie Namath.

- Ach, ten...

- Tak, jankes jak ty, z Pensylwanii czy skądś tam, ale kiedy przyjechał do Alabamy, z Josepha Williama przeszedł na Joego Willie. Nie mógł się opędzić od dziewczyn.

Poczułem się lepiej. W 1970 roku Joe Namath był prawdopodobnie najslawniejszym sportowcem w kraju. Pojechałem się przejechać i jadąc, powtarzałem na głos: „Willie”. Willie przylgnął do mnie w ciągu dwóch tygodni. Nazywali mnie tak wszyscy i chyba im pasowało, że mam takie przyziemne imię.

BeeBee powiedziałem, że to tymczasowy pseudonim.

„Times” był bardzo cienki i od razu wiedziałem, że ma kłopoty. Pełno nekrologów, mało wiadomości i ogłoszeń, a więc kłopoty. Pracownicy byli niezadowoleni, lecz cisi i lojalni. W 1970 roku trudno tam było o pracę. Po tygodniu nawet dla nowicjusza takiego jak ja stało się jasne, że gazeta przynosi straty. Nekrologi są darmowe, ogłoszenia nie. Plama spędzał większość czasu w swoim zagraconym gabinecie, drzemiąc i wydzwanając do domu pogrzebowego. Czasami oni dzwoniли do niego. Bywało i tak, że ledwie kilka godzin po tym, jak wuj Wilber wydał ostatnie tchnienie, jego rodzina przyjeżdżała do redakcji z długim, kwiecistym życiorysem nieboszczyka, który Plama chciwie chwycił i delikatnie kładł na biurku. Potem zamykał drzwi i pisał, redagował, zbierał dodatkowe materiały i przepisywał

tekst, dopóki nie uznał, że jest doskonały.

Powiedział, że mogę jeździć i pisać o całym hrabstwie. Gazeta zatrudniała jeszcze jednego reportera bez konkretnej specjalizacji, niejakiego Baggy'ego Suggsa, wiecznie zawianego starego capa, który przesiadywał godzinami w sądzie po drugiej stronie ulicy, węsząc w poszukiwaniu plotek i chlejąc bourbona z grupką przegranych, do cna wypalonych adwokatów, zbyt starych i zbyt zalanych, żeby jeszcze praktykować. Jak miałem się wkrótce przekonać, Baggy był za leniwy, żeby trochę pojeździć, pogadać z ludźmi i wyszperać coś ciekawego, dlatego jego nudne, chociaż zamieszczane na pierwszej stronie reportaże często opisywały spory o miedzę czy małżeńskie awantury.

Redakcją kierowała tak naprawdę Margaret, sekretarka i dobra chrześcijanka, ale robiła to bardzo sprytnie, by Plama nie pomyślał, że przestał być szefem. Miała pięćdziesiąt kilka lat i pracowała w „Timesie” od lat dwudziestu. Była jego opoką i kotwicą, wszystko obracało się wokół niej. Łagodna, nieśmiała, od pierwszego dnia odczuwała przede mną lęk, bo byłem z Memphis i przez pięć lat studiowałem na Północy. Nie obnosiłem się z moim

„ekskluzywnym” wykształceniem na uniwersytecie Ivy League, ale chciałem, żeby ci wieśniacy z Missisipi wiedzieli, że wykształcono mnie znakomicie.

Zaprzyjaźniliśmy się, wymienialiśmy najświeższe plotki. Już po tygodniu Margaret potwierdziła moje podejrzenia, że Caudle jest zdrowo stuknięty i że gazeta jest w tarapatach finansowych. Ale, dodała czym prędzej, Caudle'owie to spadkobiercy rodzinnej fortuny!

Minęły lata, zanim rozgryzłem tę tajemnicę.

Rodzinna fortuna nie miała w Missisipi nic wspólnego z bogactwem. Nic wspólnego z pieniędzmi czy majątkiem. Rodzinna fortuna była statusem człowieka rasy białej, który ma wykształcenie choć trochę wyższe od średniego, który urodził się w wielkim domu z tarasem

- najlepiej takim stojącym wśród bawełnianych czy sojowych pól, chociaż nie było to absolutnie niezbędne - którego wychowała ukochana czarna niania imieniem Bessie czy Pearl oraz kochający dziadkowie, niegdyś właściciele przodków tejże niani, którzy uczyli go od urodzenia dobrych manier i surowych zasad, jakie obowiązywały ludzi uprzywilejowanych.

Pomagała w tym trochę ziemia i fundusze powiernicze, ale w Missisipi mieszkało pełno niewypłacalnych „arystokratów”, którzy odziedziczyli ten status. Nie można było go zdobyć.

Otrzymało się go w chwili narodzin.

Poszedłem pogadać z prawnikiem Caudle'ów, a on zwięźle i krótko oszacował

prawdziwą wartość ich fortuny.

- Są biedni jak mysz kościelna - powiedział. Siedziałem w głębokim, skórzanym, trochę wytartym już fotelu i patrzyłem na niego zza starego, szerokiego, mahoniowego biurka. Nazywał się Walter Sullivan i był współwłaścicielem prestiżowej kancelarii adwokackiej Sullivan i O'Hara; prestiżowej jak na hrabstwo Ford, bo zatrudniała tylko siedmiu prawników. Uważnie przeczytał zawiadomienie o



otwarcu postępowania upadłościowego, po czym rozgadał się o Caudle'ach, o pieniądzach, jakie kiedyś mieli, o tym, jakimi byli durniami, jak doprowadzili do ruiny tę dochodową niegdyś gazetę. Reprezentował

ich od trzydziestu lat i za czasów Emmy „Times” miał pięć tysięcy subskrybentów, a na jego stronach roiło się od ogłoszeń. W banku gwarancyjnym Emma złożyła wtedy pół miliona dolarów, tak na wszelki wypadek, na czarną godzinę.

Potem owdowiała i ponownie wyszła za mąż za miejscowego alkoholika, faceta dwadzieścia lat młodszego. Był półanalfabeta, który uważał się za udręczonego poetę i eseistę. Emma bardzo go kochała i obsadziła na stanowisku współredaktora, a on zaczął

wykorzystywać to do pisania sążnistych wstępniaków, w których zajadle krytykował

wszystko, co się tylko w hrabstwie ruszało. To był początek końca. Plama nienawidził

ojczyma, ojczym nienawidził jego, a punktem kulminacyjnym tej wzajemnej nienawiści była jedna z najbardziej spektakularnych bójek w historii Clanton. Doszło do niej na chodniku przed redakcją „Timesa”, na rynku w centrum miasta, na oczach wielkiego, oszołomionego tłumu. Miejscowi uważali, że tego dnia już i tak nadwerężony mózg Plamy doznał kolejnego uszczerbku, bo wkrótce potem redaktor naczelny „Timesa” przestał pisać cokolwiek z wyjątkiem tych przeklętych nekrologów.

Ojczym uciekł ze wszystkimi pieniędzmi, a zrozpaczona Emma stała się odludkiem.

- Kiedyś to była dobra gazeta - mówił Sullivan. - Ale niech pan spojrzy na nią teraz.

Mocno zadłużona, ledwie tysiąc dwustu subskrybentów. To bankrut.

- Co zrobi sąd? - spytałem.

- Spróbuje znaleźć kupca.

- Kupca?

- Tak, ktoś ją kupi. Hrabstwo musi mieć gazetę.

Natychmiast pomyślałem o dwojgu ludziach: o Nicku Dienerze i o Bee - Bee. Rodzina Nicka zbiła fortunę na swoim tygodniku. BeeBee pieniądze już miała, miała też ukochanego wnuka. Wyczułem okazję i serce zaczęło walić mi jak młotem.

Mecenas Sullivan przyjrzał mi się uważnie i było jasne, że czyta w moich myślach jak w otwartej księdze.

- Poszłaby za grosze - dodał.

- Za ile? - spytałem z pewnością siebie nieopierzonego dwudziestotrzyletniego reportera, wnuka

niezłomnej, zacieklej i żrącej jak ługowe mydło babki.

- Gdzieś za pięćdziesiąt tysięcy. Dwadzieścia pięć za gazetę, dwadzieścia pięć na jej prowadzenie. Większość długów da się umorzyć, a resztę można renegocjować z wierzycielami, bez których ani rusz. - Sullivan za milkę, pochylił się do przodu z łokciami na biurku i jego siwawe krzaczaste brwi zaczęły szybko drgać, jakby od myślenia przegrzał mu się mózg. - To może być prawdziwa żyła złota.

BeeBee nigdy dotąd nie zainwestowała w kopalnię złota, ale po trzech dniach wmawiania i namawiania wyjechałem z Memphis z czekiem na pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Dałem go mecenasowi Sullivanowi, on zaś przelał pieniądze na fundusz powierniczy i złożył

do sądu wniosek o sprzedaż gazety. Sędzia, antyk, który powinien leżeć w łóżku obok Emmy Caudle, dobrotliwie skinął głową i naskrobał swoje nazwisko pod nakazem. I tak zostałem nowym właścicielem „Ford County Timesa”.

Mieszkańcy hrabstwa Ford akceptują nowego dopiero w czwartym pokoleniu. Bez względu na pieniądze, wychowanie czy edukację nie można się tam po prostu przeprowadzić z nadzieją, że od razu mu zaufają. Nad każdym nowo przybyłym wisi czarna chmura podejrzliwości, a ja nie należałem do wyjątków. Ludzie są tam bardzo ciepli, uprzejmi, grzeczni i tak przyjaźni, że niemal wścibscy. Pozdrawiają, zagadują do każdego na ulicy.

Pytają o zdrowie, o pogodę, zapraszają do kościoła. Spieszą z pomocą nieznanym.

Ale nie zaufają im, chyba że ufali ich dziadkowi.

Kiedy rozeszła się wieść, że ja, obcy z Memphis, człowiek młody i nie - opierzony, kupiłem „Timesa” za pięćdziesiąt, za sto, a może nawet za dwieście tysięcy dolarów, całą społeczność zalała potężna fala plotek. Margaret informowała mnie na bieżąco. Ponieważ nie miałem żony, istniało duże prawdopodobieństwo, że jestem homoseksualistą. Ponieważ studiowałem w Syracuse czy gdzieś tam, to byłem pewnie komunistą albo, co gorsza, liberałem. Ponieważ pochodziłem z Memphis, na pewno chciałem podstępnie wystawić ich na pośmiewisko.

Jednocześnie zgadzali się po cichu, że teraz to ja trzymam łapę na wszystkich nekrologach! Byłem kimś!

Nowy „Times” zadebiutował osiemnastego marca 1970 roku, ledwie trzy tygodnie po tym, gdy do redakcji przyszedł karzełek z kopertą. Gazeta miała prawie dwa i pół centymetra grubości i zawierała więcej zdjęć, niż kiedykolwiek opublikował lokalny tygodnik. Zuchy, harcerze, koszykarze z ogólniaka, kluby ogródkowe, kluby miłośników książek, kluby herbaciane, bibliści, drużyny softballowe seniorów, kluby obywatelskie - dziesiątki zdjęć. Nie chciałem opuścić żywego ducha. A zmarłych wychwalałem pod niebiosa. Nekrologi były żenująco długie. Jestem pewien, że Plama pękał z dumy, ale się do mnie nie odezwał.

Wiadomości były lekkie i rześkie. Bez żadnych tam wstępniaków. Ludzie uwielbiają czytać o przestępstwach, dlatego w lewym dolnym rogu pierwszej strony otworzyłem nowy dział *Notatki*

*kryminalne*. Dzięki Bogu, tydzień wcześniej skradziono dwa pikapy, więc opisałem to z taką werwą, jakby obrabowano Fort Knox.

Pośrodku pierwszej strony dałem duże grupowe zdjęcie członków naszej nowej redakcji, to znaczy Margaret, Hardy'ego, Baggy'ego Suggsa, moje, naszego fotografa Wileya Meeka, Daveya „Gaduły” Bassa i Melanie Dogan, uczennicy z ogólniaka, która pracowała u nas na pół etatu. Byłem dumny z mojego zespołu. Przez dziesięć dni harowaliśmy po dwadzieścia cztery godziny na dobę i nasz pierwszy numer odniósł wielki sukces.

Wydrukowaliśmy pięć tysięcy egzemplarzy - sprzedaliśmy wszystkie. Pudło gazet wysłałem babce i bardzo jej zaimponowałem.

Przez cały następny miesiąc zmagalem się ze sobą, próbując ustalić, jaki to ma być tygodnik, i „Times” powoli nabierał kształtu. W rolniczej części Missisipi każda zmiana jest bolesna, dlatego postanowiłem wprowadzać je stopniowo. Stara gazeta zbankrutowała, lecz w ciągu pół wieku istnienia zmieniła się niewiele. Pisałem więcej wiadomości, publikowałem więcej ogłoszeń, zamieszczałem coraz więcej i więcej przeróżnych zdjęć. I usilnie pracowałem nad nekrologami.

Wielogodzinna harówka nigdy mnie nie pociągała, ale ponieważ zostałem właścicielem gazety, zapomniałem o zegarze. Byłem zbyt młody i zbyt zajęty, żeby się czegoś bać. Miałem dwadzieścia trzy lata i dzięki lutowi szczęścia, wyczuciu oraz bogatej babce wszedłem w posiadanie tygodnika. Gdybym się zawahał, gdybym zaczął to wszystko analizować i poprosił o radę bankiera i księgowego, jestem przekonany, że jeden czy drugi wybiłby mi to z głowy. Ale kto ma dwadzieścia trzy lata, jest nieustraszonym. Nie ma nic, więc nie ma nic do stracenia.

Wyliczyłem, że wyjdę na swoje dopiero za rok. Sprzedaż co prawda wzrastała, ale bardzo powoli. A potem zamordowano Rhodę Kassellaw. W tej branży jest chyba tak, że po brutalnej zbrodni czytelnicy chcą poznać jak najwięcej szczegółów i nakład rośnie. Tydzień przed śmiercią Rhody sprzedaliśmy dwa tysiące czterysta egzemplarzy, a tydzień po prawie cztery tysiące.

nie było to zwykłe morderstwo.

Hrabstwo Ford było spokojnym miejscem, gdzie mieszkali sami chrześcijanie albo tacy, którzy się za chrześcijan podawali. Do bijatyk dochodziło często, lecz wywoływali je zwykle ci z niższych klas, którzy przesiadywali w piwiarniach, knajpach i barach. Raz na miesiąc jakiś burak stłukł sąsiada albo swoją żonę, a w każdy weekend mieliśmy co najmniej jedną bójkę z użyciem noża w jakiejś spelunie. Rzadko kiedy ktoś potem umierał.

Byłem właścicielem „Timesa” przez dziesięć lat, od 1970 do 1980 roku, i niewiele opisaliśmy morderstw. Żadne nie było tak okrutne, jak morderstwo Rhody Kassellaw; żadnego nie popełniono z taką premedytacją. Od tamtej chwili upłynęło trzydzieści lat, mimo to codziennie o nim myślę.

## **ROZDZIAŁ 2**

Rhoda Kassellaw mieszkała w Beech Hill, dziewiętnaście kilometrów na północ od Clanton, w skromnym domu z szarej cegły przy wąskiej, brukowanej drodze. Na codziennie dogładanych

klombach przed domem nie rósł ani jeden chwast, a rozciągający się między domem i drogą długi trawnik był gęsty i starannie przyszyrony. Podjazd wysypano białym szutrem. Po jego obu stronach wały się skuterki, piłki i rowerki. Jej dzieci były zawsze na dworze, gdzie bawiły się do upadłego, przestając tylko po to, żeby popatrzeć na przejeżdżający samochód.

Był to miły wiejski domek, ledwie o rzut kamieniem od domu sąsiadów, państwa Deece. Młody człowiek, który go kupił, zginął w wypadku samochodowym gdzieś w Teksasie i w wieku dwudziestu ośmiu lat Rhoda została wdową. Pieniądzy z ubezpieczenia wystarczyło na spłatę domu i samochodu. Resztę zainwestowała, żeby zapewnić sobie skromny dochód na utrzymanie domu i rozpieszczanie ukochanych dzieci. Godzinami przebywała na dworze, pielęgnując ogródek warzywny, sadząc kwiaty, pieląc i wysypując torfem kwietniki przed domem.

Stroniła od ludzi. Staruszki z Beech Hill uważały ją za wzorową wdowę, bo siedziała w domu, była smutna i od czasu do czasu pokazywała się w kościele. Poszeptywały, że do kościoła powinna chodzić częściej.

Zaraz po śmierci męża Rhoda zamierzała wrócić do Missouri. Nie pochodziła z hrabstwa Ford, jej mąż też nie. Przyjechali tu za pracą. Ale dom już spłaciła, dzieciaki były szczęśliwe, sąsiedzi mili, a jej rodzinę za bardzo ciekawiło, ile dostała z ubezpieczenia.

Dlatego została i chociaż ciągle myślała o wyjeździe, nigdy nie wyjechała.

Kiedy chciała, a chciała nieczęsto, była bardzo piękną kobietą. Jej szczupłe, kształtne ciało zwykle okrywała luźna bawełniana sukienka, taka niewymagająca prasowania, albo obszerna koszula robocza, którą wkładała do pracy w ogródku. Prawie się nie malowała, a włosy ściągała do tyłu i upinała na czubku głowy. Większość z tego, co jadła, pochodziło z ogródka, dlatego miała zdrową, rumianą cerę. Taka młoda, piękna wdowa byłaby kuszącą zdobyczą, ale ona unikała ludzi.

Jednakże trzy lata po śmierci męża zaczęło ją nosić. Nie młodziła, a czas uciekał.

Była za młoda i za piękna, żeby w każdą sobotę siedzieć w domu i czytać dzieciom bajki na dobranoc. Gdzieś tam musiało dziać się coś ciekawego - gdzieś tam, bo na pewno nie w Beech Hill.

Wynajawszy młodą Murzynkę do pilnowania dzieci, pojechała na północ, do oddalonej o godzinę drogi granicy z Tennessee; tam, jak słyszała, było kilka przyzwoitych barów i klubów tanecznych. Może nikt jej nie rozpozna. Lubiła tańczyć i flirtować, ale nigdy nie piła alkoholu i zawsze wracała wcześniej do domu. Wpadła w rutynę i robiła to dwa, trzy razy w miesiącu.

Ale po jakimś czasie dzinsy stały się bardziej obcisłe, taniec szybszy, wyprawy coraz dłuższe. Zaczęto ją zauważać, mówiono o niej w barach i klubach na granicy.

Przed zabójstwem dwa razy pojechał za nią ukradkiem do domu. Był marzec i ciepły front atmosferyczny przyniósł złudną nadzieję na wczesną wiosnę. Noc była ciemna, bezksiężycowa. Gdy zakradł się na podwórze i stanął za drzewem, zwęszył go Misiak, domowy kundel. Zanim umilkł na zawsze, wytrwale warczał i szczekał.

Syn Rhody, Michael, miał pięć lat, a jej córka, Teresa, trzy. W starannie wyprasowanych, ozdobionych rysunkami Disneya piżamkach, z szeroko otwartymi oczami słuchali bajki o Jonaszu i wielorybie. Gdy Rhoda otulała ich, całowała na dobranoc i gasiła światło, on był już w domu.

Godzinę później wyłączyła telewizor i przed zamknięciem drzwi zaczęła chwilę na Miśka, który jednak nie wrócił. Nie zdziwiła się, bo często ganiał po lesie za zajęcami czy wiewiórkami i wracał dopiero w nocy. Wiedziała, że prześpi się na ganku i o świcie obudzi ją szczekaniem. Poszła do sypialni, zdjęła bawełnianą sukienkę i otworzyła drzwi do garderoby.

On już tam na nią czekał. W środku, w ciemności.

Chwycił ją od tyłu, grubą, spoconą ręką zatkał jej usta i powiedział:

- Mam kosę. Potnę ciebie i dzieciaki. - Machnął błyszczącym nożem. - Rozumiesz? -  
syknął jej prosto do ucha.

Rhoda zadrżała i zdołała kiwnąć głową. Nie widziała go, nie wiedziała, jak wygląda.

Rzucił ją na podłogę zagraconej garderoby i wykręcił jej rękę. Wziął brązowy wełniany szalik, który dostała od starej ciotki, i brutalnie przewiązał jej oczy.

- Cicho - warczał. - Bo pochlastam szczeniaki. - Skończywszy, chwycił ją za włosy, szarpnął do góry, a gdy wstała, zawłókł ją do łóżka. Przytknął jej do gardła czubek noża i powiedział: - nie opieraj się. Mam tu nóż. - Rozciął jej majtki i zaczął ją gwałcić.

Chciał widzieć te oczy, te piękne oczy, które widywał w klubach. I te długie włosy.

Stawiał jej drinki, tańczył z nią, a kiedy w końcu spróbował coś zdziałać, odepchnęła go.

„Teraz mi nie odmówisz, złotko” - wymamrotał, tak żeby go usłyszała.

Whisky dodawała mu odwagi od trzech godzin i wreszcie go otumaniała. Poruszał się wolno, niespiesznie, rozkoszując się każdą sekundą. Wydawał pełne zadowolenia pomruki jak prawdziwy mężczyzna, który bierze i dostaje to, czego chce.

Mdliło ją od smrodu whisky i potu, ale była zbyt przerażona, żeby zwymiotować.

Mogło go to rozzłościć i dźgnąłby ją nożem. Godząc się powoli z potwornością chwili, zaczęła myśleć. Musiała być cicho. Nie mogła obudzić dzieci. I co on zrobi z tym nożem, gdy wreszcie skończy?

Poruszał się coraz szybciej, coraz głośniejszym mamrotał.

- Cicho, złotko - syczał. - Bo cię pochlastam. - Żelazne łóżko skrzypiało; pewnie mało używane, myślał. Skrzypiało za głośno, ale miał to gdzieś.

Hałas obudził Michaela, który z kolei obudził Teresę. Wyślizgnęli się z pokoju na ciemny korytarz, żeby sprawdzić, co się dzieje. Michael otworzył drzwi do sypialni mamy, zobaczył na niej obcego mężczyznę i krzyknął:

- Mamusiu!

Mężczyzna na sekundę znieruchomiał i gwałtownie odwrócił głowę w stronę dzieci.

Głos synka przeraził Rhodę, która poderwała się i z furją zaatakowała napastnika obiema rękami, chwytając nimi, co tylko mogła. Małą pięścią trafiła go w lewe oko tak mocno, że go oszołomiło. Kopiąc i wierzgając, zerwała z głowy szalik. Wtedy dał jej w twarz i spróbował przygnieść ją do łóżka.

- Danny Padgitt! - wrzasnęła, drapiąc go paznokciami. Uderzył ją w twarz po raz drugi.

- Mamusiu! - krzyknął Michael.

- Uciekajcie! - Rhoda też chciała krzyknąć, ale tylko jęknęła, bo gwałtciciel zadawał jej teraz cios za ciosem.

- Zamknij mordę! - ryknął.

- Uciekajcie!

Dzieci wycofały się; ciemnym korytarzem pobiegły do kuchni, z kuchni wypadły na dwór. Tam były bezpieczne.

Ułamek sekundy po tym, jak wykrzyczała jego nazwisko, Padgitt zdał sobie sprawę, że nie ma wyboru i musi ją uciszyć. Wziął nóż, dźgnął dwa razy, szybko zszedł z łóżka i chwycił swoje ubranie.

Państwo Deece oglądali nocny program telewizyjny z Memphis, gdy usłyszeli wołanie Michaela. Pan Deece otworzył frontowe drzwi. Chłopiec był w piżamce przesiąkniętej potem i rosą. Szczekał zębami tak mocno, że ledwo mógł mówić.

- On zrobił krzywdę mamusi! - powtarzał. - On zrobił krzywdę mamusi!

W zalegającej między domami ciemności pan Deece zobaczył biegnącą za bratem Teresę. Biegła prawie w miejscu, jakby chciała dotrzeć do nich, nie ruszając się sprzed ganku.

Gdy pan Deece wreszcie do niej dobiegł, ssła kciuk i nie mogła mówić.

Pan Deece wpadł do garażu i chwycił dwie strzelby, jedną dla siebie, drugą dla żony.

Dzieci były w kuchni. Szok niemal je sparaliżował.

- On zrobił krzywdę mamusi - powtarzał Michael.

Pani Deece przytuliła dzieci i powiedziała, że wszystko będzie dobrze. Potem popatrzyła na strzelbę, którą mąż położył na stole.

- Zostań tu - rzucił pan Deece i wybiegł na dwór.

Daleko nie zabiegł. Rhoda zdołała dojść prawie do ich domu i tu upadła na mokrą trawę. Była zupełnie naga i zakrwawiona od szyi w dół. Pan Deece podniósł ją, zaniósł na ganek, po czym krzyknął do żony, żeby wyprowadziła dzieci z kuchni i zamknęła je w sypialni. Nie mógł pozwolić, żeby widziały matkę w ostatnich chwilach jej życia.

Gdy ułożył ją na huśtanej ławce, Rhoda wyszeptała:

- Danny Padgitt. To był Danny Padgitt.

Pan Deece okrył ją kapą i zadzwonił po karetkę.

Danny Padgitt jechał środkiem drogi z prędkością ponad stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Był na wpół pijany i przerażony jak wszyscy diabli, chociaż nie chciał się do tego przyznać. Za dziesięć minut miał być w domu, bezpieczny w swoim rodzinnym królestwie, które zwano tu Wyspą Padgittów.

Te przekłete bachory wszystko zepsuły. Jutro będzie musiał o tym pomyśleć.

Pociągnął długi łyk jacka danielsa i poczuł się lepiej.

To był chyba zając, mały pies albo jakiś gryzoń i gdy wyskoczył na drogę, Padgitt dostrzegł go kątem oka. Zareagował fatalnie. Odruchowo wcisnął hamulec, ale tylko na ułamek sekundy, bo miał gdzieś, co przejechał, i bardzo lubił polować wozem na zwierzaki, sęk w tym, że wcisnął pedał za mocno. Tylne opony straciły przyczepność i samochód wpadł

w poślizg. Zanim Danny zdał sobie z tego sprawę, znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie. Szarpnął kierownicą w lewo, potem w prawo i pikap wpadł na wyżwirowane pobocze, gdzie zaczął wirować jak wyścigowy samochód na tylnej prostej.

Potem zsunął się do rowu, dwa razy przekoziółkował, wreszcie grzmotnął w rząd sosen.

Gdyby Padgitt był trzeźwy, zginąłby na miejscu, ale pijani wychodzą z takich wypadków cało.

Wypełznął przez roztrzaskane okno i oparłszy się o wrak, długo stał, licząc skaleczenia i zadrapania, analizując sytuację. Miał sztywną nogę i gdy wykuśtykał z rowu na pobocze, stwierdził, że nie może chodzić. Ale nie musiał.

Zanim się spostrzegł, zalało go niebieskawe światło. Funkcjonariusz z biura szeryfa wysiadł z radiowozu i długą, czarną latarką oświetlił miejsce wypadku. W oddali zamigotał

kogut drugiego radiowozu.

Funkcjonariusz zobaczył krew, poczuł zapach whisky i sięgnął po kajdanki.

### ROZDZIAŁ 3

Rzeka Big Brown wpływa do Missisipi z południa, ze stanu Tennessee. Jej koryto opada nonszalancko w dół i, proste niczym ręcznie wykopany kanał długości czterdziestu ośmiu kilometrów, przecina hrabstwo Tyler. Trzy kilometry przed granicą hrabstwa Ford zaczyna więc się i zapętleć, a na samej granicy wygląda już jak wystraszony wąż, który rozpaczliwie zwija się w miejscu, donikąd nie pełznąc. Jej wody są gęste i ciężkie, muliste i powolne, niemal wszędzie płytkie. Nie słynie z piękna. Brzegi jej niezliczonych zakoli i zakrętów wyściełają łachy piasku, mułu i żwiru. Setki małych strug i strumieni zasilają ją niewyczerpanym zapasem leniwie płynącej wody.

Jej podróż przez hrabstwo Ford jest krótka. W północno - wschodnim narożniku hrabstwa koryto ponownie opada i zatoczywszy szeroki krąg, obejmujący dwa tysiące akrów ziemi, rzeka płynie z powrotem do Tennessee. Krąg jest niemal idealny i wygląda to tak, jakby pośrodku powstała wyspa, lecz w ostatniej chwili rzeka odwraca się od samej siebie, pozostawiając wąski pas ziemi między brzegami.

Ów krąg nazywają tu Wyspą Padgittów. Porastają ją sosny, eukaliptusy, wiązy i dęby, gęsty las pełen trzęsawisk, bagnisk i grząskich rzeczulek, z których kilka się ze sobą łączy; pozostałe płyną osobno. Ziemia wciąż jest tam żyzna, bo na wyspie niczego nie uprawiano prócz kukurydzy na nielegalną whisky. Zbierano jej mnóstwo, ścinano też mnóstwo drzew.

No i hodowano marihuanę, ale później.

Wąskim cyplem między brzegami rzeki biegła brukowana droga. Wpadała na cypel z jednej strony, przecinała go i uciekała z drugiej, zawsze pod czyimś czujnym okiem. Dawno temu zbudowało ją hrabstwo, lecz niewielu podatników śmiało z niej korzystać.

Wyspa należała do rodziny Padgittów od czasów Rekonstrukcji, kiedy to Rudolph Padgitt przybył tu z Północy po wojnie domowej tylko po to, by stwierdzić, że trochę się spóźnił i że najlepsza ziemia jest już zajęta. Szukał na próżno, nie znalazł niczego ciekawego, aż natknął się przypadkiem na tę rojącą się od węży wyspę. Na mapie wyglądała obiecująco.

Skrzyknął grupę dopiero co wyzwolonych niewolników i przebił się na nią z rewolwerem i maczetą w ręku. Nikt inny jej nie chciał. Ożenił się z miejscową dziewczyną i zaczął trzebić las.

Ponieważ po wojnie istniało wielkie zapotrzebowanie na drewno, powodziło mu się znakomicie. Dziewka była bardzo płodna i wkrótce na wyspie hasało stadko małych Padgittów. Jeden z byłych niewolników posiadał sztukę pędzenia whisky. Rudolph zaczął

uprawiać kukurydzę, lecz zamiast ją jeść czy sprzedawać, wytwarzał z niej coś, co wkrótce miało zyskać sławę jednej z najprzedniejszych whisky na głębokim Południu.

Pędził bimber przez trzydzieści lat, do 1902 roku, kiedy zmarł na marskość wątroby.



Gdy umierał, na wyspie mieszkał już cały klan Padgittów, którzy świetnie sobie radzili z tarciami drewna i pędzeniem bimbru: mieli sześć gorzelni rozrzuconych po całej wyspie, dobrze strzeżonych i ukrytych, wyposażonych w najnowocześniejszą aparaturę.

Padgittowie słynęli z whisky, chociaż nie szukali sławy. Byli skryci, zamknięci w sobie, zawsze trzymali się razem i zaciekle bronili swej prywatności, umierając ze strachu, że ktoś mógłby przeniknąć do ich małego królestwa i zepsuć dochodowy interes. Rozpowiadali, że są drwałami, i było powszechnie wiadomo, że nimi są, że czerpią z drewna duże dochody.

Padgitt Lumber Company, ich tartak, był dobrze widoczny z przecinającej wyspę drogi.

Twierdzili, że nie robią niczego nielegalnego, uczciwie płacą podatki, ich dzieci chodzą do szkoły i tak dalej.

W latach dwudziestych i trzydziestych, gdy alkohol był nielegalny, a naród spragniony, nie mogli nadażyć z pędzeniem whisky. Przewożono ją w dębowych beczkach przez rzekę i wieziono ciężarówkami na północ, aż do Chicago. Patriarchą rodu, prezesem spółki, dyrektorem produkcji i marketingu w jednej osobie był zaprawiony w bojach sknerus imieniem Clovis, najstarszy syn Rudolpha i dziwki. Już w młodości nauczono go, że najlepszy zysk to taki, od którego nie trzeba płacić podatku. To była lekcja numer jeden. Na lekcji numer dwa wpojono mu zasadę, że towar sprzedaje się tylko za gotówkę. Był

wyrachowanym, trzeźwo myślącym zwolennikiem unikania podatków, dlatego krążyły plotki, że Padgittowie mają więcej pieniędzy, niż jest ich w stanowym skarbcu.

W 1938 roku trzech agentów policji skarbowej przepłynęło ukradkiem rzekę wynajętą łodzią w poszukiwaniu źródeł sukcesu starego Padgitta. Ich potajemna wyprawa miała wiele niedociągnięć, a największym z nich było to, że w ogóle wpadli na ten pomysł. Ale wpadli i z jakiegoś powodu postanowili przepłynąć przez rzekę o północy. Ich ciała rozczłonkowano i pogrzebano w głębokim grobie.

W 1943 roku w hrabstwie Ford miało miejsce dziwne wydarzenie: na szeryfa wybrano uczciwego człowieka. Na szeryfa, a właściwie na wysokiego szeryfa, bo taki wówczas nosił

tytuł. Nazywał się Koonce Lantrip i nie był wcale aż tak uczciwy, ale dobrze gadał na wiecu wyborczym. Obiecał skończyć z korupcją, oczyścić radę okręgową i wysiudać z interesu wszystkich przemysłowców i bimbrowników, nawet Padgittów. Wygłosił ładne przemówienie i wygrał ośmioma głosami.

Jego zwolennicy czekali i czekali, i wreszcie, pół roku po objęciu urzędu, Lantrip zebrał swoich funkcjonariuszy i przeszedł z nimi na drugą stronę stareńkiego drewnianego mostu, który hrabstwo zbudowało w 1915 roku w odpowiedzi na żądania Clovisa.

Padgittowie używali go czasem wiosną, gdy rzeka przybierała. Nikt inny nie miał prawa nim przechodzić.

Dwóch ludzi szeryfa oberwało kulę w łeb, a ciała Lantripa nigdy nie odnaleziono.

Trzech Murzynów Padgitta starannie złożyło je do grobu na skraju trzęsawiska. Pochówek nadzorował Buford, najstarszy syn Clovisa.

Wieść o masakrze rozniosła się po całym stanie. Przez tydzień nie mówiono o niczym innym i gubernator zagroził, że przyśle do hrabstwa Gwardię Narodową. Ale szalała już II wojna światowa i wkrótce uwagę całego kraju przykuł D - Day. Zresztą z Gwardii Narodowej prawie nic nie zostało, a tych zdolnych do walki nie interesował szturm na Wyspę Padgittów.

Znacznie bardziej kusiły ich plaże Normandii.

Mając za sobą szlachetny eksperyment z uczciwym szeryfem, dobrzy ludzie z hrabstwa Ford wybrali szeryfa ze starej szkoły. Nazywał się Mackey Don Coley i jego ojciec był szeryfem w latach dwudziestych, gdy na Wyspie Padgittów rządził Clovis. Clovis i Coley senior byli kiedyś kumplami i wszyscy wiedzieli, że szeryf jest bogaty, bo pozwalał staremu Padgittowi swobodnie przekraczać granicę hrabstwa. Kiedy Mackey Don zgłosił swoją kandydaturę, Buford przysłał mu pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce. Mackey Don wygrał w cuglach. Jego przeciwnik twierdził, że jest uczciwy.

W Missisipi utrzymywało się dość powszechne, choć skryte przekonanie, że aby skutecznie pilnować prawa i porządku, dobry szeryf musi być trochę nieuczciwy. Hazard, prostytutka i nielegalne gorzelnie były po prostu smutną rzeczywistością, dlatego bez znajomości tego rodzaju spraw dobry szeryf nie mógłby nad tym wszystkim zapanować i ochronić porządnych chrześcijan. Występku nie da się całkowicie wyplenić, dlatego szeryf musiał koordynować, synchronizować i porządkować napływ grzechu. Za wysiłki na tym polu dostawcy niegodziwej rozpusty musieli mu płacić. Oczekiwał tego szeryf. Oczekiwała tego większość wyborców. Żaden uczciwy człowiek nie wyżyłby z tak skromnej pensji.

Żaden uczciwy człowiek nie wkroczyłby po cichu w mrok półświatka.

Szeryfowie hrabstwa Ford siedzieli Padgittom w kieszeni przez prawie sto lat. Od końca wojny domowej właściciele wyspy kupowali ich otwarcie za worki pieniędzy. Mackey Don Coley dostawał sto tysięcy dolarów rocznie (takie krążyły plotki), a w roku wyborczym tyle, ile potrzebował. Padgittowie byli hojni i dla innych polityków. Po cichu kupowali i podtrzymywali wpływy. Żądali niewiele; chcieli tylko, żeby ludzie dali im spokój.

Po II wojnie światowej zapotrzebowanie na bimer zaczęło powoli spadać. Ponieważ całe pokolenia Padgittów przyuczono do działania poza prawem, Buford i jego rodzina poszerzyli zakres nielegalnego handlu. Sprzedaż samego drewna była nudna i uzależniona od zbyt wielu czynników rynkowych, a co najważniejsze, nie przynosiła stosów pieniędzy, jakich oczekiwała rodzina. Sprzedawali więc broń, kradli samochody, fałszowali dokumenty, kupowali i palili domy, żeby dostać odszkodowanie. Przez dwadzieścia lat prowadzili bardzo dochodowy burdel na granicy hrabstwa, dopóki nie spłonął w tajemniczych okolicznościach w 1966 roku.

Byli ludźmi twórczymi i energicznymi, zawsze coś knuli i szukali okazji, żeby kogoś obrobić. Krążyły

pogłoski, czasami bardzo znamienne, że należeli do mafii Dixie, gangu wiejskich złodziei, którzy w latach sześćdziesiątych grasowali po całym głębokim Południu.

Pogłoski te nigdy się nie potwierdziły, a wielu podchodziło do nich sceptycznie choćby dlatego, że Padgittowie byli zbyt skryci, żeby wchodzić w jakiegokolwiek układy. Mimo to krążyły przez wiele lat, a cała rodzina była źródłem nieustannych plotek, które przekazywano sobie w bistrach i kawiarniach na rynku w Clanton. Nigdy nie uważano ich za bohaterów, choć z pewnością przeszli do legendy.

W 1967 roku jeden z młodych Padgittów uciekł do Kanady, żeby uniknąć poboru.

Zawędrował do Kalifornii, gdzie spróbował marihuany i stwierdził, że trawka bardzo mu pasuje. Po kilku miesiącach działalności pacyfistycznej zatęsknił za domem i wrócił

ukradkiem na wyspę. Przywiózł ze sobą dwa kilogramy marihuany, którą rozdzielił między kuzynów, a ci rozsmakowali się w niej tak samo jak on. Powiedział im, że cały kraj -

zwłaszcza Kalifornia - ćpa jak szalony. Missisipi jak zwykle nie nadążała za nowymi trendami i była co najmniej pięć lat spóźniona.

Trawkę można było tanio hodować, a potem rozwozić do miast. Ojciec przedsiębiorczego młodzieńca, Gili Padgitt, wnuk Clovisa, dostrzegł okazję i wkrótce większość starych pól kukurydzianych obsiano marihuaną. Na oczyszczonym pasie ziemi o długości sześciuset metrów urządzono lądowisko i Padgittowie kupili sobie samolot. Już rok później samolot odbywał codzienne loty na przedmieścia Memphis i Atlanty, gdzie założyli sieć dystrybucyjną. Ku ich uciesze i dzięki ich osobistemu zaangażowaniu, marihuana stała się w końcu popularna i na głębokim Południu.

Whisky pędzono coraz mniej. Burdel spłonął. Padgittowie mieli kontakty w Miami i w Meksyku. Pieniądze płynęły jak w mennicy. Przez wiele lat nikt z hrabstwa Ford nie miał

pojęcia, że handlują narkotykami. Nigdy ich nie przyłapano. Ani jeden Padgitt nie został

oskarżony o przestępstwo mające związek z prochami czy trawką.

Mało tego, ani jeden Padgitt nie został nigdy aresztowany. Sto lat pędzenia bimbru, kradzieży,

sutenerstwa,

nielegalnego

handlu

bronią,

falszowania

dokumentów,

przekupywania, a nawet zabijania, wreszcie wytwarzania i rozprowadzania narkotyków - i ani jednego aresztowania. Byli przebiegli, ostrożni, rozważni i cierpliwi w swoich knowaniach.

I nagle aresztowano Danny'ego Padgitta, najmłodszego syna Gilla, za gwałt i morderstwo.

## ROZDZIAŁ 4

Pan Deece powiedział mi nazajutrz, że upewniwszy się, iż Rhoda nie żyje, zostawił ją na huśtanej ławce. Poszedł do łazienki, rozebrał się, wszedł pod prysznic i zobaczył, jak do otworu ściekowego spływa jej krew. Przebrał się w robocze ubranie i wyszedł na ganek, żeby poczekać na policję i karetkę. Z nabitą strzelbą w ręku obserwował jej dom, gotów rozwalić wszystko, co się poruszy. Ale nie dostrzegł tam żadnego ruchu, nie usłyszał żadnego odgłosu.

W oddali wyły już syreny.

Jego żona zamknęła dzieci w sypialni. Położyła je do łóżka, okryła kocem i przytuliła.

Michael ciągle pytał o mamę i kim był ten pan. Teresa przeżyła za duży wstrząs, żeby cokolwiek mówić. Cichutko pojękiwała, ssła palce i drżała, jakby było jej zimno.

Wkrótce na Benning Road zaroilo się od czerwono - niebieskich świateł. Ciało Rhody zostało dokładnie obfotografowane, następnie zabrane. Jej dom otoczyli kordonem funkcjonariusze z biura szeryfa pod dowództwem samego Coleya. Pan Deece, wciąż ze strzelbą w raku, złożył zeznania śledczemu, a potem szeryfowi.

Kilka minut po drugiej nad ranem jeden z funkcjonariuszy przyjechał z wiadomością że lekarz, którego powiadomiono o tragedii, zasugerował, by dzieci przywieźć do szpitala na badania. Pojechali radiowozem, Michael kurczowo ściskając rękę pana Deece'a, Teresa na kolanach jego żony. W szpitalu obojgu podano łagodny środek uspokajający. W separacie pielęgniarka częstowała je ciasteczkami i poila mlekiem, dopóki w końcu nie usnęły. Jeszcze tego samego dnia przyjechała ciotka i zabrała je do Missouri.

Telefon zadzwonił kilka sekund przed północą. Wiley Meek, fotograf, dowiedział się wszystkiego z policyjnego skanera i czyhał już przed aresztem, gdzie zastawił pułapkę na podejrzanego. „Wszędzie są gliny - mówił, z trudem panując nad podnieceniem. - Szybko -

ponaglał - przyjeżdżaj. To może być bomba”.

Wynajmowałem wtedy mieszkanie nad starym garażem przy rozpadającym się, choć wciąż wspaniałym wiktoriańskim domu, znanym tu jako dom Hocuttów. Hocuttów mieszkało w nim dużo, trzy siostry i brat, a wszyscy byli moimi gospodarzami, tak na zmianę. Ich dwuhektarowa posiadłość mieściła się kilka ulic od rynku, a sam dom zbudowano w minionym wieku za pieniądze z rodzinnej fortuny. Posesję porastały drzewa, przerośnięte kwiaty na starych klombach i gęste kępy dojrzałych chwastów. Było tam również tyle zwierząt, że można by nimi zasilić spory teren łowiecki. Króliki, wiewiórki, skunksy, oposy, szopy pracze, miliony ptaków, przerażająca kolekcja zielonych i czarnych węży - zapewniano mnie, że niejadowitych - oraz dziesiątki kotów. Lecz ani jednego psa. Hocuttowie

nie znosili psów. Każdy kot miał imię, a jednym z najważniejszych punktów ustnej umowy wynajmu było to, że muszą je traktować z należyty szacunkiem.

No to traktowałem. Czteropokojowe mieszkanie, przestronne i czyste, kosztowało mnie pięćdziesiąt dolarów - czysty absurd. Szacunek dla kotów za tę cenę? Proszę bardzo.

Ojciec Hocuttów, Miles, przez wiele lat był ekscentrycznym lekarzem. Matka zmarła podczas porodu i według miejscowej legendy po jej śmierci doktor Hocutt stał się bardzo zaborczy wobec dzieci. Żeby ochronić je przed światem, spreparował jedno z największych kłamstw, jakie kiedykolwiek słyszano w hrabstwie Ford. Otóż wmówił dzieciom, że ich rodzina jest obciążona dziedzicznym obłędem, dlatego nie powinny się żenić i wychodzić za mąż, bo przyczynią się do powstania odrażającego szczepu skretyniałych potomków. Dzieci go kochały i uwierzyły, zresztą były już pewnie trochę nieźrównoważone. Żadne nigdy nikogo nie poślubiło. Gdy wynajmowali mi mieszkanie, Max Hocutt miał osiemdziesiąt jeden lat, siostry bliźniaczki, Wilma i Gilma, siedemdziesiąt siedem, a najmłodsza z nich wszystkich Melberta siedemdziesiąt trzy i była kompletnie rąbnięta.

To chyba Gilma przyglądała mi się ukradkiem z kuchennego okna, gdy o północy schodziłem na dół. Na ostatnim stopniu drewnianych schodów, a więc dokładnie na mojej drodze, spał kot, ale z szacunkiem nad nim przestąpiłem, choć miałem ochotę wykopać go na ulicę.

W garażu stały dwa samochody: mój spitfire z podniesionym dachem, żeby nie wlażyły do niego koty, i długi, lśniący czarny mercedes z czerwono - białymi nożami rzeźnickimi na drzwiczkach. Pod nożami widniał numer telefonu namalowany zieloną farbą. Ktoś powiedział

kiedyś Maksowi, że jeśli będzie wykorzystywał samochód do celów służbowych i namaluje na nim znak firmowy, będzie mógł odpisać od podatku jego cenę, cenę absolutnie każdego, dowolnego samochodu. Hocutt kupił mercedesa i został szlifierzem, takim od ostrzenia noży.

Mówił, że narzędzia wozi w bagażniku.

Mercedes miał dziesięć lat i niecałe trzysta tysięcy kilometrów przebiegu.

Ponieważ ojciec wygłaszał im również kazania na temat grzechu, jakim jest kobieta za kierownicą, szoferem był Max.

Wyprowadziłem spitfire'a na wyżwirowany podjazd i pomachałem zerkającej zza franki Gilmie. Szybko cofnęła głowę i zniknęła. Areszt był tylko sześć ulic dalej. Spałem ledwie pół godziny.

Gdy przyjechałem na miejsce, Danny'emu Padgittowi zdejmowano odciski palców.

Biuro szeryfa mieściło się we frontowej części aresztu i tłoczyli się tam zastępcy, rezerwiści, strażacy z ochotniczej straży pożarnej oraz wszyscy ci, którzy mieli jakiś mundur czy dostęp do policyjnego skanera. Na chodniku czekał na mnie Wiley Meek.

- To Danny Padgitt! - rzucił, bardzo podekscytowany.

Przystanąłem i spróbowałem zebrać myśli.

- Kto?

- Danny Padgitt, ten z wyspy.

Mieszkałem w hrabstwie Ford od trzech miesięcy, ale nie widziałem jeszcze ani jednego Padgitta. Unikali ludzi jak zawsze. Słyszałem za to fragmenty różnych opowieści i miałem usłyszeć ich jeszcze więcej. Opowiadanie legend o Padgittach było tu ulubioną rozrywką.

- Jak wyciągali go z radiowozu, pstryknąłem kilka świetnych zdjęć! - mówił z przejęciem Wiley. - Był cały zakrwawiony. Ekstrafotki! Dziewczyna nie żyje!

- Jaka dziewczyna?

- Ta, którą zabił. Zgwałcił ją i zabił, tak mówią.

- Danny Padgitt - wymamrotałem i powoli zaczęło do mnie docierać, że mamy sensacyjny news. W wyobraźni już widziałem nagłówek, bez wątplenia największy nagłówek w historii „Timesa”. Biedny stary Plama stronił od opisywania wstrząsających wydarzeń. I biedny stary Plama zbankrutował. Ja miałem inne plany.

Przepchnęliśmy się do środka i rozejrzałem się w poszukiwaniu szeryfa Coleya. Przez te trzy miesiące rozmawiałem z nim tylko dwa razy, ale jego grzeczność i serdeczność zrobiły na mnie wrażenie. Mówił mi per pan, do kobiet zwracał się zawsze per pani, zawsze z ciepłym uśmiechem na twarzy. Był szeryfem od masakry w 1943 roku, więc dobijał

siedemdziesiątki. Wysoki i chudy, miał obowiązkowo wielki brzuch, którego wymagano od szeryfów na Południu. Na pierwszy rzut oka wyglądał na dżentelmena i kiedy z nim rozmawiałem, zastanawiałem się, jak to możliwe, żeby taki miły człowiek był tak skorumpowany. Wyszedł z zaplecza z funkcjonariuszem ze swojego biura, więc ćwicząc asertywność, wybiegłem mu na spotkanie.

- Panie szeryfie, tylko parę pytań - zacząłem surowo. Innych reporterów tam nie było.

Jego ludzie - prawdziwi funkcjonariusze, funkcjonariusze na pół etatu, ci, którzy chcieli zostać funkcjonariuszami i funkcjonariusze amatorzy - umilkli i spojrzeli na mnie z szyderczym uśmieszkiem. Wciąż byłem tu nowym, obcesowym, bogatym młokosem, który jakimś cudem przejął ich gazetę. Obcym, który nie miał prawa wpadać tu w takiej chwili i zadawać pytania.

Szeryf uśmiechnął się, jakby tego rodzaju nocne spotkania zdarzały się w Clanton codziennie.

- Słucham, panie redaktorze. - Przeciągał samogłoski, mocno i soczyście, co brzmiało bardzo kojąco. Taki człowiek nie mógł przecież kłamać, prawda?

- Co może powiedzieć pan o tym morderstwie?

Szeryf zaplótł ręce na piersi i policyjnym żargonem przedstawił kilka podstawowych faktów.

- W domu przy Benning Road napadnięto białą kobietę w wieku trzydziestu jeden lat.

Została zgwałcona, dźgnięta nożem, zamordowana. Jej nazwisko będę mógł podać dopiero po rozmowie z krewnymi.

- Aresztował pan sprawcę?

- Tak, ale więcej nic nie powiem. Proszę dać nam parę godzin. Prowadzimy śledztwo.

To wszystko, panie Traynor.

- Krążą plotki, że to Danny Padgitt.

- nie zajmuję się plotkami. Nie na tym polega moja praca. Pana też nie.

Pojechaliśmy z Wileym do szpitala, powęszyliśmy tam przez godzinę, nie dowiedzieliśmy się niczego, co można by dać do druku, i popruliśmy na Benning Road.

Policja ogrodziła dom żółtą taśmą, a tuż za nią, przy skrzynce na listy, stała cicho grupka sąsiadów. Podeszliśmy do nich, wyteżyliśmy słuch, ale niczego nie usłyszeliśmy. Byli chyba zbyt wstrząśnięci, żeby mówić. Pogapiliśmy się kilka minut na dom i ukradkiem odeszliśmy.

Wiley miał siostrzeńca, który robił na pół etatu jako funkcjonariusz z biura szeryfa.

Pilnował domu Deece'ów, ponieważ policja wciąż badała ślady na ganku i na huśtanej ławce, gdzie Rhoda wydała ostatnie tchnienie. Odciągnęliśmy go na bok, za rząd barwinków Deece'a, i wszystko nam powiedział. Oczywiście nieoficjalnie, jakby krwawe szczegóły tak ohydnej zbrodni dało się tu utrzymać w tajemnicy.

Na rynku były trzy małe restauracyjki, dwie dla białych, jedna dla czarnych. Wiley zaproponował, żeby pójść tam na wczesne śniadanie i po prostu posłuchać.

nie jadam śniadań i kiedy inni je jedzą, zwykle jeszcze śpię. Mogę pracować do późnej nocy, czemu nie, ale wolę spać, dopóki słońce nie zawiśnie mi nad głową w całej okazałości.

Szybko zrozumiałem, że jedną z zalet bycia właścicielem małego tygodnika jest to, że mogę pracować do późna, a potem do późna spać. Artykuły można pisać kiedykolwiek, aby tylko dotrzymać terminu. Plama był znany z tego, że przychodził do redakcji tuż przedpołudniem, odwiedzwszy przedtem - jakżeby inaczej - dom pogrzebowy. Jego godziny pracy bardzo mi odpowiadały.

O wpół do dziesiątej rano mojego drugiego dnia w mieszkaniu nad garażem Hocuttów do drzwi załomotała Gilma. Łomotała i łomotała. W końcu wstałem, slaniając się na nogach, wszedłem do kuchni i zobaczyłem, że gapi się na mnie przez szpary w żaluzjach.

Powiedziała, że już miała dzwonić na policję. Pozostali Hocuttowie byli na dole. Kręcili się wokół

garażu i niespokojnie zerkali na mój samochód, pewni, że popełniono tu jakąś zbrodnię.

Spytała, co robię. Powiedziałem, że śpię, to znaczy, spałem, dopóki nie obudziło mnie walenie do tych cholernych drzwi. Wtedy spytała, dlaczego śpię o wpół do dziesiątej rano w środę. Przetarłem oczy i spróbowałem wymyślić coś logicznego. Nagle uświadomiłem sobie, że jestem prawie nagi, w samych szortach stoję przed siedemdziesięciosiedmioletnią dziewczyną. Gapiła się na moje uda.

Powiedziała, że oni wstali już o piątej. Że nikt w Clanton nie sypia do wpół do dziesiątej. Byłem pijany? Bali się o mnie, to wszystko. Zamykając drzwi, odrzekłem, że jestem trzeźwy, że wciąż chce mi się spać, że dziękuję za troskę, ale często będę sypiał do dziesiątej.

W Tea Shoppe byłem dwa razy, raz na późnym śniadaniu, raz na lunchu. Jako właściciel gazety uznałem, że ludzie powinni mnie widywać, o rozsądnej godzinie, rzecz jasna. W pełni zdawałem sobie sprawę, że przez wiele lat będę o nich pisał, o nich, o ich mieście i o tym, co się w nim dzieje.

Wiley powiedział, że od wczesnego ranka w restauracjach i barach będzie tłok.

- Po meczu albo po wypadku samochodowym zawsze tam pełno.

- A po morderstwie? - spytałem.

- Dawno tu żadnego nie było - odparł.

Miał rację, bo gdy weszliśmy tam kilka minut po szóstej, nie było już wolnych miejsc.

Wiley paru pozdrowił, paru innym uściśnął rękę, wymienił kilka żartobliwych obelg. On był

stąd i wszystkich znał. Natomiast ja szedłem za nim z grzecznym uśmiechem i kiwałem głową na lewo i prawo. Ten i ów obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem. Tak, musiały upłynąć lata. Byli przyjaźni, ale ostrożni.

Znaleźliśmy dwa miejsca przy ladzie i zamówiłem kawę,. Nic więcej. Kelnerka wyraźnie tego nie pochwałała. Za to szybko przekonała się do Wileya, który zmienił zdanie i zamówił jajecznicę, wiejską szynkę, bułeczki, mamałygę oraz smażone ziemniaki w plasterkach; taka ilość cholesterolu zadławiłaby muła.

Rozmawiano o morderstwie i tylko o morderstwie. Jeśli do kłótni może doprowadzić wymiana uwag o pogodzie, wyobraźcie sobie, co się tam działo po tak ohydnej zbrodni.

Padgittowie trzęśli hrabstwem przez sto lat; pora wsadzić ich wszystkich do więzienia. W

razie konieczności otoczyć wyspę żołnierzami Gwardii Narodowej. Mackey Don musi odejść, za długo siedzi im w kieszeni. Pozwolić im robić, co chcą, i pomyślą, że stoją ponad prawem.

A teraz znowu to.

O Rhodzie mówiono niewiele, bo niewielu ją znało. Ktoś wiedział, że bywała w knajpach na granicy



stanu. Ktoś inny, że sypiała z miejscowym adwokatem. Nie znał jego nazwiska. To tylko plotka.

W Tea Shoppe od plotek aż huczało. Wśród wiernych kibiców królowali na zmianę dwaj krzykacze i zdumiało mnie, jak lekkomyślne wygłaszali opinie. Szkoda, że nie mogłem ich wydrukować. Ich i tych wszystkich cudownych plotek.

## ROZDZIAŁ 5

nie wydrukowaliśmy dużo. Nagłówek głosił, że Rhoda Kassellaw została zgwałcona i zamordowana, i że aresztowano podejrzanego, Danny'ego Padgitta. Litery można było przeczytać z dwudziestu metrów, z każdego chodnika przy rynku.

Pod nagłówkiem zamieściliśmy dwa zdjęcia: Rhody w ostatniej klasie ogólniaka i Padgitta, gdy prowadzono go do aresztu w kajdankach. Fakt, Wiley dobrze się zasadził.

Padgitt uśmiechający się szyderczo do aparatu - doskonałe ujęcie. Na czole miał krwawą ranę z wypadku, na koszuli krew zamordowanej. Wyglądał paskudnie, jak zuchwały, pijany, winny zbrodni bandzior, i wiedziałem, że zdjęcie wywoła sensację. Wiley uważał, że lepiej tego unikać, ale miałem dwadzieścia trzy lata i byłem za młody, żeby coś mogło mnie powstrzymać. Chciałem, by czytelnicy poznali odrażającą prawdę. Chciałem sprzedać nakład.

Zdjęcie Rhody dostałem od jej siostry z Missouri. Podczas pierwszej rozmowy telefonicznej nie miała prawie nic do powiedzenia i szybko odłożyła słuchawkę. Za drugim razem była trochę miłsza - powiedziała, że dzieci są pod opieką lekarza, że pogrzeb odbędzie się we wtorek po południu w miasteczku koło Springfield i że jak dla jej rodziny, cały stan Missisipi może zgorzeć w piekle.

Odrzekłem, że doskonale ją rozumiem, że pochodzę z Syracuse, że mam dobre serce i jestem po jej stronie. W końcu zgodziła się przysłać mi zdjęcie.

Dzięki całemu zastępowi anonimowych informatorów szczegółowo opisałem to, co wydarzyło się sobotniej nocy przy Benning Road. Gdy byłem czegoś pewien, dobitnie to podkreślałem. Gdy miałem wątpliwości, krążyłem opłotkami, dając czytelnikom do zrozumienia, że moim zdaniem było tak i tak. Baggy Suggs wytrzeźwiał na tyle wcześniej, że zdążył przeczytać i zredagować artykuł. Prawdopodobnie dzięki temu nikt nas nie pozwał ani nie zastrzelił.

Na drugiej stronie zamieściłem szkic sytuacyjny miejsca zbrodni oraz zdjęcie domu Rhody, zrobione rano w dniu morderstwa, na którym widać było radiowozy, żółtą taśmę, a także rowerki i zabawki Michaela i Teresy rozrzucone na podwórzu. Na swój sposób zdjęcie to było bardziej złowieszcze i dramatyczne niż zdjęcie ofiary, które bezskutecznie próbowałem zdobyć. Wyraźnie stwierdzało, że mieszkały tam dzieci, że dzieci te są.

zamieszane w niewyobrażalnie brutalną zbrodnię.

Co widziały? Oto najbardziej palące pytanie.

nie odpowiedziałem na nie w artykule, ale próbowałem. Opisałem dom i jego rozkład.

Powołując się na anonimowe źródła, obliczyłem, że łóżeczka dzieci stały mniej więcej dziewięć metrów od łóżka matki. Dzieci uciekły z domu, dotarły do sąsiadów w szoku, zbadał

je lekarz z Clanton, a obecnie przechodziły terapię w Missouri. Widziały bardzo dużo.

Czy będą zeznawały w sądzie? Baggy twierdził, że to wykluczone; były po prostu za małe. Wziąłem to pytanie z powietrza i zadałem je mimo to, żeby czytelnicy mieli się o co kłócić i czym się gryźć. Przeanalizowawszy możliwość, że powołane na świadków, zostaną wprowadzone do sali rozpraw, skonkludowałem, że według „ekspertów” taki scenariusz jest bardzo mało prawdopodobny. Baggy'emu spodobał się tytuł eksperta.

Nekrolog Rhody maksymalnie wydłużyłem, co - zważywszy na obowiązującą w

„Timesie” tradycję - nie było niczym nadzwyczajnym.

Maszyna poszła w ruch o dziesiątej wieczorem we wtorek i już o siódmej rano w środę gazeta znalazła się we wszystkich stojakach przy rynku. W chwili bankructwa jej nakład spadł do niecałych tysiąca dwustu egzemplarzy, tymczasem po miesiącu mojego nieustraszonego przywództwa mieliśmy prawie dwa tysiące pięciuset subskrybentów - pięć tysięcy było celem jak najbardziej realistycznym.

Po morderstwie Rhody wydrukowaliśmy osiem tysięcy egzemplarzy i roznieśliśmy je dosłownie wszędzie: trafiły pod drzwi barów i kawiarni przy rynku, do sądu, na biurka wszystkich urzędników naszej administracji i do bankowych foyer. Trzy tysiące egzemplarzy rozesłaliśmy potencjalnym subskrybentom w ramach nagłej, jednorazowej oferty promocyjnej.

Według Wileya było to pierwsze morderstwo od ośmiu lat. A mordercą był Padgitt!

Trafiła nam się cudowna gratka i dostrzegłem w niej szansę. Tak, oczywiście, poszedłem na szok, na sensację, na krwawe szczegóły. Nie ulegało wątpliwości, że było to brukowe dziennikarstwo, ale co mnie to obchodziło?

nie miałem pojęcia, że odpowiedź będzie tak szybka i niemiła.

W czwartek o dziewiątej rano główna sala rozpraw na pierwszym piętrze sądu hrabstwa Ford była już pełna. Niepodzielną władzę sprawował w niej Reed Loopus, stary sędzia objazdowy z hrabstwa Tyler, który przyjeżdżał do Clanton osiem razy w roku, żeby wymierzać sprawiedliwość. Ten legendarny wojownik rządził żelazną ręką. Według Baggy'ego - który prawie całe życie przesiedział w sądzie, zbierając plotki lub je rozpuszczając - był do cna uczciwy i jakimś cudem zdołał uniknąć lepkich macek Padgittów.

Może dlatego, że pochodził z innego hrabstwa, w każdym razie uważał, że przestępcy powinni odsiadywać długie wyroki, najlepiej w obozach ciężkiej pracy przymusowej, chociaż nie mógł już ich tam wysłać.

W poniedziałek zbiegli się zewsząd prawnicy Padgittów, żeby wydostać Danny'ego z aresztu. Sędzia Loopus prowadził proces w innym hrabstwie - w obwodzie miał ich sześć - i gdy poprosili go o wyznaczenie szybkiego terminu przesłuchania w celu ustanowienia kaucji, kategorycznie odmówił.

Oznajmił, że rozprawa odbędzie się dopiero w czwartek o dziewiątej.

Tym samym dał miastu kilka dni na rozmyślania i spekulacje.

Ponieważ byłem dziennikarzem, w dodatku właścicielem miejscowego tygodnika, uznałem, że moim obowiązkiem jest przyjść wcześniej i zająć dobre miejsce. Owszem, trochę zadzierałem nosa. Inni przyszedli tu z ciekawości, natomiast ja miałem do wykonania ważne zadanie. Gdy zaczęli się schodzić, siedziałem już z Baggym w drugim rzędzie.

Głównym adwokatem Danny'ego Padgitta był Lucien Wilbanks, człowiek, którego szybko znienawidziłem. Tylko on ostał się z prominentnego niegdyś klanu prawników, bankierów i im podobnych. Rodzina Wilbank - sów pracowała długo i w pocie czoła, żeby zbudować to miasto, ale potem przyszedł Lucien i zniszczył im reputację. Uważał się za radykała, co w 1970 roku było w tej części świata dość rzadkie. Nosił brodę, klął jak szewc, dużo pił i lubił reprezentować gwałcicieli, morderców i pedofilów. Jako jedyny w hrabstwie należał do NAACP, organizacji walczącej o ochronę praw i popieranie interesów gospodarczych ludności kolorowej, i już samo to wystarczało, żeby ktoś go zastrzelił. Ale on miał to gdzieś.

Irytujący, nieustraszony i otwarcie złośliwy, odczekał, aż wszyscy usiądą, i tuż przed wejściem sędziego Loopusa powoli podszedł do mnie. Trzymając w ręku najświeższego

„Timesa”, zaczął nim wymachiwać i kląć.

- Ty nędzny skurwysynu! - powiedział głośno i w sali zapadła martwa cisza. - Za kogo ty się, do diabła, uważasz?

Byłem zbyt upokorzony, żeby odpowiedzieć. Poczulem, że Baggy lekko się ode mnie odsuwa. Gapili się na mnie dosłownie wszyscy i wiedziałem, że muszę coś odpowiedzieć.

- Napisałem samą prawdę - wykrztusiłem z całym przekonaniem, na ja kie było mnie stać.

- To brukowe dziennikarstwo! - ryknął Wilbanks. - Same śmiecie i tania sensacja! -

Gazeta była ledwie kilka centymetrów od mojego nosa.

- Dziękuję - odparłem jak pyszałek i mądrała. W sali było co najmniej pięciu funkcjonariuszy z biura szeryfa, ale żaden nie kwapił się, żeby zainterweniować.

- Jutro wniesiemy pozew! - grzmiał Wilbanks, błyskając oczami. - Zażądamy miliona dolarów odszkodowania!

- Mam adwokatów - odrzekłem przerażony, że zaraz zbankrutuję jak Caudle'owie.

Lucien rzucił mi gazetę na kolana i wrócił do stołu. Nareszcie mogłem wypuścić powietrze; serce waliło mi jak młotem. Czułem, że policzki palą mnie ze wstydu i strachu.

Mimo to uśmiechnąłem się głupio i jakimś cudem zdołałem tak wytrwać. Nie mogłem pokazać

miejscowym, że ja, redaktor i wydawca ich gazety, czegoś się boję. Ale żeby aż milion dolarów odszkodowania? Natychmiast pomyślałem o babce. Czekalaby mnie trudna rozmowa.

Za stołem sędziowskim wybuchło małe poruszenie i woźny otworzył drzwi.

- Proszę wstać! - zawołał.

Sędzia Loopus wślizgnął się do środka i wlokąc za sobą poły czarnej, wypłowiałej już togi, poczłapał do fotela. Usiadł, powiódł wzrokiem po nabitej sali i powiedział:

- Dzień dobry. Spory tłum jak na zwykłą kaucję. - Na rozprawy takie jak ta nie przychodził nikt z wyjątkiem oskarżonego, jego adwokata i ewentualnie matki. Tymczasem na tę przyszło trzystu ludzi.

Bo nie było to zwykłe przesłuchanie w sprawie wyznaczenia kaucji. To był początek procesu o morderstwo i niewielu mieszkańców Clanton chciało przepuścić taką gratkę.

Doskonale wiedziałem, że większość z nich nie będzie mogła tu przychodzić. Że zdadzą się na moją gazetę, dlatego chciałem przedstawić im jak najwięcej szczegółów.

Ilekróć spojrzałem na Wilbanka, myślałem o tym nieszczęsnym odszkodowaniu.

Milion dolarów. Chyba nie zamierzał pozywać gazety? Bo niby za co? Nikogo nie zniesławilem, nie dopuściłem się oszczerstwa ani nic.

Sędzia dał znak drugiemu woźnemu i otworzyły się boczne drzwi. Wprowadzono Danny'ego Padgitta z rękami przykutymi do pasa. Starannie ogolony, bez widocznych ran na twarzy, był w nienagannie wyprasowanej białej koszuli, brązowych spodniach i mokasynach.

Ledwie rok starszy ode mnie, miał dwadzieścia cztery lata, ale wyglądał dużo młodziej.

Patrząc na niego, pomyślałem, że taki przystojniacha, chłopak o tak miłej powierzchowności powinien być teraz w jakimś college'u, a nie tutaj. Szedł niespiesznie, a gdy woźny zdjął mu kajdanki, uśmiechnął się szyderczo. Wszem wobec demonstrował pewność siebie człowieka, którego rodzina ma kupę pieniędzy i dzięki nim szybko wyciągnie go z tych małych, przejściowych kłopotów.

Tuż za nim, lecz za barierką przed pierwszym rzędem krzeseł, siedzieli jego rodzice oraz Padgittowie wszelkiej maści i pokrewieństwa. Jego ojciec Gili, wnuk okrytego złą sławą Clovisa, skończył college i powiadano, że właśnie on odpowiada za pranie brudnych pieniędzy w klanie. Matka była dobrze ubrana i na swój sposób ładna - uznałem, że to niezwykle jak na kogoś głupiego na tyle, żeby wżenić się w rodzinę Padgittów i spędzić resztę życia na odludnej wyspie.

- Nigdy jej nie widziałem - szepnął Baggy.

- A Gilla? - spytałem.

- Może dwa razy w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

Stan reprezentował prokurator okręgowy Rocky Childers.

- Panie prokuratorze - zaczął sędzia - rozumiem, że stan jest przeciwny zwolnieniu oskarżonego za kaucją.

Childers wstał.

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Na jakiej podstawie?

- Na podstawie potworności zarzucanej mu zbrodni, Wysoki Sądzie. Brutalny gwałt na ofierze na oczach jej małych dzieci. Morderstwo dokonane co najmniej dwoma ciosami noża.

Próba ucieczki z miejsca przestępstwa. - Głos Childersa ciał jak sztylet. W sali panowała głucha cisza. - Istnieje duże prawdopodobieństwo, że jeśli pan Padgitt wyjdzie z aresztu, już nigdy go tu nie zobaczymy.

Lucien Wilbanks oczywiście nie wytrzymał. Natychmiast wstał i zaprotestował.

- Zgłaszamy sprzeciw, Wysoki Sądzie. Mój klient nigdy nie był karany i nigdy dotąd go nie aresztowano.

Sędzia spojrzał na niego znad okularów i spokojnie odparł:

- Panie mecenasie, mam głęboką nadzieję, że przeszkadza pan w rozprawie pierwszy i ostatni raz. Proponuję, żeby pan usiadł. Kiedy sąd zechce pana wysłuchać, na pewno się pan o tym dowie. - Lodowate słowa, słowa niemal zjadliwe: zastanawiałem się, ile razy tych dwóch się ze sobą starło.

Ale Wilbanka nic nie ruszało; skórę miał grubą jak nosorożec.

Potem Childers dał nam lekcję historii. Otóż przed jedenastoma laty Geralda Padgitta oskarżono o kradzież samochodów w Tupelo. Minał rok, zanim znaleziono dwóch funkcjonariuszy z biura szeryfa, którzy zechcieli wejść na wyspę z nakazem aresztowania, i chociaż przeżyli, misja spaliła na panewce. Gerald albo uciekł z kraju, albo ukrył się gdzieś na wyspie.

- Gdziekolwiek ten człowiek jest - mówił Childers - nikt go jak dotąd nie aresztował ani nawet nie odnalazł.

- Słyszałeś coś o tym Geraldzie? - spytałem Baggy'ego.

- nie.

- Wysoki Sądzie, jeśli oskarżony zostanie zwolniony za kaucją, nigdy go tu nie zobaczymy. To proste.  
- Childers usiadł.

- Proszę, panie mecenasie - powiedział Loopus.

Wilbanks powoli wstał i machnął ręką w stronę Childersa.

- Pan prokurator jak zwykle wszystko pomylił - zaczął przyjaźnie. - To nie Geraldowi Padgittowi postawiono te wszystkie zarzuty. To nie jego reprezentuję i nic mnie nie obchodzi, co się z nim teraz dzieje. Mam to gdzieś.

- Proszę uważać na język, panie mecenasie - ostrzegł go Loopus.

- To nie jego mamy osadzić. Sąd ma osądzić Danny'ego Padgitta, młodego człowieka bez żadnej przeszłości kryminalnej.

- Czy pański klient posiada jakieś nieruchomości w tym hrabstwie? - spytał Loopus.

- nie, Wysoki Sądzie. Ma dopiero dwadzieścia cztery lata.

- W takim razie przejdźmy do sedna, panie mecenasie. Wiem, że jego rodzina ma dużo ziemi. Kaucję wyznaczę tylko pod warunkiem, że cała ta ziemia posłuży jako gwarancja jego stawiennictwa w sądzie.

- To oburzające! - warknął Wilbanks.

- Tak samo jak zbrodnia, o jaką jest oskarżony.

Wilbanks rzucił notatnik na stół.

- Poproszę o pięć minut. Muszę naradzić się z rodziną klienta.

Między Padgittami wybuchło poruszenie. Skupili się przy stole obrony i od samego początku było widać, że dzieli ich zasadnicza różnica zdań. Niemal z rozbawieniem patrzyliśmy, jak ci bogaci kanciarze i oszuści kręcą głową i wściekają się na siebie. Rodzinne kłótnie są szybkie i zajadłe, zwłaszcza kiedy chodzi o pieniądze, i wyglądało na to, że każdy z obecnych w sali Padgittów ma inny pogląd na tę sprawę. Łatwo można było sobie wyobrazić, co się działo, kiedy dzielili łupy.

Lucien wyczuł, że zawarcie jakiegokolwiek porozumienia jest mało prawdopodobne i żeby uniknąć wstydu, zwrócił się do sądu z oświadczeniem.

- To niemożliwe, Wysoki Sądzie. Ziemia państwa Padgittów należy co najmniej do czterdziestu osób, z których większości tu nie ma. Żądanie Wysokiego Sądu jest arbitralne i bardzo uciążliwe.

- Dam państwu kilka dni na dojście do porozumienia - odparł Loopus, wyraźnie delektując się ich niezręczną sytuacją.

- nie, Wysoki Sądzie, to niesprawiedliwe. Mój klient ma prawo do rozsądnej kaucji, tak samo jak wszyscy oskarżeni.

- W takim razie oddalam wniosek do rozprawy wstępnej.
- Rezygnujemy z rozprawy wstępnej.
- Jak pan sobie życzy - odrzekł Loopus, zapisując coś w notatniku.
- Poza tym żądamy, żeby sprawa została jak najszybciej przedstawiona wielkiej ławie przysięgłych.
- Na pewno zostanie, w swoim czasie, jak wszystkie inne sprawy.
- Wspominam o tym, ponieważ zamierzamy złożyć wniosek o zmianę właściwości terytorialnej sądu, i to jak najszybciej. - Lucien powiedział to bardzo odważnie, jakby uznał, że nie ma to jak poruszające oświadczenie.
- Trochę na to za wcześnie, nie uważa pan? - spytał Loopus.
- W tym okręgu mój klient nie może liczyć na sprawiedliwy proces. - Wilbanks potoczył wzrokiem po sali, niemal ignorując sędziego, chociaż ten wykazał chwilowe zainteresowanie jego słowami. - Próbuje się tu oskarżyć, osądzić i skazać mojego klienta, zanim będzie miał szansę się obronić, dlatego uważam, że Wysoki Sąd powinien natychmiast zainterweniować i wydać zakaz dyskutowania o sprawie w prasie. A niektórych tu obecnych przydałoby się zakneblować!

Jedynym, którego warto by zakneblować, był w tej sali on sam.

- Do czego pan zmierza, panie mecenasie? - spytał Loopus.

- Czy Wysoki Sąd czytał tutejszą gazetę?

- Ostatnio nie.

Wszyscy zebrani spojrzeli na mnie i serce znowu przestało mi bić. Wilbanks łypnął spode łba.

- Artykuły na pierwszej stronie, krwawe zdjęcia, anonimowe źródła, pół prawdy i aluzje. Jest tego tyle, że wystarczyłoby do skazania każdego niewinnego człowieka!

Baggy odsunął się ode mnie jeszcze dalej i zostałem zupełnie sam. Wilbanks przemaszerował przez salę i rzucił gazetę na stół sędziego.

- Proszę na to spojrzeć - warknął.

Loopus poprawił okulary, podniósł wyżej gazetę i zapadł się w skórzany fotel. Zaczął czytać i najwyraźniej mu się nie spieszyło.

Czytał powoli, czytał i czytał. Po jakimś czasie moje serce ponownie ruszyło i zaczęło bić z furją

młota pneumatycznego. Kark i kołnierzyk miałem mokre od potu. Loopus skończył

czytać pierwszą stronę i powoli przewrócił kartkę. W sali panowała martwa cisza. Każę mnie zamknąć? Tak od razu? Da znak woźnemu, żeby zakuł mnie w kajdanki i zawlókł do celi? nie byłem prawnikiem. Człowiek, który bez wątpienia złożył setki pozwów, zagroził mi przed chwilą pozwem o odszkodowanie w wysokości miliona dolarów, sędzia właśnie czytał mój drastyczny artykuł, a całe miasto czekało na jego wyrok.

Ponieważ przeszywało mnie wzrokiem tylu ludzi, doszedłem do wniosku, że łatwiej to zniosę, pisząc coś w notatniku, więc pisałem, chociaż za nic nie mogłem tego rozczytać. Ze wszystkich sił próbowałem zachować twarz. Tak naprawdę miałem ochotę uciec stamtąd na złamanie karku i popędzić z powrotem do Missouri.

Zaszeleścił papier i Wysoki Sąd wreszcie skończył. Nachylił się lekko do mikrofonu i to, co powiedział, momentalnie wyniosło mnie na piedestał.

- Bardzo dobrze napisane. Wciągające, może trochę makabryczne, ale nie ma tu niczego niezgodnego z prawem.

Wciąż skrobałem w notatniku, jakbym tego nie usłyszał. W tej nagłej, zupełnie nieprzewidzianej i dość przerażającej utarczce zwyciężyłem i Padgittów, i Luciena Wilbanksa.

- Moje gratulacje - szepnął Baggy.

Loopus złożył gazetę i pozwolił Wilbanksowi na kilkuminutową tyradę na temat przecieków z policji, przecieków z prokuratury, groźby przecieków z sali narad ławy przysięgłych, słowem - działań koordynowanych w jakiś sposób przez nieznanych spiskowców, którzy postawili sobie za cel zniszczenie jego klienta. Tymczasem tak naprawdę Wilbanks grał pod Padgittów. Nie udało mu się wywalczyć kaucji, więc musiał im zaimponować gorliwością.

Jak mieliśmy się niebawem przekonać, jego wystąpienie było jedynie zasłoną dymną.

Wilbanks nie miał najmniejszego zamiaru występować o zmianę właściwości terytorialnej sądu.

## **ROZDZIAŁ 6**

Wraz z „Timesem” kupiłem zabytkowy budynek redakcji. Stał na południowej stronie rynku, ściana w ścianę z trzema innymi zbudowanymi w pośpiechu domami. Długi i wąski, miał dwa piętra i piwnicę, której bali się i od której stronili wszyscy pracownicy. Od frontu było kilka pomieszczeń biurowych. We wszystkich leżała poplamiona i przetarta wykładzina, we wszystkich farba obłaziła ze ścian, we wszystkich cuchnęło dymem fajkowym z minionego stulecia, który swego czasu musiał buchać tu aż pod sufit.

Na zapleczu, najdalej, jak się dało, była drukarnia. Co wtorek nasz drukarz Hardy przychodził tu, jakimś cudem przywracał starą prasę do życia i zmuszał ją do wydrukowania kolejnego nakładu. Zawsze zalatywało tam ostrym zapachem farby drukarskiej.



Stojąc przed oknem od frontu i patrząc przez brudne szyby, na których przed laty wymalowano napis TIMES, można było zobaczyć gmach sądu okręgowego i strzegący go brązowy posąg konfederackiego wartownika. Na tablicy u jego stóp wyryto listę nazwisk miejscowych chłopców, którzy polegli w wojnie secesyjnej, w większości w bitwie pod Shiloh.

Wartownika widać było również z mojego gabinetu na piętrze. Tu też pod ścianami stały półki zapchane prywatnymi książkami Plamy, jego eklektycznym księgozbiorem, równie zaniedbanym, jak ten na dole. Miały upłynąć lata, zanim je stamtąd wyniosłem.

Gabinet był przestronny, zagracony, pełen niepotrzebnych rzeczy, bezwartościowych akt i podrobionych portretów konfederackich generałów. Uwielbiałem go. Odchodząc, Plama nie zabrał stamtąd dosłownie niczego - minęło kilka miesięcy i wciąż nikt się po nic nie zgłaszał. Dlatego wszystko leżało jak niegdyś, zaniedbane, zapomniane i nietknięte, powoli przechodząc na moją własność. Jego rzeczy osobiste - listy, wyciągi bankowe, notatki, pocztówki - zapakowałem do kartonów, a kartony zaniósłem do jednego z wielu nieużywanych pomieszczeń w korytarzu, gdzie stały, zbierając kurz.

W gabinecie było dwoje oszklonych drzwi. Wychodziły na mały balkon z balustradą z kutego żelaza, gdzie miejsca wystarczyło tylko dla czterech osób, które siedząc w wiklinowych fotelach, mogły pogapić się na rynek. Nie było tam na co patrzeć, ale to miły sposób na zabicie czasu, zwłaszcza ze szklaneczką czegoś mocniejszego w ręku.

Baggy nigdy kielicha nie odmawiał. Po kolacji kupił butelkę bourbona i zajęliśmy pozycje w fotelach. Miasto wciąż plotkowało o rozprawie. Jeszcze przed kilkoma godzinami powszechnie zakładano, że Danny Padgitt wyjdzie z aresztu, gdy tylko Wilbanks i Coley załatwią, co trzeba. Obiecują coś komuś, dadzą komuś w łapę albo szeryf osobiście zagwarantuje, że Padgitt stawi się na rozprawie. Ale sędzia Loopus miał inne plany.

Żona Baggy'ego była pielęgniarką. Pracowała na nocną zmianę na oddziale urazowym miejscowego szpitala. On pracował w dzień, jeśli tylko jego leniwą obserwację miasta można było nazwać pracą. Rzadko kiedy się widywali, co wychodziło im na dobre, bo nieustannie się kłócili. Ich dorosłe dzieci uciekły z Clanton, nie chcąc brać udziału w małej wojnie rodziców. Po paru szklaneczkach Baggy zawsze zaczynał od ciętych uwag na temat żony.

Miał pięćdziesiąt dwa lata, wyglądał co najmniej na siedemdziesiąt i podejrzewałem, że alkohol był główną przyczyną tego, że tak szybko się starzał i wszczynał domowe awantury.

- Skopaliśmy im tyłek - powiedział z dumą. - Nigdy dotąd nie oczyszczono nikogo zarzutów tak jednoznacznie. I to w sądzie, podczas jawnej rozprawy.

- Zakaz publikacji? - spytałem. - Sąd może go wydać? - Byłem tylko niedoinformowanym żółtodziobem i wszyscy o tym wiedzieli. Nie było sensu udawać, że wiem coś, czego nie wiedziałem.

- Nasz nigdy nie wydał. Ale słyszałem, że może, kiedy sędzia chce uciszyć adwokatów i strony.

- Gazet to nie dotyczy, tak?

- A w życiu! Wilbanks się popisywał. Ten facet jest członkiem Amerykańskiej Unii Swobód Obywatelskich, jako jedyny w hrabstwie. Dobrze wie, co jest w Pierwszej Poprawce.

Nie ma mowy, żeby jakikolwiek sąd zakazał gazecie publikowania artykułu. Miał zły dzień.

Jego klient siedzi w pudle, więc dał w sądzie show. Klasyczna zagrywka. Uczą ich tego na studiach.

- To znaczy, że nas nie pozwą?

- Za nic w świecie. Po pierwsze, nie mają podstaw. Nikogo nie oczerniliśmy, nikogo nie zniesławiliśmy. Jasne, trochę nas poniosło, ale to betka, zresztą prawdopodobnie napisaliśmy prawdę. Po drugie, nawet gdyby Wilbanks miał jakieś podstawy, musiałby złożyć pozew tutaj, w naszym hrabstwie. Rozprawa toczyłaby się w tym samym sądzie, w tej samej sali, przed tym samym sędzią. Przed Reedem Loopusem, który przeczytał dzisiaj nasz artykuł

i oznajmił wszem wobec, że wszystko gra. Pozew został odrzucony, zanim pan mecenas zdążył napisać pierwsze słowo. Genialne.

Ale ja nie czułem się jak geniusz. Ciągle myślałem o tym milonie i zastanawiałem się, skąd mógłbym wytrzasnąć tyle pieniędzy. Bourbon w końcu dotarł, gdzie trzeba i trochę mi przeszło. Czwartkowy wieczór - rynek opustoszał. Wszystkie sklepy i biura były zamknięte na cztery spusty.

Baggy'emu przeszło już dawno temu. Według Margaret, często pijał bourbona na śniadanie. On i jedenonogi adwokat Major lubili zaprawiać kawę whisky. Spotykali się na balkonie w biurze Majora po drugiej stronie rynku i podczas gdy gmach sądu powoli budził

się do życia, oni pili, gadając o prawie i polityce. Major stracił nogę na Guadalcanal, według jego własnej wersji II wojny światowej. Praktykując prawo, wyspecjalizował się do tego stopnia, że nie robił już nic poza spisywaniem testamentów. Spisywał je osobiście, nie potrzebował sekretarki. Pracował równie ciężko, jak Baggy i często widywano ich w sali rozpraw, gdzie mocno wstawieni śledzili proces po procesie.

- Mackey Don dał chłopakowi apartament. - Baggy zaczynał już bełkotać.

- Apartament?

- Tak. Byłeś w areszcie?

- nie.

- Psa byś tam nie wsadził. Duchota, brak ogrzewania, kanalizacja raz działa, raz nie.

Warunki paskudne. Ohydne żarcie. I to wszystko dla białych. Czarni siedzą na drugim końcu, w kiszkowatej celi. Zamiast kibla mają dziurę w podłodze.

- Chyba to sobie odpuszczę.

- To wstyd, ale, co smutne, w tym hrabstwie jest tak prawie wszędzie. Ale mają tam małą celę z klimatyzacją, wykładziną na podłodze, z czystym łóżkiem, kolorowym telewizorem i dobrym jedzeniem. Nazywają ją apartamentem i Mackey Don przydzielają swoim ulubieńcom.

Zapisywałem to wszystko w myśli. Dla Baggy'ego była to normalka, ale właściciel gazety, który chodził do college'u i studiował dziennikarstwo, czyli ja, układał już w głowie plan demaskatorskiego artykułu.

- I myślisz, że Padgitt tam siedzi?

- Prawdopodobnie. Przyszedł do sądu w swoich ciuchach.

- A w czym miał przyjść?

- W pomarańczowym kombinezonie. Wszyscy tam takie noszą. Nie widziałeś?

Owszem, widziałem. Byłem raz w sądzie, miesiąc wcześniej, i nagle przypomniał mi się widok dwóch czy trzech oskarżonych, którzy siedzieli w sali i czekali na sędziego w wypłowiałych pomarańczowych kombinezonach z napisem ARESZT HRABSTWA FORD

na piersi i plecach.

Baggy pociągnął łyk bourbona i wyłożył swoją teorię.

- Widzisz, bo to jest tak. Oskarżony przebywający w areszcie zawsze przychodzi na wstępną ubrany jak aresztant. Dawniej Mackey Don kazał im wkładać te kombinezony na każdą rozprawę. Wilbanks wywalczył raz uchylene wyroku, twierdząc, że skazując jego klienta, przysięgli ulegli sugestii, bo w kombinezonie klient robił wrażenie winnego jak jasna cholera. I miał rację. Trudno przekonać kogoś, że jesteś niewinny, skoro masz na sobie więzienne łachy i nosisz gumowe klapki.

I znowu zadziwiło mnie zacofanie naszego stanu. Oczami wyobraźni ujrzałem oskarżonego, zwłaszcza Murzyna, który oczekując sprawiedliwego procesu, staje przed ławą przysięgłych w stroju zaprojektowanym tak, żeby rzucił się w oczy z kilometra. „Wojna wciąż trwa!” - w hrabstwie Ford słyszałem to hasło wiele razy. Panował tu frustrujący opór przed wszelkiego rodzaju zmianami, a już szczególnie w wymiarze sprawiedliwości.

Koło południa poszedłem do aresztu, żeby poszukać szeryfa Coleya. Chciałem mu niby zadać kilka pytań na temat śledztwa, ale tak naprawdę polowałem na aresztantów.

Sekretarka powiedziała mi, dość niegrzecznie zresztą, że szeryf jest na jakimś spotkaniu, co bardzo mi odpowiadało.

Dwaj aresztanci sprząтали biuro, to od frontu. Dwóch innych pielilo klomb pod oknem.

Obszedłem budynek i na podwórzu zobaczyłem małe boisko do kosza. Pod małym, cienistym dębem snuło się kolejnych sześciu. W oknie po lewej stronie stało trzech innych. Patrzyli na mnie zza krat.

W sumie trzynastu. Trzynaście pomarańczowych kombinezonów.

Pogadałem na ten temat z siostrzeńcem Wileya. Początkowo nie chciał nic powiedzieć, ale głęboko nienawidził szeryfa i uznał, że można mi zaufać. Potwierdził

podejrzenia Baggy'ego: Danny Padgitt wiodł wygodne życie w klimatyzowanej celi. Jadł, kiedy chciał, ubierał się, jak chciał, grał w warcaby z samym szeryfem i przez cały dzień telefonował.

Kolejne wydanie „Timesa” utrwaliło moją reputację ostro szarżującego, nieustraszonego dwudziestotrzyletniego głupca. Na pierwszej stronie widniało olbrzymie zdjęcie Danny'ego Padgitta, którego wprowadzano na salę rozpraw. Był skuty i miał na sobie zwykłe ubranie; posyłał naszemu fotografowi jedno ze swoich ulubionych spojrzeń z cyklu

„Idź do diabła”. Tuż nad zdjęciem dałem potężny nagłówek: DANNY PADGITT NIE

WYJDZIE ZA KAUCJĄ. Artykuł był długi i szczegółowy.

Obok zamieściłem inny, równie długi i o wiele bardziej skandalizujący. Powołując się na anonimowe źródła, opisałem warunki, w jakich przebywa aresztant Danny Padgitt.

Wymieniłem wszystkie wygody, z jakich dano mu korzystać, łącznie z tym, że szeryf Coley osobiście grywa z nim w warcaby. Napisałem o jedzeniu, o diecie, o kolorowym telewizorze, o nieograniczonym dostępie do telefonu. O wszystkim, co zdołałem zweryfikować. A potem porównałem to z warunkami, w jakich żyło pozostałych dwudziestu jeden aresztantów.

Na drugiej stronie dałem czarno - białe zdjęcie czterech oskarżonych, których wprowadzano do sądu. Każdy był oczywiście w kombinezonie. Każdy był w kajdankach i każdy miał potargane włosy. Twarze zamazałem, żeby zaoszczędzić im wstydu. Ich sprawy już dawno zamknięto.

Tuż obok zamieściłem kolejne zdjęcie Danny'ego Padgitta. On też wchodził do sądu, z tym że gdyby nie kajdanki, równie dobrze mógłby iść na jakąś imprezę. Kontrast był

porażający. Szeryf Coley wyraźnie chłopaka rozpieszczał i jak dotąd nie raczył ze mną na ten temat porozmawiać. Wielki błąd.

W artykule dokładnie opisałem, jak to próbowałem się z nim skontaktować.

Dzwoniłem, a on nie oddzwaniał. Dwa razy byłem w areszcie, a on nie chciał się ze mną widzieć. Zostawiłem mu listę pytań, a on je zignorował. Odmalowałem obraz młodego, agresywnego reportera, poszukiwacza prawdy, którego wybrany przez społeczeństwo urzędnik odpycha i trzyma na dystans.

Ponieważ Lucien Wilbanks był jednym z najmniej popularnych mieszkańców Clanton, jego też włączyłem w tę aferę. Szybko się nauczyłem, że telefon znakomicie wyrównuje szansę, więc zadzwoniłem do niego cztery razy, zanim raczył oddzwonić. Nie chciał

rozmawiać o swoim kliencie i ciężących na nim zarzutach, ale gdy nie ustąpiłem i zacząłem

wypytywać go o warunki, jakie zapewniono mu w areszcie, nie wytrzymał i wybuchnął.

- To nie ja prowadzę areszt, synu! - Niemal widziałem, jak łypie na mnie spode łba swoimi czerwonymi ślepiami. Oczywiście zacytowałem go, a jakże.

- Czy rozmawiał pan z nim w areszcie?

- Naturalnie.

- W co był ubrany?

- nie ma pan lepszego tematu?

- nie, panie mecenasie. W co był ubrany?

- Nagi na pewno nie był.

To też był świetny cytat, więc wyeksponowałem go tłustym drukiem w doklejsze.

Po tamtej stronie barykady stał gwałciciel i morderca, skorumpowany szeryf i świetny adwokat, po tej zaś stałem samotnie ja, dlatego zdawałem sobie sprawę, że mogę tę walkę przegrać. Odpowiedź na artykuły była zdumiewająca. Baggy i Wiley donieśli mi, że w kafejkach aż huczy, że wszyscy podziwiają młodego, odważnego redaktora, czyli mnie.

Padgittów i Wilbanksa nikt tu nigdy nie lubił. Teraz nadeszła pora pozbyć się Coleya.

Margaret powiedziała, że nie nadąza odbierać telefonów od czytelników rozwścieczonych łagodnym traktowaniem Danny'ego. Siostrzeniec Wileya doniósł, że w areszcie panuje chaos i że Mackey Don prowadzi wojnę ze wszystkimi ludźmi szeryfa.

Rozpieszczał mordercę, a w 1971 roku miały być wybory. Ludzie wpadli w gniew i stróże prawa mogli stracić pracę.

Te dwa tygodnie zadecydowały o przetrwaniu „Timesa”. Dzięki dobremu zgraniu w czasie, głupiemu szczęściu i odwadze dałem czytelnikom to, czego chcieli. Gazeta nagle ożyła. Była siłą. Ufano jej. Ludzie żądali, żeby donosiła o wszystkim bez strachu i w szczegółach.

Baggy i Margaret powiedzieli mi, że Plama nigdy nie opublikowałby takich zdjęć i nie zadarłby z szeryfem. Mimo to ciągle byli zalęknieni i mój tupet chyba ich nie ośmielił.

„Times” był i miał pozostać teatrem jednego aktora z dość słabą obsadą wspomagającą.

Ale mnie mało to obchodziło. Pisałem prawdę i miałem gdzieś konsekwencje. Byłem miejscowym bohaterem. Subskrypcja podskoczyła do prawie trzech tysięcy. Podwoiła się liczba ogłoszeń. Nie tylko świeciłem jak gwiazda na firmamencie, ale i tłukłem szmal.

## **ROZDZIAŁ 7**

Bomba była dość prymitywnym urządzeniem zapalającym i gdyby wybuchła, ogień błyskawicznie zająłby naszą drukarnię. Tam podsyciłyby go różne chemikalia oraz pięćset litrów farby drukarskiej, tak że szybko rozprzestrzeniłyby się na pozostałe pomieszczenia. Nie mieliśmy ani zraszaczy, ani czujników dymu, więc wystarczyłoby kilka minut i kto wie, co ocalałoby z parteru i piętra. Pewnie niewiele. Gdyby bombę odpalono w czwartek rano, bardzo prawdopodobne, że ogień strawiłby wszystkie cztery domy w naszym rządzie.

Wciąż cała i nienaruszona, leżała złowieszczo obok sterty starych gazet w drukarni, gdzie znalazł ją miejscowy przyglup. A raczej jeden z przyglupów. W Clanton mieszkało ich sporo.

Miał na imię Tłok i kupiłem go wraz z redakcją, starodawną prasą drukarską oraz z nietkniętymi księgozbiorami na parterze i na piętrze. Nie był oficjalnie zatrudniony, mimo to przychodził w każdy piątek po pięćdziesiąt dolarów w gotówce. Żadnych tam czeków. Za te pięć dych czasem zamiatał podłogę, jeszcze rzadziej grabił ziemię pod oknami od frontu, a kiedy ktoś zaczynał narzekać, wynosił śmieci. Nie przestrzegał godzin pracy, przychodził i wychodził, kiedy chciał, nigdy nie pukał do drzwi, za którymi odbywało się spotkanie czy narada, lubił od nas dzwonić i pić naszą kawę, i chociaż wyglądał dość upiornie - szeroko rozstawione oczy, grube okulary, wielka, naciągnięta na czoło szoferska czapka, wystrzępiona broda, szkaradne wystające zęby - był zupełnie niegroźny. Świadczył usługi w kilku instytucjach przy rynku i jakoś sobie radził. Nie mieliśmy pojęcia, gdzie i z kim mieszka ani co właściwie robi w mieście. Im mniej o nim wiedzieliśmy, tym lepiej.

W czwartek przyszedł wcześniej - od lat miał własny klucz - usłyszał tykanie.

Rozejrzał się uważnie i zobaczył trzy dwudziestolitrowe plastikowe kanistry połączone przewodami ze stojącą tuż obok drewnianą skrzynką. Tykanie dochodziło ze skrzynki. Tłok bywał w drukarni od lat, a we wtorki wieczorem czasami pomagał Hardy'emu układać papier.

Ciekawość, a zaraz potem panika: tak zareagowałyby większość ludzi, ale w przypadku Tłoka trochę to trwało. Dźgnąwszy czymś kanistry, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście jest w nich benzyna, i ustaliwszy, że są mocno obwiązane groźnie wyglądającymi kablami, poszedł do sekretariatu i zadzwonił do Hardy'ego. Powiedział, że toto tyka coraz głośniejsze.

Hardy zadzwonił na policję i koło dziewiątej obudzono mnie tą miłą wiadomością.

Zanim przyjechałem na miejsce, ewakuowano już prawie cały rynek. Tłok siedział na masce samochodu, wstrząśnięty - dopiero teraz - że mało brakowało, a wyleciałby w powietrze. Zajmowali się nim jacyś znajomi oraz kierowca karetki pogotowia i wyraźnie się z tego cieszył.

Zanim policja zabrała kanistry i ustawiła je bezpiecznie w zaułku za redakcją, Wiley Meek sfotografował bombę.

- Pół rynku wyleciałoby w powietrze - zawyrokował, jak na laika przystało i zaczął nerwowo biegać wokoło, utrwalając panujące w mieście poruszenie do przyszłego wykorzystania.

Naczelnik policji wyjaśnił mi, że teren wokół czterech budynków jest zamknięty, bo nie otwarto

jeszcze drewnianej skrzynki i to coś wciąż tam tyka.

- Może wybuchnąć - dodał ponuro, jakby on pierwszy zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Wątpiłem, czy zna się na bombach, ale go posłuchałem. Wysłali już do nas kogoś ze stanowego laboratorium kryminalistycznego. Postanowiono, że dopóki eksperci nie skończą swego, do redakcji i do trzech sąsiadujących z nią domów nikt nie wejdzie.

Bomba w Clanton! Wiadomość rozniosła się tak szybko, jak rozprzestrzeniłby się ogień. Wszyscy przestali pracować. Pusto zrobiło się w urzędach, w bankach, w sklepach i barach, i już niebawem po drugiej stronie rynku, pod wielkimi dębami przed sądem, a więc w bezpiecznej odległości, stały grupy gapiów. Patrzyli na nasz budynek, wyraźnie zmartwieni i przerażeni, ale i podnieceni. Nigdy dotąd nie widzieli wybuchu bomby.

Do policjantów dołączyli ludzie szeryfa i wkrótce widać tam było mundurowych wszelkiej maści, a wszyscy kłębili się beładnie na chodnikach, nie robiąc absolutnie nic.

Szeryf Coley i naczelnik odbyli krótką naradę, popatrzyli na tłum po drugiej stronie rynku, wydali szczerliwie jakieś rozkazy, jeden tym, drugi tamtym, ale nawet jeśli ktoś tych rozkazów usłuchał, nie było tego widać. Widać było za to aż za wyraźnie, że nikt w mieście ani w hrabstwie nie ćwiczył nigdy próbných alarmów bombowych.

Baggy musiał się napić. Dla mnie było za wcześnie. Obeszliśmy gmach sądu, wąskimi schodami, których nigdy dotąd nie widziałem, weszliśmy na górę, ciasnym korytarzem doszliśmy do kolejnych schodów i pokonawszy dwadzieścia stopni, znaleźliśmy się w małym, brudnym, niskim pokoju.

- Kiedyś naradzali się tu przysięgli - powiedział Baggy. - Potem była tu biblioteka prawnicza.

- A teraz? - spytałem, bojąc się odpowiedzi.

- Teraz jest bar. Bar. Chwytasz? Adwokaci? Wódencja?

- Chwytam. - Był tam karciany stolik ze składanymi nogami; jego wygląd wskazywał

na lata intensywnego wykorzystywania. Było też sześć krzeseł, bynajmniej nie od kompletu, tylko takich używanych, które wędrowały pewnie z biura do biura, by wreszcie trafić do tego obskurnego pokoiku.

W kącie stała zamknięta na kłódkę lodówka. Baggy miał oczywiście klucz i znalazł w środku butelkę bourbona. Wziął papierowy kubek, nalał prawie do pełna i rzucił:

- Weź krzesło. - Przystawiliśmy krzesła do okna i na dole zobaczyliśmy rynek, z którego przed chwilą wyszliśmy. - Niezły widok, he? - spytał z dumą.

- Często tu przychodzicie?

- Dwa razy w tygodniu, czasem częściej. W każdy wtorek i czwartek w południe gramy tu w pokera.

- Kto jest w waszym klubie?

- To tajne stowarzyszenie. - Baggy pociągnął łyk i cmoknął, jakby przez miesiąc siedział na pustyni. Z wiszącej nad oknem gęstej pajęczyny schodził pająk. Na parapecie leżała gruba warstwa kurzu. - Chyba wychodzą z wprawy - powiedział, patrząc na podekscytowany tłum.

- Kto? - Tej odpowiedzi też się bałem.

- Padgittowie - odparł z niejakim samozadowoleniem, tak żeby słowo to zawisło w powietrzu i żebym mógł je przetrwać.

- Jesteś pewny, że to oni?

Baggy uważał, że wie wszystko, i w pięciu przypadkach na dziesięć rzeczywiście wiedział. Uśmiechnął się pogardliwie, chrząknął i pociągnął łyk bourbona.

- Podpalają od niepamiętnych czasów. To jedna z ich sztuczek: oszustwo ubezpieczeniowe. Zbili na tym fortunę, cholera. - Szybki łyżeczek. - Ale dziwne, że użyli benzyny. Bardziej utalentowani podpalacze trzymają się od niej z daleka, bo łatwo ją wykryć, wiesz?

- nie.

- Naprawdę. Strażak wyczuje ją kilka minut po ugaszeniu ognia. Benzyna znaczy podpalenie. A jak podpalenie, to nici z odszkodowania. Logiczne, nie?

W tamtej chwili nic nie było dla mnie logiczne. Byłem za bardzo skołowany, żeby cokolwiek powiedzieć. Ale Baggy chętnie mówił za mnie.

- Jeśli się dobrze zastanowić, pewnie dlatego jej nie odpalili. Chcieli, żebyś ją zobaczył. Gdyby wybuchła, hrabstwo straciłoby „Timesa” i nie którzy mogliby się wkurzyć.

A inni by się ucieszyli.

- Wielkie dzięki.

- Tak czy inaczej, takie wyjaśnienie jest lepsze. To była subtelna próba zastraszenia.

- Subtelna?

- Tak, w porównaniu z tym, co mogliby zrobić. Wierz mi, ci faceci znają się na podpalaniu. Miałeś fart.

Zauważyłem, jak szybko odciął się od gazety. „Miałeś fart” - ja, nie my. Bourbon dotarł wreszcie do mózgu i rozwiązał mu język.

- Trzy, może cztery lata temu w jednym z ich tartaków, tym przy szosie 401 na skraju wyspy, wybuchł pożar. Na wyspie nigdy niczego nie podpalają, bo nie chcą, żeby weszła tam policja. Tak czy



inaczej, ponieważ ci z ubezpieczeń wyczuli pismo nosem i nie chcieli płacić, Wilbanks pozwał ich do sądu, żądając wysokiego odszkodowania. Doszło do procesu przed Reedem Loopusem. Byłem tam i słyszałem każde słowo. - Z ukontentowaniem pociągnął łyk bourbona.

- I kto wygrał?

Całkowicie mnie zignorował, bo tło opowieści nie było jeszcze odpowiednio zarysowane.

- To był wielki pożar. Nasi chłopcy pojechali tam wszystkimi wozami.

Ochotnicy z Karaway też, każdy chłopiec, który miał pod ręką jakąś syrenę, popędził

na Wyspę Padgittów. Nie ma to jak dobry pożar, nic ich tak nie rusza. Pożar i bomba, ale nie pamiętam, żebyśmy mieli tu kiedyś bombę.

- No i...?

- W pobliżu wyspy szosa 401 biegnie niziną; pełno tam bagien i trzęsawisk. Nad Massey Creek jest most i kiedy strażacy tam dojechali, zobaczyli, że na moście leży pikap, tak na boku, jakby się przewrócił. Szosa była zablokowana; nie mogli pojechać naokoło, bo wszędzie tam bagna i kanały irygacyjne. - Baggey cmoknął i dolał sobie bourbona. Nadeszła pora, że bym coś powiedział, ale ewentualny komentarz zostałby kompletnie zignorowany.

Milczenie było dla niego najlepszą zachętą do mówienia.

- Czyj to był pikap? - Ledwie to powiedziałem, a on już pokręcił głową, jakby pytanie było zupełnie chybione.

- Pożar szalał. Wozy strażackie zawróciły, bo jakiś kretyn zablokował most przewróconym pikapem. Kierowcy nigdy nie znaleziono. Właściciela też nie, bo nie było tablic rejestracyjnych. Numer silnika i nadwozia spiłowano. Nikt się po ten wóz nie zgłosił. A był prawie nieuszkodzony. Wszystko to wyszło na procesie. Ludzie wiedzieli, że Padgittowie podłożyli ogień i zablokowali most skradzionym wozem, ale towarzystwo ubezpieczeniowe nie mogło im tego udowodnić.

Szeryf Coley znalazł swoją tubę. Prosił gapiów, żeby nie podchodzili do budynku redakcji. Jego piskliwy głos jeszcze bardziej zaognił sytuację.

- Ale udowodniło czy nie? - spytałem, żeby już wreszcie skończył.

- Niesamowity proces. Trwał trzy dni. Wilbanks potrafi zwykle wejść w układ z dwoma, trzema przysięgłymi. Robi to od lat i nigdy go nie przyłapano. Poza tym wszystkich tu zna. Ci od ubezpieczeń byli z Jackson i nie mieli pojęcia, co jest grane. Przysięgli naradzali się dwie godziny i wrócili z werdyktem: sto tysięcy dolarów odszkodowania, a na dokładkę milion nawiązki.

- Milion dolarów? Jedyńka i sześć zer?

- Otóż to. Pierwszy milionowy werdykt w hrabstwie Ford. Utrzymał się rok, dopóki Sąd Najwyższy

nie obciążał nawiązki.

Świadomość, że Wilbanks ma aż takie wpływy wśród przysięgłych, nie była pocieszająca. Baggy zapomniał na chwilę o bourbonie; patrzył na coś za oknem.

- To zły znak, synu - powiedział w końcu. - Bardzo zły znak.

Byłem jego szefem i nie podobało mi się, że mówi mi per synu, ale puściłem to mimo uszu. Miałem na głowie ważniejsze sprawy.

- To zastraszenie?

- Tak. Padgittowie rzadko kiedy opuszczają wyspę. To, że wyruszyli z tym przedstawieniem w trasę, znaczy, że są gotowi do wojny. Jeśli uda im się zastraszyć gazetę, spróbują z przysięgłymi. Szeryfa mają już w kieszeni.

- Ale Wilbanks powiedział, że zażądają zmiany właściwości terytorialnej sądu.

Baggey prychnął i przypomniał sobie o bourbonie.

- nie wierz w to, synu.

- Mam na imię Willie. - Dziwne, jak bardzo do tego imienia przywykłem.

- nie wierz w to, Willie. Ten chłopak jest winny i jego jedyną szansą jest przekupienie albo zastraszenie przysięgłych. Stawiam dziesięć do jednego, że proces odbędzie się tutaj, w tym gmachu.

Po dwóch godzinach nadaremneho czekania na wywołany wybuchem wstrząs ziemi miasto zgłodniało. Ludzie zaczęli się rozchodzić, tłum zrzedniał. Ekspert z laboratorium kryminalistycznego w końcu przyjechał i od razu poszedł do drukarni. Mnie nie wpuścili, i dobrze.

Margaret, Wiley i ja zjedliśmy po kanapce w punkcie obserwacyjnym na trawniku przed sądem. Jedliśmy w milczeniu, potem trochę pogawędziliśmy, ani na chwilę nie odrywając oczu od budynku redakcji. Ten i ów nas zauważył i przystanął, żeby z zakłopotaniem zamienić kilka słów. Bo niby co mówi się ofiarom zamachu bombowego, kiedy bomba nie wybucha? Na szczęście mieszkańcy Clanton nie mieli w tym wprawy.

Odebraliśmy wyrazy sympatii i kilka ofert pomocy.

Podszedł do nas szeryf Coley i zdał nam wstępne sprawozdanie na temat naszej bomby. Zegarem był po prostu budzik, taki nakręcany, który można dostać w każdym sklepie.

Fachman z laboratorium już na pierwszy rzut oka stwierdził, że zawiodło okablowanie.

Bardzo amatorskie, jak powiedział.

- Jak poprowadzicie śledztwo? - spytałem ostrym tonem.

- Poszukamy odcisków palców, a potem świadków. Jak zwykle.

- Porozmawia pan z Padgittami? - spytałem jeszcze ostrzej. Słuchali moi pracownicy.

Chociaż byłem śmiertelnie przerażony, chciałem im zaimponować bezgranicznym heroizmem.

- Czyżby wiedział pan coś, czego ja nie wiem? - odparował Coley.

- Chyba ich pan podejrzewa, prawda?

- To teraz pan tu jest szeryfem?

- Są najbardziej doświadczonymi podpalaczami w okolicy, od lat bezkarnie wszystko podpalają. W zeszłym tygodniu ich adwokat groził mi w sądzie. Dwa razy zamieściliśmy na pierwszej stronie zdjęcie Danny'ego Padgitta. Jeśli nie oni są podejrzany, to kto?

- Śmiało, napisz o tym, synu, tak po nazwiskach. Wygląda na to, że bardzo chcesz, żeby ktoś cię pozwał.

- Ja zajmę się gazetą, a pan niech łapie przestępców.

Szeryf spojrzał na Margaret, dotknął róna kapelusza i odszedł.

- W przyszłym roku są wybory - powiedział Wiley, patrząc, jak Coley przystaje, żeby pogawędzić z dwiema kobietami przy poidełku. - Mam nadzieję, że będzie miał przeciwnika.

Próby zastraszenia nie ustawały, kosztem Wileya. Mieszkał dwa kilometry za miastem, na dwuhektarowej farmie, gdzie jego żona hodowała kaczki i arbuzy. Tego wieczoru, gdy zaparkowawszy na podjeździe, wysiadał z samochodu, z krzaków wyskoczyło dwóch zbirów. Ten większy powalił go na ziemię i kopnął w twarz, podczas gdy ten drugi poszperał na tylnym siedzeniu i znalazł tam aparaty fotograficzne. Wiley miał pięćdziesiąt osiem lat, ale służył kiedyś w piechocie morskiej i w całym tym zamieszaniu zdołał

kopniakiem przewrócić napastnika. Doszło do wymiany ciosów i gdy Wiley zaczął już zdobywać przewagę, drugi napastnik uderzył go w głowę aparatem, Wiley powiedział potem, że nic więcej nie pamięta.

Narobili takiego hałasu, że w końcu usłyszała ich żona Wileya. Znalazła go półprzytomnego na ziemi, obok roztrzaskanych aparatów. W domu przyłożyła mu do twarzy woreczki z lodem i ustaliła, że nie ma żadnych złamań. Byty piechociarz nie chciał iść do szpitala.

Przyjechał funkcjonariusz z biura szeryfa, żeby spisać protokół. Napastnicy tylko mignęli Wileyowi przed oczami i był pewien, że nigdy dotąd ich nie widział.

- Są już na wyspie - powiedział. - nie znajdziecie ich.

Żona się uparła i godzinę później zadzwonili do mnie ze szpitala. Widziałem go między

prześwietleniami. Miał pokiereszowaną twarz, ale zdołał się uśmiechnąć. Chwycił

mnie za rękę i przyciągnął bliżej.

- W przyszłym tygodniu na pierwszej stronie - wyseplenił, prawie nieporuszając rozciętymi wargami i spuchniętymi szczękami.

Kilka godzin później wyszedłem ze szpitala i pojechałem na długą przejażdżkę za miasto. Cały czas zerkałem w lusterko, na wpół oczekując, że zaraz nadciągnie horda Padgittów z plującymi ogniem strzelbami.

nie było to królestwo bezprawia, gdzie zorganizowane bandy napadają na praworządnych obywateli. Wprost przeciwnie, przestępstw było tu bardzo mało. Na korupcję patrzono niechętnym okiem. To ja miałem rację, nie oni, więc postanowiłem, że się nie ugnę, że prędzej piekło mnie pochłonie. I że kupię sobie pistolet. Cholera, przecież wszyscy mieli tu po dwa albo i po trzy. A jakby co, wynajmę ochroniarza. Im bliżej procesu, tym moja gazeta będzie odważniejsza.

## ROZDZIAŁ 8

„Times” zbankrutował i zanim osiągnąłem tak znaczącą pozycję w hrabstwie Ford, słyszałem fascynującą opowieść o jednej z tutejszych rodzin. Plama się nią nie zainteresował, bo musiałby zebrać trochę materiałów i pojechać za tory.

Teraz, kiedy byłem już właścicielem tygodnika, uznałem, że temat jest za dobry, żeby z niego zrezygnować.

W Lowtown, dzielnicy kolorowych, mieszkała niezwykła para: Calia i Esau Ruffinowie. Byli małżeństwem od ponad czterdziestu lat i wychowali ośmioro dzieci, z których siedmioro zrobiło doktoraty i wykładało w college'u. O ósmym dziecku wiadomo było niewiele, chociaż Margaret twierdziła, że ma na imię Sam i ukrywa się przed wymiarem sprawiedliwości.

Zadzwoiłem. Odebrała pani Ruffin. Przedstawiłem się, powiedziałem, o co chodzi, i wyglądało na to, że wszystko o mnie wie. Okazało się, że czyta „Timesa” od pięćdziesięciu lat, od deski do deski, wszyściutko, łącznie z nekrologami i ogłoszeniami, i po chwili rozmowy pochwaliła mnie, mówiąc, że jej zdaniem gazeta jest teraz w lepszych rękach. Że artykuły są dłuższe. Że jest mniej błędów. Więcej wiadomości. Mówiła powoli, wyraźnie i z pięknym akcentem, jakiego nie słyszałem od studiów.

Kiedy wreszcie dopuściła mnie do głosu, podziękowałem jej, dodając, że chciałbym się z nią spotkać i porozmawiać o jej wyjątkowej rodzinie. Było jej miło i zaprosiła mnie na lunch.

Tak oto zaczęła się niezwykła przyjaźń, która otworzyła mi oczy na wiele rzeczy, w tym - co nie jest bynajmniej błahostką - na południową kuchnię.

Moja matka zmarła, gdy miałem trzynaście lat. Była anorektyczką, tak że trumnę niosło jedynie czterech żałobników. Ważyła niecałe czterdzieści pięć kilo i wyglądała jak duch. Anoreksja była

tylko jednym z jej problemów.

Ponieważ nie jadła, to i nie gotowała. Nie pamiętam, żeby przyrządziła mi chociaż jeden gorący posiłek. Na śniadanie zjadałem miseczkę cheeriosów, na lunch kanapkę, na kolację zaś jakąś rozmrożoną papkę, którą zwykle konsumowałem samotnie przed telewizorem. Nie mam rodzeństwa, a ojca nigdy nie było w domu; może to i lepiej, bo ciągle dochodziło między nimi do tarć. On chciał jeść, ona nie. Spierali się o wszystko.

Głodny nie chodziłem; w spiżarni zawsze było pełno masła orzechowego, płatków i różnych takich. Czasem jadałem u kolegi i zdumiewało mnie, że inne rodziny tak dużo gotują i spędzają tyle czasu przy stole. W naszym domu jedzenie było po prostu nieważne.

Jako nastolatek żyłem na mrożonkach. W Syracuse na piwie i pizzy. Przez pierwsze dwadzieścia trzy lata życia jadłem tylko wtedy, kiedy byłem głodny. Jak się wkrótce miałem dowiedzieć, postępowałem źle. Jedzenie ma na Południu niewiele wspólnego z głodem.

Dom Ruffinów stał w ładniejszej części Lowtown, w rzędzie malowanych, ładnie utrzymanych domów, w których wszystkie pokoje łączyły się ze sobą wzdłuż linii prostej biegnącej od frontu do podwórza. Adresy były na skrzynkach pocztowych. Z uśmiechem popatrzyłem na białe drewniane płotki i kwiaty - irysy i peonie - rosnące wzdłuż chodnika.

Był początek kwietnia, więc miałem opuszczony dach i kiedy wyłączyłem silnik, doszedł mnie pyszny zapach. Steki!

Calia Ruffin czekała na mnie za niską, wahadłową furtką, którą wchodziło się na nieskazitelnie utrzymany trawnik. Korpulentna i rozłożysta, uścisk ręki miała silny jak mężczyzna. Miała też siwe włosy i widać było po niej, że odchowala gromadę dzieci, ale gdy się uśmiechała, a uśmiechała się nieustannie, rozświetlała świat dwoma rzędami błyszczących, idealnych zębów. Nigdy w życiu takich nie widziałem.

- Cieszę się, że pan przyjechał - powiedziała w połowie ceglanej ścieżki.

Ja też się cieszyłem. Dochodziło południe. O tej porze zwykle robiłem się głodny i od dochodzących z ganku zapachów zakręciło mi się w głowie.

- Uroczy domek - powiedziałem, spoglądając na jego front. Był oszalowany i skrzył się bielą, jakby ktoś regularnie chodził wokół niego z pędzlem i kubelkiem farby w rękę.

Wzdłuż całego frontu ciągnął się taras z pomalowanym na zielono blaszanym dachem.

- Dziękuję. Kupiliśmy go trzydzieści lat temu.

Wiedziałem, że właścicielami większości slumsów w Lowtown są biali zza torów, którzy wynajmowali je kolorowym. W 1970 roku kupno domu było dla Murzyna niezwykłym osiągnięciem.

- Kto jest pani ogrodnikiem? - spytałem, przystając, żeby powąchać żółtą różę. Kwiaty rosły tam wszędzie, wzdłuż ścieżki, wzdłuż tarasu i na granicach posesji.

- Ja - odrzekła ze śmiechem, błyskając w słońcu zębami.

Trzy stopnie, taras i... wyżerka! Stolik przy balustradzie był zastawiony na dwie osoby: bielutki obrus, bielutkie serwetki, kwiaty w wazoniku, wielki dzban mrożonej herbaty i co najmniej cztery przykryte półmiski.

- Czekamy na kogoś? - spytałem.

- nie, będziemy tylko my. Później może wpaść Esau.

- Wystarczyłoby tego dla całej armii. - Wciągnąłem powietrze tak głęboko, że bardziej już nie mogłem. Z niecierpliwego wyczekiwania zakłuło mnie w żołądku.

- Siadajmy, zanim wystygnie - powiedziała Calia.

Miałem ochotę rzucić się do stołu jak dziki, ale pohamowałem się, odsunąłem dla niej krzesło i zaczekałem, aż usiądzie. Była zachwycona, że taki ze mnie dżentelmen. Usiadłem naprzeciwko, gotów zerwać pokrywki z półmisek i głową naprzód zanurkować w to, co w nich było, gdy nagle wzięła mnie za rękę i pochyliła głowę. Zaczęła się modlić.

Modlitwa była długa. Calia podziękowała Bogu za wszystko, co dobre, łącznie ze mną, jej nowym przyjacielem. Modliła się za chorych i za tych, którzy mogą zachorować.

Modliła się o deszcz i o słońce, o zdrowie, pokorę i cierpliwość, i chociaż zaczynałem martwić się, że jedzenie wystygnie, jej głos mnie zahipnotyzował. Mówiła powoli, zważając na każde słowo. Miała doskonałą dykcję, każdą spółgłoskę traktowała jednakowo, honorowała każdą kropkę i przecinek. Gdybym na nią nie zerknął, pomyślałbym pewnie, że śnię. Nigdy w życiu nie słyszałem, żeby mówiła tak Murzynka z Południa. Ani Murzynka, ani żaden biały.

Zerknąłem jeszcze raz. Rozmawiała z Bogiem i miała pogodną, zadowoloną twarz. Na kilka sekund zapomniałem nawet o jedzeniu. Ściskając mnie za rękę, przemawiała do Wszechmogącego z elokwencją, która przychodzi jedynie z latami praktyki. Cytowała Biblię, na pewno króla Jakuba, i dziwne było usłyszeć słowa takie jak „onego”, „wieleć”,

„przyzowień” czy „tedy”. Ale ona dobrze wiedziała, co robi. Z rękami w rękach tej świętej kobiety jak nigdy dotąd czułem się blisko Boga.

nie potrafiłem sobie wyobrazić tak długiego nabożeństwa z ośmiorgiem dzieci przy stole. Ale coś mi mówiło, że gdy się modliła, wszyscy zastygali bez ruchu.

Wreszcie skończyła, kwieciście i z fanfarami, długą, płomienną prośbą o przebaczenie grzechów swoich - pewnie miała ich niewiele i popełniała je bardzo rzadko - oraz moich, których... cóż, gdyby tylko wiedziała.

Puściła moje ręce i zaczęła zdejmować pokrywki. Pierwszy półmisek zawierał steki wieprzowe w sosie, który, wśród wielu innych składników, zawierał cebulę i paprykę. W

twarz uderzyła mnie para i miałem ochotę jeść palcami. Z drugiego półmiska wyrastała góra żółtej kukurydzy posypanej zieloną papryką i gorącej, jakby przed chwilą zdjęto ją z płyty.

Była również gotowana ketmia, którą - jak powiedziała, biorąc łyżkę - wolała od smażonej, gdyż martwiła ją zbyt duża ilość tłuszczu w jej diecie. Nauczono ją panierować i smażyć niemal wszystko, od pomidorów po ogórki, i w końcu zdała sobie sprawę, że to niezdrowo.

Była i fasolka szparagowa, bez masła i tartej bułki, gotowana z golonką i bekonem. Był

półmisek posypanych papryką małych czerwonych pomidorów w oliwie. Kontynuując swoją opowieść, Calia powiedziała, że tylko nieliczne kucharki w mieście używają oliwy.

Chłonałem każde jej słowo, patrząc, jak na moim wielkim talerzu rośnie góra jedzenia.

Oliwkę przysłał jej z Milwaukee syn, ponieważ w Clanton rzadko kto o niej słyszał.

Przeprosiła mnie za pomidory - musiała kupić je w sklepie, gdyż jej własne miały dojrzeć dopiero latem. Kukurydzę, ketmię i fasolkę szparagową zebrała w sierpniu minionego roku i przechowała w słoikach. Jedynym świeżym warzywem na stole były brokuły,

„wiosenna kapustka”, jak je nazywała.

Pośrodku stołu ukrywała się wielka brytfanna i kiedy zdjęła z niej serwetkę, zobaczyłem co najmniej półtora kilograma chleba kukurydzianego. Wyjęła wielki, trójkątny kawałek, położyła go na moim talerzu i powiedziała:

- No, na początek wystarczy. To zaostrzy panu apetyt. - Nigdy w życiu nikt nie poczęstował mnie taką ilością jedzenia. Zaczęła się uczać.

Próbowałem jeść powoli, ale było to niemożliwe. Przyjechałem z pustym żołądkiem i gdzieś między rywalizującymi ze sobą zapachami, pięknem zastawionego stołu, nużąc długą modlitwą i szczegółowymi opisami każdej potrawy zgłodniałem jak wilk. Dlatego po prostu żarłem, a ona zadowalała się mówieniem.

Większość produktów pochodziła z jej ogródka. Ona i Esau hodowali cztery odmiany pomidorów, fasolkę szparagową, fasolę białą, dwie odmiany fasoli czarno nakrapianej, ogórki, bakłażany, kabaczki, jarmuż, gorczycę, rzepę, szalotkę, cebulę srebrzystą, żółtą i dymkę, kapustę, ziemniaki czerwone, ziemniaki rdzawe, marchewkę, buraki, kukurydzę, zieloną paprykę, kantalupę, dwie odmiany arbuźów oraz kilka innych warzyw, których nie mogła sobie chwilowo przypomnieć. Steki dostała od brata, który wciąż mieszkał w starym domu rodzinnym na wsi. Każdej zimy zabijał dla nich dwa prosiaki, a oni wkładali mięso do zamrażalnika. W zamian za to zaopatrywali go w świeże warzywa.

- nie używamy chemikaliów - powiedziała, patrząc, jak się obżeram. - Wszystkie produkty są

naturalne. - I rzeczywiście tak smakowały. - Ale to przetwory, jeszcze z zimy. O

wiele lepiej smakują latem, kiedy zbieramy je i jemy ledwie kilka godzin później. Odwiedzi nas pan latem, panie Traynor?

Chrząknąłem, kiwnąłem głową i jakimś cudem zdołałem dać jej do zrozumienia, że wrócę, kiedy tylko zechce.

- Chce pan zobaczyć ogródek?

Ponownie kiwnąłem głową, bo usta miałem zapchane do granic możliwości.

- Świetnie. Jest za domem. Dam panu główkę sałaty i trochę jarzyn. Ładnie rosną.

- Cudownie - wymlaskałem.

- Kawalerowi trzeba jakoś pomóc.

- Skąd pani wie, że jestem kawalerem? - Wypiłem łyk herbaty. Można by ją podawać jako deser, tyle było w niej cukru.

- Wie pan, ludzie gadają. Wiadomości się rozchodzą. W Clanton jest niewiele tajemnic, i po tej stronie torów, i po tamtej.

- Co jeszcze gadają?

- Niech sobie przypomnę... Wynajmuje pan mieszkanie u Hocuttów. Po chodzi pan z Północy.

- Z Memphis.

- Aż z tak daleka?

- To tylko godzina jazdy stąd.

- Żartuję. Jedna z moich córek chodziła tam do college'u.

Miałem wiele pytań na temat jej dzieci, ale nie byłem jeszcze gotowy do robienia notatek. Obie ręce miałem zajęte jedzeniem. W pewnej chwili zwróciłem się do niej per panno Calio, zamiast panno Ruffin.

- Callie - poprawiła. - Wystarczy panno Callie.

Jednym z pierwszych nawyków, jakie przyswoiłem sobie w Clanton, było to, że do kobiet, bez względu na ich wiek, zwraca się tu, dodając „panno” przed nazwiskiem lub imieniem. Panno Brown, panno Webster do tych, które miały już swoje lata. Panno Martho, panno Saro do młodszych. Była to oznaka rycerskości i dobrego wychowania, a ponieważ nie byłem ani rycerzem, ani nawet dżentelmenem, musiałem podchwycić tyle miejscowych zwyczajów, ile się tylko dało.



- W takim razie skąd wzięła się Calia? - spytałem.

- Z włoskiego - odrzekła, jakby to wszystko wyjaśniało. Nałożyła sobie troszkę fasolki szparagowej. Ja kroilem stek.

- Z włoskiego?

- Tak, to był mój pierwszy język. To długa historia, jedna z wielu. Na prawdę chcieli podpalić redakcję?

- Tak - odparłem, zastanawiając się, czy dobrze usłyszałem. Murzynka z rolniczej części Missisipi, której ojczystym językiem był włoski?

- I napadli pana Meeka?

- Tak.

- Ale kto?

- Jeszcze nie wiadomo. Szeryf Coley prowadzi śledztwo. - Bardzo chciałem wiedzieć, co o nim sądzi. Czekaając na odpowiednią chwilę, sięgnąłem po drugi kawałek chleba kukurydzianego. Masło ściekało mi po brodzie.

- Jest szeryfem od bardzo dawna, prawda? - rzuciła.

Na pewno doskonale pamiętała, w którym roku Mackey Don Coley wprowadził się do biura.

- Co pani o nim myśli? - spytałem.

Wypiła łyk mrożonej herbaty i pograżyła się w zadumie. Panna Callie nie spieszyła się z odpowiedzią, zwłaszcza mówiąc o innych.

- Po tej stronie torów dobrym szeryfem jest ten, kto nie dopuszcza tu hazardzistów, przemytników i alfonsów. Pod tym względem pan Coley dobrze wypełnia swoje obowiązki.

- Mogę o coś spytać?

- Oczywiście. Jest pan reporterem.

- Mówi pani z niezwykłą elokwencją i dykcją. Jakie ma pani wykształcenie? - W

społeczności, w której przez dziesiątki lat edukacja leżała odłogiem, było to pytanie bardzo drażliwe. Mieliśmy rok 1970, a w Missisipi wciąż nie było publicznych przedszkoli ani powszechnego obowiązku szkolnego.

Roześmiała się, ponownie demonstrując swoje piękne zęby.

- Skończyłam dziewiątą klasę.

- Dziewiątą?

- Tak, ale moja sytuacja była dość niezwykła. Miałam wspaniałą nauczycielkę. To kolejna historia.

Powoli zacząłem zdawać sobie sprawę, że spisanie tych wszystkich cudownych opowieści, które mi obiecywała, zajmie wiele miesięcy, może nawet lat. I że może będę wysłuchiwał ich tu, na tarasie, podczas cotygodniowych uczt.

- Zachowajmy ją na potem - dodała. - Jak się miewa pan Caudle?

- Kiepsko. Nie wychodzi z domu.

- To dobry człowiek. Zawsze będzie bliski sercu naszej społeczności.

Był taki odważny.

Zawsze myślałem, że „odwaga” Plamy miała więcej wspólnego z poszerzeniem zakresu nekrologów niż ze sprawiedliwym traktowaniem ludzi. Ale zdążyłem się już przekonać, jak wielką wagę Murzyni przykładają do śmierci: to czuwanie przy zwłokach -

często trwało cały tydzień - te nieprawdopodobnie długie nabożeństwa, ta otwarta trumna, ten lament i zawołanie, te długie na dwa kilometry kondukt pogrzebowe, to pełne emocji ostatnie pożegnanie nad grobem. Radykalnie otwierając stronę z nekrologami dla czarnych, Plama został ich bohaterem.

- Tak, to dobry człowiek - powiedziałem, sięgając po trzeci stek. Zaczynał boleć mnie brzuch, ale na stole zostało jeszcze tyle jedzenia!

- Na pewno jest dumny z pańskich nekrologów - rzekła z ciepłym uśmiechem.

- Dziękuję. Wciąż się uczę.

- I jest pan odważny, panie Traynor.

- Może mi pani mówić Willie? Mam dopiero dwadzieścia trzy lata.

- Wolę „panie Traynor”. - I tak załatwiliśmy tę sprawę. Wiedziałem, że upłyną lata, zanim przełamie się i zacznie mówić mi po imieniu. - nie boi się pan Padgittów - stwierdziła.

To było dla mnie coś nowego.

- Taką mam pracę - odrzekłem.

- Myśli pan, że dalej będą próbowali pana zastraszyć?

- Prawdopodobnie. Przywykli, że zawsze stawiają na swoim. To brutalni, bezwzględni ludzie, ale

wolna prasa musi przetrwać. - Chryste, kogo ja chciałem oszukać? Jeszcze jedna taka bomba czy napad i przed wschodem słońca będę w Memphis.

Przestała jeść i spojrzała w dal, na ulicę. Znowu pogрузzyła się w zadumie. Oczywiście ja wciąż żarłem. W końcu powiedziała:

- Biedne dzieci. Widzieć matkę w takiej sytuacji.

Na ten obraz wreszcie przestałem jeść i mój widelec zawisł w powietrzu. Wytarłem usta, wziąłem głęboki oddech i chwilę odpocząłem. Każdy wyobrażał sobie tę potworną zbrodnię inaczej i od wielu dni w Clanton nie szeptano o niczym innym. Jak to zwykle bywa, w plotkach i pogłoskach wszystkie wydarzenia olbrzymiały, przybierały różne wersje, były ozdabiane zmyślnymi szczegółami, powtarzane i jeszcze bardziej wyolbrzymiane. Byłem ciekaw, co ludzie mówią tutaj, w Lowtown.

- Powiedziała mi pani przez telefon, że czyta pani „Timesa” od pięćdziesięciu lat -  
rzekłem, omal nie beknąwszy.

- Tak, to prawda.

- Czy pamięta pani brutalniejszą zbrodnię?

Myślała przez chwilę, odtwarzając w pamięci pięćdziesiąt lat życia i powoli pokręciła głową.

- nie, nie pamiętam.

- Zna pani jakiegoś Padgitta?

- nie. Oni trzymają się wyspy, zawsze tak było. Nawet ich Murzyni tam mieszkają, pędząc whisky, odprawiając swoje wudu i robiąc te wszystkie głupstwa.

- Wudu?

- Tak, po tej stronie torów wszyscy o tym wiedzą. Z Murzynami Padgittów nikt nie zadziera i nigdy nie zadzierał.

- Czy miejscowi wierzą, że to Danny Padgitt zgwałcił i zabił Rhodę?

- Ci, którzy czytają pańską gazetę, na pewno tak.

Zakłuło mnie to bardziej, niż myślała.

- Przedstawiamy tylko fakty - odparłem z wyższością. - Danny'ego aresztowano. I postawiono mu zarzuty. Czeka w areszcie na proces.

- Czy nie istnieje coś takiego jak domniemanie niewinności? Poruszyłem się niespokojnie.

- Oczywiście, że tak.

- Uważa pan, że opublikowanie zdjęcia, na którym jest w zakrwawionej koszuli i w kajdankach, było uczciwe?

Uderzyło mnie jej poczucie sprawiedliwości. Co ją to obchodziło - ją i pozostałych Murzynów w hrabstwie Ford - że Padgitta potraktowano niesprawiedliwie? Czy jakiegoś białego obchodziło, że policja i prasa potraktowała nieuczciwie jakiegoś Murzyna?

- Miał zakrwawioną koszulę, kiedy przywieźli go do aresztu - odparłem.

- To nie my mu ją zakrwawiliśmy. - Ta krótka wymiana zdań nie podobała się ani mnie, ani jej. Pociągnąłem łyk herbaty i z trudem przełknąłem. Byłem przeżarty.

Spojrzała na mnie z uśmiechem i spytała:

- Co powie pan na deser? Zrobiłam pudding bananowy. - Że też miała odwagę mi to proponować.

nie mogłem odmówić. Nie mogłem też nic więcej przełknąć. Spróbowałem wytargować jakiś kompromis.

- Oczekajmy chwilę, niech mi się wszystko ułoży.

- W takim razie proszę napić się jeszcze herbaty. - I napełniła mi szklankę. Ledwo mogłem oddychać, więc wyciągnąłem się na krzesło i postanowiłem zachowywać się, jak na dziennikarza przystało. Panna Callie, która zjadła znacznie mniej, kończyła porcję ketmii.

Według Baggy'ego Sam Ruffin był pierwszym czarnym uczniem, który zapisał się do białej szkoły w Clanton. Wydarzenie to miało miejsce w 1964 roku, gdy dwunastoletni Sam chodził do siódmej klasy. Wszyscy bardzo to przeżyli. A zwłaszcza on. Baggy uprzedził

mnie, że panna Callie może nie zechce rozmawiać o swoim najmłodszym synu. Wydano na niego nakaz aresztowania i musiał uciekać z hrabstwa Ford.

Początkowo mówiła niechętnie. W 1963 roku sąd orzekł, że szkoły dla białych nie mają prawa odmawiać przyjęcia czarnych uczniów. Przymusowa integracja miała zostać wprowadzona wiele lat później. Sam był najmłodszym dzieckiem Ruffinów. Zapisując go do szkoły dla białych, mieli nadzieję, że w ich ślady pójda inne murzyńskie rodziny. Ale nie poszły i przez dwa lata chłopak był jedynym czarnym uczniem w miejscowym gimnazjum.

Dręczono go i bito, lecz szybko nauczył się posługiwać pięściami, więc z czasem dano mu spokój. Błagał rodziców, żeby zabrali go z powrotem do szkoły dla czarnych, ale Calia i Esau zaparli się i nie ustąpili nawet wtedy, gdy poszedł do liceum. Wmawiali sobie, że już wkrótce wszystko się zmieni. Na całym Południu szalała wojna o całkowite zniesienie segregacji rasowej i czarnym nieustannie obiecywano, że postanowienia sądowe w sprawie Brown przeciw wydziałowi edukacji zostaną wreszcie wcielone w życie.

- Trudno uwierzyć, że jest już rok 1970, a w naszych szkołach wciąż obowiązuje segregacja - powiedziała panna Callie. Pozwy federalne i apelacje skutecznie burzyły opór na całym Południu, ale, co dla nas typowe, Missisipi walczyła do gorzkiego końca. Większość białych, których poznałem w Clanton, była przekonana, że w ich szkołach czarni uczyć się nie będą. Ja, przybysz z Memphis, potrafiłem dostrzec rzeczy oczywiste.

- Żałuje pani, że posłała Sama do szkoły dla białych?

- I tak, i nie. Ktoś z nas musiał być odważny. Bolało mnie, że jest mu źle, ale musieliśmy wytrwać. Nie zamierzaliśmy ustępować.

- Co u niego słysząc?

- Sam to inna historia. Może kiedyś ją panu opowiem, zobaczymy. Pójdziemy do ogrodu?

Zabrzmiało to bardziej jak rozkaz niż jak pytanie. Przeszliśmy przez dom wąskim korytarzem obwieszonym dziesiątkami oprawionych w ramki zdjęć dzieci i wnuków. W

środku panował taki sam pedantyczny porządek, jak na zewnątrz. Z kuchni wychodziło się na tylny ganek, a za gankiem rozpościerał się rajski ogród, hen, daleko, aż pod sam płot. Panna Callie nie zmarnowała ani centymetra kwadratowego ziemi.

Wyglądało to jak zdjęcie na pocztówce: piękne kolory, równiutkie rzędy krzewów i pnączy, wąziutkie ścieżki, żeby Callie i Esau mogli zebrać swoje widowiskowe żniwo.

- Co pani z tym wszystkim robi? - spytałem zdziwiony.

- Część jemy, trochę sprzedajemy, większość rozdajemy. Nikt nie chodzi tu głodny.

Żołądek miałem rozepchany jak nigdy dotąd. Ja na pewno głodny tu nie chodziłem!

Szedłem za nią powoli, a ona wskazywała mi kępkę ziół, melony, pyszne owoce i warzywa, o które tak czule dbali. Miała coś do powiedzenia na temat każdej rośliny, nawet na temat chwastów, które wyrwała z gniewem i odrzucała w zarośla. Nie potrafiła przejść ścieżką bez zwracania uwagi na każdy szczegół. Szukała owadów, chwastów, zabiła paskudnego zielonego robala na pomidorowym krzaczku, zrobiła w pamięci spis zadań dla męża. Leniwy spacer miał cudowny wpływ na mój układ trawienny.

A więc stąd bierze się jedzenie, pomyślało moje niedouczzone ja. Ale nic w tym dziwnego. Byłem z miasta. Nigdy nie widziałem warzywnego ogrodu. Miałem mnóstwo pytań, ale banalnych, więc trzymałem język za zębami.

Obejrzała łodygę kukurydzy i najwyraźniej nie spodobało się jej to, co tam zobaczyła.

Oderwała złamaną łodyżkę fasoli, złamała ją jeszcze raz, dokładnie na pół, przyjrzała się jej jak naukowiec i oględnie stwierdziła, że fasola potrzebuje znacznie więcej słońca. Zobaczyła kępkę chwastów i oznajmiła, że gdy tylko Esau wróci do domu, natychmiast go tu przyśle.

Wcale mu nie zazdrościłem.

Trzy godziny później odjechałem, pochłonawszy przedtem porcję bananowego puddingu. Wiozłem torbę „zieleniny”, z którą nie wiedziałem, co zrobić, i ledwie kilka notatek do artykułu. Dostałem też zaproszenie na lunch w najbliższy czwartek. Na koniec panna Callie wręczyła mi odręcznie spisana listę błędów, które znalazła w ostatnim numerze

„Timesa”. Były to same błędy typograficzne i kilka literówek, w sumie dwanaście. Za czasów Plamy średnia wynosiła dwadzieścia. Więc teraz spadła, i to aż o dziesięć. Miała ten nawyk od bardzo dawna.

- Niektórzy lubią rozwiązywać krzyżówki - powiedziała - a ja szukam błędów.

Trudno było to brać do siebie. Na pewno nie chciała nikogo krytykować.

Poprzysiągłem sobie, że od tej chwili korektę będę robił z większym entuzjazmem.

Odjeżdżałem też z uczuciem, że jest to początek nowej, cennej przyjaźni.

## **ROZDZIAŁ 9**

Na pierwszej stronie znowu zamieściliśmy duże zdjęcie. Było to zdjęcie bomby, które zrobił Wiley, zanim rozmontowała ją policja. Nagłówek krzyczał: BOMBA W REDAKCJI

„TIMESA”.

Artykuł zaczynał się od Tłoka i jego nieprawdopodobnego znaleziska. Zawierał

wszystkie szczegóły, które mogłem zweryfikować, oraz kilka, których nie zweryfikowałem.

Żadnych komentarzy ze strony policji, kilka zdań nic niewnoszącej wypowiedzi szeryfa Coleya. W końcu streściłem wnioski, które wyciągnął ekspert z laboratorium kryminalistycznego, dodając, że gdyby bomba wybuchła, doszłoby do ogromnych zniszczeń wśród budynków na południowej stronie rynku.

Wiley nie pozwolił mi opublikować zdjęcia jego mocno posiniaczonej twarzy, chociaż rozpaczliwie go prosiłem. Na dole pierwszej strony zamieściłem drugi nagłówek: NAPAD

NA FOTOGRAFA „TTMESA”. W tym artykule też nie szczędziłem szczegółów, chociaż Wiley bardzo chciał niektóre pominąć.

nie siląc się nawet na subtelność, i w pierwszym, i w drugim artykule połączyłem ze sobą oba przestępstwa i prawie bez ogródek dałem czytelnikom do zrozumienia, że władze, a zwłaszcza szeryf Coley, nie robią praktycznie nic, żeby zapobiec dalszym próbom zastraszenia. Ani razu nie wymieniłem nazwiska Padgittów. Nie musiałem. Wszyscy wiedzieli, że chodzi o mnie i moją gazetę.

Plama był za leniwy, żeby pisać wstępniaki. Kiedy u niego pracowałem, napisał tylko jeden. Pewien

kongresman z Ohio zgłosił projekt idiotycznej ustawy, która miała wpływ na ilość pozyskiwanego drewna sekwojowego; nie wiem, czy chodziło o to, że jego zdaniem sekwoi ścinało się za dużo czy za mało, sprawa była niejasna. W każdym razie Plama się zdenerwował. Siedział nad wstępniakiem przez dwa tygodnie, wreszcie opublikował

przemowę na dwa tysiące słów. Dla każdego czytelnika ze średnim wykształceniem było oczywiste, że pisał to z piórem w jednym ręku i słownikiem w drugim. Już w pierwszym akapicie znalazło się więcej sześciosylabowych słów, niż ludzie kiedykolwiek widzieli, tak że całość była kompletnie niezrozumiała. Brak reakcji ze strony społeczności bardzo Plamę wstrząsnął. Oczekiwał powodzi pełnych współczucia listów, ale niewielu subskrybentów przeżyło powódź słów i określeń z *Webstera*. W końcu, trzy tygodnie później, pod drzwiami redakcji znalazł odręcznie napisany list. List brzmiał następująco: *Szanowny Panie Redaktorze,*

*Przykro mi, że przejął się Pan tak sekwojami, których w Missisipi nie ma. Zechce Pan dać nam znać, jeśli Kongres zacznie wtrącać się do uprawy papierówek?*

Był niepodpisany, mimo to Plama go opublikował. Ulżyło mu, że ktoś jednak przeczytał jego wstępniak. Baggy powiedział mi potem, że list napisał jeden z jego kumpli od kieliszka.

Mój artykuł wstępny zaczynał się tak: Wolna, niczym nieskrepowana prasa jest opoką każdego trwałego, demokratycznego rządu. Bez wodolejstwa i bez prawienia kazań napisałem cztery akapity, wychwalając znaczenie energicznej i dociekliwej prasy nie tylko dla kraju, ale i dla małych społeczności. Poprzysiągłem, że „Timesa” nie zastraszą żadni przestępcy, czy to gwałciciele, czy mordercy, czy skorumpowani urzędnicy państwowi.

Artykuł był odważny, pełen werwy i absolutnie genialny. Mieszkańcy Clanton stali po mojej stronie. Ostatecznie „Times” rzucił wyzwanie Padgittom i szeryfowi, a więc oni albo my. Stawiliśmy czoło złym ludziom i chociaż ludzie ci byli niebezpieczni, nie dałem się zastraszyć. Powtarzałem sobie, że muszę działać odważnie, ale w sumie nie miałem innego wyjścia. Bo niby co miałem zrobić? Udawać, że Rhody nikt nie zamordował? Pobłażać Danny'emu Padgittowi?

Mój personel wpadł w euforię. Margaret powiedziała, że jest dumna, że pracuje w „Timesie”. Wiley, który wciąż lizał swoje rany, nosił teraz rewolwer i szukał okazji do walki.

- Daj im popalić, żółtodziobie - powtarzał. Tylko Baggy był sceptyczny.

- Zrobisz sobie kuku - mówił.

A panna Callie znowu powiedziała, że jestem odważny. Drugi lunch trwał tylko dwie godziny i zjedliśmy go z Esauem. Wreszcie zacząłem robić notatki. I, co ważniejsze, w najświeższym wydaniu gazety panna Callie znalazła tylko trzy błędy.

W piątek wczesnym popołudniem siedziałem w redakcji sam, gdy z dołu dobiegło głośne trzaśnięcie drzwi i chwilę później ktoś zaczął się gramolić schodami na górę. Wszedł

do gabinetu i nie powiedziawszy nawet „dzień dobry”, wepchnął ręce do kieszeni. Jakbym go znał;

spotkaliśmy się pewnie na rynku.

- Masz coś takiego, chłopcze? - warknął, wyciągając rękę z kieszeni.

Zamarło mi serce, płuca przestały pompować powietrze. A on położył na biurku błyszczący rewolwer i przesunął go w moją stronę jak pęk kluczy. Przez chwilę rewolwer obracał się dziko, wreszcie znieruchomiał dokładnie przede mną, na szczęście lufą w kierunku okna. Facet pochylił się gwałtownie i wyciągnął do mnie potężną rękę.

- Harry Rex Yonner, miło mi.

Byłem za bardzo wstrząśnięty, żeby cokolwiek zrobić czy powiedzieć, ale w końcu zaszczyliłem go żenująco słabym uściskiem dłoni. Ciągle patrzyłem na rewolwer.

- Smith and Wesson. Sześciopistołowa trzydziestkaósemka, świetna broń.

Ma pan broń?

Pokręciłem głową. Sama nazwa spluwy przyprawiła mnie o zimny dreszcz.

W lewym kącie ust Harry Rex miał paskudne, czarne cygaro. Widać było, że siedzi tam co najmniej od rana i powoli się rozpada jak mokra prymka. Dymu nie było, bo cygaro się nie paliło. Wielki i ciężki Harry Rex opadł na skórzany fotel, jakby zamierzał tu siedzieć dwie godziny.

- Szalony z pana sukinsyn. Wie pan? - nie mówił, tylko warczał. I nagle przypomniałem sobie, skąd znam jego nazwisko. Był adwokatem, którego Baggy opisał

kiedyś jako najwredniejszego specja od rozwodów w hrabstwie Ford. Miał dużą, nalaną twarz i krótkie włosy, które sterczały na wszystkie strony jak rozwiana przez wiatr słoma. Był w starym brązowym garniturze, wymiętym i poplamionym, co mówiło całemu światu, że ma wszystko gdzieś.

- Co mam z tym zrobić? - spytałem, wskazując rewolwer.

- Najpierw nabić, dam panu naboje, potem schować do kieszeni, zawsze mieć go przy sobie i kiedy zza krzaków wyskoczy bandzior Padgittów, wpakować mu kulę między oczy. -

Żeby lepiej to zrozumiał, wyciągnął przed siebie rękę, wyprostował palec, który miał udawać kulę, i szybkim ruchem przytknął go sobie do czoła.

- Jest nabity?

- A skąd. Umie się pan tym posługiwać?

- Boję się, że nie.

- Wali pan tak ostro, że lepiej niech się pan nauczy.



- Jest aż tak źle?

- Kiedyś, jakieś dziesięć lat temu, rozwodziłem faceta, którego żona lubiła wpadać do burdelu, żeby zarobić parę dolców. Gość pracował na platformie wiertniczej, więc nigdy nie było go w domu i nic o tym nie wiedział. Wreszcie się dowiedział. Burdel należał do Padgittów i młoda dama spodobała się jednemu z nich. - Cygaro tkwiło jakimś cudem w miejscu, podskakując i opadając, gdy mówił. - Mój klient był zrozpaczony i pałał żądzą krwi.

Chciał krwi, to ją dostał. Napadli na niego którejs nocy i zbili do nieprzytomności.

- Kto?

- Na pewno Padgittowie albo ich bandziory.

- Bandziory? Ich?

- Tak, zatrudniają wszystkich możliwych opryszków. Speców od łamania nóg, od podkładania bomb, złodziei samochodów, płatnych morderców.

Po „płatnych mordercach” znacząco zawiesił głos, a ja się wzdrygnąłem. Robił

wrażenie takiego, co to potrafi opowiadać w nieskończoność, nie przejmując się zbyt wiarogodnością tego, co mówi. Uśmiechnął się szpetnie, błysnął oczami i nabrałem mocnych podejrzeń, że zaraz coś ubarwi.

- I oczywiście ich nie złapano - powiedziałem.

- Padgittowie nigdy nie wpadają.

- A pana klient?

- Kilka miesięcy przeleżał w szpitalu. Doznał poważnych uszkodzeń mózgu. To brali go do wariatkowa, to go wypuszczali. Smutna sprawa. Jego rodzina poszła z torbami.

Wreszcie wyjechał na wybrzeże i wybrali go do stanowego senatu.

Uśmiechnąłem się i kiwnąłem głową z nadzieją, że zmyśla, ale tematu nie drażyłem.

Poruszył językiem, przechylił głowę i cygaro wylądowało w prawym kąciiku ust. Przesunął je bez pomocy rąk.

- Jadł pan kiedyś koźlinę?

- Słucham? - Koźlinę.

- nie. Nie wiedziałem, że jest jadalna.

- Dziś po południu pieczemy kozę. W każdy pierwszy piątek miesiąca wydają przyjęcie w mojej leśnej chacie. Muzyka, zimne piwo, tańce i zabawa. Pięćdziesięciu starannie wybranych gości, sama śmietanka. Żadnych tam łapiduchów, bankierów czy tych dupków golfiarzy. Ludzie z klasą. Może pan wpadnie? Za stawem mam strzelnicę. Wezmę tę spluwę i zobaczymy, jak się z tego draństwa strzela.

Mówił, że jedzie się tam dziesięć minut, tymczasem ja jechałem pół godziny, i to tylko asfaltówką. Minąwszy „trzeci strumień za starą stacją kolejową numer 76, tą Hecka”, skręciłem w zwirowkę. Przez chwilę droga była dobra, taka ze skrzynkami na listy na poboczu, co dawało trochę nadziei, że są tam jednak ślady cywilizacji, ale już pięć kilometrów dalej nagle się urwała i droga, i żwir. Gdy zobaczyłem „zardzewiały traktor Massey Ferguson z kołami bez opon”, skręciłem w lewo, w drogę gruntową. Według prymitywnej mapki Harry'ego Reksa, miała to być ścieżka wydeptana przez dziki, ale nigdy dotąd takiej nie widziałem. Gdy zagłębiła się w gęsty las, zacząłem się poważnie zastanawiać, czy nie zawrócić. Mój spitfire nie był przystosowany do jazdy terenowej. Zanim zobaczyłem dach chatki, jechałem już od czterdziestu pięciu minut.

Tak więc zobaczyłem dach, a zaraz potem płot z drutu kolczastego z otwartą metalową bramą, i zatrzymałem się przed nią, a właściwie zatrzymał mnie młody mężczyzna ze strzelbą. Trzymał ją na ramieniu i patrzył z pogardą na mój wóz.

- Jaki to? - spytał.

- Triumph spitfire. Angielski. - Uśmiechnąłem się, nie chcąc go obrazić. Pieczenie kozy pod zbrojną obstawą? Facet wyglądał na prostaka, który nigdy w życiu nie widział samochodu wyprodukowanego w innym kraju.

- Nazwisko?

- Willie Traynor.

Słyszac „Willie”, musiał poczuć się lepiej, bo ruchem głowy wskazał bramę.

- Ładna bryczka - rzucił, gdy go mijałem.

Pikapów było więcej niż zwykłych samochodów. Parkowały byle jak na łączce przed chatą. Z dwóch stojących w oknach głośników zawodził Merle Haggard. Jedna grupa gości stała nad dymiącym dołem, w którym piekła się koza. Inna rzucała podkowami do celu przy chacie. Na ganku siedziały trzy elegancko ubrane panie, pijąc coś, co na pewno nie było piwem. Zjawił się Harry Rex i serdecznie mnie powitał.

- Ten chłopak ze strzelbą to kto? - spytałem.

- A, ten. To Duffy, siostrzeniec mojej pierwszej żony.

- Po co tam stoi? - Jeśli w pieczeniu kozy było coś nielegalnego, wolałem, żeby mnie o tym uprzedził.

- Spokojnie. Duffy jest trochę stuknięty, a strzelba nienabita. Pilnuje niczego od lat.

Uśmiechnąłem się, jakby wszystko trzymało się kupy. Zaprowadził mnie do dołu, gdzie pierwszy raz w życiu zobaczyłem kozę; wcześniej nie widziałem żadnej, ani żywej, ani martwej. Nie licząc tego, że nie miała łba i skóry na ciele, wydawała się nietknięta.

Przedstawiono mnie kucharzom. Z każdym nazwiskiem padała nazwa wykonywanego przez nich zawodu: prawnik, poręczyciel, sprzedawca samochodów, farmer. Patrząc na obracającą się na rożnie kozę, dowiedziałem się niebawem, że istnieje wiele rywalizujących ze sobą teorii na temat najlepszego sposobu pieczenia. Harry Rex dał mi piwo i ruszyliśmy w stronę chaty, zagadując do wszystkich, na których wpadliśmy. Sekretarka, „pośrednik handlu nieruchomościami, stary oszust”, obecna żona Harry'ego Rekxa - wyglądało na to, że widok nowego właściciela „Timesa” sprawia wszystkim przyjemność.

Chata stała nad brzegiem mulistego stawu, jednego z tych, do których ściągają wszystkie węże. W wodę wrzynał się pomost. Harry Rex z wielką przyjemnością przedstawiał mnie swoim znajomym. „To dobry chłopak, żaden tam dupek z Ivy League”, powtarzał wielokrotnie. Wolałbym, żeby nie nazywał mnie „chłopakiem”, ale zaczynałem do tego przywykać.

Dołączyłem do grupki, w której stały dwie panie wyglądające tak, jakby wiele lat spędziły w miejscowych spelunach. Mocno umalowane, w obcisłych sukienkach i z tapirem na głowie, natychmiast się mną zainteresowały. Rozmowa zaczęła się oczywiście od bomby, napadu na Wileya i od widma strachu przed Padgittami, jakie zawisło nad całym hrabstwem.

Zachowywałem się tak, jakby był to kolejny epizod w mojej długiej, barwnej karierze dziennikarskiej. Zarzucili mnie pytaniami i mówiłem więcej, niż chciałem. Harry Rex podał mi podejrzanie wyglądający sój z przezroczystą ciecżą.

- Pij powoli - ostrzegł jak ojciec.

- Co to? - spytałem. Pozostali uważnie mnie obserwowali.

- Brzoskwiniówka. - W słoiku?

- Tak się ją robi - odrzekł.

- To bimber - wyjaśniła w końcu jedna z mocno umalowanych dam.

Głos znawczyni.

Jako prowincjusze, nieczęsto widywali „absolwenta uniwersytetu Ivy League”, który po raz pierwszy w życiu próbuje bimbru, więc podeszli bliżej. Byłem pewien, że w ciągu pięciu lat w Syracuse wypięłem więcej alkoholu niż ktokolwiek z nich, dlatego pomyślałem, a co tam, do diabła z ostrożnością, i podniosłem sój.

- Zdrowie. - Pociągnąłem mały łyczek i mlasnąłem językiem. - Niezłe. - Spróbowałem się

uśmiechnąć, jak pierwszaczek na imprezie starszaków.

Najpierw zaczęły palić mnie wargi, w miejscu gdzie bimber zetknął się z nimi pierwszy raz, a potem uczucie palenia rozniosło się na język tudzież dziąsła i zanim sięgnęło gardła, myślałem, że żywcem spłonę. Wszyscy gapili się tylko na mnie. Harry Rex pociągnął

łyk ze swojego słoja.

- Gdzie to pędzicie? - spytałem z największą nonszalancją, na jaką było mnie stać, ziejąc przez zęby ogniem.

- Tu, niedaleko.

Ze spaloną i odrętwiałą jamą ustną wypilem drugi łyk, chcąc, żeby tamci choć na chwilę przestali zwracać na mnie uwagę. To dziwne, ale po trzecim łyku poczułem słaby smak brzoskwini, jakby kubki smakowe trzeba było najpierw wprawić w szok, żeby potem mogły normalnie pracować. Gdy stało się jasne, że nie zacznę zionąć ogniem, wymiotować ani wrzeszczeć, goście na powrót zajęli się rozmową. Harry Rex, który najwyraźniej chciał

przyspieszyć moją edukację, podsunął mi talerz jakiejś smaženiny.

- Niech pan spróbuje.

- Co to jest? - spytałem podejrzliwie.

Kapiące od makijażu panie skrzywiły nos i odwróciły się, jakby miały zaraz zwymiotować.

- Flaczki - odrzekła jedna z nich.

- Flaczki?

Harry Rex wrzucił sobie trochę tego czegoś do ust, żeby udowodnić, że to nie trucizna, po czym podsunął talerz jeszcze bliżej.

- Śmiało - zachęcał, żując to jak ulubiony przysmak.

Znowu na mnie patrzyli, więc wziąłem najmniejszy kawałek. Smaženina była gumowata, gryząca w smaku i obrzydliwa. Zalatywała chlewem. Przeżulem ją jak najdokładniej, przełknąłem i zapiłem łykiem bimbrowu. Przez kilka sekund myślałem, że zemdleję.

- Wieprzowe flaczki, chłopcze - powiedział Harry Rex, klepiąc mnie w plecy. Zjadł

jeszcze jeden kawałek i znowu podsunął mi talerz.

- A gdzie ta koza? - wykrztusiłem. Wszystko było lepsze niż to.

Jezu, co się stało z piwem i zwykłą pizzą? Dlaczego ci ludzie jedli takie obrzydlistwa?

Harry Rex odszedł, lecz ohydny zapach flaczków ciągnął się za nim jak dym.

Postawiłem słój na balustradzie z nadzieją, że przewróci się i zniknie. Bimber wędrował z rąk do rąk i jeden słój wystarczał zwykle na całą grupę. Zarazki? Nikt się nimi nie przejmował.

Żaden zarazek nie przeżyłby w promieniu metra od tej odrażającej mikstury.

Przeprosiłem ich, mówiąc, że muszę do toalety. W tylnych drzwiach chaty stanął

Harry Rex z dwoma pistoletami i pudełkiem nabojów.

- Popykajmy sobie, bo zaraz się ściemni - powiedział. - Chodźmy.

Przystanęliśmy na chwilę nad kozą, gdzie dołączył do nas kowboj Rafe.

- Rafe jest moim naganiaczem - przedstawił go Harry Rex, gdy ruszyliśmy w stronę lasu.

- Naganiaczem?

- Gania za klientami.

- Za karetkami pogotowia - wyjaśnił usłużnie Rafe. - Chociaż zwykle przyjeżdżam na miejsce pierwszy.

Czekało mnie dużo nauki, ale robiłem już postępy. Smażone flaki i bimber jednego dnia to nie byle co. Przeszliśmy mniej więcej sto metrów starą polną drogą, potem lasem i w końcu wyszliśmy na polanę. Między dwoma okazałymi dębami Harry Rex wzniósł

półokrągły, wysoki na sześć metrów mur z bel siana. Na nim wisiało białe prześcieradło, a na środku prześcieradła naszkicowano sylwetkę człowieka. Napastnika. Wroga. Cel.

nie zdziwiłem się, gdy Rafe też wyciągnął rewolwer. Harry Rex trzymał w ręku mój.

- A więc tak - powiedział, zaczynając lekcję. - To jest sześciostrzałowy rewolwer z mechanizmem spustowym podwójnego działania. Jak się tu naciśnie, z korpusu wyskakuje bębenek. - Rafe sprawnie załadował sześć nabojów; najwyraźniej robił to setki razy. - Teraz wystarczy zatrzaskać i można strzelać.

Staliśmy mniej więcej piętnaście metrów od tarczy. Wciąż słyszałem dochodzącą z chaty muzykę i ciekawiło mnie, co pomyślą goście, słysząc wystrzały. Pewnie nic. Słyszeli je tu cały czas.

Rafe stanął twarzą do prześcieradła.

- Najpierw trzeba rozstawić nogi na szerokość ramion, lekko ugiąć je w kolanach, chwycić rewolwer obiema rękami, o tak, i palcem wskazującym prawej ręki nacisnąć spust. -

Mówiąc, demonstrował każdy ruch i oczywiście wszystko wyglądało bardzo prosto. Gdy rewolwer

wypalił, stałem półtora metra od niego i omal nie podskoczyłem. Dlaczego to musiało być takie głośne?

Nigdy dotąd nie słyszałem wystrzału na żywo.

Drugi pocisk trafił w sam środek piersi faceta na prześcieradle, kolejne cztery przeszyły mu brzuch. Rafe otworzył bębenek, wyrzucił łuski i powiedział:

- Teraz pan.

Gdy brałem rewolwer, trzęsły mi się ręce. Był ciepły, a wokół nas wisiał zapach prochu. Udało mi się wepchnąć sześć nabojów do bębena i zatrzasnąć go, nie robiąc nikomu krzywdy. Stałem twarzą do tarczy, podniosłem rewolwer obiema rękami, jak gangster z kiepskiego filmu, zamknąłem oczy i nacisnąłem spust. Wrażenie było takie, jakby tuż pod moim nosem wybuchła bomba.

- nie zamykaj pan oczu, do cholery! - warknął Harry Rex.

- W co trafiłem?

- We wzgórze za dębami.

- Niech pan spróbuje jeszcze raz - powiedział Rafe.

Spróbowałem. Popatrzyłem na muszkę, ale tak się trzęsła, że nie przydała się na nic.

Wreszcie pociągnąłem za spust, tym razem z otwartymi oczami, ciekaw, gdzie uderzy kula.

Ale w pobliżu celu nie zauważyłem żadnej dziury.

- nie trafił w prześcieradło - wymamrotał z tyłu Rafe.

- Jeszcze raz - rzucił Harry Rex.

No więc wypaliłem, ale i tym razem nie zobaczyłem żadnej przestrzeliny. Rafe wziął

mnie delikatnie za lewą rękę i podprowadził trzy metry bliżej tarczy.

- Świetnie panu idzie - powiedział. - Mamy dużo amunicji. Za czwartym strzałem nie trafiłem nawet w siano.

- Padgittowie mogą czuć się bezpiecznie - mruknął Harry Rex.

- To przez ten bimber - odparłem.

- Wystarczy trochę praktyki, i już. - Rafe podprowadził mnie jeszcze bliżej tarczy.

Spotniały mi dłonie, serce galopowało, dzwoniło mi w uszach.

Za piątym strzałem trafiłem w prześcieradło, co prawda tylko w prawy górny róg, prawie dwa metry od sylwetki wroga. Za szóstym znowu nie trafiłem w nic, to znaczy, trafiłem, bo usłyszałem, jak kula uderza z trzaskiem w gałąź jednego z dębów.

- Ładny strzał - powiedział Harry Rex. - Omal nie upolował pan wiewiórki.

- Spokojnie - mówił Rafe. - Niech się pan odpręży. - Pomógł mi załadować rewolwer i zacisnął mi palce na rękojeści. - Proszę wziąć głęboki oddech - rzucił zza mego ramienia. - I zanim naciśnie pan spust, niech pan powoli wypuści powietrze. - On przytrzymał rewolwer, ja spojrzałem na muszkę i tym razem wróg oberwał w krocze.

- No to wiemy już, o co biega - pochwalił mnie Harry Rex.

Rafe cofnął ręce i jak rewolwerowiec w samo południe, wypaliłem pięć razy.

Wszystkie kule trafiły w prześcieradło, a jedna oberwała napastnikowi ucho. Rafe z aprobatą kiwnął głową i ponownie załadowaliśmy.

Harry Rex miał na pewno dużą kolekcję broni, ale na strzelnicę zabrał

automatycznego glocka kaliber 9 milimetrów, więc staliśmy tam i waliliśmy na zmianę w promieniach powoli zachodzącego słońca. Harry Rex był dobry, bo z odległości piętnastu metrów bez żadnego trudu wpakował dziesięć kul prosto w pierś płóciennego bandziora. Po czterech rundach trochę się odprężyłem, zaczęło mi się to nawet podobać. Rafe był świetnym nauczycielem i w miarę moich postępów udzielał mi cennych wskazówek.

- Wystarczy odrobina wprawy - powtarzał.

- Ten rewolwer to prezent - oznajmił Harry Rex, gdy skończyliśmy. - Może pan tu strzelać, kiedy pan tylko chce.

- Dzięki - odrzekłem i jak ostatni prostak, wepchnąłem rewolwer do kieszeni.

Cieszyłem się, że rytuał dobiegł końca i że osiągnąłem coś, co każdy mężczyzna w hrabstwie Ford osiąga w wieku dwunastu lat. Nie czułem się ani trochę bezpieczniej. Każdy Padgitt, który wypadłby zza krzaka, miałby nade mną przewagę zaskoczenia i wielu lat treningu na strzelnicy. Niemal widziałem, jak mocuję się po ciemku z rewolwerem, żeby w końcu wystrzelić kulę, która zamiast jego, najpewniej trafiłaby mnie.

- Ta tleniona blondyna - powiedział Harry Rex, gdy wracaliśmy przez las. - Ta Carleen.

- Tak? - rzuciłem nerwowo.

- Spodobał się pan jej.

Carleen przeżyła co najmniej czterdzieści ciężkich lat. Nie wiedziałem, co powiedzieć, nic nie przychodziło mi do głowy.

- Jest dobra w łóżku.

nie wątpiłem, że zaliczyła wszystkie łóżka w hrabstwie.

- nie, dzięki - odparłem. - Mam w Memphis dziewczynę.

- No to co?

- Celny strzał - mruknął pod nosem Rafe.

- Dziewczyna tu, dziewczyna tam. Co to za różnica?

- Mam dla pana propozycję, Harry Rex - powiedziałem. - Jeśli będę potrzebował

pomocy przy wyborze dziewczyny, dam panu znać.

- Przecież to tylko jeden szybki numer - wymamrotał.

nie miałem w Memphis dziewczyny, ale kilka znałem. Wolałem już się przejechać, niż zniżać się do takich jak Carleen.

Koza miała specyficzny smak; niedobry, ale po smażonych flaczkach nie tak zły, jak się obawiałem. Mięso było twarde i podlane lepkiem sosem, którego, jak podejrzewałem, nie szczędzono, żeby zabić smak samego mięsa. Nałożyłem sobie plasterk, poskubałem go trochę i zapiliśmy piwem. Znowu staliśmy na pomoście; w tle śpiewała Loretta Lynn. I znowu krążył słój z bimbrem i niektórzy zaczęli tańczyć nad stawem. Carleen zniknęła z kimś wcześniej, więc czułem się bezpiecznie. Harry Rex siedział obok mnie i opowiadał

wszystkim, jakie to mam oko do wiewiórek i królików. Jako gawędziarz miał niezwykły talent.

Byłem dziwolągiem, ale on i jego goście zrobili wszystko, żebym poczuł się tam jak wśród swoich. Wracając ciemnymi drogami do domu, jak co dzień zadawałem sobie pytanie: co ja tu właściwie robię?

## **ROZDZIAŁ 10**

Rewolwer był za duży i ledwo mieścił się w kieszeni. Chodziłem z nim przez kilka godzin, ale potem przestraszyłem się, że nagle wypali prosto w moje genitalia. Dlatego przełożyłem go do skórzanej teczki, którą dostałem od ojca. Nie rozstawałem się z nią przez trzy dni, zabierałem ją nawet na lunch, wreszcie mnie to znużyło. Po tygodniu zostawiałem rewolwer pod fotelem w samochodzie, a po trzech prawie o nim zapomniałem. Nie pojechałem do chaty Harry'ego Reksa na kolejne strzelanie, chociaż byłem tam na kilku kozich imprezach, podczas których unikałem flaczków, bimbru i coraz bardziej nachalnej Carleen.

W hrabstwie Ford panował spokój, cisza przed burzą, czyli przed procesem. W

„Timesie” nie pisaliśmy o nim nic, bo nic się nie działo. Padgittowie nie chcieli zastawić ziemi w



ramach kaucji, dlatego Danny wciąż siedział w specjalnej celi szeryfa Coleya, oglądając telewizję, grając w karty lub warcaby, wypoczywając, ile dusza zapagnie, i jedząc lepiej niż zwykły aresztant.

W pierwszym tygodniu maja do miasta wrócił sędzia Loopus i od razu pomyślałem o moim wiernym rewolwerze.

Ponieważ Lucien Wilbanks złożył wniosek o zmianę właściwości terytorialnej sądu, Loopus wyznaczył termin rozprawy: poniedziałek, dziewiąta rano. Przyszło pół miasta, tak to przynajmniej wyglądało. A już na pewno byli tam regularni bywalcy z rynku. Baggy i ja zjawiliśmy się bardzo wcześnie, żeby zająć dobre miejsca.

Obecność oskarżonego nie była konieczna, ale szeryf Coley najwyraźniej chciał go nam pokazać. Wprowadzili go w kajdankach i nowym pomarańczowym kombinezonie.

Wszyscy popatrzyli na mnie. Potęga prasy zrobiła swoje.

- To pułapka - szepnął Baggy.

- Co?

- Podpuszczają nas, żebyśmy opublikowali zdjęcie Danny'ego w tym nowiutkim więziennym stroiku. Opublikujemy je, a Wilbanks poleci do sędziego i powie, że znowu namęciliśmy we łbach przysięgłym. Nie daj się nabrać.

Moja naiwność mnie zaszokowała. Przed aresztem czyhał Wiley, żeby pstryknąć Padgittowi zdjęcie w chwili, gdy wsadzają go do samochodu. Już je widziałem, wielkie i kolorowe, na pierwszej stronie: Danny w pomarańczowym kombinezonie.

Wilbanks wszedł drzwiami za stołem sędziowskim. Jak zwykle robił wrażenie rozgniewanego i poruszonego, jakby właśnie przegrał potyczkę słowną z Loopusem. Podeszedł

do stołu obrony, rzucił nań notatnik, powiódł wzrokiem po nabitej sali i zatrzymał go na mnie. Przymrużył oczy, zacisnął szczęki - już myślałem, że zaraz przeskoczy przez barierkę i mi przyłoży. Jego klient też odwrócił głowę. Ktoś wskazał mnie ręką i sam Danny Padgitt zaczął patrzeć na mnie tak, jakbym miał być jego kolejną ofiarą. Oddychałem z coraz większym trudem, ale próbowałem zachować spokój. Baggy znowu się ode mnie odsunął.

W pierwszym rzędzie, zaraz za stołem obrony, siedziało kilku Padgittów, starszych od Danny'ego. Oni też się na mnie gapili i nigdy w życiu nie czułem się tak bezbronny, jak wtedy. Byli okrutnymi ludźmi, którzy znali się tylko na zbrodni, na zastraszaniu, na łamaniu ludziom nóg i na zabijaniu - marzyli, żeby poderznąć mi gardło, a ja siedziałem z nimi w tej samej sali.

Woźny poprosił o spokój i wszyscy wstali, żeby powitać Wysoki Sąd.

- Proszę usiąść - powiedział Loopus.

Czekając, aż usiadziemy, przejrzał dokumenty i poprawił okulary.

- Obrona złożyła wniosek o zmianę właściwości terytorialnej sądu. Panie mecenasie, ilu ma pan świadków?

- Mniej więcej sześciu. Zobaczymy, jak potoczy się rozprawa.

- A pan, panie prokuratorze?

Na nogi zerwał się niski, łysy mężczyzna w czarnym garniturze.

- Mniej więcej tyle samo. - Nazywał się Ernie Gaddis i od wielu lat pracował na pół etatu jako prokurator okręgowy hrabstwa Tyler.

- nie chcę siedzieć tu cały dzień - mruknął Loopus, jakby po południu był umówiony na golfa. - Proszę wezwać pierwszego świadka.

- Pan Walter Pickard - zawołał Wilbanks.

nie znałem tego nazwiska, w czym nie było nic dziwnego, ale nie znał go również Baggy. Podczas pytań wstępnych okazało się, że Pickard od dwudziestu lat mieszka w Karaway, co niedziela chodzi do kościoła, a co czwartek na zebrania klubu rotariańskiego.

Miał zakład meblowy i z tego się utrzymywał.

- Pewnie kupuje drewno od Padgittów - szepnął Baggy.

Jego żona była nauczycielką. Trenował drużynę baseballową Małej Ligi i prowadził

zastęp skautów. Wilbanks drażył i drażył, i odwalił kawał mistrzowskiej roboty, żeby ustalić, że Pickard dobrze zna miejscową społeczność.

Karaway było małym miasteczkiem niecałe trzydzieści kilometrów na zachód od Clanton. Plama zawsze je zaniedbywał i sprzedawał tam bardzo mało gazet. Ogłoszeń z Karaway też miał tyle co nic. W mej młodości gorliwości myślałem już o ekspansji prasowego imperium „Timesa”. Mały tygodnik sprzedawałby się tam w tysiącu egzemplarzy, myślałem.

- Kiedy dowiedział się pan, że pani Kassellaw została zamordowana? - spytał

Wilbanks.

- Dwa dni później - odrzekł Pickard. - Wiadomości docierają do nas powoli.

- Kto panu o tym powiedział?

- Jedna z moich pracownic. Ma brata, który mieszka w Beech Hill, gdzie to się stało.

- Czy słyszał pan, że aresztowano jakiegoś podejrzanego? - Wilbanks krążył po sali jak znudzony

kocur. Niby zwykła rutyna, ale nic nie uchodziło jego uwagi.

- Tak, słyszałem plotki, że aresztowano młodego Padgitta.

- Sprawdził to pan?

- Tak.

- Jak?

- Zobaczyłem gazetę, „Ford County Timesa”. Na pierwszej stronie było duże zdjęcie Danny'ego Padgitta, a obok duże zdjęcie Rhody Kassellaw.

- Przeczytał pan tę gazetę?

- Tak.

- I wyrobił pan sobie opinię na temat winy lub niewinności pana Padgitta?

- Wyglądał na winnego. Na zdjęciu był w zakrwawionej koszuli. Jego twarz była tuż obok twarzy ofiary, no wie pan, dwa zdjęcia obok siebie. I jeszcze ten olbrzymi nagłówek.

„Danny Padgitt aresztowany za morderstwo” czy jakoś tak.

- Założył pan, że jest winny?

- Trudno było nie założyć.

- Jak na to morderstwo zareagowali mieszkańcy Karaway?

- Byli wstrząśnięci i oburzeni. To spokojna okolica. Poważnych przestępstw prawie tam nie ma.

- Czy pana zdaniem uważają, że Danny Padgitt zgwałcił i zamordował Rhodę Kassellaw?

- Tak, zwłaszcza po tym, jak przedstawiła to gazeta.

Czułem, że wszyscy na mnie patrzą, ale powtarzałem sobie, że nie zrobiłem nic złego.

Ludzie podejrzewali Padgitta, bo ten skurwiel to zrobił.

- Czy pańskim zdaniem hrabstwo Ford może zapewnić mu sprawiedliwy proces?

- nie.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Bo „Times” już go osądził i skazał.

- Czy myśli pan, że opinię tę podzielają pańscy znajomi i sąsiedzi z Karaway?

- Tak.

- Dziękuję.

Ernie Gaddis wstał, trzymając notatnik, jakby był to pistolet.

- A więc ma pan zakład stolarski, tak?

- Tak, zgadza się.

- I kupuje pan drewno gdzieś tu, w okolicy?

- Tak.

- Konkretnie gdzie?

Pickard przestąpił z nogi na nogę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- U braci Gates, u Hendersona, u Tiffée'ego, u Voylesa i synów, może jeszcze w dwóch, trzech innych miejscach.

- Właścicielami Voylesa są Padgittowie - szepnął Baggy.

- Czy kupuje pan drewno od Padgittów? - spytał Gaddis. - - - nie.

- Ani teraz, ani nigdy przedtem?

- nie.

- Czy któryś z tych tartaków należy do państwa Padgittów?

- Nic o tym nie wiem.

Sęk w tym, że nikt nie wiedział, co tak naprawdę do nich należy. Od dziesiątków lat zapuszczali macki w przeróżne interesy, legalne i nielegalne. Pickarda w Clanton może nie znano, ale w tej chwili wszyscy podejrzewali go o konszachty z Padgittami. Bo niby dlaczego miałby dobrowolnie zeznawać na korzyść Danny'ego?

Gaddis zmienił biegi.

- Powiedział pan, że to krwawe zdjęcie w „Timesie” miało duży wpływ na pańską opinię o winie oskarżonego, tak?

- Bardzo podejrzanie na nim wyglądał.

- Przeczytał pan cały artykuł?

- Chyba tak.

- Przeczytał pan fragment, w którym mowa, że pan Padgitt miał wypadek samochodowy, że został ranny i że oskarża się go również o prowadzenie pod wpływem alkoholu?

- Tak, chyba czytałem.

- Mam go panu pokazać?

- nie, pamiętam.

- Świetnie. W takim razie dlaczego tak szybko założył pan, że krew na jego koszuli jest krwią ofiary, a nie krwią samego oskarżonego?

Sfrustrowany Pickard ponownie przestąpił z nogi na nogę.

- Chciałem tylko powiedzieć, że te zdjęcia i ten artykuł, to wszystko razem stawiało go w niekorzystnym świetle.

- Panie Pickard, czy był pan kiedykolwiek przysięgłym?

- nie.

- Czy rozumie pan, co znaczy domniemanie niewinności?

- Tak.

- Czy rozumie pan również, że jako przedstawiciel stanu Missisipi muszę udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że pan Pagditt jest winny zarzucanych mu przestępstw?

- Tak, rozumiem.

- Czy uważa pan, że każdy oskarżony ma prawo do sprawiedliwego procesu?

- Tak, oczywiście.

- Dobrze. Powiedzmy zatem, że został pan wezwany przez sąd i ma pan zostać przysięgłym w tym procesie. Czytał pan te artykuły, słyszał pan te wszystkie plotki i pogłoski, i stawia się pan w tej oto sali. Zeznał pan już, że uważa pana Padgitta za winnego. Załóżmy, że obrona i oskarżenie wybierają pana do składu ławy przysięgłych. I załóżmy, że mecenas Wilbanks, zręczny i doświadczony adwokat, podnosi szereg poważnych wątpliwości co do zebranych przez prokuraturę dowodów. Załóżmy wreszcie, że pan też ma wątpliwości. Czy w tej sytuacji mógłby pan zagłosować za uniewinnieniem pana Padgitta? Siedząc tok jego rozumowania, Pickard kiwał głową.

- W tych okolicznościach tak - odrzekł.

- A więc bez względu na to, czy uważa go pan teraz za winnego, czy nie, wysłuchałby pan zeznań świadków obu stron, sprawiedliwie rozważyłby pan wszystkie dowody i dopiero wtedy by pan zdecydował. Tak?

Odpowiedź była tak oczywista, że Pickard nie miał żadnego wyboru.

- Tak - odparł.

- Naturalnie - kontynuował Gaddis. - A pańska żona? Wspomniał pan o żonie. Jest nauczycielką, tak? Ona też nie miałaby zapewne żadnych uprzedzeń, prawda?

- Chyba nie, tak myślę.

- A rotarianie z Karaway? Czy są równie sprawiedliwi, jak pan?

- Myślę, że tak.

- A pana pracownicy, panie Pickard? Na pewno zatrudnia pan ludzi uczciwych i bezstronnych. Czy potrafiliby zignorować to, co przeczytali i usłyszeli, i osądziliby pana Padgitta sprawiedliwie?

- Chyba tak.

- nie mam dalszych pytań, Wysoki Sądzie.

Pickard opuścił miejsce dla świadków i spiesznie wyszedł z sali. Wstał Wilbanks.

- Wysoki Sądzie - powiedział głośno. - Obrona wzywa na świadka pana Williego Traynora.

Pan Willie Traynor poczuł się gorzej niż po uderzeniu cegłą w nos. Gwałtownie wciągnął powietrze i usłyszał głos Baggy'ego.

- O cholera. - Powiedział to chyba odrobinę za głośno.

W ławie przysięgłych siedział Harry Rex z kumplami, przyglądając się tej zabawie.

Gdy chwiejnie wstałem, popatrzyłem na niego rozpaczliwie, szukając pomocy. Harry Rex też wstał.

- Wysoki Sądzie - powiedział. - Reprezentuję pana Traynora i chciałbym zauważyć, że nie został o tym uprzedzony.

Wal, Harry Rex! Dalej, zrób coś!

Sędzia Loopus wzruszył ramionami.

- No to co? Przecież tu jest. Co to za różnica? - W jego głosie nie było ani cienia niepokoju czy troski i wiedziałem już, że mnie mają.

- Po pierwsze - argumentował Harry Rex - pan Traynor nie jest przy gotowany do składania zeznań. Świadek ma prawo się przygotować.

- O ile wiem, jest redaktorem gazety, prawda?

- Tak.

Wilbanks ruszył w stronę ławy przysięgłych, jakby chciał mu przyłożyć.

- Wysoki Sądzie, pan Traynor nie jest stroną w procesie i nie będzie już zeznawał.

Napisał na ten temat kilka artykułów. Wysłuchajmy go.

- To podstęp, Wysoki Sądzie - zaprotestował Harry Rex.

- Niech pan siada, mecenasie - rozkazał Loopus.

Podszedłem do miejsca dla świadków i posłałem Harry'emu Reksowi spojrzenie z cyklu: „Dobra robota, stary”. Stał przede mną woźny.

- Ma pan broń? - spytał.

- Co? - Byłem tak zdenerwowany, że doszczętnie zgłupiałem.

- Broń. Czy ma pan broń?

- Tak.

- To poproszę.

- Jest... w samochodzie. - Większa część publiczności uznała, że to bardzo zabawne.

Najwyraźniej człowiek uzbrojony nie mógł dobrze zeznawać, przynajmniej tu, w Missisipi.

Kilka chwil później okazało się, że przepis ten ma głęboki sens. Gdybym miał przy sobie rewolwer, zacząłbym strzelać do Wilbanksa.

Woźny zaprzysiął mnie i Wilbanks znowu zaczął krążyć. Tłum siedzących za nim ludzi wydał mi się jeszcze większy. Mecenas zaczął w miarę przyjaźnie, od pytań o moje personalia i o to, jak wszedłem w posiadanie gazety. Zdołałem udzielić poprawnych odpowiedzi, chociaż do każdego pytania podchodziłem bardzo podejrzliwie. Wilbanks do czegoś zmierzał; nie miałem zielonego pojęcia do czego.

Publiczności bardzo się to podobało. Przejęcie „Timesa” wciąż było przedmiotem zainteresowania i spekulacji, i nagle - proszę, siedzę tu jak na widelcu i opowiadam o wszystkim pod przysięgą.

Po kilku minutach tej miłej rozmowy Gaddis, który, jak przypuszczałem, był po mojej stronie, bo na pewno nie był po niej Wilbanks, wstał i spytał:

- Wysoki Sądzie, to wszystko jest bardzo pouczające, ale do czego właściwie zmierza obrona?

- Dobre pytanie. Panie mecenasie?

- Chwileczkę, Wysoki Sądzie.

Wilbanks wyjął kilka egzemplarzy „Timesa” i rozdał je mnie, Gaddisowi i Loopusowi. Potem spojrział na mnie i spytał:

- Tak między nami, panie redaktorze, ilu ma pan teraz subskrybentów?

- Około czterech tysięcy dwustu - odrzekłem z niejaką dumą. Gdy Plama zbankrutował, stracił wszystkich, nie licząc nędznych tysiąca dwustu czy coś koło tego.

- Ile egzemplarzy sprzedajecie w kioskach?

- Mniej więcej tysiąc.

Przed rokiem mieszkałem na drugim piętrze akademika w Syracuse w stanie Nowy Jork. Od czasu do czasu chodziłem na zajęcia, ciężko pracowałem, żeby zostać dobrym bojownikiem rewolucji seksualnej, piłem jak smok, paliłem trawkę, spałem do południa, kiedy tylko chciałem, a w ramach ćwiczeń fizycznych chodziłem na wiece antywojenne i wyzywałem policjantów. Myślałem, że mam problemy. To, jak trafiłem stamtąd tutaj, na miejsce dla świadków w głównej sali sądowej hrabstwa Ford, nagle stało się dla mnie zupełnie niezrozumiałe.

Ale w tym bez wątpienia przełomowym momencie mojej nowej kariery obserwowało mnie paruset współmieszkańców i subskrybentów, dlatego uznałem, że to nie pora na okazywanie słabości.

- A jaki procent nakładu sprzedajecie w hrabstwie Ford? - spytał Wilbanks tak swobodnie i od niechcienia, jakbyśmy rozmawiali przy kawie.

- Praktycznie cały. Nie pamiętam dokładnych liczb.



- Czy macie stoiska poza granicami naszego hrabstwa?

- nie.

Gaddis podjął kolejną, choć niezdarną próbę ratowania sytuacji.

- Wysoki Sądzie, do czego to wszystko ma prowadzić?

Wilbanks nagle podniósł głos i wycelował palcem w sufit.

- Wysoki Sądzie, zamierzam udowodnić, że potencjalni przysięgli z tego hrabstwa ulegli wpływowi sensacyjnych doniesień, którymi zarzucił ich tygodnik „Ford County Times”, zatruwając im umysły. Na szczęście, i nie bez powodu, nie we wszystkich częściach stanu widziano go i czytano.

Zmiana właściwości terytorialnej sądu jest nie tylko sprawiedliwa, ale wręcz konieczna.

Słowo „zatruwając” dramatycznie zmieniło atmosferę. Uraziło mnie i przeraziło, i po raz kolejny zadałem sobie pytanie, czy zrobiłem coś złego. Popatrzyłem na Baggy'ego, szukając u niego pocieszenia, ale on schował się za siedzącą przed nim kobietę.

- To ja tu decyduję, co jest sprawiedliwe i konieczne, panie mecenasie - warknął

Loopus. - Proszę dalej.

Wilbanks podniósł gazetę i wskazał palcem pierwszą stronę.

- Chodzi mi o zdjęcie mojego klienta - powiedział. - Kto je zrobił?

- Wiley Meek, nasz fotograf.

- Kto podjął decyzję, żeby zamieścić je na pierwszej stronie?

- Ja.

- A wielkość zdjęcia? Kto ustalał wielkość?

- Ja.

- nie pomyślał pan, że może to wyglądać jak pogoń za tanią sensacją?

No jasne, że tak. O to mi właśnie chodziło.

- nie - odparłem chłodno. - Tak się przypadkiem złożyło, że było to jedyne zdjęcie Danny'ego Padgitta, jakie wtedy mieliśmy. I tak się przypadkiem złożyło, że Danny Padgitt był jedyną osobą aresztowaną w związku z tym morderstwem. Dlatego je opublikowaliśmy.

Opublikowałbym je jeszcze raz.

Zdumiała mnie moja wyniosłość. Zerknąłem na Harry'ego Rekxa. Uśmiechał się paskudnie, jak to on. I kiwał głową. Daj im popalić, chłopcze.

- A więc uważa pan, że opublikowanie tego zdjęcia było jak najbardziej uczciwe, tak?
- Uważam, że nie było nieuczciwe.
- Proszę odpowiedzieć na pytanie. Czy pana zdaniem było to uczciwe?
- Tak, jak najbardziej. Uczciwe i właściwe.

Wilbanks odnotował to w pamięci do późniejszego wykorzystania.

- Pański artykuł zawiera dość dokładny opis wnętrza domu Rhody Kassellaw. Kiedy go pan oglądał?
- nie oglądałem.
- Kiedy był pan w środku?
- nie byłem.
- Nigdy nie był pan w tym domu?
- - nie, nigdy.

Wilbanks otworzył gazetę, przeglądał ją przez chwilę, wreszcie powiedział:

- Pisze pan tu, że sypialnia dwojga małych dzieci pani Kassellaw mieści się w korytarzu, mniej więcej cztery i pół metra od drzwi jej sypialni, i ocenia pan, że ich łóżeczka stały w odległości dziewięciu metrów od łóżka zamordowanej. Skąd pan o tym wie?
- Mam swoje źródła.
- Aha, źródła. Czy owe źródła były w domu?
- Tak.
- Ma pan na myśli jakiegoś policjanta czy funkcjonariusza z biura szeryfa?
- nie mogę tego ujawnić.
- Z pomocy ilu tajnych informatorów korzystał pan, pisząc ten artykuł?
- Było ich kilku.

Ze studiów pamiętałem mgliście sprawę reportera, który w podobnej sytuacji powołał się na anonimowego informatora i nie chciał ujawnić jego tożsamości. Sędzia się wkurzył i zażądał

nazwiska. Gdy reporter ponownie odmówił, sędzia uznał go za winnego obrazy sądu i policjanci wpakowali go do aresztu, gdzie przesiedział wiele tygodni, kryjąc swoich informatorów. Nie pamiętałem, jak się to skończyło, ale chyba w końcu go wypuścili i wolna prasa znowu zatriumfowała.

Mignęło mi przed oczami, jak szeryf Coley zakuwa mnie w kajdanki, jak wywleka mnie z sali, jak wrzeszczę i błagam o pomoc Harry'ego Reksa, jak Coley wrzuca mnie do celi, gdzie zdzierają ze mnie ubranie i dają mi pomarańczowy kombinezon.

Kurczę, prawdziwa żyła złota. Te wszystkie artykuły, które mógłbym tam napisać...

- Pisze pan - mówił Wilbanks - że dzieci były w szoku. Skąd pan o tym wie?

- Rozmawiałem z panem Deece'em, sąsiadem zamordowanej.

- Czy użył określenia „w szoku”?

- Tak.

- Pisze pan, że po morderstwie dzieci zostały zbadane przez lekarza, tutaj, w Clanton.

Jak się pan o tym dowiedział?

- Miałem informatora, a potem rozmawiałem z tym lekarzem.

- Pisze pan też, że dzieci przechodzą teraz terapię w Missouri. Kto panu to powiedział?

- Rozmawiałem z ich ciotką.

Wilbanks rzucił gazetę na stół i podszedł bliżej. Zmrużył nabiegłe krwią ślepie i przeszył mnie wzrokiem. Przydałby mi się rewolwer, bez dwóch zdań.

- Prawda jest taka, panie redaktorze, że pisząc to wszystko, próbowałem zasugerować, iż te niewinne dzieci widziały, jak ktoś gwałci i morduje ich matkę w jej własnym łóżku. Tak?

Wzięłem głęboki oddech, zastanawiając się nad odpowiedzią. W sali zaległa cisza.

Publiczność czekała.

- Przedstawiłem fakty najdokładniej, jak to było możliwe - odparłem, patrząc prosto na Baggy'ego, który co prawda wciąż chował się za plecami siedzącej przed nim kobiety, ale przynajmniej kiwał do mnie głową.

- Żeby sprzedać jak najwięcej gazet, zdał się pan na anonimowych informatorów, na półprawdy, plotki i rozbuchane spekulacje, a wszystko w pogoni za taną sensacją.

- Przedstawiłem fakty najdokładniej, jak to było możliwe - powtórzyłem, próbując zachować spokój.

Wilbanks prychnął i powiedział:

- Czyżby? - Ponownie chwycił gazetę. - Cytuję: „Czy dzieci będą zeznawały w sądzie?” Pan to napisał?

nie mogłem temu zaprzeczyć. I plućem sobie w brodę. Wziął to z końcówki artykułu, o którą spieraliśmy się z Baggym. Trochę przegliśmy i patrząc wstecz, powinniśmy byli posłuchać głosu instynktu.

Zaprzeczyć? nie, nie da rady.

- Tak - odrzekłem.

- Jakie to niby fakty dały panu podstawę do postawienia tego pytania? Słyszałem je wiele razy po morderstwie Rhody Kassellaw.

Wilbanks rzucił gazetę na stół jak najgorsze plugastwo i z udawaną konsternacją pokręcił głową.

- Dzieci jest dwoje, prawda, panie redaktorze?

- Tak, chłopiec i dziewczynka.

- Ile lat ma chłopiec?

- Pięć.

- A dziewczynka?

- Trzy.

- A pan? Ile ma pan lat?

- Dwadzieścia trzy.

- Jako dwudziestotrzyletni dziennikarz, ile procesów pan relacjonował?

- Ani jednego.

- A na ilu pan był?

- Na żadnym.

- Skoro nic pan na ten temat nie wie, jakie materiały prawnicze pan przeanalizował, żeby starannie przygotować się do napisania tego artykułu?

Gdybym miał wtedy rewolwer, prawdopodobnie palnąłbym sobie w łeb.

- Jakie materiały? - powtórzyłem, jakby Wilbanks mówił po chińsku.

- Tak, panie redaktorze. Ile znalazł pan przypadków, w których pięcioletnie i młodsze dzieci zeznawały w sprawie karnej?

Zerknąłem na Baggy'ego, ale on siedział już chyba pod drewnianą ławką - Ani jednego - odparłem.

- Celująca odpowiedź, panie redaktorze. Ani jednego. W historii tego stanu ani jedno dziecko w wieku poniżej jedenastu lat nie zeznawało w sprawie karnej. Proszę to gdzieś zapisać i pamiętać o tym następnym razem, gdy zechce pan poruszyć czytelników tanią sensacją.

- Wystarczy, mecenasie. - Jak na mój gust, sędzia Loopus powiedział to trochę za łagodnie. Jego i pozostałych prawników bawiła pewnie ta błyskawiczna rzeź, której ofiarą padł ktoś, kto zaczął grzebać w sprawach prawnych i wszystko poprzekręcał. Zdawało się, że nawet Gaddis z ukontentowaniem patrzy, jak się wykrwawiam.

Wilbanks był na tyle mądry, że na widok krwi natychmiast sobie odpuścił. Mruknął

tylko coś w rodzaju: „Już z nim skończyłem”. Gaddis nie miał żadnych pytań. Na znak woźnego wstałem z krzesła dla świadków i desperacko próbując utrzymać wyprostowaną postawę, ruszyłem do ławki, gdzie Baggy kulił się jak zbłąkany pies podczas gradobicia.

Do końca rozprawy zawzięcie notowałem, ale była to tylko nieudolna próba zachowania pozorów, że jestem bardzo zajęty i ważny. Cały czas czułem na sobie wzrok wielu ludzi. Poniżono mnie i miałem ochotę zamknąć się w redakcji na kilka dni.

Wilbanks zakończył żarliwą prośbą o przeniesienie procesu gdzieś daleko, może nawet aż na wybrzeże, gdzie zapewne ktoś słyszał o morderstwie Rhody, lecz gdzie niewielu uległo „zatruciu” doniesieniami „Timesa”. Pomstował na mnie oraz moją gazetę jak marynarz na sztorm i chyba wypadł za burtę. W swoim słowie końcowym Gaddis przypomniał

sędziemu stare powiedzenie: „Mocne i gorzkie słowa są dowodem słabości argumentów”.

Zanotowałem to. Potem szybko wyszedłem z sali, jakby goniły mnie ważne terminy.

## **ROZDZIAŁ 11**

Nazajutrz rano Baggy wpadł do redakcji z sensacyjną wiadomością, że Lucien Wilbanks właśnie wycofał wniosek o zmianę właściwości terytorialnej sądu. Zdążył już to przeanalizować i jak zwykle sypał wnikliwymi komentarzami.

Jego pierwsza napuszona opinia głosiła, że to Padgittowie nie chcieli, by proces odbył

się w innym hrabstwie. Wiedzieli, że Danny jest winny i każda wybrana zgodnie z prawem ława przysięgłych niemal na pewno go skaze. Jediną szansą był wybór takich przysięgłych, których albo będzie można przekupić, albo zastraszyć. Ponieważ wszystkie orzeczenia skazujące muszą zapaść jednogłośnie, wystarczyłby im zaledwie jeden głos na korzyść Danny'ego. Tylko jeden głos i ława utknęłaby w martwym punkcie, a sędzia musiałby unieważnić proces. Na pewno by go powtórzono, ale z tym samym rezultatem. Po trzech, czterech próbach oskarżenie by się poddało.

Byłem pewien, że Baggy spędził w sądzie całe przedpołudnie, odtwarzając z kumplami prawnikami przebieg rozprawy i zapożyczając od nich wnioski. Wyjaśnił z powagą, że Wilbanks zorganizował to przedstawienie z dwóch powodów. Po pierwsze, chciał

sprovokować „Timesa” do zamieszczenia kolejnego wielkiego zdjęcia Danny'ego, tym razem w więziennym kombinezonie. Po drugie, chciał obedrzeć mnie żywcem ze skóry.

- Co mu się udało - dodał.

- Wielkie dzięki - odparłem.

Wilbanks przygotowywał grunt pod proces, proces, który - o czym dobrze wiedział -

odbędzie się w Clanton, i chciał, żeby nasza gazeta spuściła z tonu.

Po trzecie czy może już czwarte, nigdy nie przepuszczał okazji do popisu. Baggy widział to wiele razy i opowiedział mi kilka historyjek.

nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem jego skomplikowany wywód, ale w tamtej chwili nic innego nie miało dla mnie sensu. Dwugodzinna rozprawa z pełną świadomością, że to wszystko na pokaz - czysta strata czasu. Ale pomyślałem też, że w sądzie dzieją się znacznie gorsze rzeczy.

Na trzecią ucztę była pieczeń wołowa i zjedliśmy ją na tarasie, podczas deszczu.

Ponieważ jak zwykle przyznałem, że nigdy dotąd nie jadłem pieczeni, panna Callie podała mi dokładny przepis i sposób przyrządzenia. Podniosła pokrywkę wielkiej żelaznej brytfanny pośrodku stołu i aż zamknąłem oczy, gdy buchnął stamtąd aromatyczny zapach.

Wstałem ledwie godzinę wcześniej i zjadłbym nawet obrus.

Powiedziała, że to jej najprostsze danie. Trzeba wziąć zadni płat wołowiny i nie zdejmując z niego tłuszczu, włożyć go do brytfanny i przykryć młodymi ziemniakami, cebulą, rzepą, marchwią i burakami; posypać solą i pieprzem, dodać wody, wstawić brytfannę do duchówki i piec na wolnym ogniu przez pięć godzin. Nałożyła mi na talerz mięsa i warzyw i poląła to wszystko gęstym sosem.

- Ten kolorek to od buraczków - wyjaśniła.

Spytała, czy chciałbym odmówić modlitwę przed posiłkiem, ale powiedziałem, że nie.

Że nie modliłem się od bardzo dawna. Że ona jest w tym dużo lepsza. Wzięła mnie za rękę i zamknęliśmy oczy. Panna Callie wznosiła modły, a w blaszany dach tarasu bębnił deszcz.

- Gdzie Esau? - spytałem po trzech dużych kęsach.

- W pracy. Czasami może wyrwać się na lunch, ale najczęściej zostaje. - Intensywnie o czymś myślała, w końcu spytała: - Mogę zadać panu osobiste pytanie?

- Jasne, chyba tak.

- Czy jest pan chrześcijaninem?

- Na pewno. W Wielkanoc matka zabierała mnie do kościoła.

To jej nie zadowoliło. Nie tego szukała.

- Do jakiego?

- Episkopalnego. Do Świętego Łukasza w Memphis.

- nie wiem, czy taki tu mamy.

- nie widziałem. - nie, żebym pilnie szukał jakiejś świątyni. - A pani? Do jakiego pani chodzi?

- Do Boga w Chrystusie - odrzekła szybko z błogą, świetlistą twarzą. - Naszym pastorem jest wielebny Thurston Smali, wierny sługa boży. Wygłasza przejmujące kazania.

Powinien go pan kiedyś posłuchać.

Słyszałem opowieści o murzyńskich nabożeństwach, o tym, że ludzie siedzą w kościele przez całą niedzielę, że trwa to wszystko do późnej nocy i że rozchodzą się do domów dopiero wtedy, gdy całkowicie wyczerpią ducha. Wciąż miałem żywe wspomnienia z nabożeństw w kościele episkopalnym, które, według prawa, nie mogły trwać dłużej jak godzinę.

- Przychodzą tam biali? - spytałem.

- Tylko w roku wyborczym. Niektórzy politycy potrafią węszyć jak psy. Przychodzą, żeby czegoś nam naobiecywać.

- Zostają do końca?

- Och, nie. Są za bardzo zajęci.

- A więc można tam przyjść i wyjść?

- Pan, panie Traynor, może. Zrobimy dla pana wyjątek.

Rozgadała się o swoim kościele, do którego chodziła piechotą. Nie tak dawno doszczętnie spłonął. Strażacy - remiza mieściła się oczywiście po drugiej stronie torów, w białej części miasta - nie spieszyli się do pożarów w Lowtown. Tak więc Murzyni stracili swój kościół, ale okazało się, że to prawdziwe błogosławieństwo! Wielebny Smali zmobilizował wiernych. Prawie przez trzy lata spotykali się w magazynie, który udostępnił im Virgil Mabry, dobry człowiek i chrześcijanin. Magazyn stoi ledwie ulicę od Main Street i wielu białym nie podobało się, że czarni odprawiają modły w ich części miasta. Ale pan Mabry się nie ugiął. Wielebny Smali zebrał pieniądze i trzy lata po pożarze przecięli wstęgę, otwierając nową świątynię, dwa razy większą od tamtej. Była pełna w

każdą niedzielę.

Uwielbiałem, kiedy mówiła. Dzięki temu mogłem non stop jeść, a to było najważniejsze. Ale wciąż urzekła mnie jej doskonała dykcja, intonacja i słownictwo, które musiało być na poziomie college'u.

- Często czyta pan Biblię? - spytała, skończywszy opowieść o nowym kościele.

- nie. - Pokręciłem głową, żując gorącą rzepe.

- Nigdy?

Skłamać? nie przeszło mi to nawet przez myśl.

- Nigdy.

Kolejne rozczarowanie.

- Jak często się pan modli?

Na chwilę przestałem jeść.

- Raz w tygodniu, tutaj.

Powoli odłożyła sztućce, zmarszczyła brwi i spojrzała na mnie tak, jakby zamierzała powiedzieć coś bardzo ważnego.

- Panie Traynor, skoro się pan nie modli, nie chodzi do kościoła i nie czyta Biblii, wątpię, czy jest pan dobrym chrześcijaninem.

Ja też w to wątpiłem. Żułem mięso, żeby nie musieć się bronić.

- Jezus powiedział: „nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni” - kontynuowała.

- nie mnie sądzić czyjąś duszę, lecz muszę przyznać, że martwię się o pańską.

Ja też się martwiłem, ale nie do tego stopnia, żeby przerwać lunch.

- Czy wie pan, co dzieje się z tymi, którzy nie chcą żyć zgodnie z wolą Bożą?

Nic dobrego, tyle wiedziałem. Ale byłem zbyt głodny i wystraszony, żeby odpowiedzieć.

Zamiast jeść, panna Callie wygłaszała teraz kazanie i wcale mi się to nie podobało.

- W liście do Rzymian święty Paweł napisał: „Albowiem zapłatą za grzech jest śmierć, a łaska przez Boga dana to życie wieczne w Chrystusie Jezusie, Panu naszym”. Czy wie pan, co to znaczy?

Domyślałem się. Kiwnąłem głową i włożyłem sobie do ust kawał wołowiny. Znała na pamięć całą Biblię? I zamierzała mi ją wyrecytować?



- Śmierć jest zawsze tylko śmiercią fizyczną, ale śmierć duchowa oznacza wieczność bez Chrystusa Jezusa, Pana naszego. Wieczność w piekle, panie Traynor. Czy pan to rozumie?

Jasno mi to wyłożyła.

- Czy możemy zmienić temat? - poprosiłem.

Uśmiechnęła się nagle i odrzekła:

- Oczywiście. Jest pan moim gościem i muszę zadbać o to, żeby czuł się pan tu jak u siebie w domu.

Wzięła widelec i przez dłuższą chwilę jedliśmy, wsłuchując się w deszcz.

- Wiosna jest bardzo mokra - powiedziała. - To dobrze dla fasoli, ale pomidory i melony potrzebują trochę słońca.

Pocieszyła mnie myśl, że planuje dalsze uczyty. Mój artykuł o niej, jej mężu i ich niezwykłych dzieciach był prawie gotowy. Przeciągałem zbieranie materiałów z nadzieją na kolejne czwartkowe lunche na tarasie. Początkowo miałem wyrzuty sumienia, że specjalnie dla mnie przygotowuje tyle jedzenia; zjadaliśmy ledwie drobną cząstkę. Ale zapewniła mnie, że nic się nie marnuje. Resztę zjedzą oni, ona i Esau, może też ich znajomi.

- Teraz gotuję tylko trzy razy tygodniowo - wyznała nieco wstydliwie.

Na deser były brzoskwinie w cieście na gorąco z lodami waniliowymi.

Postanowiliśmy odczekać godzinę, aż zawiąże się sadełko. Przyniosła dwie filiżanki mocnej czarnej kawy, usiedliśmy w bujakiach i zabraliśmy się do pracy. Wyjąłem mój reporterski notatnik i długopis i zacząłem wymyślać pytania. Panna Callie uwielbiała, kiedy zapisywałem to, co mówiła.

Pierwsza siódemka jej dzieci nosiła włoskie imiona: Alberto (Al), Leonardo (Leon), Massimo (Max), Roberto (Bobby), Gloria, Carlota i Mario. Jedynie Sam, ten najmłodszy, ten, który, jak głosiły plotki, uciekał przed wymiarem sprawiedliwości, miał imię amerykańskie.

Podczas mojej drugiej wizyty powiedziała, że wychowywała się we włoskim domu, tu, w hrabstwie Ford, ale że to bardzo długa historia i zachowają na potem.

Wszyscy siedmioro przemawiali w imieniu absolwentów podczas uroczystości wręczenia dyplomów w Burley Street High, ogólniaku dla kolorowych. Wszyscy zrobili doktoraty i wykładali teraz w college'u. Szczegóły biograficzne zapełniały stronę za stroną, bo panna Callie mogła mówić o dzieciach godzinami, nie bez powodu zresztą.

I mówiła. Notowałem, bujałem się łagodnie w fotelu, wsłuchiwałem się w deszcz i w końcu zasnąłem.

## **ROZDZIAŁ 12**

Baggy miał zastrzeżenia do artykułu o Ruffinach.

- To żaden news - mówił, czytając. Hardy musiał uprzedzić go, że chciałem dać na pierwszej stronie długi tekst o murzyńskiej rodzinie. - Takie coś leci zwykle na piątej.

nie licząc morderstwa, na pierwszej stronie nadawała się według niego relacja ze sporu o miedzę, taka bez ławy przysięgłych, z rozespanymi adwokatami i dziewięćdziesięcioletnim sędzią, którego wyciągano z grobu, żeby rozsądzał tego rodzaju sprawy.

W 1967 roku Plama miał odwagę zamieścić pierwszy nekrolog Murzyna, ale w ciągu trzech lat, jakie upłynęły od tamtej pory, „Times” nie zainteresował się prawie niczym, co działo się po drugiej stronie torów. Wiley Meek nie miał ochoty tam ze mną jechać i sfotografować Ruffinów przed ich domem. Zdołałem zaciągnąć go tam w czwartek w południe. Smażony sum, kukurydziane ciasteczka i sałatka z białej kapusty z dodatkiem majonezu - Wiley naźarł się tak, że nie mógł oddychać.

Margaret też trochę kaprysiła, ale jak zwykle zdała się na szefa. Szczerze mówiąc, cała redakcja odnosiła się do artykułu z chłodną rezerwą. Było mi wszystko jedno. Robiłem to, co uważałem za słuszne; poza tym lada dzień miał rozpocząć się wielki proces.

I tak, dwudziestego maja 1970 roku, w tygodniu, w którym nie mieliśmy do napisania absolutnie nic na temat morderstwa w Beach Hill, „Times” poświęcił ponad połowę pierwszej strony rodzinie Ruffinów. Na górze był wielki nagłówek: SIEDMIORO PROFESORÓW

CHLUBĄ PAŃSTWA RUFFINÓW. Pod spodem daliśmy duże zdjęcie Callie i Esaua siedzących na stopniach tarasu i uśmiechających się dumnie do obiektywu. Poniżej zaś zamieściliśmy sylwetki wszystkich ośmiorga dzieci, według starszeństwa, od Ala do Sama.

Artykuł zaczynał się tak:

Gdy Galia Harris musiała porzucić szkołę w dziesiątej klasie, poprzysięgła sobie, że jej dzieci skończą nie tylko szkołę średnią, ale i college. Był rok 1926 i Galia - albo Callie, jak woli najstarsza z czworga rodzeństwa, miała piętnaście lat. Jej ojciec zmarł na gruźlicę i dalsze wykształcenie stało się luksusem. Poszła do pracy i do 1929 roku, kiedy to wyszła za mąż za Esaua Ruffina, cieślę i karczownicę, pracowała u rodziny DeJarnette'ów. Za piętnaście dolarów miesięcznie młodzi wynajęli bliźniak w Lowtown i zaczęli oszczędzać każdego centa. Pieniądze miały im się bardzo przydać. W 1931 urodził się Alberto.

Teraz mieliśmy rok 1970 i Alberto Ruffin był profesorem socjologii na Uniwersytecie Stanowym w Iowie. Doktor Leonardo Ruffin - profesorem biologii na uniwersytecie Purdue.

Doktor Massimo Ruffin - profesorem ekonomii na uniwersytecie w Toledo. Doktor Roberto Ruffin - profesorem historii w Marquette. Doktor Gloria Ruffin Sanderford uczyła włoskiego na Uniwersytecie Duke'a. Doktor Carlota Ruffin była profesorem urbanistyki na UCLA.

Doktor Mario Ruffin niedawno zrobił doktorat z literatury średniowiecznej i wykładał w Grinnell College w Iowie. O Samie tylko wspomniałem.

Rozmawiałem przez telefon z całą siódmką i w artykule zamieściłem wiele cytatów.

Wszyscy mówili mniej więcej o tym samym: o miłości, poświęceniu, dyscyplinie, ciężkiej pracy i wytrwałości; nie tolerowali lenistwa ani porażek. Każde z nich mogłoby opowiedzieć historię, która zajęłaby całą gazetę. W college'u i na studiach podyplomowych każde pracowało co najmniej na jeden pełny etat. Większość harowała na dwa. Starsi pomagali młodszym. Mario powiedział mi, że co miesiąc dostawał pięć, czasem nawet sześć czeków na małe sumy od braci, sióstr i rodziców.

Pięcioro najstarszych studiowało tak wytrwale i zawzięcie, że ożeniło się i wyszło za mąż dopiero tuż przed lub po trzydziestce. Carlota wciąż była panną, Mario kawalerem.

Dzieci też planowali starannie i bez pośpiechu.

Najstarszy wnuk Callie, syn Leona, miał pięć lat. W sumie wnuków było pięcioro.

Max i jego żona oczekiwali drugiego potomka.

Materiału miałem tyle, że tego tygodnia opublikowałem tylko część pierwszą. Gdy nazajutrz pojechałem do Lowtown na lunch, panna Callie wyszła mi naprzeciw ze łzami w oczach. Był i Esau, który uściśnął mi mocno rękę i objął mnie niezdarnie, acz po męsku.

Pozarliśmy gulasz jagnięcy i podzieliliśmy się spostrzeżeniami na temat oddźwięku, jaki wywołał artykuł. Oczywiście w Lowtown o niczym innym się nie mówiło, sąsiedzi wpadali do nich przez całą środę i czwartek rano z gazetą w ręku. Każdemu z profesorostwa wysłałem po sześć egzemplarzy.

Gdy piliśmy kawę i jedliśmy szarlotkę, na ulicy zaparkował wielebny Smali.

Przedstawiono mnie na tarasie i wyglądało na to, że jest mu bardzo miło. Skwapliwie przyjął

poczęstunek, po czym wygłosił długą przemowę na temat olbrzymiego znaczenia, jakie ma mój artykuł dla czarnej społeczności w Clanton. Tak, nekrologi też, bo w większości miast na Południu śmierć Murzyna wciąż przechodziła bez echa. Dzięki panu Caudle'owi dokonano postępu na jednym froncie. Ale opublikowanie tak wspaniałej i dystygowanej sylwetki czarnej rodziny na pierwszej stronie gazety to gigantyczny krok naprzód w zwalczaniu nietolerancji rasowej w mieście. Ja widziałem to inaczej. Dla mnie była to po prostu ciekawa historia o ludziach, o Callie Ruffln i jej niezwyklej rodzinie.

Wielebny lubił jeść i miał dryg do ubarwiania. Przy dokładce jego pochwały stały się nużące. Ponieważ wszystko wskazywało na to, że zamierza wyjść dopiero pod wieczór, podziękowałem za lunch i wróciłem do domu.

Oprócz pełnienia funkcji nieoficjalnego i trochę niesolidnego dozorczy w kilku instytucjach przy rynku, Tłok miał jeszcze jedną pracę. Prowadził nielicencjonowane usługi kurierskie. Mniej więcej co godzinę stawał w drzwiach swoich klientów - głównie kancelarii prawniczych, ale też trzech banków, kilku agencji handlu nieruchomościami, agentów ubezpieczeniowych i „Timesa” - i stał tam, czekając, na zlecenie. Wystarczyło, że sekretarka lekko pokręciła głową, i szedł dalej, do następnego przystanku. Jeśli zaś miała do wysłania małą przesyłkę, czekała, aż się pojawi. Tłok pojawiał się,

chwycił przesyłkę i truchtał do adresata. Jeżeli ważyła ponad pięć kilo, z miejsca odmawiał. Ponieważ chodził piechotą, najczęściej biegając, jego usługi ograniczały się wyłącznie do rynku, może do paru ulic dalej.

Widywano go tam niemal każdego dnia roboczego, jak szedł, gdy nie miał nic do dostarczenia, lub jak truchtał, gdy dostał jakieś zlecenie.

Najwięcej prznosił listów, z kancelarii prawniczej do kancelarii. Był o wiele szybszy niż poczta i o wiele tańszy. Nie pobierał żadnej opłaty. Mówił, że służy w ten sposób społeczeństwu, chociaż na Boże Narodzenie oczekiwał za to szynki albo ciasta.

W piątek przed południem wpadł do redakcji z odręcznie zaadresowanym listem od Luciena Wilbanksa. Bałem się go otworzyć. Czy nie był to aby miliondolarowy pozew, którym mi groził? List brzmiał następująco:

*Szanowny Panie Redaktorze,*

*Z przyjemnością przeczytałem artykuł o Ruffinach, o tej doprawdy niezwyklej rodzinie.*

*Słyszałem o ich osiągnięciach, ale dzięki Pańskiej gazecie poznałem ich i zrozumiałem dogłębniej. Podziwiam Pańską odwagę.*

*Mam nadzieję, że „Times” będzie kontynuował tę pozytywną politykę wydawniczą. - Z*

*poważaniem*

*Lucien Wilbanks*

nie znosiłem faceta, ale kogo nie ucieszyłby taki list? Wilbanks miał reputację radykalnego liberała, który z obłędem w oku przyjmował najbardziej niepopularne sprawy.

Dlatego jego wsparcie podniosło mnie na duchu, choć tylko trochę. Wiedziałem też, że jest to wsparcie chwilowe.

Innych listów nie było. Nie było też anonimowych telefonów. Ani pogrózek. Szkoła się skończyła, nadeszła fala upałów. Złowieszcze wichry segregacji, których wszyscy tak bardzo się lękali, zbierały siły. Poczciwi obywatele hrabstwa Ford mieli na głowie poważniejsze sprawy.

Po dziesięciu latach sporów, niesnasek, napięć i walki o prawa obywatelskie wielu białych mieszkańców stanu Missisipi bało się, że koniec jest bliski. Jeśli sądy federalne mogły zintegrować szkoły, czy to możliwe, żeby teraz przyszła kolej na kościoły i dzielnice mieszkaniowe?

Nazajutrz Baggy poszedł na spotkanie w podziemiach jednego z kościołów.

Organizatorzy spotkania chcieli sprawdzić, jakim poparciem cieszyłby się projekt zbudowania w Clanton prywatnej szkoły tylko dla białych. Przyszło mnóstwo ludzi, przerażonych, wzburzonych i zdecydowanych chronić swoje dzieci. Prawnik zapoznał ich ze stanem przeróżnych apelacji

federalnych i wygłosił przygnębiającą opinię, że ostateczny nakaz przyjdzie jeszcze tego lata. Przewidywał, że czarne dzieci z klas dziesięć - dwanaście zostaną wysłane do ogólniaka w Clanton i że białe dzieci z klas siedem - dziewięć przejdą do Burley Street w Lowtown. Mężczyźni kręcili głowami, kobiety szlochały. Myśl, że białe dzieci trafią za tory, była po prostu nie do przyjęcia.

Organizowano nową szkołę. Proszono nas, żebyśmy nic na ten temat nie pisali, przynajmniej chwilowo. Przed upublicznieniem tej wiadomości organizatorzy pragnęli zdobyć jak największe wsparcie finansowe. Posłuchaliśmy prośby. Chciałem uniknąć kontrowersji.

Sędzia federalny z Memphis nakazał opracować plan masowego dowozu dzieci do szkół, plan, który rozdarł miasto na pół. Czarne dzieci mieszkające w centrum miały być przewożone na białe przedmieścia, mijając się po drodze z dziećmi białymi, które jechały w przeciwnym kierunku. Napięcie rosło i przyłapałem się na tym, że coraz rzadziej wychodzę z redakcji.

Zanosilo się na długie, gorące lato. Wszyscy czekali, aż coś wybuchnie.

Po tygodniowej przerwie opublikowałem drugą część historii panny Callie. Na dole pierwszej strony zamieściłem rząd zdjęć siedmiorga profesorów. Artykuł mówił o tym, gdzie teraz są i co robią. Wszyscy bez wyjątku twierdzili, że bardzo kochają Clanton i cały stan, chociaż żadne z nich nie zamierzało wracać tu na stałe. Nie chcieli osądzać stanu, który wysłał ich do gorszych szkół, zmusił do bytowania po jednej stronie torów, zabronił im głosować, jeść w większości restauracji i pić wodę z publicznego poidełka na trawniku przed sądem. Nie chcieli mówić o rzeczach złych. Zamiast tego dziękowali Bogu za dobroć, za zdrowie dla nich, dla ich rodzin i rodziców, i za to, że dostali szansę.

Zdumiewała mnie ich pokora i dobroć. Wszyscy siedmioro obiecali spotkać się ze mną w Boże Narodzenie, kiedy to mieliśmy zasiąść razem na tarasie panny Callie, jeść ciasto orzechowe i snuć opowieści.

Artykuł zakończyłem intrygującym szczegółem. Gdy po kolei opuszczali rodzinny dom, Esau kazał każdemu z nich pisać co tydzień list do matki. Więc pisali, regularnie i bez przerwy. Jakiś czas później Esau uznał, że panna Callie powinna dostawać jeden list dziennie.

Od siedmiorga profesorów. Przez siedem dni w tygodniu. Tak więc Alberto pisał i wysyłał

list w niedzielę, Leonardo w poniedziałek i tak dalej. Bywało, że panna Callie dostawała dwa lub trzy listy dziennie, bywało, że nie dostawała żadnego. Ale krótki spacer do skrzynki pocztowej był zawsze emocjonujący.

Zachowała wszystkie. W sypialnianej garderobie pokazała mi stertę pudeł

wypełnionych listami od dzieci.

- Kiedyś pozwolę je panu przeczytać - powiedziała, ale nie wiedzieć czemu, nie dałem temu wiary. Ani nie chciałem ich czytać. Były na pewno zbyt osobiste.

## ROZDZIAŁ 13

Prokurator okręgowy Ernie Gaddis złożył wniosek o poszerzenie puli kandydatów do ławy przysięgłych. Według Baggy'ego, który z każdym dniem stawał się coraz lepszym ekspertem, przed typowym procesem karnym urzędnik sądu objazdowego wzywał około czterdziestu kandydatów. Stawiało się zwykle trzydziestu pięciu, w tym co najmniej pięciu zbyt starych czy schorowanych, żeby ich zakwalifikowano. Gaddis motywował wniosek tym, że rozgłos towarzyszący morderstwu w Beech Hill utrudni znalezienie bezstronnych przysięgłych. Prosił sąd o wezwanie co najmniej stu kandydatów.

Choć tego nie napisał, wszyscy dobrze wiedzieli, że dzięki takiemu pociągnięciu Padgittom trudniej byłoby zastraszyć stu ludzi niż czterdziestu. Lucien Wilbanks głośno zaprotestował i domagał się rozprawy. Sędzia Loopus oznajmił, że rozprawa nie jest konieczna, i nakazał powiększyć pulę kandydatów. Zdecydował się też na niezwykle krok utajnienia ich listy. Baggy, jego kumple od kieliszka i wszyscy w sądzie byli zaszokowani.

Nigdy dotąd tego nie robiono. Adwokaci i strony zawsze otrzymywali pełną listę dwa tygodnie przed procesem.

Powszechnie uważano, że decyzja Loopusa to dla Padgittów poważny cios. Skoro nie wiedzieli, kto jest na liście, jak mogli ich przekupić czy zastraszyć?

Potem Gaddis poprosił sąd, żeby zwolnić biuro szeryfa z obowiązku rozsyłania wezwań i rozesłać je pocztą. Ten pomysł też przypadł Loopusowi do gustu. Sędzia najwyraźniej wiedział o kumoterskim układziku między Padgittami i Coleyem. Nic więc dziwnego, że Wilbanks dostał szału. W swoim dość rozpaczliwym proteście wytknął

Loopusowi stronniczość i niesprawiedliwość. Gdy czytałem akta sprawy, zdumiało mnie, że potrafi pisać o tym tak jasno i aż na tyle stron.

Stawało się oczywiste, że Loopus chce procesu bezpiecznego i bezstronnego. W latach pięćdziesiątych, zanim został sędzią był prokuratorem okręgowym i powszechnie wiadomo, że zawsze sympatyzuje z oskarżeniem. A już na pewno nie obchodzili go Padgittowie i ich dziedziczne skorumpowanie. Poza tym na papierze (no i w mojej gazecie) sprawa była nie do obalenia.

W poniedziałek piętnastego czerwca, w ścisłej tajemnicy, urzędnik sądu objazdowego wysłał pocztą sto wezwań do zarejestrowanych wyborców w hrabstwie Ford. Jedno z nich trafiło do skrzynki pocztowej panny Callie Ruffin i pokazała mi je, gdy w czwartek jak zwykle przyszedłem na lunch.

W 1970 roku hrabstwo Ford zamieszkiwało dwadzieścia sześć procent ludności czarnej, siedemdziesiąt cztery procent ludności białej i zero procent ludności „innej” czyli takiej, którą trudno było zakwalifikować do jednej lub drugiej kategorii. Sześć lat po burzliwym roku 1964, roku masowej presji na powszechną rejestrację czarnych, i pięć lat po roku 1956, kiedy to uchwalono ustawę o prawie do głosowania, w hrabstwie Ford niewielu chciało się rejestrować. W stanowych wyborach w 1967 głosowało tu niemal siedemdziesiąt procent uprawnionych białych i ledwie dwanaście procent czarnych. Presja na rejestrację spotykała się w Lowtown z obojętnością. Jednym z

powodów było to, że w hrabstwie mieszkało tylu białych, iż żaden czarny nie miał żadnych szans na wybór. Po co więc zawracać tym sobie głowę?

Kolejnym powodem było złe traktowanie czarnych w punktach rejestracyjnych. Przez sto lat biali stosowali najprzeróżniejsze sztuczki, żeby uniemożliwić im rejestrację. Podatek rejestracyjny, sprawdzian z umiejętności czytania... lista była długa i żalosna.

Jeszcze innym powodem było to, że czarni nie chcieli, by biali wpisywali ich do jakichkolwiek rejestrów. Mogło to oznaczać kolejne podatki, zwiększony nadzór, najścia oraz inne uciążliwości. Rejestracja mogła też pociągnąć za sobą obowiązek stawiennictwa w sądzie w przypadku, gdyby wybrano ich do puli kandydatów na sędziów przysięgłych.

Według Harry'ego Reksa, informatora nieco bardziej miarodajnego niż Baggy, w całej historii hrabstwa w ławie przysięgłych nie zasiadał ani jeden czarny. Ponieważ potencjalnych przysięgłych wybierano jedynie z list wyborczych, w sądzie stawiało się ich ledwie kilku. A tym, którzy przeszli przez sito pierwszych przesłuchań, rutynowo dziękowano przed powołaniem ostatecznej dwunastki. W sprawach karnych oskarżenie nie chciało ich, uważając, że za bardzo sympatyzowaliby z oskarżonym. W sprawach cywilnych zaś nie chciała ich obrona, obawiając się, że hojną ręką będą rozdawali cudze pieniądze.

Jednakże teorii tych nigdy dotąd nie sprawdzono.

Callie i Esau Ruffinowie zarejestrowali się w 1951 roku. Wmaszerowali razem do biura sekretarza sądu objazdowego i zażądali, żeby wpisano ich na listę wyborców. Tak jak ją nauczono, zastępczyni sekretarza podała im zalaminowaną kartkę z napisem DEKLARACJA NIEPODLEGŁOŚCI w nagłówku. Tekst był po niemiecku.

Zakładając, że Ruffinowie są takimi samymi analfabetami, jak większość Murzynów w hrabstwie Ford, spytała:

- Umie pani to przeczytać?

- To nie jest po angielsku - odparła Callie. - To jest po niemiecku.

- Ale umie pani? - powtórzyła urzędniczka, zdając już sobie sprawę, że z tą dwójką tak łatwo jej nie pójdzie.

- Potrafię przeczytać tyle, ile pani - odrzekła grzecznie Callie. Urzędniczka zabrała kartkę i podała im drugą.

- A to? - spytała.

- Tak. To jest akt swobód obywatelskich.

- Co jest napisane w punkcie ósmym? Callie przeczytała powoli i odrzekła:

- Że Ósma Poprawka zabrania nakładania zbyt wysokich sankcji karnych i kar pieniężnych.

Zależnie od źródła i wersji tej opowieści, właśnie wtedy do rozmowy wtrącił się Esau.

- Mamy dom.

I położył na ladzie akt własności, który urzędniczka uważnie przeczytała. Posiadanie majątku nie było warunkiem wstępnym wciągnięcia na listę wyborców, było za to olbrzymim atutem, jeśli majątek ów posiadał czarny.

nie wiedząc, co zrobić, urzędniczka powiedziała:

- To wystarczy. Każde z was płaci dwa dolary podatku.

Esau podał jej pieniądze i tym oto sposobem, wraz z grupą trzydziestu jeden innych Murzynów z hrabstwa, wśród których nie było ani jednej kobiety, dołączyli do grupy pełnoprawnych wyborców.

nie przepuścili ani jednych wyborów. Panna Callie bardzo się martwiła, że tak niewielu przyjaciół poszło w ich ślady, lecz była za bardzo zajęta wychowywaniem ośmiorga dzieci, żeby coś w tej sprawie zrobić. Rasistowskie niepokoje i zamieszki, tak masowe w większości południowych stanów, ominęły hrabstwo Ford, dlatego nie powstał tu zorganizowany ruch na rzecz powszechnej rejestracji czarnych.

Początkowo nie wiedziałem, czy jest zaniepokojona, czy podekscytowana. Ona chyba też nie. Pierwsza czarna wyborczym mogła zostać pierwszym czarnym przysięgłym. Nigdy nie cofała się przed wyzwaniem, ale to, że miałyby kogoś osądzić, wywoływało u niej poważne rozterki moralne. „nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni” - powtórzyła kilka razy, cytując Jezusa.

- Ale gdyby wszyscy posłuchali Biblii, cały nasz system sądowniczy ległby w gruzach, prawda? - spytałem.

- nie wiem - odrzekła, uciekając wzrokiem w bok. Nigdy dotąd nie widziałem, żeby była tak pochłonięta myślami.

Jedliśmy smażonego kurczaka z tłuczonymi ziemniakami i sosem. Esau nie mógł

wyrwać się z pracy.

- Jak mam osądzać człowieka, o którym wiem, że jest winny? - spytała.

- Po pierwsze, trzeba wysłuchać wszystkich zeznań. Ma pani otwarty umysł. To nie będzie trudne.

- Ale przecież pan wie, że on ją zabił. Dał pan to jasno do zrozumienia w gazecie. -

Była szczerą do bólu.

- Pisaliśmy tylko o faktach. Jeśli fakty go obwiniają, to trudno.

Tego dnia milczeliśmy przy stole długo i często. Panna Callie była pogrążona w zadumie i prawie nic



nie jadła.

- A kara śmierci? - spytała. - Wsadzą go do komory gazowej?

- Tak. Za morderstwo grozi kara śmierci.

- Kto o tym decyduje?

- Przysięgli.

- O rety!

Po tym nie mogła już przełknąć ani kęsa. Odkąd dostała wezwanie, skoczyło jej ciśnienie. Była już u lekarza. Zaprowadziłem ją do saloniku, pomogłem położyć się na sofie i przyniosłem szklanek wody z lodem. Nalegała, żebym skończył jeść, więc z przyjemnością zjadłem w ciszy. Potem doszła do siebie i usiedliśmy w bujakiach na tarasie. Rozmawialiśmy o wszystkim, tylko nie o Dannym Padgicie i jego procesie.

Spytałem ją o włoskie wpływy w jej życiu i wreszcie trafiłem na żyłę złota. Przy czwartym lunchu powiedziała mi, że nauczyła się włoskiego, zanim poznała angielski.

Siedmiorgu dzieciom nadała włoskie imiona.

Musiała opowiedzieć mi długą historię. A ja nie miałem absolutnie nic do roboty.

W roku 1890 zwiększyło się światowe zapotrzebowanie na bawełnę i jej cena gwałtownie wzrosła. Domagano się, aby na żyznych obszarach na południu Stanów zbierano jej dużo więcej. Rozpaczliwie chcieli tego i plantatorzy z delty Missisipi, ale doskwierały im dramatyczne wprost braki siły roboczej. Wielu fizycznie zdolnych do pracy Murzynów, których przodkowie harowali na plantacjach jako niewolnicy, uciekło na Północ w poszukiwaniu lepszej pracy, a już na pewno lepszego życia. Ci, którzy zostali, nie wykazywali zbyt wielkiego entuzjazmu do zbierania bawełny za psi grosz.

Plantatorzy wpadli na pomysł sprowadzenia na Południe pilnych i pracowitych Europejczyków. Za pośrednictwem włoskich biur zatrudnienia w Nowym Jorku i Nowym Orleanie nawiązano kontakty, wymieniono obietnice, naopowiadano kłamstw, sfałszowano umowy i w roku 1895 do delty Missisipi wpłynął pierwszy okręt z emigrantami. Pochodzili z północy Włoch, z regionu Emilia - Romagna koło Werony. Byli w większości słabo wykształceni i prawie nie znali angielskiego, ale nawet gdyby mówili tylko po chińsku, szybko zrozumieliby, że padli ofiarą potężnego szwindlu. Dano im nory zamiast mieszkań i gdy w subtropikalnym klimacie rozpoczęli walkę z malarią, komarami, węzami i zepsutą wodą do picia, kazano im uprawiać bawełnę za pieniądze, z których nikt by nie wyżył. Na lichwiarskich warunkach byli zmuszeni zapożyczać się u plantatorów. Jedzenie kupowali w sklepach należących do miejscowej spółki, po wysokich cenach.

Ponieważ dobrze pracowali, plantatorzy postanowili sprowadzić ich więcej. Starannie się zakamuflowali, znowu naobiecywali Bóg wie czego włoskim pośrednikom i do Stanów popłynął strumień emigrantów. System pracy za długi działał idealnie i Włochów traktowano gorzej niż większość czarnych.

Z biegiem czasu próbowano dzielić się z nimi zyskami i przenosić na nich prawo własności ziemi, ale rynek bawełny był tak rozchwiany, że jakakolwiek stała umowa nie wchodziła w grę. Po dwudziestu latach bezwzględnego wykorzystywania Włosi rozproszyli się wreszcie po całym kraju i eksperyment przeszedł do historii.

Tych, którzy pozostali w delcie Missisipi, przez dziesięciolecia uważano za obywateli drugiej kategorii. Nie mieli prawa chodzić do szkoły, a ponieważ byli katolikami, niechętnie witano ich również w kościołach. Wszelkiego rodzaju kluby zatrzaśkiwały przed nimi drzwi.

Byli „makaroniarzami” i spychano ich na sam dół drabiny społecznej. Ale ponieważ ciężko pracowali i pilnie oszczędzali, stopniowo wykupywali coraz więcej ziemi.

Rodzina Rossettich wylądowała w Leland, w stanie Missisipi, w 1902 roku.

Pochodzili ze wsi pod Bolonią i mieli nieszczęście trafić tam na złego pośrednika. Pan i pani Rossetti przyплыnęli z czterema córkami, z których najstarsza, Nicola, miała dwanaście lat.

Chociaż pierwszego roku często chodzili głodni, z głodu nie umarli. Przybyli do Stanów bez grosza przy duszy, a po trzech latach pracy mieli już sześć tysięcy dolarów długu i żadnych perspektyw na jego spłatę. W środku nocy uciekli. Pociągiem towarowym przyjechali do Memphis, gdzie przygarnął ich daleki krewny.

W wieku piętnastu lat Nicola była oszałamiająco piękną dziewczyną. Długie ciemne włosy, brązowe oczy - klasyczna włoska piękność. Ponieważ robiła wrażenie starszej, powiedziała właścicielowi sklepu z odzieżą, że ma osiemnaście lat, a on dał jej pracę. Trzy dni później zaproponował jej małżeństwo. Od dwudziestu lat żonaty, chciał się rozwieść i porzucić dzieci, jeśli tylko Nicola z nim ucieknie. Odmówiła. W ramach zachęty sklepikarz zaproponował jej ojcu pięć tysięcy dolarów. Pan Rossetti też odmówił.

W tamtych czasach zamożne rodziny z północnej części stanu Missisipi robiły zakupy i udzielały się towarzysko w Memphis, zwykle o rzut kamieniem od hotelu Peabody. I właśnie tam ślepym zrzędzeniem losu Zachary DeJarnette z Clanton miał szczęście wpaść na Nicole Rossetti. Dwa tygodnie później byli już małżeństwem.

Zachary, bezdzietny wdowiec, akurat szukał żony. Był nie tylko wdowcem, ale i największym posiadaczem ziemskim w hrabstwie Ford, gdzie ziemia nie była tak żyzna jak w delcie Missisipi, ale jeśli miało się jej dużo, przynosiła spore zyski. Zachary odziedziczył

prawie dwa tysiące hektarów. Jego dziadek był kiedyś właścicielem dziadka Galii Harris Ruffin.

Małżeństwo było transakcją wiążaną. Nicola, dziewczyna nad wiek rozwinięta i mądra, chciała zabezpieczyć rodzinę. Przecież tyle wycierpieli. Dostrzegła okazję i w pełni ją wykorzystała. Zanim wzięli ślub, DeJarnette obiecał nie tylko zatrudnić jej ojca jako nadzorcę farmy, ale i zapewnić rodzinie wygodne mieszkania. Zgodził się również wykształcić jej trzy młodsze siostry. I spłacić dług. Był tak oczarowany Nicola, że zgodziłby się na wszystko.

Pierwsi Włosi przyjechali do hrabstwa Ford nie zdezelowanym wolim zaprzęgiem, tylko pierwszą klasą pociągu osobowego linii Illinois Central Rail Linę. Czekaający na nich służący wypakowali nowiuteńkie walizki i zaprowadzili ich do dwóch nowiuteńkich fordów model T, rocznik 1904. Na przyjęciach w Clanton państwo Rossetti byli traktowani po królewsku. W mieście aż huczało od opisów i plotek na temat niezwyklej urody nowej żony Zachary'ego. Mówiono o zorganizowaniu formalnej uroczystości ślubnej, która miałaby zrekompensować szybki ślub w Memphis, ale ponieważ w Clanton nie było kościoła katolickiego, pomysł ten zarzucono. Państwo młodzi musieli jeszcze rozstrzygnąć kłopotliwy problem preferencji religijnych. Ale gdyby Nicola poprosiła Zachary'ego, żeby przeszedł na hinduizm, natychmiast by to zrobił.

W końcu dotarli do rezydencji na skraju miasta. Gdy ojciec, matka i siostry Nicoli wjechali na długi podjazd i spojrzeli na okazały dom, zbudowany jeszcze przed wojną secesyjną przez pierwszego DeJarnette'a, wybuchli płaczem.

Postanowiono, że będą mieszkali tam do czasu, aż nie odnowi się i nie zmodernizuje domu nadzorcy. Nicola objęła obowiązki pani domu i robiła, co mogła, żeby zająć w ciążę. Jej młodsze siostry dostały prywatnych nauczycieli i już po kilku tygodniach mówiły niezłą angielszczyzną. Pan Rossetti spędzał całe dnie z ledwie o trzy lata młodszym zięciem i uczył

się od niego zarządzania plantacją.

A pani Rossetti poznała w kuchni matkę Callie, Indię.

- Gotowała dla nich moja babcia, gotowała i mama - mówiła panna Callie. -

Myślałam, że będę gotowała i ja, ale wyszło inaczej.

- Czy Zachary i Nicola mieli dzieci? - spytałem. Piłem trzecią czy czwartą szklanekę mrożonej herbaty. Było gorąco i lód w szklance stopniał. Panna Callie opowiadała od dwóch godzin, zapomniawszy o wezwaniu do sądu i o procesie.

- nie. To smutne, bo bardzo chcieli. Urodziłam się w 1911 i Nicola praktycznie odebrała mnie matce. Uparła się, żeby dać mi włoskie imię. Mieszkałam z nią w dużym domu. Mamie to nie przeszkadzało; miała gromadę innych dzieci, poza tym cały czas była w domu.

- Co robił pani ojciec?

- Pracował na farmie. To było dobre miejsce do życia i pracy. Mieliśmy wielkie szczęście, bo państwo DeJarnette o nas dbali. Byli dobrymi, uczciwymi ludźmi. Zawsze. Nie wszyscy Murzyni tak mieli. W tamtych czasach nasze życie należało do białego pana, właściciela domu, w którym mieszkaliśmy. Jeśli był zły, życie zmieniało się w piekło. Ale państwo DeJarnette byli cudownymi ludźmi. Pracowali u nich mój ojciec, dziadek i pradziadek, i nigdy nie doznali krzywdy.

- A Nicola?

Panna Callie uśmiechnęła się pierwszy raz od godziny.

- Niech ją Bóg błogosławi. Była moją drugą matką. Ubierała mnie i zabierała do Memphis. Kiedy byłam małym szkrabem, uczyła mnie włoskie go, chociaż nie umiałam jeszcze mówić po angielsku. Zaczęła uczyć mnie czytać, gdy skończyłam trzy lata.

- I mówi pani po włosku?

- Już nie. To było bardzo dawno temu. Uwielbiała opowiadać mi historie z dzieciństwa, kiedy jako mała dziewczynka mieszkała we Włoszech, i obiecała, że pewnego dnia mnie tam zabierze, żebym zobaczyła kanały w Wenecji, Watykan i Krzywą Wieżę w Pizie. Lubiła śpiewać i dużo opowiadała mi o operze.

- Była wykształcona?

- Jej matka trochę, ojciec wcale. Matka nauczyła ją czytać i pisać, ją i jej siostry.

Nicola obiecała wysłać mnie do college'u gdzieś na Północy, może nawet do Europy, gdzie ludzie byli bardziej tolerancyjni. Myśl, że Murzynka mogłaby studiować w college'u, była w latach dwudziestych kompletnie szalona.

W jej opowieści było dużo dygresji. Chciałem to wszystko zanotować, ale nie zabrałem notatnika. Obraz młodej czarnej dziewczyny mieszkającej w dworze sprzed wojny secesyjnej, mówiącej po włosku i słuchającej arii operowych w Missisipi przed pięćdziesięciu laty był niepowtarzalny.

- Pracowała pani w ich domu? - spytałem.

- O tak, kiedy trochę podrosłam. Byłam gosposią, ale nigdy nie musiałam pracować tak ciężko, jak inni. Nicola chciała mnie mieć cały czas przy sobie. Co najmniej godzinę dziennie siedziałyśmy w salonie i ćwiczyłyśmy angielski i włoski. Bardzo chciała wyzbyć się włoskiego akcentu, zależało jej też, żebym miała jak najlepszą wymowę. W mieście mieszkała emerytowana nauczycielka, panna Tucker, stara panna - nigdy jej nie zapomnę - i Nicola co rano wysyłała po nią samochód. Siedziałyśmy przy herbacie, odrabiałyśmy lekcje, a panna Tucker poprawiała mój każdy, najmniejszy nawet błąd. Uczyłyśmy się gramatyki.

Nowych słówek. Nicola narzuciła sobie taki dryl, że już wkrótce mówiła doskonałą angielszczyzną.

- I co się stało z tym college'em?

Panna Callie nagle się zmęczyła i opowieść dobiegła końca.

- Ach, panie redaktorze. To bardzo smutne. Pan DeJarnette stracił wszystko w 1920.

Zainwestował dużo pieniędzy w kolej, w akcje i różne tam takie, i niemal z dnia na dzień został z niczym. Zastrzelił się, ale to już inna historia.

- A z Nicola?

- Zdołała utrzymać ten wielki dom aż do II wojny światowej, a potem przeprowadziła się do

Memphis z panem i panią Rossetti. Przez wiele lat co tydzień pisywałyśmy do siebie listy; wciąż je przechowuję. Zmarła cztery lata temu; miała siedemdziesiąt sześć lat. Płakałam przez cały miesiąc. Nawet teraz płaczę, kiedy o niej pomyślę. Jak ja ją kochałam... - Mówiła coraz ciszej i ciszej i z doświadczenia wiedziałem, że zaraz uśnie.

Jeszcze tego samego wieczoru rozgrzebałem archiwum „Timesa”. Dwunastego września 1930 roku na pierwszej stronie gazety zamieszczono wiadomość o samobójstwie Zachary'ego DeJarnette'a. Załamany bankructwem, napisał nowy testament i pożegnalny list do Nicoli, a potem, żeby ułatwić innym życie, pojechał do domu pogrzebowego w Clanton.

Wszedł tylnymi drzwiami z dubeltówką w rękę, odszukał pomieszczenia do balsamowania zwłok, usiadł, zdjął but, włożył sobie lufę do ust i nacisnął spust paluchem.

## ROZDZIAŁ 14

W poniedziałek dwudziestego drugiego czerwca na proces Danny'ego Padgitta stawili się wszyscy przysięgli z wyjątkiem ośmiu. Jak się wkrótce dowiedzieliśmy, z brakującej ósemki czterech już nie żyło, a czterech po prostu znikło. Większość z pozostałych dziewięćdziesięciu dwóch robiła wrażenie bardzo zdenerwowanych. Baggy powiedział, że sędziowie przysięgli zwykle nie mają pojęcia, w jakiej sprawie przyjdzie im wydać werdykt.

Ale w tym przypadku było inaczej. Absolutnie wszyscy mieszkańcy hrabstwa Ford wiedzieli, że wreszcie nadszedł ten wielki dzień.

nie ma to jak dobry proces o morderstwo - niewiele rzeczy przyciąga taki tłum, zwłaszcza w małym mieście, dlatego na długo przed dziewiątą sala rozpraw była już nabita.

Kandydaci na przysięgłych zajęli jedną stronę, publiczność drugą. Stary balkon dosłownie się ugiął. Pod ścianami stały rzędy ludzi. W ramach demonstracji siły szeryf Coley ściągnął do sądu chyba wszystkich mundurowych, którzy kręcili się tam, udawali ważnych i nic nie robili.

Cudowna okazja, żeby obrabować bank, pomyślałem.

Baggy i ja siedzieliśmy w pierwszym rzędzie. Baggy przekonał sekretarza sądu objazdowego, że przysługuje nam akredytacja prasowa i specjalne miejsca. Obok mnie siedział reporter z gazety w Tupelo, miły dżentelmen zalatujący tanim tytoniem fajkowym.

Wprowadziłem go w szczegóły morderstwa, nieoficjalnie rzecz jasna. Bardzo mu tą wiedzą zaimponowałem.

Padgittowie przyszli tłumnie. Siedzieli na krzesłach tuż przy stole obrony, skupieni wokół Danny'ego i Wilbanka jak złodzieje w melinie. Byli tak aroganccy, wyglądali tak złowrogo, że wbrew sobie zniechęciłem ich wszystkich. Nie znałem ich imion; niewielu je znało. Ale patrząc, jak tam siedzą, zastanawiałem się, który z nich zakradł się do naszej drukarni z sześćdziesięcioma litrami benzyny. Rewolwer miałem w teczce. Oni też na pewno mieli swoje pod ręką. Jeden fałszywy ruch tu czy tam i mogła wybuchnąć strzelanina, jak w starym westernie. Dodać do tego szeryfa Coleya i jego słabo

wyszkolonych, acz chętnie sięgających po broń podwładnych i wymietlibyśmy pół miasta.

Kilku Padgittów zerkało na mnie, ale znacznie bardziej przejmowali się teraz przysięgłymi niż mną. Obserwowali ich uważnie, gdy wchodzili do sali i pobierali instrukcję od sekretarza. Wraz ze swoimi adwokatami spoglądali też na listy, które skądś wytrzasnęli.

Wymieniali spostrzeżenia.

Danny miał na sobie ładną, lecz niezobowiązującą białą koszulę z długimi rękawami i wyprasowane w kant drelichowe spodnie. Zgodnie z poleceniem Wilbanksa, często się uśmiechał, jakby był miłym chłopcem, o którego niewinności mieliśmy się niebawem przekonać.

Siedzący po drugiej stronie przejścia Ernie Gaddis i jego pomocnicy też obserwowali kandydatów na przysięgłych. Gaddis miał dwóch asystentów, praktykanta bez uprawnień i oskarżyciela posiłkowego nazwiskiem Hank Hooten. Praktykant dźwigał akta i teczki. Hooten nie robił nic i po prostu tam był, żeby Ernie miał z kim pogadać.

Baggy nachylił się ku mnie, jakby nadeszła pora na plotki.

- Ten w brązowym garniturze - szepnął, ruchem głowy wskazując Hootena. - Dymał

Rhodę Kassellaw.

Przeżyłem szok i widać to było po mojej twarzy. Szarpnąłem się gwałtownie i spojrzałem na Baggy'ego. Zadowolony z siebie kiwnął głową i powiedział to, co mówił, ilekroć zdobył sensacyjną wiadomość:

- Mówię ci.

Oznaczało to, że nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Często się mylił, ale wątpliwości nie miał nigdy.

Hooten - wyglądał na czterdzieści lat - był nawet przystojny i miał przedwcześnie posiwiałe włosy.

- Skąd on jest? - szepnąłem. Czekaliśmy na sędziego i w sali panował gwar.

- Stąd. Spec od prawa majątkowego. Palant. Dwa razy się rozwodził i ciągle poluje.

- Gaddis wie, że spotykał się z Rhodą?

- Coś ty. Od razu by go zdjął.

- A Wilbanks? Myślisz, że wie?

- Nikt nie wie - odparł Baggy z jeszcze bardziej zadowoloną miną. Jakby osobiście nakrył ich w łóżku i aż do tej chwili trzymał to dla siebie. Nie byłem pewny, czy można mu wierzyć.

Panna Callie przysła kilka minut przed dziewiątą. Esau wprowadził ją do sali i musiał

wyść, bo nie mógł znaleźć wolnego miejsca. Panna Callie zameldowała się u sekretarza, a on wskazał jej krzesło w trzecim rzędzie; dostała kwestionariusz do wypełnienia. Poszukała mnie wzrokiem, ale dzieliło nas zbyt wielu ludzi. Wśród kandydatów naliczyłem jeszcze czterech Murzynów.

Woźny ryknął, że mamy wstać, więc wstaliśmy; zabrzmiało to tak, jakby przez salę przebiegło stado spłoszonych koni. Sędzia Loopus kazał nam usiąść i podłoga zatrzęsała się ponownie. Loopus z miejsca wziął się do pracy i wyglądało na to, że jest w dobrym humorze.

Miał salę nabitą wyborcami, a za dwa lata były wybory, chociaż nigdy dotąd nikt nie stawał z nim w szranki. Sześciu kandydatów natychmiast odrzucono, bo mieli ponad sześćdziesiąt pięć lat. Pięciu dalszych poszło w ich ślady z powodów zdrowotnych. Poranek zaczął się dłużyć.

Nie mogłem oderwać oczu od Hanka Hootena. Fakt, miał w sobie coś z kobieciarza.

Po serii pytań wstępnych pozostało siedemdziesięciu dziewięciu w pełni kompetentnych kandydatów. Panna Callie siedziała teraz w drugim rzędzie, zły znak, jeśli chciała się z tego wywinąć. Loopus udzielił głosu Erniemu Gaddisowi, który przedstawił się i ponownie wyjaśnił przysięgłym - robił to bardzo długo - że reprezentuje stan Missisipi, podatników i obywateli, którzy wybrali go, żeby ścigał i oskarżał przestępców. Że jest adwokatem ludu.

W tym procesie miał oskarżać Danny'ego Padgitta, któremu wielka ława przysięgłych, złożona ze współobywateli tego stanu, postawiła zarzut popełnienia gwałtu i morderstwa na osobie Rhody Kassellaw. Spytał, czy wśród kandydatów jest ktoś, kto nic o tym morderstwie nie słyszał. Nie podniosła się ani jedna ręka.

Ernie przemawiał do przysięgłych od trzydziestu lat. Był przyjacielski, umiał

czarować i miało się wrażenie, że można pogadać z nim o wszystkim nawet tu, w sali rozpraw. Powoli zaczął nawiązywać do problemu zastraszania. Czy ktoś spoza rodziny rozmawiał z państwem o tej sprawie? Ktoś obcy? A znajomi? Czy próbowali wpłynąć na państwa zdanie? Wezwania dostaliście państwo pocztą; lista kandydatów jest zamknięta w zapieczętowanym sejfie. Nikt nie mógł wiedzieć, że zostaliście państwo wybrani. Czy ktoś o to państwa wypytywał? Czy ktoś państwu groził? Czy ktoś coś państwu proponował? Gdy Ernie zadawał te pytania, w sali panowała głucha cisza.

Zgodnie z oczekiwaniami nikt nie podniósł ręki. Ale Gaddisowi udało się przemycić wiadomość, że Padgittowie żyją w mrocznym półświatku. Zawiesił nad nimi jeszcze ciemniejszy obłok i dał do zrozumienia, że on, prokurator okręgowy i adwokat ludu, zna prawdę.

Zakończył serią pytań, które cięły powietrze jak nóż.

- Czy rozumiej ą państwo, że każda próba manipulowania i wpływania na przysięgłych jest przestępstwem?

Chyba to rozumieli.

- I że jako prokurator okręgowy będę ścigał i oskarżał każdego, kto się tego dopuści?

Że zrobię wszystko, co tylko możliwe, by postawić takiego człowieka przed sądem i doprowadzić do jego skazania? Czy to rozumiecie?

Gdy skończył, wszyscy poczuliśmy się tak, jakby próbowano na nas wpłynąć.

Każdemu, kto kiedykolwiek rozmawiał o morderstwie Rhody, czyli dosłownie wszystkim obywatelom hrabstwa Ford, groziło niebezpieczeństwo, bo Ernie mógł ich oskarżyć i ścigać aż po grób.

- Skuteczny jest - szepnął reporter z Tupelo.

Lucien Wilbanks zaczął od wygłoszenia długiej i nudnej przemowy na temat domniemania niewinności, które jest fundamentalną zasadą amerykańskiego systemu prawnego. Bez względu na to, co kandydaci przeczytali w miejscowej gazecie - tu posłał w moją stronę pogardliwe spojrzenie - jego klient, obecny tu Danny Padgitt, jest niewinny. A jeśli którykolwiek z kandydatów uważa inaczej, ma obowiązek podnieść rękę i publicznie to powiedzieć.

Ani jednej ręki.

- Dobrze. Swoim milczeniem dajecie sądowi do zrozumienia, że wszyscy, każdy z was może spojrzeć panu Padgittowi prosto w oczy i powiedzieć, że jest niewinny. Potraficie to zrobić? - Maglował ich tak o wiele za długo, wreszcie przeszedł do obowiązku przeprowadzenia dowodu i wygłosił kolejny wykład na temat monumentalnego zadania, jakie stoi przed oskarżeniem, które ponad wszelką wątpliwość musi udowodnić, że jego klient jest winny.

Te dwie święte gwarancje - domniemanie niewinności i udowodnienie winy ponad wszelką wątpliwość - zostały przyznane nam wszystkim, łącznie z przysięgłymi, przez bardzo mądrych ludzi, ojców amerykańskiej konstytucji i autorów aktu swobód obywatelskich.

Było już prawie południe i wszystkim marzyła się przerwa. Wilbanks tego nie zauważał i gadał dalej. Gdy kwadrans po dwunastej wreszcie usiadł, sędzia Loopus oznajmił, że umiera z głodu. Do drugiej mieliśmy wolne.

Zjedliśmy po kanapce w barze, razem z kumplami Baggy'ego, trzema podstarzałymi, wyplutymi prawnikami, którzy od lat nie przepuścili ani jednego procesu. Baggy miał ochotę na szklaneczkę whisky, ale o dziwo, z jakichś powodów uznał, że obowiązek przede wszystkim. Jego kumple uznali inaczej. Sekretarz dał nam zaktualizowaną listę kandydatów.

Panna Callie miała numer dwadzieścia dwa. Była pierwszą na liście Murzynką i trzecią kobietą.

Panowało powszechne odczucie, że obrona jej nie zakwestionuje, ponieważ jest czarna, a według przeważającej teorii, czarni zawsze sympatyzują z oskarżonymi. Nie bardzo rozumiałem, dlaczego czarny miałby sympatyzować z białym bandytą w rodzaju Danny'ego Padgitta, ale tamci nieugięcie



twierdzili, że Wilbanks chętnie ją zaakceptuje.

Według tej samej teorii, oskarżenie miałoby wykorzystać arbitralną możliwość wyłączenia bez podania przyczyny i skreślić ją ze składu.

- Niekoniecznie - rzucił Chick Elliot, najstarszy i najbardziej pijany z paczki. - Na miejscu Gaddisa bym ją wziął - dodał i strzelił kolejnego kielicha.

- Bo? - spytał Baggy.

- Bo dzięki „Timesowi” dobrze ją teraz znamy. Pokazała się jako rozsądna, bogobojna, cytująca Biblię patriotka, która wychowała te stado bachorów ciężką ręką i kopniakiem w dupę, kiedy coś przeskrobały.

- Słusznie - zgodził się z nim Tackett, najmłodszy z nich trzech. Ale Tackett zgadzał

się z każdą przeważającą w danej chwili teorią. - Dla oskarżenia to idealna kandydatka. Poza tym jest kobietą. To sprawa o gwałt.

Wziąłbym tyle kobiet, ile by się dało.

Spierali się tak godzinę. Byłem z nimi pierwszy raz i nagle zrozumiałem, skąd Baggy czerpie tyle różnych opinii na tyle różnych tematów. Chociaż tego nie okazywałem, bardzo się martwiłem, że moje długie, piękne artykuły o panie Callie będą ją kiedyś prześladować.

Po lunchu sędzia Loopus przeszedł do etapu o wiele poważniejszego: do kary śmierci.

Wyjaśnił jej charakter, opisał obowiązujące procedury i ponownie oddał głos Gaddisowi.

Kandydat numer jedenaście, członek jakiegoś mało znanego kościoła, dał jasno do zrozumienia, że nie mógłby zagłosować za posłaniem człowieka do komory gazowej.

Kandydat numer trzydzieści cztery, stary wiarus, uczestnik dwóch wojen, uważał, że karę śmierci stosuje się stanowczo za rzadko, co oczywiście ucieszyło Erniego, który wybierał

przysięgłego za przysięgłym i grzecznie wypytywał ich o zdanie na temat osądzania innych i skazywania ich na śmierć. Wreszcie dotarł do panny Callie.

- Pani Ruffin, czytałem o pani i wiem, że jest pani bardzo religijna. Czy to prawda?

- Kocham Pana naszego, tak - odrzekła panna Callie jak zwykle głośno i wyraźnie.

- Czy ma pani wątpliwości co do osądzania człowieka przez człowieka?

- Tak, mam.

- Czy chce pani zostać wyłączona ze składu przysięgłych?

- nie. Moim obywatelskim obowiązkiem jest być tu wraz z innymi.

- Jeśli zostanie pani zakwalifikowana do ostatecznego składu i jeśli przysięgli uznają, że pan Padgitt jest winny, czy będzie pani mogła zagłosować za skazaniem go na karę śmierci?

- Na pewno nie chciałabym tego robić.

- Pytałem, czy będzie pani mogła.

- Szanuję prawo, jak wszyscy tu obecni. I jeśli prawo mówi, że powinniśmy rozważyć, czy oskarżony zasługuje na śmierć, postąpię tak, jak nakazuje.

Cztery godziny później Calia Harris Ruffin została wybrana jako ostatni, dwunasty sędzia przysięgły: była pierwszą w historii hrabstwa Murzynką, którą powołano do ostatecznego składu ławy. Pijacy z sądowego baru mieli rację. Obrona chciała jej, bo panna Callie była czarna. Oskarżenie chciało jej, bo dobrze ją znano. Poza tym Emie Gaddis musiał

mieć w zapasie możliwość skreślenia mniej atrakcyjnych kandydatów.

Późnym wieczorem tego dnia siedziałem samotnie w redakcji, pisząc sprawozdanie z pierwszego dnia procesu i selekcji przysięgłych. Wtem z dołu doszedł znajomy hałas. Harry Rex miał specyficzny sposób otwierania drzwi i wchodzenia po drewnianych schodach, tak więc niezależnie od pory dnia wszyscy pracownicy „Timesa” wiedzieli, że przyszedł.

- Willie! - wrzasnął.

- Tutaj! - krzyknąłem.

Zadudnił na schodach, wszedł i zwałił się na swój ulubiony fotel.

- Co myślisz o przysięgłych? - Był chyba zupełnie trzeźwy.

- Znam tylko jednego - odrzekłem. - A ty?

- Siedmiu.

- Myślisz, że wybrali pannę Callie, bo napisałem te artykuły?

- Jasne. - Był jak zawsze brutalnie szczery. - Wszyscy o niej gadają. Obie strony uważają ją za dobrą znajomą. Jest rok 1970, a my nie mieliśmy jak dotąd czarnego przysięgłego. Zrobiła dobre wrażenie. Bo co? Martwi cię to?

- Chyba tak.

- Dlaczego? Czy zasiadanie w ławie przysięgłych to coś złego? Najwyższa pora na czarnych. Ona i jej mąż zawsze chcieli przełamywać bariery. Nie ma w tym nic niebezpiecznego. To znaczy, w normalnych okolicznościach.

nie rozmawiałem z panną Callie i wiedziałem, że będę mógł spotkać się z nią dopiero po procesie. Sędzia Loopus zarządził odizolowanie ławy przysięgłych na cały tydzień. Przez ten czas mieli mieszkać w hotelu w innym mieście.

- Są wśród nich jakieś mętne typy? - spytałem.

- Może. Wszystkich niepokoi ten kaleka spod Dumas. Fargarson. Przetracił sobie kręgosłup w tartaku wuja. Przed laty wuj sprzedawał drewno Padgittom. Hardy jest chłopak.

Gaddis chciał go wykluczyć, ale wyczerpał limit.

„Chłopak” chodził o lasce i miał co najmniej dwadzieścia pięć lat. Harry Rex nazywał tak każdego mężczyznę młodszego od siebie.

- Ale z Padgittami nigdy nic nie wiadomo - mówił. - Mogą już mieć w kieszeni połowę przysięgłych.

- Przestań, chyba w to nie wierzysz?

- nie, ale bym się nie zdziwił, gdyby utknęli w martwym punkcie. Ernie będzie musiał przyatakować ze dwa, może nawet trzy razy, zanim go dorwie.

- Ale skazą go, tak? - Myśl, że Danny Padgitt mógłby uniknąć kary, napawała mnie przerażeniem. Zainwestowałem w Clanton całego siebie i jeśli tutejszy sąd tak łatwo dawał się skorumpować, nie chciałem tu dłużej mieszkać.

- Danny'ego? - odparł Harry Rex. - Powieszą go za dupę.

- To dobrze. Dostanie czapę?

- Kiedyś na pewno. Mieszkamy na samej sprzączce pasa biblijnego, Willie. Oko za oko i tak dalej. Loopus robi wszystko, żeby pomóc Erniemu.

I wtedy popełniłem błąd, pytając go, dlaczego pracuje o tak późnej porze. Facet, którego akurat rozwodził, wyjechał w interesach, a potem wrócił cichcem do miasta i nakrył

żonę z gachem. On i Harry Rex przesiadeli dwie godziny w pożyczonym pikapie za motelem - burdelem na północ od Clanton. Okazało się, że żona ma dwóch gachów.

Opowiedzenie tej historii zajęło mu pół godziny.

## **ROZDZIAŁ 15**

We wtorek rano zmarnowaliśmy prawie dwie godziny, bo adwokaci zażarcie kłócili się o coś w gabinecie sędziego.

- Pewnie o zdjęcia - powtarzał Baggy. - Zawsze kłóć się o zdjęcia.

Ponieważ nie wtajemniczono nas w sekrety ich małej wojny, czekaliśmy niecierpliwie w sali, pilnując krzesel. Pisząc jak kura pazurem - pozazdrościłby mi tego każdy doświadczony reporter - wypełniłem kilka stron bezsensownymi notatkami. Ale dzięki temu miałem przynajmniej coś do roboty i nie musiałem zerkać na gapiących się na mnie Padgittów. Przysięgłych nie było, więc przypatrywali się publiczności, zwłaszcza mnie.

Sędziowie przysięgli siedzieli pod kluczem w sali narad pilnowanej przez ludzi szeryfa, jakby ktoś mógłby ich napaść i coś przez to zyskać. Sala mieściła się na pierwszym piętrze i miała duże okna wychodzące na wschodnią stronę trawnika przed sądem. Na dole jednego z nich wmontowano hałaśliwy klimatyzator, który - jeśli pracował na pełnych obrotach - było słychać na całym rynku. Pomyślałem o panie Callie i jej ciśnieniu.

Wiedziałem, że czyta Biblię i ją to uspokaja. Rano zadzwoniłem do Esaua. Był bardzo zdenerwowany, bo zabrano mu ją i wywieziono.

Siedział teraz w ostatnim rzędzie, czekając razem z nami.

Kiedy sędzia Loopus i prawnicy weszli w końcu do sali, wyglądali jak po ostrej bójce na pięści. Sędzia dał znak woźnemu i wprowadzono przysięgłych. Loopus powitał ich, podziękował za cierpliwość, spytał, jak im się mieszka w hotelu, przeprosił za niedogodności, za opóźnienie i obiecał, że od tej pory wszystko pójdzie dużo lepiej.

Potem stanął przed nimi Ernie Gaddis, żeby wygłosić mowę wstępną. W ręku trzymał

notatnik, ale ani razu nań nie spojrzął. Z wielką wprawą wyrecytował listę zarzutów, które, jako reprezentant stanu, zamierzał postawić i udowodnić Danny'emu Padgittowi. Gdy przedstawione zostaną wszystkie dowody rzeczowe, gdy przesłuchani zostaną wszyscy świadkowie, gdy wreszcie prokurator i obrońca zamilkną i gdy po raz ostatni pouczy ich sędzia, wymierzenie sprawiedliwości będzie zależało tylko od nich. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Danny Padgitt jest winny gwałtu i morderstwa. Dokładnie ważył każde słowo, każde słowo trafiło do celu. Na szczęście mówił krótko. Pewny ton i treściwe uwagi wyraźnie sugerowały, że za jego opinią przemawiają fakty i dowody, że na pewno uzyska werdykt skazujący. Nie potrzebował długich, emocjonalnych argumentów, żeby ich przekonać.

Baggy zawsze powtarzał, że „kiedy sprawa jest niepewna, adwokaci dużo mówią”.

Co dziwne, Lucien Wilbanks oświadczył, że zabierze głos dopiero po przedstawieniu dowodów, co było taktyką rzadko stosowaną.

- On coś knuje - wymamrotał Baggy, jakby on i Wilbanks myśleli jedną głową. - Jak zwykle.

Pierwszym świadkiem oskarżenia był sam szeryf Coley. Do jego obowiązków należało między innymi zeznawanie w sprawach karnych, ale wątpiliśmy, czy marzył, żeby występować przeciwko któremuś z Padgittów. Za kilka miesięcy były wybory. Chciał dobrze wypaść.

Dzięki drobiazgowemu planowi Erniego i dzięki temu, że potrafił umiejętnie naprowadzić każdego świadka, krok po kroku prześledzili przebieg zbrodni. W sali wisiał

wielki plan domu ofiary, domu państwa Deece, zdjęcia okolic Beech Hill i mapa drogowa, na której dokładnie zaznaczono miejsce aresztowania Danny'ego Padgitta. Były też zdjęcia zwłok - duże, takie dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów - które pokazano przysięgłym. Zareagowali zdumiewająco. Wszyscy mieli zaszokowane twarze. Niektórzy aż się wzdrygali. Kilku rozdziawiło usta. Panna Callie zamknęła oczy i chyba zaczęła się modlić.

Pani Baldwin, druga z trzech kobiet wśród przysięgłych, głośno wciągnęła powietrze i odwróciła głowę. Potem popatrzyła na Danny'ego Padgitta tak, jakby miała ochotę przytknąć mu lufę rewolweru do czoła i pociągnąć za spust. Ktoś wymamrotał: „O mój Boże”. Ktoś inny zasłonił sobie usta, jakby miał zaraz zwymiotować.

Przysięgli siedzieli na miękkich krzesłach obrotowych, które lekko się bujały. Gdy z rąk do rąk przekazywali sobie zdjęcia, ani jedno krzesło nie stało bez ruchu. Zdjęcia zawsze prowokowały, zawsze wywoływały uprzedzenia, ale zawsze też stanowiły dopuszczalny dowód i patrząc na wstrząśniętych przysięgłych, pomyślałem, że Danny Padgitt jest już trupem. Sędzia Loopus dopuścił tylko sześć fotografii. Wystarczyłaby jedna.

Było po pierwszej i wszyscy chcieli wyjść na przerwę. Wątpiłem, czy przysięgli będą mieli dobry apetyt.

Drugim świadkiem oskarżenia była siostra Rhody. Nazywała się Ginger McClure, mieszkała w Missouri i kilka razy rozmawiałem z nią po morderstwie.

Kiedy powiedziałem jej, że studiowałem w Syracuse i nie pochodzę z hrabstwa Ford, trochę złagodniała i - aczkolwiek niechętnie - wysłała mi zdjęcie do nekrologu. Potem poprosiła o przysłanie wszystkich numerów „Timesa”, w których pisaliśmy o procesie.

Denerwowała się, bo w prokuraturze okręgowej nic jej nie chciano powiedzieć.

Była szczupła, rudowłosa, bardzo atrakcyjna i dobrze ubrana, i kiedy siadała na krześle dla świadków, wszyscy się na nią gapili.

Ernie chciał, żeby wzbudziła sympatię przysięgłych. Chciał też im przypomnieć, że w tym wyrachowanym morderstwie dwoje małych dzieci straciło matkę. Zeznawała krótko.

Wilbanks poszedł po rozum do głowy i nie zadał jej żadnych pytań. Gdy sędzia jej podziękował, jako przedstawicielka rodziny usiadła na zarezerwowanym dla niej krześle obok Gaddisa. Ludzie śledzili każdy jej ruch do chwili, gdy wezwano następnego świadka.

Potem znowu wróciliśmy do krwawych szczegółów. Zeznawał patolog ze stanowego laboratorium kryminalistycznego, który miał przedstawić wyniki sekcji zwłok. Chociaż miał

mnóstwo zdjęć, nie wykorzystał żadnego. Nie musiał. Mówiąc językiem laika, przyczyna śmierci była oczywista: ofiara się wykrwawiła. Tuż pod lewym uchem miała ranę ciętą długości dziesięciu

centymetrów, która biegła niemal prosto w dół. Rana miała prawie pięć centymetrów głębokości i według patologa - który widział wiele takich ran - pochodziła od gwałtownego pchnięcia nożem o klindze długości około piętnastu centymetrów i dwuipółcentymetrowej szerokości. Osoba, która ją zadała, była najprawdopodobniej praworęczna. Cios przeciął lewą tętnicę szyjną i w tym momencie ofierze pozostało ledwie kilka minut życia. Druga rana miała ponad szesnaście centymetrów długości, dwa i pół

centymetra głębokości, biegła od podbródka do prawego ucha, które przecięła niemal na pół, i sama w sobie nie byłaby prawdopodobnie śmiertelna.

Patolog opisywał to wszystko, jakby chodziło o ukąszenie zwykłego kleszcza. Nic wielkiego. Nic niezwykłego. Codziennie widywał znacznie gorsze rany i opisywał je przysięgłym. Ale zebranych w sali opis ten bardzo poruszył. Była taka chwila, gdy wszyscy przysięgli patrzyli na Padgitta, myśląc w duchu: winny.

Lucien Wilbanks zaczął dość uprzejmie. On i patolog ścinali się już wcześniej na innych procesach. Najpierw wymógł na nim stwierdzenie, że w niektórych przypadkach -

takich jak choćby wymiary narzędzia zbrodni czy fakt, że morderca był praworęczny - mogło dojść do pomyłki.

- Cały czas używałem określenia „prawdopodobnie” - odrzekł cierpliwie patolog.

Odniosłem wrażenie, że maglowano go w sądzie tyle razy, iż nic już go nie ruszało.

Wilbanks dźgał go i poszturchiwał, ale był na tyle ostrożny, że nie nawiązał już do obciążających dowodów. Przysięgli nasłuchali się już o ranach i cięciach; byłby głupi, gdyby do tego wrócił.

Potem zeznawał drugi patolog. On też brał udział w autopsji i dokładnie obejrzawszy zwłoki, odkrył kilka śladów, dzięki którym można było zidentyfikować mordercę. W pochwie ofiary znalazł spernę i po jej zbadaniu stwierdził, że gwałciciel i Danny Padgitt mają tę samą grupę krwi. Pod paznokciem palca wskazującego prawej ręki Rhody znalazł maleńki skrawek ludzkiej skóry. Badania wykazały, że należy do człowieka o tej samej grupie krwi co Padgitt.

Wilbanks spytał go, czy to on badał jego klienta. nie, nie on. Czy na ciele pana Padgitta były jakieś otarcia lub zadrapania?

- nie badałem go - powtórzył patolog.

- Czy oglądał pan jego zdjęcia?

- nie.

- A więc nawet jeśli skrawek skóry, o którym mowa, należy do niego, nie jest pan w stanie powiedzieć przysięgłym, skąd pochodzi, prawda?

- Boję się, że nie.

Po czterech godzinach plastycznych opisów wszyscy mieli dość. Sędzia Loopus odprawił przysięgłych z surowym ostrzeżeniem, żeby nie kontaktowali się z nikim z zewnątrz. Chyba trochę przesadził, bo ukrywano ich przecież w innym mieście i cały czas pilnowała ich policja.

Baggy i ja wróciliśmy pędem do redakcji. Prawie do dziesiątej stukaliśmy na maszynie. Był wtorek, a Hardy nie lubił pracować dłużej jak do jedenastej. W te rzadkie dni, kiedy prasa nie nawalała, potrafił wydrukować pięć tysięcy egzemplarzy w niecałe trzy godziny.

Złożył tekst najszybciej, jak umiał. Nie było czasu na redagowanie i korektę, ale zbytnio się tym nie przejmowałem, bo panna Callie siedziała pod kluczem i nie mogła wyłapywać naszych błędów. Baggy zdążył strzelić sobie kielicha i szybko się ulotnił. Ja też miałem już wyjść, gdy do redakcji weszła Ginger McClure i przywitała się ze mną jak ze starym znajomym. Była w obcisłych dżinsach i czerwonej bluzce. Spytała, czy mam coś do picia. W redakcji nie miałem nic, ale to nas nie powstrzymało.

Wsiedliśmy do spitfire'a i pojechaliśmy do Quincy'ego, gdzie kupiłem sześć piw.

Chciała popatrzeć na dom Rhody. Ostatni raz, z daleka, z drogi. Ruszyliśmy i ostrożnie spytałem ją o dzieci. Było dobrze i źle. Mieszkały z jej siostrą - tu szybko wyjaśniła, że ona, Ginger, właśnie się rozwiodła - i przechodziły intensywną terapię. Chłopczyk zachowywał się prawie normalnie, chociaż czasami odpływał, zapadając w długie milczenie. Z dziewczynką było znacznie gorzej. Ciągle dręczyły ją koszmary nocne, w których występowała jej matka, i nie potrafiła zapanować nad pęcherzem.

Często znajdowano ją w pozycji embrionalnej: ssała kciuk i żałośnie pojękiwała.

Lekarze eksperymentowali z różnymi lekami.

Ani ona, ani jej brat nie chcieli lub nie potrafili powiedzieć rodzinie i lekarzom, co widzieli tamtej nocy.

- Widzieli, jak ktoś gwałci i dźga nożem ich matkę - dodała, dopijając pierwsze piwo.

Ja wypłem dopiero połowę.

Dom Deece'ów wyglądał tak, jakby pan i pani Deece od wielu dni spali. Skręciliśmy w zwirówkę prowadzącą do niegdyś szczęśliwego domu Rhody Kassellaw. Pusty i ciemny, robił

wrażenie opuszczonego i porzuconego. Na podwórzu stała tablica z napisem: NA SPRZEDAŻ. Był jedynym znaczącym składnikiem jej skromnego majątku i wszystkie pieniądze miały otrzymać dzieci.

Na prośbę Ginger zgasilem światła i wyłączyłem silnik. Kiepski pomysł, bo - ze zrozumiałych względów - sąsiedzi wciąż byli bardzo nerwowi. Poza tym nikt inny w hrabstwie nie miał takiego samochodu i mój spitfire triumph podejrzenie tu wyglądał.

Delikatnie położyła rękę na mojej ręce i spytała:

- Jak on tam wszedł?

- Znaleźli odciski butów pod drzwiami na taras. Pewnie były otwarte. Podczas długich chwil ciszy odtwarzaliśmy w myśli przebieg napaści i gwałtu. Widzieliśmy, jak Padgitt zadaje ciosy nożem, jak dwoje małych dzieci biegnie w ciemności, wołając pana Deece'a na ratunek mamie.

- Przyjaźniłyście się? - spytałem i w tym samym momencie doszedł mnie odległy warkot nadjeżdżającego samochodu.

- Jako młode dziewczyny tak, ale ostatnio nie. Wyjechała dziesięć lat temu.

- Jak często ją odwiedzałaś?

- Byłam tu dwa razy. Ja też wyjechałam, do Kalifornii. Straciłyśmy kontakt. Po śmierci jej męża błagaliśmy, żeby wróciła do Springfield, ale jej się tu podobało. Tak naprawdę chodziło o to, że nigdy nie potrafiła dogadać się z mamą.

Nadjeżdżająca z tyłu półciężarówka zwolniła. Próbowałem udawać, że się tym nie przejmuję, ale wiedziałem, jak niebezpiecznie może tu być po zmroku. Ginger patrzyła na dom, widząc pewnie jakiś koszmar, i chyba nic nie słyszała. Na szczęście pikap pojechał

dalej.

- Jedźmy - powiedziała, ściskając mnie za rękę. - Boję się.

Gdy ruszyliśmy, zobaczyłem pana Deece'a, który czyhał przed garażem ze strzelbą w rękę. Miał być ostatnim świadkiem oskarżenia.

Ginger zatrzymała się w motelu, ale nie chciała tam jechać. Minęła północ i ponieważ nie mieliśmy dokąd pójść, zawiozłem ją do Hocuttów, gdzie omijając koty, weszliśmy schodami na górę, do mojego mieszkania.

- Tylko nic sobie nie pomyśl - ostrzegła, zdejmując buty i siadając na sofie. - nie jestem w nastroju.

- Ani ja - zełgałem.

Mówiła żartobliwym tonem, jakby jej nastrój mógł się w każdej chwili zmienić i jakbyśmy mogli się do czegoś przymierzyć. Nie miałem nic przeciwko temu, żeby poczekać.

Przyniosłem z kuchni zimne piwo i rozsiedliśmy się wygodnie, jakbyśmy mieli siedzieć tam do wschodu słońca.

- Opowiedz mi o swojej rodzinie - poprosiła.

Temat nie należał do moich ulubionych, ale czegoż nie robi się dla damy.

- Jestem jedynakiem. Moja matka zmarła, kiedy miałem trzynaście lat. Ojciec mieszka w Memphis w



naszym starym domu, bo i jemu, i w naszym dachu brakuje piątej klepki. Ma pokój na poddaszu, siedzi tam dniami i nocami, handlując akcjami i obligacjami. Nie wiem, jak mu idzie, ale chyba ma więcej strat niż zysków. Raz w miesiącu rozmawiamy przez telefon.

- Jesteś bogaty?

- nie, moja babka jest bogata. Matka mojej matki, BeeBee. Pożyczyła mi pieniądze na kupno gazety.

Myślała o tym przez chwilę, pijąc piwo.

- Nas było trzy, teraz zostałyśmy tylko we dwie. Kiedy dorastałyśmy, ostro nam odbijało. Ojciec poszedł pewnego dnia po mleko i już nie wrócił.

Od tamtego czasu mama dwa razy wychodziła za mąż i dwa razy się rozwodziła.

Jakoś się jej nie układa. Jestem po rozwodzie. Moja starsza siostra też. Rhoda nie żyje. -

Sięgnęła po butelkę i trąciła nią moją. - Za nasze popieprzone rodziny.

Wypiliśmy.

Rozwiedziona, bezdietna, szalona i bardzo słodka. Mógłbym z nią trochę pobycć.

Potem wypytywała mnie o nasze hrabstwo i jego mieszkańców: o Wilbanksa, o Padgittów, o szeryfa Coleya i tak dalej. Gadałem i gadałem, czekając na zmianę nastroju.

Nic z tego. Gdzieś po drugiej nad ranem wyciągnęła się na sofie i poszedłem do łóżka sam.

## **ROZDZIAŁ 16**

Gdy wychodziliśmy kilka godzin później, wokół garażu pod mieszkaniem kręciło się troje Hocuttów: Max, Wilma i Gilma. Pewnie chcieli ją poznać. Gdy wesoły jak pszczołka dokonywałem prezentacji, patrzyli na nią z pogardą i już się bałem, że Max powie zaraz coś w rodzaju: „W umowie o wynajem nie było klauzuli o cudzołóstwie”. Ale nie, nie padło nic obraźliwego i szybko pojechaliśmy do redakcji. Tam Ginger wskoczyła do swojego samochodu i odjechała.

W pokoju od frontu od podłogi do sufitu piętrzyły się stosy najnowszego numeru

„Timesa”. Chwyciłem pierwszy z brzegu, żeby szybko go przejrzeć. Nagłówek był w miarę powściągliwy: PIERWSZY DZIEŃ PROCESU DANNYEGO PADGITTA. PRZYSIĘGLI ODIZOLOWANI. Nie zamieściliśmy ani jednego zdjęcia oskarżonego. Wykorzystaliśmy ich już aż za dużo i chciałem zachować jedno na przyszły tydzień, kiedy to - przynajmniej taką miałem nadzieję - zamierzaliśmy przyłapać Padgitta w chwili, gdy wychodzi z sądu po otrzymaniu kary śmierci. Napisaliśmy z Baggym o wszystkim, co widzieliśmy i słyszeliśmy na dwóch pierwszych rozprawach, i byłem całkiem dumny z naszego stylu. Artykuły wyszły treściwe, rzeczowe, szczegółowe, dobrze napisane. Nie zawierały niczego drastycznego. Ich siłą napędową był sam proces. I szczerze mówiąc, dostałem już nauczkę za pogoń za sensacją.

O ósmej sąd i rynek były zasłane gratisowymi numerami „Timesa”.

W środę rano nie było żadnych wstępnych potyczek. Punktualnie o dziewiątej wprowadzono przysięgłych i Ernie Gaddis wezwał kolejnego świadka. Nazywał się Chub Brooner i od wielu lat pracował jako śledczy w biurze szeryfa. Według Baggy'ego i Harry'ego Reksa słynął z niekompetencji.

Żeby obudzić przysięgłych i przykuć uwagę publiczności, Gaddis pokazał nam koszulę, którą Danny Padgitt miał na sobie w chwili aresztowania. Nie wyprano jej; plamy krwi były teraz ciemnobrązowe. Gawędząc z Broonerem, Ernie pomachał nią lekko, żeby wszyscy dobrze widzieli. Zdjął ją z Padgitta funkcjonariusz Grice, w obecności Broonera i Coleya. Badania wykazały obecność dwóch grup krwi: O Rh+ i B Rh+. Dalsze testy przeprowadzone w stanowym laboratorium kryminalistycznym potwierdziły, że krew grupy B

należy do Rhody Kassellaw.

Obserwowałem Ginger. Popatrzyła na koszulę, spuściła głowę i zaczęła coś pisać.

Wyglądała dużo lepiej niż poprzedniego dnia w sądzie. Niepokoiły mnie jej nastroje.

Koszula była na przedzie rozerwana. Wypelzając z rozbitego samochodu, Danny się skaleczył i założono mu dwanaście szwów. Brooner wyjaśnił to przysięgłym całkiem znośnie.

Potem Ernie rozstawił stojak i umieścił na nim dwa powiększone zdjęcia śladów buta na tarasie domu Rhody, następnie ze stołu z dowodami rzeczowymi wziął buty, w których Padgitta przywieziono do aresztu. Brooner z trudem przebrnął przez ten łatwy w sumie etap, mimo to zdołał dać przysięgłym do zrozumienia, że ślady ze zdjęć pasują do butów.

Wilbanks go przerażał, tak że już od pierwszego pytania Brooner jąkał się i zacinał.

Lucien mądrze zignorował fakt, że na koszuli Danny'ego znaleziono krew Rhody, i zaczął

wypytywać go szczegółowo o zasady sztuki porównywania śladów. W końcu stwierdził, że śledczy nie przeszedł dogłębnego przeszkolenia. Pokazawszy mu wypukłości na pięcie prawego buta, poprosił o wskazanie ich na zdjęciu i Brooner nie potrafił tego zrobić, chociaż odpowiadając na pytania oskarżenia, twierdził, że ze względu na wagę ciała idącego i jego ruch pięta zawsze zostawia wyraźniejsze ślady niż pozostała część podeszwy. Wilbanks wymagał go tak, że wszyscy się w tym pogubili i muszę przyznać, że zacząłem nabierać wątpliwości co do tych odcisków. nie, żeby miało to jakieś znaczenie. Było mnóstwo innych dowodów.

- Czy w chwili aresztowania pan Padgitt był w rękawiczkach? - spytał Wilbanks.

- nie wiem. To nie ja go aresztowałem.

- Ale zabraliście mu koszulę i buty. Rękawiczki też?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Przeglądał pan spis rzeczy znalezionych przy oskarżonym, prawda?

- Tak.

- Jako główny śledczy zna pan chyba każdy aspekt tej sprawy...

- Tak.

- Czy widział pan w spisie jakąkolwiek wzmiankę na temat rękawiczek?

Na przykład, że oskarżony w nich był lub je miał?

- nie.

- Dobrze. Zebraliście odciski palców na miejscu przestępstwa?

- Tak.

- To działanie rutynowe, prawda?

- Tak, zawsze to robimy.

- I oczywiście po aresztowaniu zdjęliście odciski palców panu Padgittowi, tak?

- Tak.

- Świetnie. Ile odcisków palców pana Padgitta znaleźliście na miejscu przestępstwa?

- Żadnego.

- Ani jednego?

- Ani jednego.

Wilbanks usiadł. Wybrał dobry moment. Trudno było uwierzyć, że morderca mógł

wejść do domu ofiary, ukryć się tam, zgwałcić ją, zamordować i uciec, nie zostawiwszy ani jednego odcisku palca. Z drugiej strony Chub Brooner nie budził wielkiego zaufania. Śledczy taki jak on mógł przeoczyć kilkanaście odcisków.

Sędzia Loopus zarządził poranną przerwę i gdy przysięgli wstali, żeby wyjść, nawiązałem kontakt wzrokowy z panną Callie. Uśmiechnęła się szeroko. I kiwnęła głową, jakby chciała powiedzieć: „nie martw się o mnie”.

Rozprostowaliśmy nogi i poszeptaliśmy chwilę o tym, co właśnie słyszeliśmy.

Cieszyłem się, że tylu ludzi w sali rozpraw czyta „Timesa”. Podeszedłem do barierki i nachyliłem się ku Ginger.

- I jak tam? - spytałem.

- Chcę już do domu - odrzekła.

- Co powiesz na lunch?

- Chętnie.

Ostatnim świadkiem oskarżenia był Aaron Deece. Wezwano go kilka minut przed jedenastą i byliśmy gotowi na koszmar. Ernie Gaddis zadał mu szereg pytań, żeby przybliżyć nam Rhodę i jej dzieci. Przez siedem lat mieszkali w domu obok, byli dobrymi sąsiadami i cudownymi ludźmi. Panu Deece'owi bardzo ich brakowało, nie mógł uwierzyć, że odeszli. W

pewnej chwili otarł łzę.

Chociaż nie miało to nic wspólnego ze sprawą, Wilbanks dzielnie odczekał kilka minut. Potem wstał i grzecznie powiedział:

- Wysoki Sądzie, to bardzo wzruszające, lecz niedopuszczalne.

- Do rzeczy, panie prokuratorze - rzucił Loopus.

Deece opisał tamtą noc, porę, temperaturę i pogodę. Usłyszał głos ogarniętego paniką pięcioletniego Michaela, który wołał o pomoc. Deece wyszedł na ganek i zobaczył dwoje przerażonych dzieci w przemokniętych od rosy piżamkach. Zabrał je do środka i żona okryła je kocem. Włożył buty, wziął strzelbę i właśnie wybiegał z domu, gdy ujrzał Rhodę, która potykając się, szła w jego stronę. Była naga i cała we krwi. Wziął ją na ręce, zaniósł na ganek i ułożył na huśtanej ławce.

Wilbanks wstał.

- Czy pani Kassellaw coś powiedziała? - spytał Ernie.

- Wysoki Sądzie, zgłaszam sprzeciw. - To Wilbanks. - Świadek nie może przytaczać słów zmarłej. To jest dowód ze słyszenia.

- Pański sprzeciw został odnotowany - odparł Loopus. - Rozmawialiśmy o tym przed rozprawą, wszystko jest w aktach. Świadek może odpowiedzieć na pytanie.

Deece głośno przełknął ślinę, wziął głęboki oddech, wypuścił powietrze i spojrzał na przysięgłych.

- Dwa czy trzy razy powiedziała: „To był Danny Padgitt. To był Danny Padgitt”.

Dla zwiększenia dramatycznego efektu Ernie udał, że zagląda do notatek, tymczasem słowa Deece'a przecięły powietrze jak kule i zasypały publiczność rykoszetami.

- Czy przed morderstwem znał pan Danny'ego Padgitta?

- nie.

- Czy kiedykolwiek pan o nim słyszał?

- nie.

- Czy zamordowana powiedziała coś jeszcze?

- „Zaopiekujcie się moimi dziećmi”. Tak brzmiały jej ostatnie słowa. Ginger delikatnie ocierała oczy chusteczką higieniczną. Panna Callie się modliła. Kilku przysięgłych spoglądało na czubki swoich butów.

Deece dokończył swoją opowieść: zadzwonił do szeryfa; żona zaprowadziła dzieci do sypialni i zamknęła drzwi na klucz; on wziął prysznic, bo był cały we krwi; przyjechali ludzie szeryfa i zrobili swoje; przyjechała karetka i sanitariusze zabrali ciało; on i jego żona siedzieli przy dzieciach do drugiej nad ranem, a potem zawieźli je do szpitala w Clanton. Zostali z nimi do przyjazdu krewnej z Missouri.

W jego zeznaniu nie było niczego, co można by podważyć czy zakwestionować, dlatego Wilbanks zrezygnował z przesłuchania. Oskarżenie nie miało już więcej świadków, więc sędzia zarządził przerwę na lunch. Zawiozłem Ginger do Karaway, do jedynej meksykańskiej restauracji, jaką tam znałem. Zjedliśmy pod dębem faszerowaną tortillę z sosem chili, rozmawiając o wszystkim, tylko nie o procesie. Była przygaszona i chciała raz na zawsze wyjechać z hrabstwa Ford.

Natomiast ja chciałem, żeby została.

Wystąpienie Wilbanka zaczęło się od podnoszącej na duchu historii o miłym młodzieńcu, jakim był Danny Padgitt. Skończył ogólniak z dobrymi stopniami, ciężko pracował w rodzinnym tartaku, marzył o otwarciu własnej firmy. Nigdy nie był notowany.

Prawo złamał tylko raz, kiedy jako szesnastoletni chłopak dostał mandat za przekroczenie dozwolonej prędkości.

Wilbanks umiał przekonywać, lecz to zadanie go przerastało, bo nikt nie potrafiłby zrobić z Padgitta miłej, ciepłej przytulanki. Ludzie zaczęli się wiercić, ten i ów złośliwie się uśmiechnął. Ale to nie my mieliśmy wydać werdykt. Wilbanks przemawiał do przysięgłych, patrząc im prosto w oczy i nie wiedzieliśmy, czy on i jego klient nie zyskali już paru głosów.

Ale Danny nie był święty, o nie. Jak większość młodych mężczyzn, szybko odkrył

przyjemności wynikające z przebywania w towarzystwie kobiet i bardzo je polubił. Sęk w tym, że poznał nie tę kobietę, co trzeba, a mianowicie mężatkę. I w chwili morderstwa był

właśnie z nią.

- Posłuchajcie! - zagrzemiał Wilbanks. - Mój klient nie zabił Rhody Kassellaw! Gdy popełniono tę potworną zbrodnię, był z inną kobietą w jej domu niedaleko domu zamordowanej. Ma niepodważalne

alibi.

To oświadczenie wyssało z sali całe powietrze i przez chwilę czekaliśmy na kolejną niespodziankę. Wilbanks rozegrał to po mistrzowsku.

- Ta kobieta, jego kochanka, będzie naszym pierwszym świadkiem.

Wprowadzono ją, gdy tylko skończył mówić. Nazywała się Lydia Vince.

Szepnąłem słowo do Baggy'ego, ale Baggy nigdy o niej nie słyszał i nie znał żadnych Vince'ów z Beech Hill. Przez salę przetoczył się szmer głosów. Ludzie próbowali ją umiejscowić, ale sądząc po zmarszczonych czołach, po pełnych zaskoczenia spojrzeniach i po tym, że wielu z nich kręciło głową, wyglądało na to, że zupełnie nikt jej nie zna. Z

odpowiedzi na pytania wstępne dowiedzieliśmy się, że do marca mieszkała w wynajętym domu przy Hurt Road, że teraz mieszka w Tupelo, że właśnie rozwodzi się z mężem, ma jedno dziecko, dorastała w hrabstwie Tyler i nigdzie nie pracuje. Miała około trzydziestu lat, tanią urodę - krótka spódniczka, wielki biust, obcisła bluzka, blond włosy - i była do cna przerażona tym, że zeznaje w sądzie.

Ona i Danny Padgitt utrzymywali ten pozamałżeński związek od blisko roku.

Zerknąłem na pannę Callie i bez zdziwienia zauważyłem, że nie przypadło jej to do gustu.

W noc morderstwa Danny był w jej domu, bo Malcolm Vince, jej mąż, wyjechał do Memphis; robił tam coś z kolegami, nie wiedziała dokładnie co. Często wtedy wyjeżdżał.

Odbyła z Dannym dwa stosunki płciowe i gdzieś koło północy kochanek chciał już wyjść, gdy przed dom zajechała półciężarówka męża. Danny wymknął się tylnymi drzwiami i zniknął.

Wstrząs wywołany tym, że zamężna kobieta przyznaje się otwarcie do cudzołóstwa, miał przekonać przysięgłych, że świadek mówi prawdę. Nikt, ani kobieta szanowana, ani żadna inna by tego nie zrobiła. Przecież pani Vince zniszczyła sobie reputację, jeśli w ogóle zależało jej na takich rzeczach. A już na pewno będzie to miało wpływ na jej rozwód, bo sąd mógł pozbawić ją nawet prawa do opieki nad dzieckiem. Co więcej, jej mąż mógłby oskarżyć Danny'ego Padgitta o spowodowanie wygaśnięcia uczuć małżeńskich, chociaż było wątpliwe, czy przysięgli wybiegali myślą aż tak daleko.

Jej odpowiedzi były krótkie i dobrze wyćwiczone. Nie patrzyła na przysięgłych ani na domniemanego kochanka. Wbiła wzrok w podłogę i wyglądało to tak, jakby przypatrywała się butom Wilbanksa. I on, i ona dokładnie trzymali się scenariusza.

- Kłamie - szepnął głośno Baggy i ja się z nim zgodziłem.

Gdy Wilbanks skończył, wstał Ernie Gaddis. Wstał i podszedł niespiesznie do podium, przypatrując się podejrzliwie tej wyjątkowo szczerzej cudzołożczyni. Spoglądał na nią znad okularów jak nauczyciel, który przyłapał ucznia na ściąganiu.

- Pani Vince, ten dom przy Hurt Road... Kto jest jego właścicielem?

- Jack Hagel.

- Długo tam pani mieszkała?

- Coś koło roku.

- Podpisała pani umowę wynajmu?

Lydia wahała się o ułamek sekundy za długo.

- Może mój mąż podpisywał. Naprawdę nie pamiętam.

- Ile wynosił czynsz?

- Trzysta dolarów miesięcznie.

Ernie starannie zapisywał każdą odpowiedź, jakby zamierzał dokładnie sprawdzić wszystkie szczegóły i wykryć wszystkie kłamstwa.

- Kiedy się pani przeprowadziła?

- nie wiem, jakieś dwa miesiące temu.

- Jak długo mieszkała pani w naszym hrabstwie?

- Bo ja wiem... Kilka lat.

- Zarejestrowała się tu pani na listach wyborczych?

- nie.

- A pani mąż?

- nie.

- Zechce pani powtórzyć jego imię i nazwisko?

- Malcolm Vince.

- Gdzie teraz mieszka?

- nie wiem. Dużo jeździ. Słyszałam, że ostatnio mieszkał gdzieś pod Tupelo.

- I rozwodzicie się państwo, tak?

- Tak.

- Kiedy złożyliście pozew?

Strzeliła oczami w stronę Wilbanksa, który uważnie słuchał, choć na nią nie patrzył.

- Jeszcze nie złożyliśmy.

- Przepraszam, ale powiedziała pani chyba, że się rozwodzicie - Rozstaliśmy się i oboje mamy już adwokatów.

- Kto jest pani adwokatem?

- Mecenas Wilbanks.

Wilbanks drgnął, jakby pierwszy raz o tym słyszał.

Ernie odczekał chwilę, żeby dotarło to do przysięgłych.

- A kto jest adwokatem męża?

- nie pamiętam nazwiska.

- Kto wystąpił o rozwód? Pani mąż czy pani?

- Wspólnie, razem.

- Z iloma mężczyznami pani sypiała?

- Tylko z Dannym.

- Rozumiem. Teraz mieszka pani w Tupelo, tak?

- Tak.

- nie pracuje pani.

- Chwilowo nie.

- I jesteście w separacji, tak?

- Już mówiłam, rozstaliśmy się.

- Mieszka pani w domu czy w mieszkaniu?

- W mieszkaniu.

- Ile płaci pani za czynsz?

- Dwieście dolarów miesięcznie.



- Mieszka pani z dzieckiem?

- Tak.

- Czy dziecko pracuje?

- Ma pięć lat.

- A więc jak płaci pani za czynsz i utrzymanie mieszkania?

- Jakoś sobie radzę.

Niemożliwe, żeby ktoś w to uwierzył.

- Jakim jeździ pani samochodem?

Ponownie się zawahała. Odpowiedź na to pytanie można było łatwo sprawdzić kilkoma telefonami.

- Mustangiem z sześćdziesiątego ósmego.

- Ładny wóz. Kiedy go pani kupiła?

To też można było sprawdzić i nawet ona, kobieta niezbyt rozgarnięta, wyczuła, że to pułapka.

- Dwa miesiące temu - odparła wyzywająco.

- Czy dowód rejestracyjny jest wystawiony na pani nazwisko?

- Tak.

- A umowa o wynajem mieszkania?

- Tak, też.

Papierki. Znowu te papierki. Nie mogła ciągle kłamać i dobrze o tym wiedziała. Ernie wziął od Hootena jakieś dokumenty i przejrzał je z podejrzliwą miną.

- Jak długo spała pani z Dannym Padgitem?

- Zwykle jakieś piętnaście minut.

Choć atmosfera była bardzo napięta, ten i ów parsknął śmiechem. Gaddis zdjął

okulary, przetarł je końcem krawata, uśmiechnął się zbereźnie i przeformułował pytanie.

- Chodziło mi o wasz romans. Jak długo trwał?

- Prawie rok.

- Gdzie się poznaliście?

- W klubie na granicy stanu.

- Czy ktoś was sobie przedstawił?

- nie pamiętam. On tam był, ja tam byłam, tańczyliśmy... i tak to się potoczyło.

nie ulegało wątpliwości, że Lydia Vince spędziła wiele nocy w wielu spelunkach i nie odmówiła żadnemu tancerzowi. Emie potrzebował jeszcze kilku kłamstw, żeby ją usadzić.

Zadał serię pytań na temat ich pochodzenia, jej i męża: data urodzenia, wykształcenie, małżeństwo, przebieg kariery zawodowej, rodzina. Chodziło mu o nazwiska, daty i wydarzenia, które można sprawdzić. Ta kobieta się sprzedała. Padgittowie przekupili świadka.

Gdy późnym popołudniem wychodziliśmy z sądu, czułem się nieswojo, bo trochę się w tym wszystkim pogubiłem. Od wielu miesięcy byłem przekonany, że Danny Padgitt zamordował Rhodę Kassellaw, i nadal nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Ale przysięgli wysłuchali właśnie czegoś, co mogło podważyć ich jednomyślność. Świadek popełnił straszliwe krzywoprzysięstwo, ale było całkiem możliwe, że któryś z nich nabrał

uzasadnionych wątpliwości co do winy oskarżonego.

Ginger była przybita jeszcze bardziej niż ja, więc postanowiliśmy się upić. Kupiliśmy hamburgery z frytkami, skrzynkę piwa i pojechaliśmy do małego motelu, gdzie zjedliśmy, topiąc smutki i nienawiść do skorumpowanego systemu sądowego. Ginger kilka razy powtórzyła, że jej już i tak podłamana rodzina nie wytrzyma, jeśli Danny Padgitt wyjdzie z tego cało. Matka była rozbita psychicznie i jego uniewinnienie wpędziłoby ją do grobu. I co powiedzieliby kiedyś dzieciom Rhody?

Próbowaliśmy oglądać telewizję, ale nie mogliśmy się na niczym skupić. Znużyły nas te ciągłe rozmyślenia o procesie. Gdy już miałem zasnąć, wyszła nago z łazienki i noc nabrała rumieńców. Kochaliśmy się, odpoczywaliśmy, znowu się kochaliśmy, wreszcie górę wzięła

alkohol i zasnęliśmy.

## **ROZDZIAŁ 17**

Nic o tym nie wiedziałem - niby dlaczego miałem wiedzieć, skoro byłem tu nowy, nie znałem się na sądownictwie i skoro mając ręce pełne Ginger, dosłownie i w przenośni, na kilka cudownych godzin straciłem zainteresowanie procesem - ale w środę, zaraz po rozprawie, doszło do pewnego potajemnego spotkania. Ernie Gaddis wpadł do Harry'ego Reksa na adwokackiego kielicha i obydwaj przyznali, że zeznanie Lydii ich zmierziło. Usiedli do telefonu. W godzinę skrzyknęli grupę godnych zaufania prawników i dwóch polityków na dokładkę.

Jednomyślnie stwierdzili, że Padgittowie próbują podważyć niepodważalne dowody i się z tego wywinąć. Zdołali znaleźć przekupnego świadka. Najwyraźniej zapłacili Lydii, żeby spreparowała tę historyjkę, a ona albo była kompletnie spłukana, albo za głupia, by zrozumieć, co ryzykuje, składając

falszywe zeznania. Tak czy inaczej, dzięki niej przysięgli mieli teraz powód, aczkolwiek słaby, żeby wesprzeć oskarżenie.

U niewinnienia w tak oczywistej sprawie rozwścieczyłoby miasto i byłoby jawną drwiną z systemu sądowego. Brak jednomyślności wśród przysięgłych byłby podobnym sygnałem: wymiar sprawiedliwości w hrabstwie Ford jest skorumpowany. W imieniu swoich klientów Ernie, Harry Rex i ich koledzy manipulowali systemem sądowym codziennie, ale robili to, stosując uczciwe zasady. System działał, ponieważ sędziowie i przysięgli byli bezstronni i obiektywni. Gdyby Wilbanksowi i Padgittom przyzwolono na korupcję, doznałby nieodwracalnych szkód.

Panowała też całkowita jednomyślność co do tego, że przysięgli mogą utknąć w martwym punkcie. Jako wiarygodny świadek Lydia Vince pozostawiała wiele do życzenia, ale przysięgli nie mieli wprawy w wychwytywaniu fałszywych zeznań i nieuczciwych klientów. Prawnicy się zgodzili, że Fargarson, „ten kaleki chłopak”, wykazuje wrogość w stosunku do oskarżenia. Po dwóch dniach i niemal piętnastu godzinach obserwowania przysięgłych uważali, że potrafią ich rozgryźć.

Niepokoił ich również John Deere. Tak naprawdę nazywał się Mo Teale i od dwudziestu lat pracował jako mechanik w warsztacie naprawy traktorów. Był prostym człowiekiem i miał ograniczony zapas ubrań. W poniedziałek wieczorem, gdy w końcu wyłoniono ostateczny skład ławy przysięgłych i gdy sędzia Loopus wysłał ich do domu, żeby szybko się spakowali - autobus już czekał - Mo zabrał po prostu swój tygodniowy zapas ubrań roboczych i co rano wchodził do sali w jaskrawożółtej, wykończony na zielono koszuli i w zielonych, wykończonych na żółto spodniach, jakby był gotów do kolejnego dnia energicznej pracy z kluczem francuskim w ręku.

Siedział z założonymi rękami i marszczył brwi, ilekroć Gaddis zabierał głos. Jego język ciała napawał przerażeniem.

Harry Rex uważał, że odnalezienie pozostającego w separacji męża Lydii jest bardzo ważne. Że jeśli naprawdę się rozwodzą, to rozwód nie jest najpewniej polubowny. Trudno było uwierzyć, że Lydia miała romans z Dannym Padgittem, jednocześnie istniało duże prawdopodobieństwo, że układy pozamałżeńskie nie są jej obce. Niewykluczone, że mąż zeznałby coś, co zdyskredytowałoby zeznania żony.

Ernie chciał pogrzebać w jej życiu prywatnym. Chciał zasiać wątpliwości co do jej sytuacji finansowej, stanąć przed przysięgłymi i ryknąć: „Jak to możliwe, że świadek prowadzi tak wygodne życie, nie pracując i będąc w trakcie rozwodu?”

- Możliwe, bo dostała dwadzieścia pięć patoli od Padgittów - odparł któryś z jego kumpli. Spekulowanie na temat wysokości łapówki stało się tego wieczoru ich ulubionym motywem przewodnim.

Poszukiwania Malcolma Vince'a rozpoczęto od tego, że Harry Rex i jego dwaj koledzy zaczęli wydzwaniać do każdego adwokata w promieniu pięciu hrabstw od Ford.

Około dziesiątej wieczorem, w Corinth, dwie godziny jazdy od Clanton, znaleźli adwokata, który powiedział, że owszem, odbył z nim jedną rozmowę, ale nie podpisali umowy. Vince mieszkał w

przyczepie kempingowej na jakimś zadupiu na granicy hrabstwa Tishomingo.

Gdzie pracował? Tego adwokat nie pamiętał, ale na pewno zapisał to w aktach, które miał w pracy. Do telefonu podszedł sam prokurator okręgowy i nakłonił go do powrotu do kancelarii.

Nazajutrz o ósmej rano, mniej więcej w tym samym czasie, gdy wychodziłem z motelu po nocy z Ginger, sędzia Loopus chętnie podpisał wezwanie do stawienia się w sądzie. Dwadzieścia minut później policjant z Corinth zatrzymał podnośnik widłowy w jednym z tamtejszych magazynów i poinformował operatora, że nakazem sądu musi stawić się w hrabstwie Ford na procesie o morderstwo.

- Po jaką cholere? - spytał Vince.

- Ja tylko wykonuję rozkazy - odparł policjant.

- To co mam robić?

- Masz pan dwa wyjścia, kolego. Możesz pan poczekać tu ze mną, aż pana dorwą, albo pojechać tam i mieć to z głowy.

Szef Malcolma kazał mu jechać i szybko wracać.

Przysięgłych wprowadzono na salę z półtoragodzinnym opóźnieniem. John Deere był

jak zwykle elegancki, ale pozostali zaczęli już chyba odczuwać zmęczenie. Wyglądali tak, jakby siedzieli na procesie co najmniej od miesiąca.

Panna Callie odszukała mnie wzrokiem i posłała mi jeden ze swoich uśmiechów, ale nie był to ów spektakularny uśmiech, który potrafił rozjaśnić najmroczniejszy dzień. Wciąż ścisnęła w rękę Nowy Testament.

Gaddis wstał i oświadczył, że nie ma więcej pytań do Lydii Vince. Wilbanks też nie miał. Wtedy Ernie oznajmił, że w ramach repliki wezwał dodatkowego świadka, którego chciałby przesłuchać poza kolejnością. Wilbanks zgłosił sprzeciw i zaczęli się kłócić. Gdy Lucien dowiedział się, kim ów świadek jest, wyraźnie się zdenerwował. Dobry znak.

Wyglądało na to, że sędziego też niepokoi możliwość wydania złego werdyktu.

Oddalił sprzeciw obrony i do nabitej sali wezwano kompletnie zdezorientowanego Malcolma Vince'a. Ernie rozmawiał z nim niecałe dziesięć minut na zapleczu, więc był zupełnie nieprzygotowany i skonsternowany.

Gaddis zaczął niespiesznie, od podstawowych spraw: nazwisko, adres zamieszkania, zawód, stan cywilny. Malcom niechętnie przyznał, że Lydia jest jego żoną i że on też chce od niej odejść. Powiedział, że od miesiąca nie widział ani jej, ani dziecka. Pracował dorywczo, delikatnie mówiąc, mimo to co miesiąc próbował wysyłać jej pięćdziesiąt dolarów na utrzymanie dziecka.

Tak, wiedział, że żona mieszka w ładnym mieszkaniu, chociaż nigdzie nie pracuje.

- To nie pan płaci za wynajem? - spytał bardzo podejrzliwie Ernie, czujnie zerkając na przysięgłych.

- nie.

- Może jej rodzina?

- Jej rodziny nie stać by było nawet na jedną noc w motelu - odrzekł z niemałą satysfakcją Malcolm.

Skończywszy zeznawać, Lydia wyszła z sali i pewnie uciekała właśnie z kraju.

Wystąpiła, odegrała swoją rolę, odebrała zapłatę. Wiedziała, że jej noga nigdy więcej tu nie postanie. Było wątpliwe, by jej obecność przeszkadzała Malcolmowi, ale dzięki jej nieobecności mógł pójść na całego i pozwolić sobie na ciosy poniżej pasa.

- nie czuje się pan związany z jej rodziną? - rzucił od niechcienia Ernie.

- Większość z nich siedzi w więzieniu.

- Rozumiem. Pańska żona zeznała wczoraj, że dwa miesiące temu kupiła forda mustanga rocznik sześćdziesiąt osiem. Czy pomógł jej pan w tym zakupie?

- nie.

- Domyśla się pan, jak to możliwe, żeby nigdzie niezatrudnioną kobietę stać było na taki samochód?

- nie.

- Orientuje się pan, czy zrobiła ostatnio jakieś inne niezwykle zakupy? - spytał Gaddis, zerkając na Danny'ego.

Vince popatrzył na przysięgłych, zobaczył kilka przyjaznych twarzy i odrzekł:

- Tak. Kupiła sobie nowy kolorowy telewizor i nowy motocykl dla brata.

Wszyscy siedzący przy stole obrony wstrzymali oddech. Ich strategia polegała na tym, żeby cichcem przemycić tu Lydię, wcisnąć przysięgłym kilka kłamstw, potwierdzić alibi Padgitta, czym prędzej wypchnąć babę z sali i napierać na szybki werdykt, zanim ktokolwiek zdąży podważyć jej zeznania. Prawie nikogo w tym hrabstwie nie znała i mieszkała teraz godzinę jazdy stąd.

Strategia przyniosła katastrofalne rezultaty. Wszyscy widzieli - i wyczuwali - napięcie między Wilbanksem a jego klientem.

- Czy zna pan Danny'ego Padgitta? - spytał Gaddis.

- nie, nigdy o nim nie słyszałem - odrzekł Malcolm.

- Pańska żona zeznała wczoraj, że prawie przez rok miała z nim romans.

Rzadko widuje się niczego niepodejrzewającego męża, który dowiaduje się takich rzeczy publicznie, ale Malcolm zniósł to dzielnie.

- Tak? - rzucił.

- Tak. Zeznała, że romans dobiegł końca dwa miesiące temu.

- Coś panu powiem: trochę trudno w to uwierzyć.

- Dlaczego?

Malcolm zaczął wiercić się na krześle, wykazując nagle zainteresowanie swoimi butami.

- Wie pan, to bardzo osobista sprawa.

- Wiem, oczywiście, na pewno. Ale w sądzie musimy czasem omawiać nawet sprawy osobiste. Ten człowiek jest oskarżony o morderstwo. To bardzo poważny zarzut i musimy poznać prawdę.

Malcolm założył nogę na nogę i przez kilka sekund drapał się w podbródek.

- Bo to jest tak - odrzekł. - Dwa lata temu przestaliśmy uprawiać seks. Dlatego się rozwodzimy.

- Czy była ku temu jakaś konkretna przyczyna? - Ernie wstrzymał oddech.

- Tak, była. Lydia powiedziała, że nie cierpi się ze mną kochać, że zbiera jej się wtedy na wymioty. Że woli seks, no wie pan, z kobietami.

Gaddis wiedział, co Malcolm powie, mimo to zdołał udać zaszokowanego; pozostali nie musieli udawać. Podeszedł do stołu i naradzał się chwilę z Rankiem Hootenem, żeby przysięgli mogli przyjąć ten cios. W końcu powiedział:

- nie mam dalszych pytań, Wysoki Sądzie.

Wilbanks podeszedł do Vince'a tak, jakby ten celował w niego z rewolweru. Przez kilka minut krążył opłotkami. Według Baggy'ego, dobry adwokat nigdy nie zadaje pytania, nie znając odpowiedzi, zwłaszcza świadkowi tak niebezpiecznemu, jak Malcolm Vince.

Wilbanks był dobrym prawnikiem i nie miał pojęcia, z czym Vince może jeszcze wyskoczyć.

Malcolm przyznał, że nie kocha żony, że chce jak najszybciej się rozwieść, że ostatnie lata pożycia nie należały do najmiłszych i tak dalej. Ot, takie tam typowo sądowe pogaduszki.

Pamiętał, że o morderstwie w Beech Hill dowiedział się nazajutrz. Tego dnia nie było go w domu i wrócił bardzo późno. Wilbanks zdobył słaby punkt, udowadniając, że Lydia była wtedy sama, tak jak zeznała.

Ale nie miało to wielkiego znaczenia. Przysięgli i wszyscy pozostali wciąż zmagali się z ogromem jej grzechu.

Po długiej przerwie Wilbanks powoli wstał i oświadczył:

- Wysoki Sądzie, obrona nie ma dalszych świadków. Jednakże mój klient pragnie zeznawać. Chciałbym, żeby Wysoki Sąd wyraźnie odnotował, że robi to wbrew mojej radzie.

- Oświadczenie zostało odnotowane - odrzekł Loopus.

- Bardzo głupi błąd. Niewiarygodne - szepnął Baggy tak głośno, że słyszało go pół sali.

Danny Padgitt szybko wstał i dumnym krokiem podszedł do miejsca dla świadków.

Próbował się uśmiechać, ale ilekroć to robił, zamiast uśmiechu na jego ustach wykwitał

szyderyczy uśmieszek. Próbował też udawać pewnego siebie, lecz widzieliśmy w tym jedynie arogancję. Przysięgnął mówić prawdę, ale nikt nie spodziewał się jej usłyszeć.

- Dlaczego chce pan zeznawać? - spytał Wilbanks i wszyscy znieruchomieli. W sali zapadła cisza.

- Ponieważ chciałbym, żeby ci dobrzy ludzie poznali prawdę o tym, co zaszło - odrzekł Padgitt, patrząc na przysięgłych.

- W takim razie niechaj ją poznają - powiedział Wilbanks, machając ręką w stronę ławy.

Jego wersja wydarzeń była cudownie twórcza, ponieważ nikt nie mógł jej obalić.

Lydia wyjechała, Rhoda nie żyła. Zaczął od tego, że spędził kilka godzin ze swoją przyjaciółką, panią Vince, która mieszkała ledwie kilkaset metrów od Rhody Kassellaw.

Wiedział, gdzie jest jej dom, ponieważ kilkakrotnie ją tam odwiedził. Rhoda chciała poważnego romansu, ale on był zbyt zajęty Lydią. Tak, dwa razy doszło między nimi do intymnego zbliżenia. Poznali się w klubie na granicy stanu i wiele godzin spędzili, pijąc i tańcząc. Rhoda była bardzo gorącą kobietą i wiadano, że sypia z kim popadnie.

Do rany dodano zniewagę: Ginger spuściła głowę i zasłoniła sobie uszy. Przysięgli nie omieszkali tego zauważyć.

Danny nie wierzył w bzdury, które wygadywał mąż Lydii na temat jej rzekomych skłonności homoseksualnych: Lydia przepadała za intymnym towarzystwem mężczyzn.

Malcolm kłamał, żeby sąd przyznał mu prawo do opieki nad dzieckiem.

Danny nie był złym świadkiem, ale cóż, grał o życie. Odpowiadał szybko, za często uśmiechał się fałszywie do przysięgłych, jego opowieść była zwarta, czysta i za bardzo trzymała się kupy. Słuchałem go, obserwując przysięgłych, ale nie zauważyłem wśród nich oznak współczucia. Fargarson, ten kaleka, robił wrażenie sceptycznego, jak podczas zeznań wszystkich innych świadków. John Deere wciąż siedział z założonymi rękami, marszcząc brwi. Panna Callie Danny'ego nie znosiła, ale ona posłałaby go natychmiast do więzienia za samo cudzołóstwo, nie wspominając już o morderstwie.

Wilbanks załatwił to szybko. Szubieniczny sznur, który uplótł sobie jego klient, był aż za długi, nie chciał więc ułatwiać sprawy oskarżeniu. W końcu usiadł i łypnął spode łba na Padgittów, tak jakby szczerze ich nienawidził. Przygotowywał się na to, co miało niebawem nastąpić.

Przepytywanie ewidentnie winnego przestępcy jest marzeniem każdego oskarżyciela.

Ernie podszedł niespiesznie do stołu z dowodami rzeczowymi i podniósł zakrwawioną koszulę.

- Dowód rzeczowy numer osiem - rzekł do protokolanta, pokazując ją przysięgłym. -

Panie Padgitt, gdzie pan kupił tę koszulę?

Danny zamarł, nie wiedząc, czy zaprzeczyć, że koszula należy do niego, przyznać, że jednak należy, czy spróbować przypomnieć sobie, gdzie tę przekłętą szmatę kupił.

- Chyba jej pan nie ukradł, prawda? - ryknął Ernie.

- nie, nie ukradłem.

- W takim razie proszę odpowiedzieć na pytanie i pamiętać, że zeznaje pan pod przysięgą. Gdzie pan ją kupił? - Ernie trzymał koszulę tuż przed jego nosem, dwoma palcami, jakby krew była jeszcze świeża i mogła zaplamić mu garnitur.

- Chyba w Tupelo. Naprawdę nie pamiętam, to tylko koszula.

- Jak długo ją pan nosił?

Znowu chwila zastanowienia. Ilu mężczyzn pamięta, kiedy kupili tę czy inną koszulę?

- Coś koło roku, nie wiem. Nie prowadzę notatek ubraniowych.

- Ja też nie. Gdy tamtej nocy był pan w łóżku z Lydią Vince, czy zdjął pan koszulę?

Ostrożne: - Tak.

- Gdzie była, kiedy, hm, uprawialiście seks?

- Chyba na podłodze.



Teraz, kiedy jednoznacznie ustalono, że koszula należała do Danny'ego, Ernie mógł

swobodnie go zarżnąć. Wyjął protokół ze stanowego laboratorium kryminalistycznego, odczytał go i spytał, jak to się stało, że na koszuli znaleziono jego krew. To doprowadziło do dyskusji na temat umiejętności prowadzenia samochodu, skłonności Danny'ego do przekraczania dozwolonej prędkości, pojazdu, jakim wtedy jechał, i do konstatacji, że gdy zaraz po wypadku został aresztowany, oficjalnie stwierdzono, że jest pijany. Ernie grzmiał tak głośno, że wątpię, czy sprawę prowadzenia pojazdu pod wpływem alkoholu przedstawiono kiedykolwiek tak groźnie. Pytania były uszczypliwe i sardoniczne, nic więc dziwnego, że przewrażliwiony Danny się nastroszył.

Teraz krew Rhody. Skoro oskarżony był w łóżku z Lydią Vince i skoro koszula leżała na podłodze, jak, u licha, krew Rhody mogła trafić do sypialni oddalonego o kilkaset metrów domu?

„To spisek” - odparł Danny, wysuwając nową teorię i kopiąc pod sobą dół, z którego nie dane mu już było wyjść. Zbyt długa samotność w więziennej celi może być niebezpieczna dla winnego przestępcy. Cóż, mówił, albo ktoś zaplamił koszulę krwią Rhody - słowa te wielce rozweseliły zebranych - albo, co bardziej prawdopodobne, tajemniczy osobnik, który badał koszulę w laboratorium, po prostu skłamał, żeby go skazano. Ernie miał używanie i z jedną teorią, i z drugą, ale najcięższy cios zadał, pytając go brutalnie, dlaczego on, Danny Padgitt, człowiek, który miał pieniądze i którego stać było na wynajęcie najlepszych adwokatów w okolicy, nie wynajął własnych ekspertów, którzy przysliby do sądu i wyjaśnili wyniki badań krwi przysięgłym.

Być może nie znaleziono ich, ponieważ żaden ekspert nie mógłby wysnuć tak absurdalnych wniosków.

Podobnie ze spermą. Skoro Danny robił z niej użytek u Lydii, jakim cudem trafiła do Rhody? Żaden problem: to część zakrojonego na szeroką skalę spisku, który ma na celu wrobienie go w morderstwo. Wyniki testów laboratoryjnych zostały sfabrykowane, zawaliła sprawę policja. Ernie maglował go, aż wszyscy zaczęliśmy odczuwać zmęczenie.

O wpół do pierwszej Wilbanks wstał i zaproponował przerwę na lunch.

- Jeszcze nie skończyłem! - ryknął Gaddis. Chciał roznieść Padgitta w pył, zanim Lucien zamknie mu gębę i spróbuje go zrehabilitować, co było chyba niewykonalne.

Przyparty do lin Danny obrywał cios za ciosem i nie mógł złapać tchu, ale Ernie nie zamierzał przejść do neutralnego narożnika.

- Proszę kontynuować - powiedział Loopus i wtedy Ernie nagle wrzasnął:

- Co pan zrobił z nożem?!

To pytanie zaskoczyło wszystkich, zwłaszcza świadka, który aż szarpnął się do tyłu.

- Ja... Ja... - wyjąkał i umilkł.

- Ja co? Panie Padgitt, proszę nam powiedzieć, co pan zrobił z nożem, z narzędziem zbrodni!

Danny gwałtownie potrząsnął głową, jakby bał się otworzyć usta.

- Z jakim nożem? - wykrztusił wreszcie. Nie sprawiałby wrażenia bardziej winnego, nawet gdyby rzeczony nóż wypadł mu teraz z kieszeni.

- Z nożem, którym zabił pan Rhodę Kessellaw.

- To nie ja ją zabiłem.

Niczym powolny, okrutny kat Ernie podszedł niespiesznie do stołu i długo naradzał

się z Hootenem. Potem wziął protokół z sekcji zwłok i spytał Danny'ego, czy pamięta zeznania pierwszego patologa. Czyjego zdaniem on też należy do spisku? Danny nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Wszystkie dowody rzeczowe świadczyły przeciwko niemu, dlatego, tak, dostarczone przez patologa wyniki badań też były fałszywe.

A skrawek skóry, który znaleziono pod paznokciem ofiary, czy to również część spisku? A jego własne nasienie? I tak dalej, i tak dalej; Ernie nie odpuszczał. Wilbanks od czasu do czasu zerkał przez ramię na starego Padgitta, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”

Dzięki temu, że Danny siedział na miejscu dla świadków, Gaddis mógł jeszcze raz omówić znaczenie wszystkich dowodów rzeczowych i skutek był druzgoczący. Słabe protesty oskarżonego, że to jedna wielka zмова, brzmiały absurdalnie, a nawet śmiesznie.

Obserwowanie, jak Ernie robi z niego miazgę na oczach przysięgłych, dawało dużą satysfakcję. Dobrzy wygrywali. Zdawało się, że przysięgli zaraz wstaną, chwycą broń i utworzą pluton egzekucyjny.

Gaddis rzucił notatnik na stół, jakby wreszcie chciał pójść na lunch. Wsadził ręce do kieszeni, przeszył świadka wzrokiem i spytał:

- Zeznając pod przysięgą, chce pan powiedzieć przysięgłym, że nie zgwałcił pan ani nie zamordował Rhody Kassellaw?

- nie, nie zrobiłem tego.

- Że tamtej niedzieli nie pojechał pan za nią do domu?

- nie.

- Że nie zakradł się pan na taras?

- nie.

- nie schował się pan w garderobie i nie zaczął, aż Rhoda położy dzieci spać?

- nie.

- nie rzucił się pan na nią, gdy wróciła, żeby się przebrać?

- nie.

Wilbanks wstał.

- Zgłaszam sprzeciw, Wysoki Sądzie. To nie oskarżyciel tu zeznaje.

- Oddalam! - warknął Loopus. Sędzia chciał sprawiedliwego procesu. Żeby podważyć sprokurowane przez obronę kłamstwa, dawał oskarżeniu dużo swobody w opisywaniu miejsca zbrodni.

- nie zawiązał jej pan oczu szalikiem?

Danny nieustannie kręcił głową, a opowieść Gaddisa zbliżała się do punktu kulminacyjnego.

- nie przeciął pan nożem jej majtek?

- nie.

- I nie zgwałcił jej pan w jej własnym łóżku, gdy w sąsiednim pokoju spały jej małe dzieci?

- nie, nie zgwałciłem.

- I nie obudził pan dzieci hałasem?

- nie.

Emie podszedł do krzesła dla świadków na tyle blisko, na ile pozwoliłby mu sędzia, i ze smutkiem popatrzył na przysięgłych. Potem spojrział na Danny'ego.

- Michael i Teresa przybiegli sprawdzić, co się stało ich mamie. Prawda, panie Padgitt?

- nie wiem.

- I zobaczyli, jak pan na niej leży, tak?

- nie było mnie tam.

- Rhoda usłyszała ich głosy, prawda? Krzyczeli na pana, prosili, żeby pan zszedł?

- nie było mnie tam.

- A wtedy Rhoda zrobiła to, co zrobiłaby na jej miejscu każda matka: krzyknęła do dzieci, żeby uciekały. Prawda?

- nie było mnie tam.

- nie?! - ryknął Ernie tak głośno, że zatrzęsły się ściany. - Była tam pana koszula, były odciski butów, była tam pana sperma! Ma pan przysięgłych za głupców?

Padgitt ciągle potrząsał głową. Ernie podszedł powoli do swego krzesła i odsunął je od stołu. Gdy już miał usiąść, dodał:

- Jest pan gwałcicielem. Jest pan mordercą i kłamcą. Prawda, panie Padgitt?

Wilbanks już stał.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - wrzasnął. - Dość tego!

- Podtrzymuję. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

- nie, Wysoki Sądzie, skończyłem.

- A pan?

- nie, Wysoki Sądzie - odrzekł Wilbanks.

- Świadek jest wolny.

Danny powoli wstał. Już dawno przestał się uśmiechać. Już nie zadzierał nosa. Twarz miał zaczerwienioną z gniewu i mokrą od potu.

Zszedł z podium, żeby wrócić na miejsce, lecz nagle spojrzął na przysięgłych i powiedział coś, co zaszokowało absolutnie wszystkich. Nienawistnie wykrzywił twarz, dźgnął palcem powietrze i rzucił:

- Skażecie mnie, a dorwę każdego z was!

- Woźny! - zawołał Loopus, chwytając młotek. - Dość tego, panie Padgitt!

- Wszystkich, każdego! - powtórzył głośniej Danny.

Ernie zerwał się z krzesła, ale nie wiedział, co powiedzieć. Zresztą po co miałby coś mówić? Oskarżony sam założył sobie pętlę na szyję. Wilbanks też wstał i też nie bardzo wiedział, jak zareagować. Dwóch ludzi szeryfa rzuciło się naprzód i pchnęło Danny'ego w stronę stołu obrony. Idąc, łypał spode łba na przysięgłych, jakby zamierzał cisnąć w nich granatem.

Gdy się uspokoiło, stwierdziłem, że serce wali mi z podniecenia jak szalone. Nawet Baggy był zbyt wstrząśnięty, żeby coś powiedzieć.

- Zróbmy przerwę na lunch - mruknął Loopus i uciekł z sali.

Ale ja nie byłem już głodny. Miałem ochotę popędzić do domu i wziąć prysznic.

## ROZDZIAŁ 18

Rozprawę wznowiono o trzeciej. Wrócili wszyscy przysięgli; podczas przerwy Padgittowie żadnego z nich nie zaciukali. Panna Callie posłała mi uśmiech, ale jakoś tak bez przekonania.

Loopus wyjaśnił przysięgłym, że nadeszła pora na mowy końcowe, po których wygłoszeniu Wysoki Sąd oficjalnie ich pouczy, i że za mniej więcej dwie godziny będą mogli udać się na naradę. Słuchali go uważnie, ale jestem pewien, że wciąż nie mogli dojść do siebie po wstrząsie, jakim była ta jawna próba zastraszenia. Miasto też nie mogło otrząsnąć się z szoku. Przysięgli byli jednymi z nas, należeli do naszej społeczności, więc czuliśmy się tak, jakby to nas zastraszone.

Zaczął Ernie i już kilka minut później na scenę wróciła zakrwawiona koszula. Ale tym razem Ernie uważał, żeby nie przegiąć. Przysięgli już wszystko wiedzieli. Dobrze znali wszystkie dowody rzeczowe.

Jego przemówienie było wnikliwe, lecz zaskakująco krótkie. Gdy po raz ostatni prosił

o uznanie Padgitta za winnego zarzucanej mu zbrodni, uważnie obserwowałem twarze przysięgłych. Nie dostrzegłem w nich współczucia. Fargarson, „ten kaleki chłopak”, słuchał i kiwał głową. John Deere tym razem nie założył rąk i wsłuchiwał się w każde słowo Gaddisa.

Lucien Wilbanks przemawiał jeszcze krócej, ale on nie za bardzo miał o czym mówić.

Najpierw nawiązał do ostatniej wypowiedzi swojego klienta. Przeprosił za jego zachowanie.

Winę zrzucił na nerwy i napięcie. „Proszę sobie wyobrazić - mówił - że macie państwo dwadzieścia cztery lata i że grozi wam dożywotnie więzienie albo nawet komora gazowa”.

Stres, jaki przeżywał jego młody klient - zawsze mówił o nim „Danny”, jak o małym, niewinnym chłopcu - był tak wielki, że on, Wilbanks, niepokoił się o jego równowagę psychiczną.

nie mogąc kontynuować głupawej teorii spiskowej swego klienta i dobrze wiedząc, że lepiej unikać jakichkolwiek wzmianek na temat dowodów rzeczowych, poświęcił pół godziny na wychwalanie bohaterów, którzy napisali konstytucję i akt swobód obywatelskich.

Słuchając jego interpretacji zasady domniemania niewinności oraz wymogu udowodnienia winy ponad wszelką wątpliwość, zastanawiałem się, jak to możliwe, że nasze sądy w ogóle kogokolwiek skazują.

Oskarżenie miało prawo do repliki, obrona nie. Tak więc ostatnie słowo należało do Erniego. Ten pominął milczeniem dowody rzeczowe i ani słowem nie wspomniał o oskarżonym, mówiąc wyłącznie o Rhodzie Kassellaw. Ojej młodości i urodzie, o jej prostym życiu w Beech Hill, o śmierci jej męża i o wyzwaniu, jakim było samotne wychowywanie dwojga małych dzieci.

Odniosło to dobry skutek i przysięgli chłonęli każde jego słowo. „nie zapominajmy o niej” - powtarzał to jak refren. Ale, jako wytrawny mówca, najlepsze zachował na koniec.

- nie zapominajmy też o jej dzieciach - powiedział, patrząc przysięgłym w oczy. -

Były tam, gdy umierała. Widziały tak potworne rzeczy, że do końca życia nie wyzbędą się strachu. One też mają prawo głosu w tej sali i głos ten należy do was.

Sędzia pouczył przysięgłych i odesłał ich na naradę. Minęła piąta. O tej porze wszystkie sklepy przy rynku były już zamknięte, a sprzedawcy i klienci od dawna siedzieli w domu. Ruch był zwykle niewielki, parkowanie łatwe.

Ale nie wtedy, gdy przysięgli udawali się na naradę!

Najwięcej ludzi snuło się po trawniku przed sądem, pałac, plotkując i spekulując, jak długo to potrwa. Inni tłoczyli się w restauracjach i barach, gdzie pili późną kawę albo jedli wczesną kolację. Ginger poszła ze mną do redakcji; usiedliśmy na balkonie i obserwowaliśmy stamtąd rynek. Była emocjonalnie rozbita i chciała już tylko wyjechać.

- Dobrze znasz Hanka Hootena? - spytała mnie w pewnej chwili.

- W ogóle go nie znam. Bo?

- Zagadnął mnie podczas lunchu, powiedział, że dobrze znał Rhodę i wie na sto procent, że nie sypiała z kim popadnie, a już na pewno nie z Dannym Padgitem. Ja na to, że ani przez chwilę nie wierzyłam, że mogłaby widywać się z taką szują.

- Powiedział, że się z nią spotykał?

- nie, ale miałam wrażenie, że tak. Gdy tydzień po pogrzebie przeglądałam jej rzeczy, znalazłam w notesie jego nazwisko i numer telefonu.

- Znasz Baggy'ego?

- Znam.

- Baggy mieszka tu od zawsze i uważa, że wszystko wie. W poniedziałek, tuż przed rozpoczęciem procesu, powiedział mi, że Rhoda i Hank się spotykali. Że Hank miał dwie żony i że to kobieciarz.

- To on nie jest żonaty?

- Chyba nie. Spytam Baggy'ego.

- A więc moja siostra sypiała z prawnikiem. Chyba powinnam poczuć się lepiej.

- Dlaczego?

- nie wiem.

Zdjęła buty i jej krótka spódniczka podjechała jeszcze wyżej, bo aż na uda. Zacząłem je masować i

zapomniałem o procesie.

Ale tylko na chwilę. Przed drzwiami sądu wybuchło zamieszanie i ktoś krzyknął, że już wracają.

Po trwającej niecałą godzinę naradzie przysięgli uzgodnili werdykt. Gdy prawnicy i publiczność zajęli miejsca, sędzia Loopus spojrział na woźnego i rozkazał:

- Proszę ich wprowadzić.

- Winny jak jasna cholera - szepnął Baggy, gdy otworzyły się drzwi i do sali wkuśtykał Fargarson. - Jak szybko wracają, zawsze tak jest.

nie tak dawno przewidywał, że przysięgli nie dojdą do porozumienia, ale mu tego nie wytknąłem, przynajmniej nie wtedy.

Przewodniczący wręczył woźnemu złożoną kartkę papieru, a ten podał ją sędziemu.

Loopus długo czytał, w końcu nachylił się do mikrofonu.

- Oskarżony zechce wstać - powiedział. Padgitt i Wilbanks wstali, powoli i niezdarnie, jakby celował już do nich pluton egzekucyjny. - Odnośnie do pierwszego zarzutu - przeczytał

sędzia - to znaczy gwałtu, my, sędziowie przysięgli, uznajemy oskarżonego Danny'ego Padgitta za winnego.

Odnośnie do zarzutu drugiego, morderstwa zagrożonego karą śmierci, my, przysięgli, uznajemy oskarżonego Danny'ego Padgitta za winnego.

Wilbanks nawet nie drgnął, Padgitt próbował. Patrzył na przysięgłych najzjadliwiej, jak mógł, ale oni nie pozostawali mu dłużni.

- Może pan usiąść - powiedział Looups i zwrócił się do przysięgłych. - Panie i panowie, dziękuję, że tak sumiennie wypełniliście swój obowiązek. Ustaliliście, że oskarżony jest winny zarzucanych mu czynów, i tak zakończył się pierwszy etap procesu. Teraz przejdziemy do etapu drugiego, w którym będziecie musieli zdecydować, czy oskarżony zostanie skazany na karę śmierci, czy na karę dożywotniego więzienia. Pojedziecie teraz do hotelu i wróćcie tu jutro o dziewiątej. Dziękuję i dobranoc.

Skończyło się tak szybko, że większość z nas jeszcze przez chwilę siedziała bez ruchu.

Wyprowadzono Padgitta, tym razem w kajdankach, a jego rodzina robiła wrażenie kompletnie zdezorientowanej. Wilbanks nie miał czasu z nimi pogadać.

Baggy i ja wróciliśmy do redakcji i zaczęliśmy wściekle stukać na maszynie. Termin był odległy, ale chcieliśmy uchwycić atmosferę chwili. Co dla niego typowe, Baggy zniknął

już pół godziny później, usłyszawszy zew słodowego zacieru. Było już ciemno, gdy wróciła Ginger w

obcisłych džinsach, obcisłej bluzce i z rozpuszczonymi włosami. Wszystko to razem mówiło: „Zabierz mnie gdzieś”.

Znowu wstąpiliśmy do Quincy'ego, gdzie znowu kupiłem sześć piw na drogę i z opuszczonym dachem, w strugach ciepłego, parnego powietrza, ruszyliśmy do odległego o półtorej godziny jazdy Memphis.

Ginger mówiła niewiele, a ja o nic nie pytałem. Do uczestnictwa w procesie zmusiła ją rodzina. Nie prosiła się o ten koszmar. Na szczęście znalazła mnie i mogła się trochę rozerwać.

Nigdy nie zapomnę tamtej nocy. Pędziliśmy ciemnymi bocznymi drogami, piliśmy zimne piwo, trzymałem za rękę piękną kobietę, która sama do mnie przysłała, kobietę, z którą już spałem i z którą miałem jeszcze spać.

Do końca naszego słodkiego romansu pozostało jeszcze tylko kilka godzin. Mogłem je niemal policzyć. Baggy przewidywał, że uzgodnienie kary zajmie przysięgłym niecały dzień i proces skończy się nazajutrz, w piątek. Ginger chciała jak najszybciej wyjechać i o wszystkim zapomnieć, ale ja wyjechać nie mogłem. Zajrzałem do atlasu: do Springfield w Missouri było co najmniej sześć godzin jazdy. Daleko, lecz gdyby chciała na pewno spróbowałbym dojeżdżać.

Ale coś mi mówiło, że Ginger zniknie z mojego życia tak szybko, jak się w nim pojawiła. Na pewno miała w Springfield chłopaka, może nawet paru, i nie byłbym tam mile widziany. Poza tym moja obecność przypomniaby jej o naszym hrabstwie i o koszmarze, jaki tu przeżyła.

Ścisnąłem ją za rękę i poprzysiągłem sobie, że w pełni wykorzystam te ostatnie godziny.

W Memphis pojechaliśmy w kierunku wieżowców nad rzeką. Najstynniejszą restauracją w mieście - i dobrym punktem orientacyjnym - była knajpka o nazwie Rendez -

vous, gdzie serwowano pieczone żeberka, lokal należący do greckiej rodziny. W Memphis nie było lepszych kucharzy od Greków i Włochów.

W 1970 roku centrum miasta nie należało do najbezpieczniejszych miejsc.

Zaparkowałem w garażu i jakimś zaułkiem prześlizgnęliśmy się do drzwi. Dym z rusztów buchał szybami wentylacyjnymi i wisiał między domami jak gęsta mgła. Był to najwspanialszy zapach, jaki kiedykolwiek wahałem, i jak większość pozostałych gości, zanim weszliśmy na górę do restauracji, zgłodniałem jak wilk.

W czwartki panował tam mały ruch. Czekaliśmy tylko pięć minut i gdy mnie wywołano, zygzakując między stolikami i przecinając salkę za salką, poszliśmy za kelnerem w głąb restauracji. Kelner puścił do mnie oko i dał nam stolik na dwie osoby w ciemnym kącie. Zamówiliśmy żeberka i czekając, trochę się obmacywaliśmy.

To, że uznano go za winnego, przyjąłem z wielką ulgą. Każdy inny werdykt byłby obywatelską klęską i Ginger uciekłaby z miasta, nie oglądając się za siebie. Nazajutrz i tak miała uciec, ale na razie miałem ją tylko dla siebie. Wypiliśmy za werdykt. Dla niej oznaczało to triumf sprawiedliwości. Dla



mnie też, ale nie do pogardzenia było również i to, że dzięki temu została tu noc dłużej.

Jadła niewiele, więc skończywszy swoją porcję, zmiotłem to, co zostawiła.

Opowiedziałem jej o panie Callie, o lunchach na tarasie, o jej niezwykłych dzieciach i jej pochodzeniu. Ginger powiedziała, że ją uwielbia, tak samo jak pozostałą jedenastkę.

Ale tego rodzaju uwielbienie nigdy nie trwa długo.

Tak jak się spodziewałem, ojciec siedział na strychu, w czymś, co nazywał gabinetem.

Gabinet mieścił się na szczycie wiktoriańskiej wieży frontowego narożnika naszej zapuszczonej, źle utrzymanej kamienicy w śródmieściu Memphis. Ginger chciała ją zobaczyć i po ciemku kamienica wyglądała o wiele okazalej niż za dnia. Stała w cudownej, starej, mrocznej dzielnicy pełnej rozpadających się domów należących do podupadających rodzin, które dzielnie walczyły o przetrwanie w tym dystyngowanym ubóstwie.

- Co on tam robi? - spytała Ginger.

Zaparkowaliśmy przy krawężniku i wyłączyłem silnik. Szczekał na nas stareńki sznaucer pani Duckworth, która mieszkała cztery domy dalej.

- Już ci mówiłem. Handluje akcjami i obligacjami.

- W nocy?

- Robi badania rynku. Nigdy nie wychodzi.

- I traci pieniądze?

- Na pewno nie zarabia.

- Przywitamy się z nim?

- nie. Tylko by się wkurzył.

- Kiedy widziałeś się z nim ostatni raz?

- Trzy, cztery miesiące temu. - Odwiedziny u ojca były ostatnią rzeczą, na jaką miałem wtedy ochotę. Trawiła mnie cielesna żądza, chciałem jak najszybciej przejść do konkretów.

Pojechaliśmy na przedmieścia i wynajęliśmy pokój w Holiday Inn przy autostradzie.

## **ROZDZIAŁ 19**

W piątek rano w holu przed salą rozpraw odszukał mnie Esau Ruffin z miłą niespodzianką. Przeprowadził trzech synów, Ala, Maksa i Bobby'ego (Alberta, Massima i Roberta), którzy bardzo

chcieli mnie poznać. Ze wszystkimi trzema rozmawiałem przez telefon miesiąc wcześniej, pisząc artykuł o panie Callie i jej dzieciach. Uścisnęliśmy sobie ręce i wymieniliśmy uprzejmości. Grzecznie podziękowali mi za przyjaźń z ich matką i za miłe słowa, które napisałem o ich rodzinie. Wszyscy trzej mieli przyjemny, łagodny głos i byli równie elokwentni, jak panna Callie.

Przyjechali w nocy, żeby udzielić matce moralnego wsparcia. Esau rozmawiał z nią raz w tygodniu - każdy przysięgły miał prawo do jednego telefonu - i wiedział, że trzyma się nieźle, chociaż martwił się o jej ciśnienie.

Pogawędziliśmy przez chwilę, a gdy naparł na nas tłum, weszliśmy razem do sali.

Usiedli tuż za mną. Kilka minut później panna Callie spojrzała na mnie ze swego miejsca i zobaczyła trzech synów. Jej uśmiech rozświetlił salę jak błyskawica. Widoczne wokół jej oczu zmęczenie momentalnie znikło.

Podczas procesu widziałem na jej twarzy dumę. Siedziała tam, gdzie nie siedział jak dotąd żaden Murzyn, ramię w ramię ze współobywatelami, po raz pierwszy w historii hrabstwa osądzając białego. Widziałem w niej również niepokój, jaki towarzyszy każdemu, kto wpływa na niezbadane wody.

Teraz byli tu jej synowie i z jej twarzy biła sama duma, bez cienia strachu. Siedziała trochę prościej i chociaż jak dotąd nic nie uszło jej uwagi, strzelała wokoło oczami, żeby czegoś nie przegapić i niecierpliwie pragnąc wypełnić swój obowiązek do końca.

Sędzia Loopus wyjaśnił przysięgłym, że w tej fazie procesu oskarżenie przedstawi okoliczności obciążające, żeby poprzeć żądanie kary śmierci. Obrona natomiast przedstawi okoliczności łagodzące. Nie oczekiwał, żeby trwało to długo. Był piątek; proces ciągnął się bez końca i przysięgli oraz wszyscy mieszkańcy Clanton chcieli pozbyć się wreszcie Padgitta, żeby życie wróciło do normy.

Ernie Gaddis dobrze wyczuł panujący w sali nastrój. Podziękował przysięgłym za werdykt i wyznał, że jego zdaniem żadnych dodatkowych świadków już nie potrzeba.

Zbrodnia była tak odrażająca, że nie wyobrażał sobie niczego bardziej obciążającego.

Poprosił przysięgłych, żeby pamiętali o zdjęciach Rhody na huśtanej ławce na ganku pana Deece'a i o zeznaniach patologa na temat jej okropnych ran i potwornej śmierci. I o dzieciach.

Proszę, nie zapominajcie o jej dzieciach.

Jakby ktoś mógł zapomnieć.

Wygłosił zarliwy apel o najwyższą karę. Przedstawił krótki rys historyczny, który tłumaczył, dlaczego my, dobrzy, uczciwi Amerykanie, tak mocno wierzymy w jej skuteczność. Wyjaśnił, dlaczego jest to dobry czynnik odstraszający. Zacytował Biblię.

Oskarżał przestępców prawie od trzydziestu lat, w sześciu hrabstwach, i nigdy dotąd nie zajmował się sprawą, która tak dobitnie i z taką mocą prosiłaby się o karę śmierci.

Obserwując twarze przysięgłych, byłem przekonany, że spełnią jego życzenie.

Zakończył przypomnieniem, że każdego z nich wybrano w poniedziałek po tym, gdy obiecali orzekać wedle obowiązującego prawa. Odczytał im ustawę nadającą moc prawną karze śmierci.

- Oskarżenie dowiodło słuszności swoich żądań - zakończył, zamykając grubą zieloną księgę. - Uznałście, że Danny Padgitt jest winny gwałtu i morderstwa. Prawo wzywa was teraz do wymierzenia kary śmierci. Waszym obowiązkiem jest to zrobić.

Jego porywające wystąpienie trwało pięćdziesiąt jeden minut - próbowałem rejestrować wszystko na bieżąco - i gdy skończył, zyskałem absolutną pewność, że przysięgli wsadzą Padgitta do komory gazowej nie raz, ale dwa razy.

Według Baggy'ego w sprawach zagrożonych karą śmierci oskarżony, który przez cały proces twierdził, że jest niewinny, i którego przysięgli w końcu przygwoździli, zwykle wstawał i bardzo przeproszał za zbrodnię, do której przez cały tydzień się nie przyznawał.

- Błagają i płaczą - powiedział Baggy. - Niezłe przedstawienie.

Ale ponieważ dzień wcześniej Danny Padgitt doprowadził do prawdziwej katastrofy, nie mógł stanąć teraz przed przysięgłymi. Wilbanks wezwał za to jego matkę, Lettie Padgitt.

Miała pięćdziesiąt kilka lat, krótkie siwiejące włosy i przyjemne rysy twarzy. Przyszła w czarnej sukience, jakby już opłakiwała śmierć syna. Naprowadzana przez Luciena, niepewnie zaczęła składać zeznania, które - przynajmniej takie miało się wrażenie - zostały spisane i przeanalizowane do ostatniej kropki, przecinka i pauzy. Ujrzelismy Danny'ego, małego chłopca, który codziennie po szkole szedł na ryby, który złamał nogę, spadając z drzewa, i który w czwartej klasie podstawówki wygrał konkurs ortograficzny. W tamtych czasach nigdy nie sprawiał żadnych kłopotów, nigdy, najmniejszych. Nie sprawiał też kłopotów, gdy dorastał, wprost przeciwnie, był dla niej źródłem wielkiej radości. Jego dwaj bracia zawsze się w coś wpakowali, ale nie on, nie Danny.

Zeznanie było tak głupkowate i wyrachowane, że aż śmieszne. Ale w ławie przysięgłych zasiadały trzy matki - panna Callie, Barbara Baldwin i Maxine Root - i Wilbanks mierzył w którąś z nich. Wystarczyłaby mu tylko jedna.

Jak można było się spodziewać, pani Padgitt wkrótce zalała się łzami. Nie wierzyła, że jej syn popełnił tę straszną zbrodnię, ale jeśli przysięgli uznali, że ją popełnił, ona spróbuje się z tym pogodzić. Tylko dlaczego mieliby odbierać go jej na zawsze? Dlaczego mieliby zabijać jej synka? Co zyskałby świat na jego śmierci?

Jej ból był prawdziwy. Jej uczucia obdarte do krwi i odsłonięte, i trudno to było znieść, spokojnie tam wysiedzieć. Każdy człowiek żywiłby współczucie dla matki, której groziła strata dziecka. W końcu się załamała i Wilbanks zostawił ją płaczącą na krześle dla świadków. To, co zaczęło się jak marne przedstawienie, zakończyło się skręcającym wnętrzości błaganiem i zmusiło większość przysięgłych do spuszczenia głowy.

Wilbanks oznajmił, że nie ma dalszych świadków. Potem on i Ernie przedstawili krótkie podsumowanie sprawy i o jedenastej przysięgli ponownie udali się na naradę.

Ginger zniknęła w tłumie. Wróciłem do redakcji i czekałem, a gdy się nie zjawiała, poszedłem na drugą stronę rynku do kancelarii Harry'ego Reksa. Harry Rex posłał sekretarkę po kanapki i zjedliśmy w jego zagraconej sali konferencyjnej. Podobnie jak większość innych prawników w Clanton, cały tydzień przesiedział w sądzie, na procesie, który nie miał dla niego żadnego znaczenia finansowego.

- Ta twoja Murzynka nie pęknie? - spytał z ustami pełnymi indyka i żółtego sera.

- Panna Callie?

- Tak. Nie ma nic przeciwko czapie?

- nie wiem. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

- Trochę nas niepokoi, tak jak ten kaleki chłopak.

Harry Rex zaangażował się w sprawę w taki sposób, że nikt by się nie domyślił, że pracuje dla Erniego Gaddisa. Ale nie był jedynym prawnikiem, który potajemnie wspierał i popierał oskarżyciela.

- Tamten werdykt wydali po niecałej godzinie - powiedziałem. - To dobry znak?

- Może i dobry, ale kiedy przychodzi pora podpisać wyrok śmierci, przysięgli robią dziwne rzeczy.

- No to co? Najwyżej dostanie dożywocie. Z tego, co wiem o Parchman, życie tam jest gorsze niż komora gazowa.

- Dożywocie nie jest dożywociem, Willie - odparł Harry Rex, wycierając usta papierowym ręcznikiem.

Odłożyłem kanapkę, a on odgryzł kolejny kawałek swojej.

- To ile się tu siedzi?

- Dziesięć lat, może nawet mniej. Próbowałem to zrozumieć.

- Chcesz powiedzieć, że dożywocie to w Missisipi dziesięć lat?

- Otóż to. Po dziesięcioletniej odsiadce, a przy dobrym sprawowaniu po jeszcze krótszej, morderca ma prawo wystąpić o zwolnienie warunkowe.

Oblęd, nie?

- Ale dlaczego...



- nie próbuj tego zrozumieć, Willie, takie jest prawo. Nie zmieniło się od pięćdziesięciu lat. Co gorsza, przysięgli o tym nie wiedzą. Nie można im tego powiedzieć.

Chcesz trochę sałatki?

Pokręciłem głową.

- Nasz znakomity Sąd Najwyższy uznał, że gdyby dowiedzieli się, jak lekkim wyrokiem jest tu dożywocie, szastaliby karą śmierci. A to nieuczciwe względem oskarżonego.

- Dziesięć lat... - wymamrotałem. W dzień wyborów zamykano tu wszystkie sklepy z alkoholem, jakby ludzie mogli się schlać i wybrać nie tych, co trzeba. Kolejna niewiarygodnie bzdurna ustawa.

- Właśnie - odrzekł Harry Rex i jednym potężnym kęsem pożarł resztkę kanapki. Zdjął

z półki kopertę, wyjął z niej duże czarno - białe zdjęcie, położył je na stole i przysunął w moją stronę. - Wpadłeś, staruszk - rzucił ze śmiechem.

Zdjęcie przedstawiało mnie w chwili, gdy w czwartek rano wychodziłem chyłkiem z motelowego pokoju Ginger. Byłem zmęczony, skacowany, skruszony, ale i dziwnie zadowolony z siebie.

- Kto je zrobił? - spytałem.

- Jeden z moich chłopaków. Pracował nad jakimś rozwodem, zobaczył twoje komunistyczne autko i postanowił się zabawić.

- nie tylko on.

- Gorąca babka. Próbował pstryknąć wam zdjęcie przez szparę w zasłonach, ale źle się ułożyliście.

- Mam dać mu autograf?

- nie, weź je sobie.

Po trzygodzinnej naradzie przysięgli przesłali wiadomość sędziemu. Utknęli w martwym punkcie i nie robili żadnych postępów. Loopus natychmiast otworzył rozprawę i pognaliśmy do sądu.

Jeśli przysięgli nie mogli uzgodnić jednomyślnego werdyktu, sędzia, zgodnie z prawem, musiał skazać oskarżonego na karę dożywotniego więzienia.

Czekający na przysięgłych tłum ogarnął lęk. Działo się tam coś niedobrego. Czyżby Padgittom udało się w końcu kogoś zastraszyć?

Panna Callie miała kamienną twarz i spojrzenie, jakiego nigdy dotąd u niej nie widziałem. Barbara Baldwin musiała chyba płakać. Mężczyźni wyglądali tak, jakby doszło między nimi do bójki, przed chwilą ich rozdzielono i mieli ochotę znowu się pobić.

Przewodniczący wstał i nerwowo wyjaśnił, że przysięgli się podzielili i w ciągu ostatniej godziny nie uczynili żadnego postępu. Nie miał nadziei na uzgodnienie jednomyślnego werdyktu i przysięgli byli gotowi wrócić do domu.

Sędzia Loopus spytał każdego po kolei, czy ich zdaniem istniała szansa na pełną jednomyślność. Wszyscy jednogłośnie odrzekli, że nie.

Czułem, jak w tłumie wzbiera gniew. Ludzie kręcili się niespokojnie na krzesłach i szeptali, co na pewno nie pomagało przysięgłym.

Wtedy sędzia wygłosił coś, co Baggy nazwał później „prawdziwym dynamitem”, zaimprovizowaną przemowę na temat przestrzegania prawa i dotrzymywania obietnic złożonych podczas selekcji. Było to długie, surowe pouczenie, z którego biła niemała doza desperacji.

nie poskutkowało. Dwie godziny później, na oczach osłupiałej publiczności, Loopus ponownie przepytął przysięgłych - z tym samym rezultatem. Niechętnie im podziękował i odesłał ich do domu.

Gdy wyszli, wezwał Danny'ego Padgitta i udzielił mu oficjalnie zaprotokołowanej reprimendy, od której ścierpła mi skóra. Nazwał go gwałcicielem, mordercą, tchórzem, kłamcą i, co najgorsze, złodziejem, który dwojgu małych dzieci odebrał jedyne rodzica, jakiego miały. Był to palący, miażdżący atak. Próbowałem zapisywać wszystko słowo w słowo, ale przestałem, żeby posłuchać, tak wielkie robił wrażenie. Tak gwałtownego szturmu na grzech nie przypuściłby nawet najbardziej fanatyczny uliczny kaznodzieja.

Gdyby sędzia Loopus miał taką władzę, skazałby podsądnego na śmierć, gwałtowną i bolesną.

Ale prawo było prawem i musiał go przestrzegać. Dlatego skazał go na dożywotnie więzienie i kazał szeryfowi natychmiast przewieźć go do więzienia stanowego w Parchman.

Coley zakuł Padgitta w kajdanki i wyprowadził.

Loopus grzmotnął młotkiem w stół i niemal wybiegł z sali. Przy drzwiach doszło do bójki, gdy jeden z wujów Danny'ego wpadł na Doca Crulla, miejscowego fryzjera i znanego narwańca. Szybko zebrał się tłum gapiów, którzy przeklinali Padgittów, każąc im wracać na wyspę. Ktoś wrzeszczał:

- Na bagna! Precz na bagna!

Funkcjonariusze z biura szeryfa rozdzielili walczących i Padgittowie mogli wreszcie wyjść.

Ludzie postali tam jeszcze trochę, jakby proces się nie skończył i jakby sprawiedliwości nie stało się zadość. Klęli, pomstowali, pałali gniewem i zrozumiałem, jak dochodzi do linczu.

Ginger się nie pokazała. Powiedziała, że zapłaci za motel i wpadnie do redakcji się pożegnać, ale najwyraźniej zmieniła zdanie. Widziałem już, jak pędzi przez noc, płacząc, klnąc i licząc kilometry. Któż by się jej dziwił?

Nasz krótki trzydniowy romans skończył się tak, jak przewidywaliśmy, chociaż żadne z nas nie

powiedziało tego na głos. Nie przypuszczałem, żebyśmy mieli się kiedykolwiek spotkać, a nawet gdyby, znowu byłby to motel i łóżko, a potem upomniałoby się o nas życie i poszlibyśmy dalej każde swoją drogą. Ginger należała do kobiet, które muszą zaliczyć wielu mężczyzn, zanim znajdą odpowiedniego. Siedziałem na balkonie i czekałem, aż zaparkuje przed redakcją, wiedząc, że jest już pewnie w Arkansas. I pomyśleć, że rozpoczęliśmy dzień w łóżku, niecierpliwie pragnąc wrócić do sądu i wysłuchać wyroku skazującego mordercę jej siostry na śmierć.

Pod wpływem chwili zacząłem pisać wstępniak. Miała to być ostra krytyka prawa karnego w naszym stanie. Uczciwy i z serca płynący artykuł, który zyskałby poklask wśród czytelników.

Przerwał mi telefon od Esaua. Był w szpitalu z panną Callie i prosił, żebym szybko przyjechał.

Panna Callie zasłała, wsiadając do samochodu po rozprawie. Esau i jego synowie błyskawicznie ją tam zawieźli i postąpili bardzo mądrze. Miała niebezpiecznie wysokie ciśnienie i lekarz bał się, że grozi jej zawał. Ale dwie godziny później jej stan się poprawił, rokowania też. Pottrzymałem ją za rękę, powiedziałem, że jestem z niej dumny i tak dalej. Ale tak naprawdę marzyłem, żeby jako bezpośrednia uczestniczka tych wydarzeń zdradziła mi, co się stało w sali narad.

Wiedziałem jednak, że nigdy tego nie zrobi.

Do północy siedziałem przy kawie z Alem, Maksem, Bobbym i Esauem w szpitalnej stołówce. Panna Callie nie powiedziała ani słowa na temat procesu.

Rozmawialiśmy o nich, o ich braciach i siostrach, o ich dzieciach, karierach i czasach, kiedy mieszkali w Clanton. Opowieść płynęła za opowieścią i mało brakowało, żebym wyciągnął długopis i notes.

## **ROZDZIAŁ 20**

Przez pierwsze pół roku w weekend zwykle uciekałem z miasta. Nie było tam prawie nic do roboty. Nie licząc pieczonych kóz u Harry'ego Reksa i jednego koszmarnego koktajlu, z którego zwiąłem już po dwudziestu minutach, nie udzielałem się towarzysko. Dosłownie wszyscy w moim wieku powychodzili już za mąż i się pożenili, i najhuczniejszą imprezą był

dla nich sobotni podwieczorek w jednym z niezliczonych kościołów. Większość tych, którzy wyjechali na studia, już nigdy tu nie wróciła.

Z nudów jeździłem czasem do Memphis, zwykle do kumpla, prawie nigdy do ojca.

Kilka razy byłem w Nowym Orleanie, gdzie balowała moja dawna dziewczyna z ogólniaka.

Ale byłem właścicielem „Timesa” i zamierzałem nim być przynajmniej przez jakiś czas.

Byłem też mieszkańcem Clanton. Musiałem pogodzić się z życiem w małym mieście, z nudnymi weekendami i całą resztą. Moim azylem stała się redakcja.

Poszedłem tam w niedzielę po procesie, tak koło południa. Miałem w głowie kilka artykułów, poza



tym nie skończyłem jeszcze wstępniaka. Na podłodze, tuż za drzwiami, leżało siedem listów. Tradycja ta obowiązywała tu od wielu lat. Ilekroć Plama napisał coś, co sprowokowało reakcję czytelników - zdarzało się to nader rzadko - ludzie przynosili listy do redakcji i wsuwali je pod frontowe drzwi.

Cztery były podpisane, trzy anonimowe. Dwa napisane na maszynie, pozostałe odręcznie, w tym jeden, którego za nic nie mogłem rozczytać. Wszystkie wyrażały oburzenie, że Danny Padgitt wyszedł z tego z dożywociem. Nie dziwiłem się, że miasto łaknie krwi. Ale z trwogą stwierdziłem, że w sześciu z siedmiu listów jest wzmianka na temat panny Callie.

Pierwszym był napisany na maszynie anonim. Brzmiał następująco: *Szanowny Panie Redaktorze!*

*W naszej społeczności zaczęło obowiązywać nowe prawo, skoro taki bandzior jak Danny Padgitt może bezkarnie gwałcić i mordować. A obecność Murzynki w składzie ławy przysięgłych powinna uświadomić nam, że ludzie ci myślą inaczej niż praworzędni biali obywatele.*

Pani Edith Caravelle z Beech Hill pięknym charakterem pisma napisała: *Szanowny Panie Redaktorze!*

*Mieszkam niecałe dwa kilometry od miejsca, gdzie popełniono to morderstwo. Jestem matką dwojga nastolatków. Jak wytłumaczę im ten wyrok? Biblia mówi: „Oko za oko”.*

*Chyba nie odnosi się to do naszego hrabstwa.*

Drugi anonim był napisany na wyperfumowanym, różowym papierze z obwódką w kwiatki.

*Szanowny Panie Redaktorze!*

*Teraz już Pan widzi, co się dzieje, kiedy czarnym powierza się odpowiedzialne stanowisko. Ława przysięgłych złożona z samych białych powiesiłaby Padgitta już w sądzie. A Sąd Najwyższy mówi nam teraz, że czarni powinni uczyć w szkołach nasze dzieci, patrolować nasze ulice i ubiegać się o publiczne urzędy. Niech Bóg nam dopomoże.*

Jako redaktor (właściciel i wydawca) „Timesa” miałem pełną kontrolę nad tym, co szło do druku. Mogłem te listy opublikować, zignorować je albo w nich poprzebierać. W

kontrowersyjnych kwestiach i wydarzeniach listy do redakcji zawsze były zarzewiem pożarów i źródłem wzburzenia mieszkańców. Oraz siłą napędową, dzięki której gazety się sprzedawały, ponieważ tylko w gazetach ludzie mogli je zamieścić. Ich publikacja była całkowicie darmowa, więc każdy mógł grzmieć i krzyczeć do woli.

Przeczytawszy ich pierwszą falę, postanowiłem, że nie puszczę do druku niczego, co mogłoby zaszkodzić pannie Callie. I wściekłem się, że ktoś mógł pomyśleć, iż w jakiś sposób przyblokowała przysięgłych, uniemożliwiając wydanie wyroku śmierci.

Dlaczego miasto tak bardzo chciało zrzucić winę za niepopularny werdykt na jedyną wśród nich Murzynkę? W dodatku bez jakichkolwiek dowodów. Poprzysiągłem sobie, że dowiem się, co zaszło

w sali narad, i natychmiast pomyślałem o Harrym Reksie. Tak, oczywiście, pamiętałem, że w poniedziałek rano przyjdzie jak zwykle skacowany Baggy i będzie udawał, że dobrze wie, jak się podzielili. Ale istniało duże prawdopodobieństwo, że wszystko zmyśli. Jeśli ktokolwiek mógł poznać prawdę, tym kimś był tylko Harry Rex.

Wiley Meek przyniósł najświeższe plotki. W barach i kafejkach wrzało. Słowo

„Padgitt” stało się brzydkim wyrazem. Wilbanksem pogardzano, ale nie było w tym nic nowego. Szeryf Coley mógł już pakować manatki; nie zdobyłby nawet pięćdziesięciu głosów.

Chociaż do wyborów pozostało pół roku, miał już dwóch rywali, którzy głośno go krytykowali.

Jedna z plotek mówiła, że jedenastu było za komorą gazową, jeden przeciw. „Pewnie ta czarnucha” - rzucił ktoś, oddając atmosferę dominującą w Tea Shoppe o siódmej rano.

Funkcjonariusz z biura szeryfa, który pilnował drzwi sali narad, ponoć szepnął znajomkowi, że podzielili się pół na pół, ale już o dziewiątej nie wierzył w to żaden z barowiczów. Tego ranka po rynku krążyły dwie główne teorie: pierwsza, że panna Callie zepsuła wszystko tylko dlatego, że jest Murzynką, i druga, że Padgittowie przekupili jednego, dwóch albo nawet trzech przysięgłych, tak samo jak tę „zakłamaną sukę” Lydię Vince.

Wiley uważał, że druga teoria ma więcej zwolenników niż pierwsza, chociaż wielu uwierzyłoby dosłownie we wszystko. Zaczynałem się przekonywać, że rynkowe plotki są bezwartościowe.

W sobotę późnym popołudniem przeciąłem tory i powoli przejechałem przez Lowtown. Na ulicach roilo się od dzieci na rowerach i od podwórkowych koszykarzy, na gankach tłoczyli się sąsiedzi, z otwartych na oścież drzwi knajpek płynęła muzyka, a przed sklepami rozbrzmiewał śmiech gawędzących tam mężczyzn. Wszyscy byli na dworze, rozgrzewając się przed trudami sobotniej nocy. Machali do mnie i się gapili, bardziej rozbawieni moim samochodem niż kolorem mojej skóry.

Na tarasie Ruffinów też panował tłok. Byli tam Al, Max, Bobby i wielebny Thurston Smali wraz z innym elegancko ubranym urzędnikiem kościelnym. Esau doglądał żony.

Wypisano ją rano z surowym poleceniem, że przez trzy dni ma leżeć w łóżku i nie kiwnąć nawet palcem. Max zaprowadził mnie do sypialni.

Panna Callie czytała Biblię. Zobaczyła, mnie, posłała mi uśmiech i powiedziała:

- Jak to miło, że pan przyszedł. Proszę usiąść. Esau, przynieś panu redaktorowi herbaty. - Esau natychmiast jej posłuchał, jak zwykle, gdy wydawała rozkazy.

Usiadłem na twardym krześle przy łóżku. Bynajmniej nie robiła wrażenia chorej.

- Zacząłem już martwić się o czwartkowy lunch - powiedziałem i się roześmialiśmy.

- Coś ugotuję - odrzekła.

- nie, mam lepszy pomysł. Coś przyniosę.

- nie wiem dlaczego, ale bardzo mnie to niepokoi.

- Kupię coś. Coś lekkiego, choćby kanapki.

- Świetnie. - Poklepała mnie po kolanie. - Moje pomidory niedługo dojrzeją. Przestała mnie poklepywać, uśmiechnęła się i uciekła wzrokiem w bok.

- To nie była dobra robota, prawda? - W jej głosie pobrzmiwał smutek i frustracja.

- Werdykt nie cieszy się zbyt wielkim uznaniem - odrzekłem.

- nie tego chciałam.

Tyle na temat narady przysięgłych. Przez wiele lat nie dowiedziałem się od niej niczego więcej. Esau powiedział mi później, iż jedenastu z nich przysięgło na Biblię, że nie pisną o tym ani słowa. Panna Callie nie chciała przysięgać na Biblię, ale przyrzekła, że będzie strzegła sekretu.

Zostawiłem ją, żeby odpoczęła, i wyszedłem na ganek, gdzie spędziłem kilka godzin, słuchając, jak jej synowie i ich goście rozprawiają o życiu. Siedziałem w kącie, pijąc herbatę i starając się nie uczestniczyć w rozmowie. Chwilami wsłuchiwałem się w sobotnie odgłosy miasta po tej stronie torów i odpływałem.

Wielebny i jego przyjaciel poszli, na ganku zostali sami Ruffinowie. W końcu zaczęli rozmawiać o procesie i o werdykcie, i jak odebrano go po tamtej stronie torów.

- Naprawdę groził przysięgłym? - spytał mnie Max.

Opowiedziałem im wszystko po kolei z pomocą Esaua, który dla podkreślenia dramatyzmu sytuacji celnie wtrącił kilka uwag. Byli wstrząśnięci, tak samo jak naoczni świadkowie zajścia.

- Dzięki Bogu, że już nigdy nie wyjdzie z więzienia - westchnął Bobby, a ja nie miałem serca, żeby powiedzieć im prawdę. Byli niezwykle dumni z matki, wtedy i zawsze.

Miałem dość procesu. Wyszedłem koło dziewiątej i przez jakiś czas krążyłem bez celu po Lowtown, samotny i stęskniony. Brakowało mi Ginger.

W Clanton gotowało się przez wiele dni. Otrzymaliśmy osiemnaście listów, z których sześć opublikowałem. Trzy dotyczyły procesu, co oczywiście jeszcze bardziej zaogniło sytuację.

Lato powoli mijało i zaczynałem już myśleć, że miasto nigdy nie przestanie gadać o Dannym Padgicie i Rhodzie Kassellaw.

I nagle przestało. Momentalnie, w mgnieniu oka, dosłownie w niecałe dwadzieścia cztery godziny proces odszedł w niepamięć.

Clanton, to po tej stronie torów i to po tamtej, miało na głowie ważniejszą sprawę.

## CZEŚĆ II

### ROZDZIAŁ 21

Radykalnym zarządzeniem, niepozostawiającym miejsca na wątpliwości czy opóźnienia, sąd wydał nakaz doraźnej likwidacji systemu szkół rozdzielnych. Koniec z graniem na zwłokę, koniec z zaskarżeniami i odwołaniami, koniec z obietnicami.

Natychmiastowa desegregacja - Clanton było zaszokowane tak samo jak wszystkie inne miasta na Południu.

Harry Rex zapoznał mnie z zarządzeniem i próbował wyjaśnić jego zawilosci. Nie było aż tak skomplikowane. Każdy rejon szkolny musiał bezzwłocznie wcielić w życie plan desegregacji.

- Nakład ci podskoczy - prorokował z niezapalonym cygarem w kąciku ust.

W mieście natychmiast zorganizowano szereg różnego rodzaju spotkań i byłem na wszystkich. Jedno z nich miało miejsce pewnego parnego wieczoru w połowie lipca w sali gimnastycznej ogólniaka. Trybuny były nabite, parkiet zatłoczony strapionymi rodzicami.

Mecenas Walter Sullivan, prawnik „Timesa”, pełnił również funkcję nieoficjalnego doradcy prawnego zarządu szkoły. I najwięcej gadał, bo nigdzie nie należał. Politycy woleli się za nim ukrywać. Prosto z mostu oświadczył, że za półtora miesiąca system szkolny w hrabstwie Ford stanie się systemem otwartym i w pełni dostępnym dla czarnych.

Mniejsze spotkanie odbyło się w szkole dla kolorowych przy Burley Street.

Pojechaliśmy tam z Baggym i Wileym, który robił zdjęcia. Mecenas Sullivan ponownie wyjaśnił zebrany, jak to wszystko będzie wyglądało. Dwukrotnie przerywano mu oklaskami.

Różnica między tymi dwoma spotkaniami była zdumiewająca. Biali rodzice byli źli i przerażeni; widziałem, że kilka kobiet płakało. Nadchodził ów zgubny, brzemienny w skutki dzień. Natomiast w szkole dla czarnych panowała atmosfera triumfu. Rodzice martwili się, ale i radowali, że ich dzieci nareszcie będą mogły chodzić do lepszych szkół. Chociaż wciąż borykali się z problemami mieszkaniowymi i dostępem do opieki zdrowotnej, chociaż panowało wśród nich duże bezrobocie, integracja szkół publicznych stanowiła olbrzymi krok naprzód w ich walce o prawa obywatelskie.

Byli tam również panna Callie i Esau. Sąsiedzi okazywali im wielki szacunek. Przed sześciu laty frontowymi drzwiami weszli do szkoły dla białych i rzucili Sama na pożarcie lwom. Przez trzy lata był jedynym czarnym dzieckiem w szkole i jego rodzina zapłaciła za to wysoką cenę. Teraz uważali - przynajmniej oni - że było warto. Sam oczywiście nie przyjechał i nie mogliśmy przeprowadzić z nim wywiadu.

Odbyło się również spotkanie w Pierwszym Kościele Baptystów. Spotkanie tylko dla białych, tych trochę lepiej sytuowanych, z wyższej warstwy klasy średniej. Jego organizatorzy zaczęli już zbierać

pieniądze na budowę prywatnej szkoły i fundusze stały się teraz jeszcze pilniejszą sprawą. Przyszło kilku lekarzy, kilku prawników i większość golfiarzy z podmiejskiego klubu. Ich dzieci były najwyraźniej za dobre, żeby chodzić do szkoły z czarnymi.

Szybko opracowali plan otwarcia szkoły w opuszczonej fabryce na południowym krańcu miasta. Zamierzali wynająć ją na rok, do czasu zakończenia kampanii finansowej. Na gwałt szukali nauczycieli i zamawiali podręczniki, lecz najpilniejszą kwestią - nie licząc ucieczki przed zalewem czarnych - było to, co zrobić z drużyną futbolową. Momentami panowała atmosfera hysterii, jakby system szkolny, zdominowany przez siedemdziesiąt pięć procent białych, stwarzał poważne zagrożenie dla ich dzieci.

Pisałem długie artykuły, dawałem wielkie nagłówki i okazało się, że Harry Rex miał rację. Gazeta się sprzedawała. Pod koniec lipca 1970 roku nakład przekroczył pięć tysięcy egzemplarzy; oszałamiający zwrot. Po morderstwie w Beech Hill i desegregacji zaczynałem powoli rozumieć, co miał na myśli mój kumpel Nick Diener, gdy powiedział w Syracuse: „W drukarni dobrego małomiasteczkowego tygodnika nie drukuje się gazety. Drukują się pieniądze”.

Sęk w tym, że potrzebowałem newsów, a Clanton nie zawsze w nie obfitowało. Gdy nie miałem o czym pisać, puszczałem rozdmuchaną relację na temat najświeższych doniesień z apelacji Padgitta. Zamieszczałem ją zwykle na dole pierwszej strony i czytając ją, ludzie mogli odnieść wrażenie, że Danny lada chwila wyjdzie z więzienia. Ale nie wiem, czy ich to już obchodziło. Na początku sierpnia, gdy Davey „Gaduła” Bass wprowadził mnie w tajniki rytuałów szkolnego futbolu, „Times” znowu dostał skrzydeł.

Wilson Caudle nie interesował się sportem i nie byłoby w tym nic złego, gdyby w każdy piątkowy wieczór połowa mieszkańców Clanton nie żyła i nie ginęła wraz z Kuguarami. Plama zepchnął Gadułę na ostatnią stronę, rzadko kiedy zamieszczał zdjęcia.

Natomiast ja wyczułem w tym szmal i drużyna Kuguarów trafiła na stronę pierwszą.

Moją karierę futbolową zakończył w dziewiątej klasie pewien sadysta, były żołnierz piechoty morskiej, którego mój mały, pobłażliwy ogólniak z jakichś względów zatrudnił jako trenera. Memphis w sierpniu to miasto tropikalne i treningi powinny być wtedy zakazane.

Biegaliśmy w kółko stadionu w pełnym rynsztunku bojowym, w hełmie i całej reszcie, w trzydziestopięciostopniowym upale, a trener, nie wiedząc czemu, nie chciał dać nam pić. Tuż przy stadionie były korty tenisowe i gdy skończyłem rzygać, spojrzałem w tamtą stronę i zobaczyłem dwie dziewczyny, które grały z dwoma chłopakami. Dziewczyny to bardzo przyjemny widok, ale moją uwagę przykuły nie one, tylko wielkie butle z zimną wodą, z których tamci mogli pić, kiedy chcieli.

Rzuciłem futbol i zająłem się tenisem tudzież dziewczynami i ani przez chwilę tego nie żałowałem. Moja szkoła grała w soboty, więc nie przeszedłem chrztu i religijny rytuał

piątkowego wieczoru był mi zupełnie obcy.

Na szczęście później się nawróciłem.

Gdy drużyna Kugarów zebrała się na pierwszym treningu, Gaduła i Wiley pojechali na stadion, żeby to zarejestrować. Na pierwszej stronie zamieściliśmy wielkie zdjęcie czterech zawodników, dwóch białych i dwóch czarnych, oraz zbiorowe zdjęcie trenerów, łącznie z ich czarnym asystentem. Gaduła spłodził długi artykuł o zawodnikach, drużynie i jej perspektywach, a był to dopiero pierwszy tydzień treningów.

Zdaliśmy również relację z otwarcia roku szkolnego, zamieszczając wywiady z uczniami, nauczycielami oraz personelem administracyjnym i nie ukrywając swego pozytywnego nastawienia. Szczerze mówiąc, w przeciwieństwie do pozostałych miast głębokiego Południa, w Clanton nie doszło wtedy prawie do żadnych niepokojów na tle rasowym.

„Times” publikował też długie artykuły o cheerleaderkach, o szkolnej orkiestrze i o drużynach gimnazjalnych, o wszystkim, co tylko przyszło nam do głowy. A każdy artykuł

ozdabialiśmy kilkoma zdjęciami. Nie wiem, ilu uczniów nie trafiło na łamy naszej gazety, ale na pewno niewielu.

Pierwszym meczem sezonu była doroczna rodzinna awantura z Karaway, miastem o wiele mniejszym od Clanton, które miało o wiele lepszego trenera. Siedziałem obok Harry'ego Reksa i wrzeszczeliśmy tak głośno, że aż ochrypliśmy. Wyprzedano wszystkie bilety, a na trybunach przeważali biali.

I właśnie oni, ci, którzy tak stanowczo protestowali przeciwko integracji, tego piątkowego wieczoru przeszli nagłą transformację. W pierwszej kwarcie pierwszej połowy narodziła się gwiazda, gdy Ricky Patterson, małeńki Murzynek, który potrafił fruwać, zaliczył

osiemdziesiąt jardów po pierwszym kontakcie z piłką. Za drugim razem przebiegł czterdzieści pięć i od tej chwili gdy tylko dostawał piłkę, cały stadion wstawał i wył. Półtora miesiąca po tym, jak do miasta trafił sądowy nakaz desegregacji, zobaczyłem, jak te ograniczone, nietolerancyjne ciemiaki wrzeszczą i skaczą z radości, ilekroć Ricky dostaje piłkę.

Po dramatycznym meczu Clanton wygrało trzydzieści cztery do trzydziestu, a my zamieściliśmy w „Timesie” bezwstydnie chełpliwą relację. Na pierwszej stronie nie było nic oprócz futbolu. Natychmiast ogłosiliśmy konkurs na zawodnika tygodnia ze studolarowym stypendium na jakiś mętny fundusz, którego podstawy prawne opracowywaliśmy przez wiele miesięcy. Ricky został naszym pierwszym laureatem, co wymagało kolejnego wywiadu i kolejnego zdjęcia.

Gdy Clanton wygrało swoją pierwszą serię czterech meczów, dzięki nam rozpętało się prawdziwe szaleństwo. Nakład osiągnął pięć tysięcy pięćset egzemplarzy.

Pewnego dnia na początku września szedłem sobie przez rynek do banku. Byłem w tym co zwykle, to znaczy w wypłowiałych dżinsach, zmiętej bawełnianej koszuli z podwiniętymi rękawami i w mokasynach bez skarpetek. Miałem wtedy dwadzieścia cztery lata i ponieważ wydawałem własną gazetę, zamiast o college'u, coraz częściej myślałem o karierze. Jednakże college wciąż we mnie tkwił, bo nosiłem długie włosy i ubierałem się jak student. Zwykle nie przywiązywałem zbyt wielkiej

wagi do tego, jak wyglądam i co pomyślą o mnie inni.

Ale niektórzy przywiązywali.

Pan Mitlo dopadł mnie na chodniku i wepchnął do swego małego sklepu z galanterią męską.

- Czekalem na pana - powiedział z silnym obcym akcentem, jednym z wielu w Clanton. Był Węgrem i miał ponoć barwną przeszłość, bo uciekł z Europy, zostawiając tam dziecko czy nawet dwoje. Figurował na mojej liście ciekawych ludzkich historii, w które zamierzałem się wgryźć zaraz po zakończeniu sezonu futbolowego. - Niech pan tylko na siebie spojrzy! - rzucił szyderczo, gdy przekroczywszy próg sklepu, stanąłem przy półce z paskami. Lecz mówiąc to, uśmiechał się przyjaźnie, a ze względu na kłopoty z symultanicznym przekładem, w rozmowie z obcokrajowcami nie zważa się zwykle na ich obcesowość.

No więc spojrzałem na siebie, nie bardzo rozumiejąc, w czym problem.

Najwyraźniej było ich wiele.

- Jest pan zawodowcem - oświecił mnie pan Mitlo. - Bardzo ważnym człowiekiem, a ubiera się pan jak, hm... - Podrapał się w brodę, szukając odpowiedniej zniewagi.

- Jak student - odpowiedziałem.

- nie. - Pan Mitlo pokiwał palcem w tę i we w tę, jakby żaden student nie wyglądał

gorzej niż ja. Skończył z docinkami i kontynuował wykład. - Jest pan kimś wyjątkowym, bo ilu ludzi ma własną gazetę? Jest pan wykształcony, a tu to rzadkość. I jest pan z Północy! Jest pan młody, ale nie powinien pan wyglądać tak... tak... niedojrzale. Musimy popracować nad pańskim wizerunkiem.

I popracowaliśmy, nie miałem wyboru. Pan Mitlo ogłaszał się często w „Timesie”, więc nie mogłem kazać mu się wypchać. Poza tym to, co mówił, trzymało się kupy. Czasy studenckie już dawno minęły, rewolucja się skończyła. Uciekłem przed Wietnamem, przed latami sześćdziesiątymi i przed college'em, i chociaż nie myślałem jeszcze o stabilizacji, o żonie i ojcostwie, powoli zaczynałem odczuwać ciężar lat.

- Musi pan nosić garnitury - zdecydował pan Mitlo, przebierając między wieszakami.

Zasłynął z tego, że podszedł kiedyś do prezesa banku i przy ludziach oznajmił, że jego koszula nie pasuje do garnituru, a krawat do koszuli. On i Harry Rex nie żyli ze sobą w zgodzie.

nie zamierzałem nosić szarych garniturów i butów z naszywkanymi, ozdobnie dziurkowanymi noskami. Pan Mitlo zdjął z wieszaka błękitny płócienny garnitur, znalazł

białą koszulę, potem ruszył prosto do półki z krawatami i dobrał idealną muszkę w czerwono

- złote paski.

- Przymierzmy - rozkazał. - Tam - dodał, wskazując przebieralnię. Na szczęście w sklepie nie było nikogo. Nie miałem wyboru.

nie umiałem zawiązać muszki. Pan Mitlo wykonał kilka wprawnych ruchów i zawiązał ją w trzy sekundy.

- Dużo lepiej - skonstatował, przyglądając się kompletnemu produktowi. Długo stałem przed lustrem. Nie byłem pewien, czy lepiej, chociaż nie powiem, przemiana ta bardzo mnie zaintrygowała. Dodawała mi charakteru i indywidualności.

Chciałem tego czy nie, strój i tak miał należeć do mnie. Musiałem go włożyć co najmniej raz.

Żeby uwieńczyć dzieło, pan Mitlo kazał mi przymierzyć białą panamę, która dobrze pasowała na moją kudłatą głowę. Poprawił ją tu i tam, wetknął mi za ucho kosmyk włosów i oznajmił:

- Za dużo włosów. Jest pan zawodowcem. Trzeba ściąć.

Dopasował spodnie i marynarkę, wyprasował koszulę i nazajutrz przyszedłem po odbiór. Chciałem to wszystko zapakować do torby, zanieść do domu, a potem czekać, czekać i czekać na luźniejszy dzień, wreszcie przyjść prosto do niego i się pokazać.

Ale oczywiście on miał zupełnie inne plany. Kazał mi przymierzyć koszulę z muszką, garnitur i kapelusz, a gdy to zrobiłem, próbował wypchnąć mnie na rynek, żebym się przeszedł i zebrał komplementy.

- Bardzo się spieszę - zaprotestowałem. Obradował sąd słuszności i w centrum było pełno ludzi.

- Nalegam - rzekł dramatycznie, grożąc mi palcem, jakby nie zamierzał prowadzić żadnych negocjacji.

Poprawił mi kapelusz i dodał ostatni rekwizyt, długie czarne cygaro, które przyciął, wepchnął mi do ust i przypalił zapalką.

- Potęga aż z pana bije - orzekł z dumą. - Jedyne wydawca gazety w mieście. A teraz jazda.

Przeszedłem pół rynku i nikt mnie nie poznał. Dwaj farmerzy, którzy stali przed sklepem z paszą, obrzucili mnie dziwnym spojrzeniem, ale mnie też nie podobało się ich ubranie. Z cygarem w ustach czułem się jak Harry Rex. Ale moje się paliło i było bardzo mocne. Przed jego kancelarią gwałtownie przyspieszyłem kroku. Gladys Wilkins prowadziła agencję ubezpieczeniową męża. Miała około czterdziestki, była bardzo ładna i zawsze dobrze ubrana. Zobaczyła mnie, zamarła i powiedziała:

- O, pan redaktor. Jaki pan dzisiaj dystyngowany.

- Dziękuję.

- Przypomina pan Marka Twaina.



Poszedłem dalej, czując się nieco lepiej. Dwie zdumione sekretarki zareagowały z niejakim opóźnieniem.

- Śliczna muszka! - zawołała jedna.

Potem zatrzymała mnie pani Clare Ruth Seagraves i przez długi czas mówiła o czymś, co napisałem przed wieloma miesiącami i o czym zdążyłem już zapomnieć. Mówiąc, przyglądała się garniturovi i muszce, nie przeszkadzało jej nawet cygaro.

- Jest pan bardzo przystojny, panie redaktorze - powiedziała w końcu i chyba zawstydziła się tej szczerości.

Szedłem coraz wolniej i wolniej, wreszcie uznałem, że pan Mitlo ma rację. Chociaż wcale się tak nie czułem, byłem profesjonalistą, wydawcą, ważną osobistością i mój nowy wizerunek był jak najbardziej na miejscu.

Tylko cygara powinny być słabsze. Zanim obszedłem rynek, zakręciło mi się w głowie i musiałem usiąść.

Pan Mitlo zamówił jeszcze jeden płócienny garnitur, jasnoszary. Zdecydował, że w przeciwieństwie do bankowców i prawników nie będę ubierał się na ciemno, tylko na jasno, w kolory stonowane i trochę niekonwencjonalne. I wyznaczył sobie zadanie znalezienia kilku niepowtarzalnych muszek oraz odpowiednich materiałów na jesień i zimę.

W ciągu miesiąca Clanton przywykło do nowego osobnika na rynku. Zaczęto mnie zauważać, w czym przodowały przedstawicielki płci pięknej. Harry Rex się ze mnie naśmiewał, ale on też ubierał się jak błazen.

Za to panie za mną przepadały.

## **ROZDZIAŁ 22**

Pod koniec września mieliśmy dwa godne uwagi zgony. Pierwszym był zgon Wilsona Caudle'a. Umarł w domu, samotnie, w sypialni, w której zamknął się w dniu, gdy wyszedł z redakcji. To, że już jako nowy właściciel „Timesa” przez pół roku nie zamieniłem z nim ani słowa, było dziwne, ale miałem za dużo pracy, żeby się tym gryźć. Na pewno nie chciałem od niego żadnych rad. Poza tym, co smutne, wiedziałem, że przez ten czas nikt z nim nie rozmawiał ani go nawet nie widział.

Zmarł w czwartek i pochowano go w sobotę. W piątek wpadłem do pana Mitla i odbyliśmy naradę na temat stroju, jaki ktoś o moim statusie społecznym powinien włożyć na pogrzeb. Mitlo nalegał na czarny garnitur i tak się przypadkiem złożyło, że miał idealnie pasującą muszkę. Była wąska, w czar - no - kasztanowe paski, bardzo dystyngowana i budząca szacunek, i gdy ją zawiązałem, musiałem przyznać, że wyglądam imponująco. Pan Mitlo pożyczył mi też czarny filcowy kapelusz ze swojej prywatnej kolekcji; często powtarzał, że to wielka szkoda, iż Amerykanie nie noszą już kapeluszy.

Ostatnim akcentem była czarna, lśniąca, drewniana laseczka. Gdy miją pokazał, nie zrozumiałem, o

co mu chodzi.

- nie potrzebuję laski - powiedziałem, uznawszy, że głupio bym z nią wyglądał.

- To jest laseczka - odparł i wcisnął mi ją do ręki.

- Co za różnica?

Wtedy opowiedział mi zdumiewającą historię o przełomowej roli, jaką laski i laseczki odegrały w ewolucji europejskiej mody. Mówił z wielkim przejęciem i im bardziej się ekscytował, tym miał większe kłopoty z wymową i tym mniej go rozumiałem. Żeby się wreszcie zamknął, wziąłem w końcu tę laskę.

Nazajutrz gdy wszedłem do kościoła metodystów, spojrzały na mnie wszystkie panie.

Niektórzy mężczyźni też i większość z nich zastanawiała się pewnie, co tam robię w czarnym kapeluszu i z laską.

- Zaraz nam tu zaśpiewa i zatańczy - szepnął teatralnym szeptem Stan Atcavage, mój bankier.

- Znowu był u Mitla - dodał ktoś inny.

Niechcący uderzyłem laską w ławkę i żałobnicy aż podskoczyli. Nie bardzo wiedziałem, co się z nią robi, zwłaszcza na pogrzebie. Ścisnąłem ją między nogami, a kapelusz położyłem na kolanach. Ukształtowanie odpowiedniego wizerunku wymaga czasu.

Rozejrzałem się i zobaczyłem pana Mitla. Patrzył na mnie, cały rozpromieniony.

Chór zaśpiewał *Amazing Grace* i pogrążyliśmy się w posępnej zadumie. Potem wielebny Clinkscale zapoznał nas z najistotniejszymi wydarzeniami z życia zmarłego: urodzony w roku 1896, jedyne dziecko ukochanej panny Emmy Caudle, bezdzietny wdowiec, weteran I wojny światowej i przez ponad pięćdziesiąt lat wydawca naszego tygodnika, człowiek, który z pisania nekrologów uczynił sztukę, za co spłynie na niego wieczysta sława.

Wielebny mówił i mówił, a potem zaśpiewała solistka i zrobiło się ciekawiej. Był to mój czwarty pogrzeb w Clanton. Oprócz pogrzebu matki, nie byłem przedtem na żadnym. W

małym miasteczku pogrzeby są wydarzeniami towarzyskimi i często słyszałem tu perełki w rodzaju: „Uroczna msza, prawda?” albo: „Uważaj na siebie. Do zobaczenia na pogrzebie”, czy też moje ulubione: „Byłaby zachwycona”.

„Ona”, czyli zmarła.

Ludzie zwalniali się z pracy i wkładali odświętne ubrania. Jeśli ktoś nie chodził na pogrzeby, uważano go za dziwaka, a ponieważ już i tak obróciło się przeciwko mnie wiele różnych dziwactw, postanowiłem oddać zmarłemu cześć, jak należy.

Drugi zgon miał miejsce późną nocą i gdy dowiedziałem się o nim w poniedziałek, poszedłem do domu po rewolwer.

Malcolm Vince został postrzelony dwa razy w głowę, gdy wychodził ze spelunki na jakimś zadupiu w Tishomingo. W hrabstwie Tishomingo obowiązywała prohibicja, spelunka była nielegalna i dlatego tak dobrze ukryta.

nie było żadnych świadków. Malcolm pił piwo i grał w bilard, zachowując się spokojnie i nikomu nie wadząc. Dwóch jego znajomych zeznało, że wyszedł sam około jedenastej wieczorem po trzech godzinach w knajpie. Nie był zalany i miał dobry humor.

Pozegnał się z nimi, zniknął za drzwiami i kilka sekund później usłyszeli huk wystrzałów.

Byli niemal pewni, że nie miał przy sobie broni.

Knajpa mieściła się na końcu leśnej drogi, a kilkaset metrów przed knajpą stał strażnik ze strzelbą. Teoretycznie miał za zadanie ostrzegać właściciela, gdyby pojawiła się tam policja lub jakiś szemrany typ. Hrabstwo Tishomingo leżało na granicy stanu i od dziesiątków lat dochodziło tam do waśni z bandziorami z Alabamy. Nielegalne knajpy były ulubionym miejscem załatwiania tego rodzaju sporów. Strażnik słyszał wystrzały, które zabiły Malcolma, i przysięgał, że drogą nie przejechał potem ani jeden samochód czy półciężarówka. Gdyby ktoś tamtędy uciekał, musiałby go minąć.

Tak więc żeby wykonać robotę, ten, kto zamordował Malcolma Vince'a, musiał

przejsć piechotą przez las. Rozmawiałem z szeryfem hrabstwa Tishomingo. Uważał, że ktoś na Malcolma dybał. Że na pewno nie była to ogrodowa wersja knajpianej burdy.

- Domyśla się pan, kto to mógł być? - spytałem z rozpaczliwą nadzieją, że Malcolm Vince narobił sobie wrogów w tym odległym o dwie godziny jazdy hrabstwie.

- nie - odrzekł szeryf. - Krótko tu mieszkał.

Przez dwa dni nosiłem rewolwer w kieszeni, a potem znowu mnie to znużyło. Jeśli Padgittowie chcieli dopaść mnie, któregoś z przysięgłych, sędziego Loopusa, Erniego Gaddisa czy kogokolwiek innego, kto ich zdaniem dopomógł w wysłaniu Danny'ego do więzienia, praktycznie rzecz biorąc, nie mogliśmy ich powstrzymać.

Tego tygodnia cały numer poświęciłem Wilsonowi Caudlebwi. Wygrzebałem z archiwum jego stare zdjęcia i zamieściłem je na pierwszej stronie. Zamieściliśmy również liczne dowody uznania, opowieści i mnóstwo płatnych wyrazów współczucia od jego przyjaciół. Na koniec powieliłem to wszystko, układając najdłuższy nekrolog w historii

„Timesa”.

Plama na to zasłużył.

nie bardzo wiedziałem, co zrobić z wiadomością o śmierci Malcolma Vince'a. Nie był

mieszkańcem naszego hrabstwa, więc nekrolog mu nie przysługiwał. Ale w tej kwestii nasza polityka wydawnicza była bardzo elastyczna. Wybitny obywatel hrabstwa Ford, który stąd wyjechał, zachowywał prawo do nekrologu pod warunkiem, że mieliśmy o czym pisać.

Natomiast obywatel, który tylko przejeżdżał przez hrabstwo, nie miał rodziny i nie wniósł

niczego znaczącego do rozwoju tutejszej społeczności, prawa takiego nie zyskiwał. Tak było w przypadku Malcolma Vince'a.

Gdybym rozdmuchał tę wiadomość, Padgittowie mieliby satysfakcję, że udało im się jeszcze bardziej nas zastraszyć. Że jesteśmy przerażeni. (Nikt, kto słyszał o tym zabójstwie, nie miał wątpliwości, że to ich robota).

Gdybym zaś nie napisał nic, uznano by, że wpadłem w popłoch i uciekam od dziennikarskiej odpowiedzialności. Baggy uważał, że to news na pierwszą stronę, ale gdy skończyłem pisać ostatnie pożegnanie Caudle'a, nie zostało tam ani kawałka wolnego miejsca. Dlatego na górze trzeciej strony dałem nagłówek: ŚWIADEK W PROCESIE

PADGITTA ZAMORDOWANY W TISHOMINGO. W pierwszej wersji brzmiał inaczej -

MALCOLM VINCE ZAMORDOWANY W TISHOMINGO - ale Baggy nalegał, żebyśmy koniecznie użyli słów „Padgitt” i „zamordowany”. Artykuł liczył trzysta słów.

Pojechałem do Corinth, żeby trochę powęszyć. Harry Rex dał mi nazwisko jego adwokata, miejscowego prawnika. Pud Perryman miał kancelarię przy głównej ulicy, między zakładem fryzjerskim a chińską szwalnią, i kiedy otworzyłem drzwi, natychmiast wyczułem, że gorszego adwokata nigdy już nie spotkam. W środku zalaatywało przegranymi sprawami, niezadowolonymi klientami i niezapłaconymi rachunkami. Wykładzina była poplamiona i przetarta. Meble pochodziły jeszcze z lat pięćdziesiątych. Warstwa na warstwie, niebezpiecznie blisko mojej głowy, wisiała cuchnąca mgła starego i nowego papierosowego dymu.

Sam mecenas Perryman też nie robił wrażenia człowieka zamożnego. Miał około czterdziestu pięciu lat, wystający brzuch, rozczochrane włosy, przekrwione oczy i był

nieogolony. Powoli dochodził do siebie po ostatnim kacu. Oznajmił, że specjalizuje się w rozwodach i nieruchomościach, najwyraźniej chciał mi tym zaimponować. Albo za mało brał, albo przyciągał ubogich rozwodników i klientów, którzy mieli mało do sprzedania.

- nie widziałem Malcolma od miesiąca - powiedział, szukając jego teczki na podręcznym wysypisku śmieci, to znaczy na biurku. nie, sprawy nie wniósł. Próby zawarcia ugody z Lydią spaliły na panewce. - Dała nogę.

- Słucham?

- Zwiała. Po procesie spakowała manatki i tyle ją widziano. Zabrała dzieciaka i zniknęła.

Miałem gdzieś, co się z nią stało. O wiele bardziej interesowało mnie, kto zastrzelił

Malcolma. Perryman przedstawił mi kilka mętnych teorii, które upadły po kilku podstawowych pytaniach. Przypominał mi Baggy'ego, sądowego plotkarza, który nie usłyszawszy nowej plotki w ciągu godziny, natychmiast rozpuszczał swoją.

Lydia nie miała ani chłopaka, ani braci, ani nikogo, kto mógłby zabić Malcolma w rozwodowym ferworze. No i oczywiście nie było żadnego rozwodu. Zła krew nie zaczęła nawet płynąć!

Perryman robił wrażenia faceta, który woli raczej paplać i łącać, niż pilnować akt.

Siedziałem u niego prawie godzinę, wreszcie wybiegłem, bo z braku świeżego powietrza groziło mi uduszenie.

Pół godziny zajął mi dojazd do luka w Tishomingo, gdzie dopadłem szeryfa Spinnera i postawiłem mu lunch. Przy kurczaku z grilla w zatłoczonej knajpce zapoznał mnie z dotychczasowymi ustaleniami w sprawie morderstwa. Był to ewidentny zamach przeprowadzony przez kogoś, kto dobrze znał teren. Nie znaleźli niczego, ani jednego śladu buta, ani jednej łuski, dosłownie niczego. Strzelano z magnum kalibru 44; oddano dwa strzały, które prawie urwały Malcolmowi głowę. Dla większego efektu szeryf wyjął z kabury służbowy rewolwer i położył go na stole.

- To jest właśnie magnum 44 - powiedział.

Broń była dwa razy cięższa od mojej nędznej pukawki. Momentalnie straciłem resztkę apetytu.

Rozmawiali ze wszystkimi znajomymi, jakich tylko mogli znaleźć. Malcolm mieszkał

tam od pięciu miesięcy. Nie był notowany, nigdy go nie aresztowano, nigdy nie słyszano, żeby wdał się z kimś w bójkę, grał w kości, rozrabiał czy wywołał pijacką burdę. Chodził do knajpy raz w tygodniu, grał w bilard, pił piwo i nigdy nie podnosił głosu. Nie miał żadnych długów, rachunki płacił w terminie, najdalej dwa miesiące po. Nic nie wskazywało na to, żeby miał jakiś romans i żeby dybał na niego zazdrosny mąż.

- nie mogę znaleźć motywu - mówił szeryf. - Nic nie pasuje.

Opowiedziałem mu o jego zeznaniach na procesie Padgitta i o tym, jak Danny groził

przysięgłym. Szeryf uważnie słuchał, a potem mówił już niewiele. Najwyraźniej wolał zostać w Tishomingo i szybko zapomnieć o Padgittach.

- To może być pański motyw - zakończyłem.

- Zemsta?

- Jasne. To wredni ludzie.

- Tak, słyszałem. Chyba mamy szczęście, że nie nas wybrano na przysięgłych, co?

Wracając do Clanton, nie mogłem wymazać z pamięci wyrazu jego twarzy, gdy to mówił. Nie był już dziarskim zawadiaką i uzbrojonym stróżem prawa. Szczerze się cieszył, że mieszka dwa hrabstwa dalej i nie ma nic wspólnego z Padgittami.

Jego śledztwo było zamknięte. Sprawa Malcolma też.

## **ROZDZIAŁ 23**

Jedynym Żydem w naszym mieście był niejaki Harvey Kohn, elegancki człowieczek, który od dziesiątków lat sprzedawał paniom buty i torebki.

Jego sklep mieścił się przy rynku, tuż obok kancelarii Sullivana, w rzędzie domów, które kupił podczas Wielkiego Kryzysu. Był wdowcem, a jego dzieci uciekły z Clanton po maturze. Raz w miesiącu jeździł do Tupelo, żeby pomodlić się w tamtejszej synagodze.

Buty sprzedawał po najwyższych cenach, co w miasteczku takim jak Clanton było pociągnięciem nader chytrym. Kilka miejscowych bogaczek wołało robić zakupy w Memphis, gdzie za wszystko płaciły krocie, żeby po powrocie do domu móc się tym chwalić.

Chcąc je skusić, Kohn najpierw horrendalnie wyśrubowywał cenę, a potem dawał duży upust.

Tak więc, demonstrując swój najświeższy nabytek, panie mogły przechwalać się do woli.

Prowadził sklep sam, pracując od wczesnego ranka do późnego wieczora, zwykle z jakimś studentem, którego zatrudniał na część etatu. Dwa lata przed moim przyjazdem do Clanton zatrudnił szesnastoletniego Murzyna, Sama Ruffina, który miał rozpakowywać i układać towar, sprzątać i odbierać telefony. Sam okazał się chłopakiem bystrym i pracowitym. Był uprzejmy, dobrze wychowany i dobrze ubrany, tak że już wkrótce Kohn zaczął zostawiać go za kasą, podczas gdy sam, punktualnie o jedenastej czterdzieści pięć, udawał się na szybki lunch i długą drzemkę.

Pewnego dnia w południe do sklepu wpadła Iris Durant i zastała Ruffina samego.

Miała czterdzieści jeden lat i była matką dwóch nastolatków, z których jeden chodził do tej samej szkoły co Sam. W miarę ładna, lubiła flirtować, nosić minispódniczki i przebierać w najdroższych butach Kohna. Przymierzyła dwadzieścia cztery pary, nic nie kupiła i bynajmniej się jej nie spieszyło. Sam dobrze znał towar i zadbał o jej stopy.

Wróciła nazajutrz o tej samej porze, w jeszcze krótszej spódnicy i jeszcze bardziej wyzywającym makijażu. Uwiodła Sama na bosaka, na biurku Kohna w małym gabinecie na zapleczu. I tak zaczął się gorący romans, który odmienił ich życie.

Iris przychodziła na zakupy kilka razy tygodniowo. Sam znalazł wygodniejsze miejsce, na starej sofie na pięterku. Na kwadrans zamykał sklep, gasił światło i pędził na górę.

Mąż Iris był sierżantem w drogówce. Zaniepokojony ilością nowych butów w garderobie żony, zaczął coś podejrzewać. I nic dziwnego, bo Iris już taka była.

Wynajął Harry'ego Reksa, żeby ją śledził, ale przyłapałby ich każdy harcerz. Trzy dni z rzędu Iris przychodziła do sklepu dokładnie o tej samej porze. Trzy dni z rzędu Sam rozglądał się ukradkiem na wszystkie strony i zamykał sklep. Trzy dni z rzędu gasił światło i tak dalej. Czwartego dnia Harry Rex i Rafe wpadli do ich miłosnego gniazda i w pięć sekund zdobyli wystarczającą ilość dowodów, żeby oboje mogli pakować manatki.

Godzinę później Kohn wyrzucił Sama z pracy. Tego samego dnia po południu Harry Rex złożył pozew. Iris przyjęto wieczorem do szpitala z licznymi skaleczeniami, zadrapaniami i złamanym nosem. W nocy trzech mundurowych zapukało do drzwi domu Ruffrów w Lowtown. Powiedzieli panie Callie i Esauowi, że policja poszukuje ich syna w związku z bliżej niesprecyzowanym zarzutem defraudacji w sklepie z obuwem. Gdyby go skazano, groziłoby mu dwadzieścia lat więzienia. Powiedzieli im również, nieoficjalnie rzecz jasna, że Sama przyłapano na uprawianiu seksu z białą zamężną kobietą i że wyznaczono nagrodę za jego głowę. Pięć tysięcy dolarów.

Iris wyjechała z miasta w niesławie, rozwiedziona i bez dzieci, i bała się wrócić.

Słyszałem kilka wersji tej historii. Plotki na temat jej i Sama przestały krążyć na długo przed moim przyjazdem, mimo to były na tyle sensacyjne, że wciąż przewijały się w wielu rozmowach. Na Południu nie było nic niezwykłego w tym, że biały miał czarną kochankę, ale sprawa Sama była tu pierwszym udokumentowanym przypadkiem, kiedy to biała kobieta przekroczyła granicę ras, wdając się w romans z czarnym.

Baggy mi o nich opowiedział. A Harry Rex prawie wszystko potwierdził.

Panna Callie nie chciała o tym rozmawiać. Sam był jej najmłodszym dzieckiem i nie mógł wrócić do domu. Uciekł, rzucił szkołę, od dwóch lat żył na koszt braci i sióstr. A teraz zadzwonił do mnie.

Poszedłem do sądu, przekopałem stare akta, ale nie znalazłem żadnych zapisków, które wskazywałyby, że Sama Rufiona postawiono w stan oskarżenia. Spytałem szeryfa Coleya, czy ma na niego jakiś zaległy nakaz. Zrobił unik, pytając, po co rozgrzebuje starą sprawę. Spytałem więc, czy aresztowałby go, gdyby wrócił do domu. I znowu nie doczekałem się odpowiedzi.

- Niech pan będzie ostrożny, redaktorze. - Ostrzeżenie, tylko tyle.

Poszedłem do Harry'ego Reksa i spytałem go o tę legendarną nagrodę za głowę Sama.

Powiedział, że jego klient, sierżant Durant, były żołnierz piechoty morskiej, jest doskonałym strzelcem, ma w domu kolekcję broni, jest karierowiczem i narwańcem. Zdrada żony straszliwie go poniżyła i uważał, że jedynym honorowym wyjściem z sytuacji jest zabicie jej kochanki. Zamierzał zabić Iris, ale nie chciał iść do więzienia. Uznał, że bezpieczniej będzie strzelić w łeb czarnuchowi, przysięgli potraktują go z większym współczuciem.

- I chce to zrobić osobiście - dodał Harry Rex. - Żeby zaoszczędzić pięć kawałków.

Uwielbiał opowiadać takie złowieszcze historie, ale przyznał, że nie widział swego klienta od półtora roku i nie jest pewny, czy Durant ponownie się nie ożenił.

W czwartek w południe usiedliśmy na tarasie i podziękowaliśmy Bogu za pyszny posiłek, który mieliśmy zaraz spożywać. Esau był w pracy.

Lato mijało i w miarę jak w ogrodzie dojrzewało coraz więcej warzyw, jedliśmy coraz więcej wegetariańskich lunchów. Czerwone i żółte pomidory, ogórki i cebula w occie, fasolka szparagowa, fasola, groch, ketmia, kabaczki, gotowane ziemniaki, kukurydza w kolbach i gorący chleb kukurydziany; chleb był zawsze. Ale teraz, gdy pochłódniało i zaczęły żółknąć liście, panna Callie przygotowywała solidniejsze posiłki: potrawkę z kaczki, chili, czerwoną fasolę, ryż z wieprzowymi kiełbaskami i, jak zwykle, steki.

Tego dnia podała kurczaka z kluskami. Jadłem powoli, bo tak mnie nauczyła. Gdzieś w połowie porcji powiedziałem:

- Sam do mnie dzwonił.

Znieruchomiała, przełknęła to, co miała w ustach, i spytała:

- Jak się miewa?

- Dobrze. Chce przyjechać na Boże Narodzenie. Mówił, że wszyscy wrócą i chciałby tu być.

- Wie pan, gdzie on jest?

- A pani?

- nie.

- W Memphis. Mamy się jutro spotkać.

- Dlaczego pan to robi? - Najwyraźniej uznała, że moje zaangażowanie jest bardzo podejrzane.

- Sam chce, żebym mu pomógł. Max i Bobby powiedzieli mu, że się przyjaźnimy.

Uważa, że jestem białym, któremu można zaufać.

- To może być niebezpieczne.

- Dla kogo?

- Dla was obu.

Lekarza niepokoiła jej nadwaga. Ją też, choć nie zawsze. Gdy przyrządzała wyjątkowo ciężkie posiłki, jak gulasz czy kluski, nakładała sobie niewiele i jadła powoli. Wiadomość o Samie dała jej powód, żeby w ogóle przestać jeść. Złożyła serwetkę i zaczęła opowiadać.

Sam wyjechał z Clanton w środku nocy, autobusem. Z Memphis zadzwonił do domu.



Nazajutrz pewien przyjaciel zawiózł mu trochę pieniędzy i ubranie. Wiadomość o romansie z Iris rozeszła się lotem błyskawicy i państwo Ruffinowie byli przekonani, że policja chce go zamordować. O każdej porze nocy i dnia przed ich domem przejeżdżały powoli radiowozy.

Dzwoniono do nich z pogrózkami i wyzwiskami.

Kohn złożył w sądzie jakieś papiery. Nadszedł i minął termin pierwszej rozprawy, która odbywała się pod nieobecność Sama. Panna Callie nie widziała oficjalnego aktu oskarżenia, ale z drugiej strony nie bardzo wiedziała, jak taki akt wygląda.

Sam uznał, że Memphis jest za blisko, i pojechał do Milwaukee, gdzie przez kilka miesięcy mieszkał u Bobby'ego. Teraz mijały już dwa lata, odkąd pałętał się tak od brata do brata czy siostry, zawsze podróżując nocą i zawsze lękając się, że zatrzyma go policja. Starsze rodzeństwo często dzwoniło do domu i raz w tygodniu pisało list, ale każde z nich bało się mówić o Samie. Telefon mógł być na podsłuchu.

- Popełnił błąd, zadając się z taką kobietą - powiedziała panna Collie i wypła łyk herbaty. Zepsułem jej lunch, ale mój wciąż był wyśmienity. - Ale był wtedy taki młody. I wcale się za nią nie uganiał.

Nazajutrz zostałem oficjalnym łącznikiem między Samem Ruffinem i jego rodzicami.

Spotkaliśmy się w kafejce w centrum handlowym w południowej części Memphis.

Obserwował mnie przez pół godziny, zanim wyrósł tam jak spod ziemi i usiadł naprzeciwko.

Dwa lata ucieczki nauczyły go kilku sztuczek.

Jego młodzieńcza twarz nosiła ślady trudów tułaczego życia. Odruchowo zerkał to w prawo, to w lewo. Bardzo się starał patrzeć mi w oczy, ale potrafił to robić tylko przez kilka sekund. Miał łagodny głos, mówił jasno i wyraźnie, był bardzo miły, co zupełnie mnie nie zaskoczyło, i wdzięczny, że zechciałem zbadać, czy istnieje szansa na jakąkolwiek pomoc.

Podziękował mi za uprzejmość i przyjaźń, jaką darzyłem jego matkę; Bob - by dał mu do przeczytania artykuły w „Timesie”. Rozmawialiśmy o jego braciach i siostrach, o podróżach z UCLA do Indiany, a potem do Toledo i Grinnell w Iowie. Nie mógł tak dłużej żyć. Rozpaczliwie chciał uporządkować cały ten bałagan i wrócić do normalnego życia. W

Milwaukee zrobił maturę i zamierzał zdawać na prawo. Ale nie mógł studiować, żyjąc jak zbieg.

- Czuję wielką presję - wyjaśnił. - Wie pan, siedmioro rodzeństwa, siedem doktoratów.

Powiedziałem mu o moich bezowocnych poszukiwaniach aktu oskarżenia, o rozmowie z szeryfem Coleym i z Harrym Reksem o nastroju Duranta. Wylewnie podziękował mi za tę informację i za chęć pomocy.

- Aresztowanie ci nie grozi. Ale możesz oberwać kulkę.

- Wolę już aresztowanie - odparł.

- Ja też.

- Durant to przerażający człowiek. - Tu co nieco mi opowiedział, choć bez szczegółów. Wyglądało na to, że Iris mieszkała teraz w Memphis. Sam utrzymywał z nią kontakt. Opowiadała mu straszne rzeczy o swoim byłym mężu, o synach i o ich pogrózkach.

Nie miała po co wracać do hrabstwa Ford. Mogła tam zginąć. Mąż i dzieci wielokrotnie powtarzali, że jej nienawidzą i nie chcą jej widzieć.

Miała wyrzuty sumienia, była zrozpaczona i załamana.

- A wszystko przeze mnie - zakończył Sam. - nie tak mnie wychowano.

Nasze spotkanie trwało godzinę i umówiliśmy się za dwa tygodnie. Dał mi dwa grube listy do rodziców i się pożegnaliśmy. Gdy zniknął w tłumie kupujących, nie mogłem nie zadać sobie pytania, gdzie się taki osiemnastolatek może ukrywać? Jak podróżuje, jak się porusza? Jakim cudem udaje mu się przeżyć? nie był przecież ulicznikiem, który poradziłby sobie dzięki sprytowi i pięściom.

Powiedziałem Harryemu Reksowi o spotkaniu w Memphis. Moim wzniosłym celem było namówienie Duranta, żeby dał Samowi spokój.

Ponieważ żyłem w przekonaniu, że gdzieś tam, na Wyspie Padgittów, jest lista ich osobistych wrogów i że figuruje na niej moje nazwisko, nie chciałem, żeby wciągnięto je również na inną listę. Dlatego kazałem Harryemu Reksowi przysiąc, że dochowa tajemnicy i nikomu nie powie o mojej nowej roli.

Sam zgodziłby się wyjechać z hrabstwa Ford, pójść na studia gdzieś na Północy i pewnie zostać tam do końca życia. Chciał tylko widywać rodziców, przyjeżdżać na krótko do Clanton i żyć bez oglądania się za siebie.

Harry Rex miał to gdzieś i nie chciał się angażować. Obiecał jedynie przekazać wiadomość, chociaż wątpił, czy Durant go wysłucha z należnym współczuciem.

- Wredny jest, sukinsyn. - Powtórzył to kilka razy.

## **ROZDZIAŁ 24**

Na początku grudnia wróciłem do Tishomingo po dalsze wiadomości od szeryfa Spinnera. Powiedział mi, że śledztwo w sprawie morderstwa Malcolma Vince'a nie ujawniło niczego nowego. Kilka razy powtórzył, że był to „czysto przeprowadzony zamach”, że na miejscu zbrodni nie znaleziono nic oprócz zwłok i dwóch kul, których pochodzenia nie sposób ustalić. Jego ludzie rozmawiali ze wszystkimi możliwymi przyjaciółmi, znajomymi i współpracownikami denata i nie znaleźli nikogo, kto mógłby znać jakikolwiek powód, dla którego Malcolm skończył tak tragicznie.

Spinner rozmawiał również z Mackeyem Donem Coleyem i oczywiście okazało się, że nasz szeryf

wątpi, żeby morderstwo miało coś wspólnego z procesem Padgitta w hrabstwie Ford. Wyglądało na to, że obydwaj, i Spinner, i Coley, są uwikłani w jakieś mętne układy, dlatego ulżyło mi, gdy powiedział:

- Stary Coley nie złapałby nawet faceta przechodzącego nieprawidłowo przez główną ulicę.

Roześmiałem się głośno i dodałem:

- Tak, on i Padgittowie od dawna trzymają razem.

- Powiedziałem mu, że pan tu węszył. A on na to: „Ten chłopak zrobi sobie krzywdę”.

Pomyślałem, że zechce pan o tym wiedzieć.

- Dzięki. Coley i ja widzimy pewne rzeczy inaczej.

- Za kilka miesięcy wybory.

- Tak. Słyszałem, że ma dwóch czy trzech przeciwników.

- Wystarczy jeden - odrzekł Spinner.

Obiecał zadzwonić, gdyby coś znaleźli, ale obydwaj wiedzieliśmy, że nie znajdą.

Potem pojechałem do Memphis.

Sierżant Durant z zadowoleniem przyjął wiadomość, że Sam Ruffin wciąż się go boi.

Harry Rex powiedział mu wreszcie, że chłopak ciągle ucieka, że rozpaczliwie chce wrócić do domu i odwiedzić matkę.

Durant się nie ożenił. Żył samotnie, rozgoryczony i zawstydzony romanssem żony.

Grzmiał, że jego życie legło w gruzach, a co gorsza, po tym, co zrobiła, jego synowie stali się obiektem drwin i wyzwick. Biali koledzy codziennie dokuczali im w szkole. Czarni, nowi uczniowie ogólniaka w Clanton wygłaszali triumfalno - zgryźliwe uwagi.

Obydwaj chłopcy świetnie strzelali - byli zagorzałymi myśliwymi - i wraz z ojcem poprzysięgli sobie, że gdy tylko nadarzy się okazja, wpakują Samowi kulę w łeb. Dokładnie wiedzieli, gdzie Ruffinowie mieszkają. Wiedzieli też, że w każde Boże Narodzenie czarni odbywają pielgrzymkę do domu.

- Jeśli ten chłopak spróbuje się tu zakraść, będziemy na niego czekali - obiecał.

Pluł też jadem na mnie, za moje artykuły o pannie Callie i jej starszych dzieciach.

Oczywiście domyślił się, że jestem łącznikiem ich rodziny.

- Lepiej przestań w tym grzebać - ostrzegł mnie Harry Rex po rozmowie z Durantem. -

To paskudny typ.

Bynajmniej nie chciałem, żeby ktoś jeszcze marzył o mojej bolesnej śmierci.

Spotkałem się z Samem na parkingu dla ciężarówek w Tennessee, niecałe dwa kilometry za granicą stanu. Panna Callie przesłała mu trochę pieniędzy, ciasta, placki i listy, wielkie kartonowe pudło, które zajęło cały fotel mojego małego spitfire'a. Pierwszy raz od dwóch lat nawiązała tak bliski kontakt z synem. Sam próbował przeczytać jeden z listów, ale się wzruszył i schował go do koperty.

- Bardzo tęsknię za domem - powiedział, ocierając wielkie łzy i próbując ukryć je przed wzrokiem jedzących w pobliżu kierowców. Był małym, zagubionym, przerażonym dzieckiem.

Z brutalną szczerością streściłem mu rozmowę z Harrym Rksem. Sam naiwnie myślał, że Durant przyjmie jego propozycję dobrowolnego wygnania z hrabstwa Ford w zamian za możliwość sporadycznych wizyt u matki. Nie miał pojęcia, jak wielką wzbudzał

nienawiść. Ale tak, rozumiał, że grozi mu niebezpieczeństwo.

- On cię zabije, Sam - rzuciłem poważnie.

- I ujdzie mu to płazem, co?

- Co to za różnica? I tak z grobu nie wstaniesz. Panna Callie wolałaby cię żywego gdzieś na Północy niż martwego na naszym cmentarzu.

Umówiliśmy się za dwa tygodnie. Robił świąteczne zakupy i chciał mi dać prezenty dla rodziców i rodziny.

Pożegnaliśmy się i wyszedłem z baru. Byłem już prawie przy samochodzie, gdy postanowiłem skorzystać z toalety. Mieściła się na zapleczu sklepu z tandetnymi pamiątkami obok baru. Zerknąłem przez okno i zobaczyłem Sama. W bardzo podejrzany sposób wskakiwał do samochodu, za którego kierownicą siedziała biała kobieta. Robiła wrażenie starszej od niego, wyglądała na czterdzieści kilka lat. Pewnie Iris. Niektórzy nigdy się niczego nie nauczą.

Ruffinowie zaczęli zjeżdżać się trzy dni przed Bożym Narodzeniem. Panna Callie gotowała od tygodnia. Dwa razy w trybie awaryjnym wysłała mnie do spożywczego na zakupy. Jej rodzina szybko mnie adoptowała, przyznając mi wszystkie możliwe przywileje, z których najwyższym było to, że mogłem jeść, kiedy chciałem i co chciałem.

Życie dzieci dorastających w tym domu koncentrowało się wokół rodziców, wokół

samych siebie, Biblii i kuchni. Na świątecznym stole zawsze stał półmisek czegoś świeżutkiego i smacznego, a na płycie lub w duchówce dochodziło kilka innych pyszności.

Okrzyk „Placek orzechowy!” wstrząsał całym domem i tarasem, słychać go było aż na ulicy.

Rodzina zbierała się wokół stołu, gdzie Esau krótko dziękował Panu za rodzinę, za ich zdrowie i za jedzenie, które mieli za chwilę spożywać; potem placek dzielono na grube kawałki w kształcie klina, kładziono na talerzykach i roznoszono na wszystkie strony.

Ten sam rytuał dotyczył placka z dynią, placka kokosowego, placka z truskawkami i tak dalej, i tak dalej - lista nie miała końca. A były to tylko niewinne przekąski dla wypełnienia przerw między sutymi posiłkami.

W przeciwieństwie do ich matki, dzieci Ruffinów nie były wcale tęgie. Wkrótce dowiedziałem się dlaczego. Wszystkie narzekały, że nie mogą już tyle jeść. To, co jedli teraz, głównie mrożonki i wytwarzane na skalę masową dania gotowe, było nijakie i bez smaku.

Wielu potraw kuchni regionalnej po prostu nie trawili. I jedli w pośpiechu. Lista skarg była coraz dłuższa.

Natomiast ja podejrzewałem, że panna Callie tak ich rozpuściła swoimi łakociami, że nic się do nich nie umywało.

Carlota, niezamężna wykładowczyni urbanistyki na UCLA, rozbawiła wszystkich opowieściami o najnowszych trendach kulinarnych w Kalifornii. Największym hitem była obecnie surowizna, lunch złożony z talerza surowych marchewek i surowego selera, a do tego mała filiżanka ziołowej herbaty.

Glorię, która wykladała na Uniwersytecie Duke'a, uważano za najszczęśliwszą z całej siódemki, bo wciąż mieszkała na Południu. Ona i panna Callie wymieniały się uwagami i przepisami na takie potrawy, jak chleb kukurydziany, gulasz brunszwicki, a nawet jarmuż.

Dyskusje często bywały bardzo poważne, a ponieważ głos zabierali w nich również mężczyźni, wielokrotnie dochodziło do sprzeczek.

Po trzygodzinnym lunchu Leon (Leonardo), wykładowca biologii w Perdue, zaprosił

mnie na przejażdżkę. Był drugim dzieckiem panny Callie i miał profesorską manierę, której pozostali zdołali uniknąć. Nosił brodę, palił fajkę, chodził w tweedowym swetrze z wytartymi łatami na łokciach i używał słownictwa, które musiał ćwiczyć godzinami.

Jeździliśmy po Clanton jego samochodem. Wypytywał mnie o Sama i wszystko mu opowiedziałem. Dodałem, że według mnie - jeśli moja opinia była w ogóle coś warta - jego powrót do domu groził zbyt wielkim niebezpieczeństwem.

Wypytywał mnie też o proces Padgitta. Wysłałem im wszystkim kilka numerów

„Timesa”, a jedna z naszych relacji szczegółowo opisywała rozprawę, podczas której padła słynna groźba. Zacytowaliśmy nawet i wytuściliśmy słowa Danny'ego: „Skażecie mnie, a dorwę każdego z was!”

- Czy on kiedyś wyjdzie? - spytał Leon.

- Tak - odrzekłem niechętnie.

- Kiedy?

- nie wiadomo. Dostał dożywocie za morderstwo i dożywocie za gwałt. Dziesięć lat to minimum za każde z tych przestępstw, ale system zwolnień warunkowych w Missisipi jest podobno bardzo dziwny.

- A więc wyjdzie najwcześniej za dwadzieścia lat? - Jestem pewien, że myślał o wieku swojej matki. Miała pięćdziesiąt dziewięć lat.

- Nikt tego nie wie. Może wyjść wcześniej za dobre sprawowanie.

Był równie zdezorientowany, jak ja kiedyś. Prawda była taka, że nikt związany czy to z systemem sądowym, czy to penitencjarnym, nie potrafił odpowiedzieć na moje pytania dotyczące wyroku młodego Padgitta. System zwolnień warunkowych w Missisipi przypominał czarną otchłań i bałem się do niej podchodzić.

Okazało się, że Leon długo wypytywał matkę o werdykt. A dokładniej o to, czy głosowała za dożywociem, czy za karą śmierci. Powiedziała tylko tyle, że przysięgli zobowiązali się zachować wszystko w tajemnicy.

- A pan? Wie pan coś? - spytał.

Wiedziałem niewiele. Panna Callie dawała mi wyraźnie do zrozumienia, że nie zgadzała się z werdyktem, ale to żaden konkret. Przez wiele tygodni po procesie w Clanton aż huczało od plotek i domysłów. Większość ze stałych sądowych bywalców opowiadało się za teorią, że trzech, może czterech przysięgłych nie chciało zagłosować za karą śmierci.

Powszechnie uważano, że panny Callie wśród nich nie było.

- Padgittowie ich przekupili? - spytał Leon. Skręcaliśmy na długi, cienisty podjazd przed ogólniakiem.

- Podobno. Ale nikt nie wie tego na pewno. Ostatni wyrok śmierci na białego wydano tu czterdzieści lat temu.

Przystanęliśmy i popatrzyliśmy na okazałe, dębowe drzwi szkoły.

- A więc wreszcie się zintegrowaliśmy - powiedział Leon.

- Tak.

- nie myślałem, że tego doczekam. - Uśmiechnął się z wielką satysfakcją. - Marzyłem, żeby chodzić do tej szkoły. Kiedy byłem mały, ojciec pracował tu jako dozorca i w soboty zabierał mnie ze sobą. Wędrowałem tymi długimi korytarzami, patrzyłem i podziwiałem.

Rozumiałem, dlaczego mnie tu nie chcą, ale nigdy się z tym nie pogodziłem.

nie miałem nic do dodania, więc tylko słuchałem. Leon był smutny. Nie zgorzkniały, tylko smutny.

W końcu odjechaliśmy i wróciliśmy na drugą stronę torów. Zdumiała mnie duża liczba samochodów z pozastanowymi rejestracjami parkujących ciasno na ulicach. Nie zważając na ziąb, na gankach siedziały całe rodziny; na podwórkach i na chodnikach bawiły się dzieci. Ciągłe nadjeżdżały kolejne samochody, wszystkie z kolorowymi pakunkami na tylnych oknach.

- Dom jest tam, gdzie mama - powiedział Leon. - Na Boże Narodzenie wszyscy wracają.

Gdy dojechaliśmy na miejsce, podziękował mi za przyjaźń z matką.

- nie przestaje o panu mówić.

- Wie pan, wszystko przez te lunche - odrzekłem i wybuchliśmy śmiechem. Z domu dochodził nowy zapach. Leon zastygł bez ruchu, wciągnął nosem powietrze i orzekł:

- Placek z dynią. - nie ma to jak głos człowieka doświadczonego.

Za przyjaźń z panną Callie dziękowali mi wszyscy siedmioro. Dzielila się życiem z wieloma, miała wielu bliskich przyjaciół, ale od ponad ośmiu miesięcy szczególnie ceniła sobie czas spędzony ze mną.

Wyszedłem późnym wigilijnym popołudniem, gdy zbierali się już do kościoła. Potem miały być prezenty i śpiewy. W domu było w sumie ponad dwudziestu Ruffinów; nie mogłem sobie wyobrazić, gdzie spali, ale dawałem głowę, że jest im wszystko jedno.

Traktowali mnie jak brata, lecz czułem, że w pewnym momencie muszę zostawić ich samych. Wiedziałem, że będą się potem obejmować, płakać, śpiewać i snuć opowieści, i chociaż na pewno przyjęliby mnie z otwartymi ramionami, są takie chwile, kiedy rodzina chce zostać tylko z rodziną.

Tylko co ja wiedziałem o rodzinie?

Pojechałem do Memphis, do domu, który od dziesięciu lat nie widział choinki, i poszedłem z ojcem na kolację do chińskiej knajpki parę kroków dalej. Jedząc podłą zupę z pierożkami, nie mogłem nie myśleć o chaosie panującym w kuchni panny Callie i cudownych potrawach, które Ruffinowie wyjmowali z duchówki.

Ojciec bardzo interesował się moją gazetą, to znaczy, bardzo się starał, żeby tak to wyglądało. Usłużnie wysyłałem mu numer po numerze, ale po kilku minutach pogawędki okazało się, że nie przeczytał ani słowa. Martwił go jakiś złowieszczy związek między wojną w Azji Południowo - Wschodniej a rynkiem papierów wartościowych.

Szybko zjedliśmy i poszliśmy każdy w swoją stronę. To smutne, ale żaden z nas nie pomyślał o prezentach.

Świąteczny obiad zjadłem z BeeBee, która, w przeciwieństwie do ojca, szczerze ucieszyła się na mój widok. Zaprosiła trzy drobniutkie, błękitnowłose przyjaciółki na sherry i szynkę, i zaczęliśmy pić. Raczyłem je opowieściami z naszego hrabstwa, prawdziwymi i upiększonymi. Przestając z Baggym i Harrym Reksem, powoli uczyłem się gawędziarstwa.

O trzeciej nad ranem wszyscy zapadliśmy w drzemkę. Wczesnym rankiem popędziłem z powrotem do Clanton.

## ROZDZIAŁ 25

Pewnego zimnego styczniowego dnia na rynku gruchnęły wystrzały. Siedziałem akurat przy biurku, spokojnie pisząc artykuł o Lamarze Farlowe i jego uczestnictwie w chicagowskim zjeździe byłych komandosów, gdy kula roztrzaskała szybę niecałe sześć metrów od mojej głowy. Nudny tydzień momentalnie się skończył.

Moja kula, ta, co rozbiła szybę, była albo drugą, albo trzecią z serii szybko wystrzelonych pocisków. Padłem na podłogę, gorączkowo myśląc: Gdzie mój rewolwer? Czy to Padgittowie szturmują miasto? A może to sierżant Durant i jego synowie, może na mnie polują? Powietrzem wstrząsnął huk kolejnych wystrzałów, a ja na czworakach popędziłem do teczki. Wydawało mi się, że strzelają skądś z naprzeciwka, ale przerażony nie potrafiłem tego dokładnie ustalić. Po tym, jak kula rozwalila moją szybę, huk stał się zdecydowanie głośniejszy.

Wysypałem wszystko z teczki i wtedy przypomniałem sobie, że zostawiłem rewolwer w samochodzie albo w mieszkaniu. Byłem nieuzbrojony i poczułem się jak bezsilny cherlak.

Harry Rex nie tego mnie uczył.

Strach sparaliżował mnie do tego stopnia, że nie mogłem się poruszyć. Wtedy uświadomiłem sobie, że na dole jest Gaduła Bass, który jak większość mężczyzn w Clanton ma pod ręką cały arsenał. W biurku trzymał pistolety, a na ścianie wisiały dwie strzelby, na wypadek gdyby nagle poczuł nieodpartą chęć zabicia jelenia podczas przerwy na lunch. Tak, każdy, kto chciał mnie dopaść, napotka silny opór ze strony moich pracowników. Taką przynajmniej miałem nadzieję.

Gdy w szturmie nastąpiła chwila przerwy, na ulicach wybuchła panika i chaos. Była prawie druga po południu i o tej porze na rynku panował zwykle spory ruch. Wczołgałem się pod biurko, tak jak uczono mnie podczas ćwiczeń z obrony cywilnej, kiedy to przerabialiśmy atak trąby powietrznej. Z dołu doszedł wrzask Gaduły: „nie wychodzić z pokojów!”, i niemal widziałem, jak chwyta pudło amunicji i podekscytowany biegnie chyłkiem do drzwi. Wariat, który do nas strzelał, nie mógł wybrać gorszego miejsca. Tu, na rynku, w zasięgu ręki były tysiące pistoletów. Na tylnej półce każdego pikapa leżały dwie strzelby, a pod fotelem spluwa. Ci ludzie palili się do tego, żeby sobie postrzelać!

Jeszcze chwila i odpowiedzą ogniem na ogień. I dopiero wtedy wojna przybierze paskudny obrót.

Znowu gruchnęły wystrzały. Leżąc pod biurkiem, próbując normalnie oddychać i racjonalnie myśleć, stwierdziłem, że jednak się nie zbliżają. Powoli mijały sekundy i wreszcie zdałem sobie sprawę, że to



nie do mnie strzelają Ze okno rozwalili mi zupełnym przypadkiem. Usłyszałem jęk syren, potem kolejne wystrzały i czyjś krzyk. Co się, u licha, działo?

Na dole zadzwonił telefon i ktoś szybko podniósł słuchawkę.

- Willie! Wszystko w porządku? - wrzasnął ze schodów Gaduła.

- Tak!

- Na dachu sądu jest snajper!

- Super!

- nie wychylaj się!

- Spokojna głowa!

Uspokoilem się na tyle, żeby podpełznąć do telefonu. Zadzwoniłem do Wileya Meeka, ale okazało się, że już do nas jedzie. Potem podpełzłem do drzwi na balkon i lekko je uchylilem. To najwyraźniej zwróciło uwagę snajpera. Rozwalił szybę o metr nad moją głową i posypał się na mnie ciężki, szklany deszcz. Momentalnie zaległem na brzuchu i chyba na godzinę wstrzymałem oddech. Snajper walił jak oszalały. Coś musiało go bardzo wzburzyć.

Gdy wyczołgałem się na balkon, huk znacznie przybrał na sile. Osiem strzałów, piętnastosekundowa przerwa na nabicie broni i znowu osiem kul. Słyszałem brzęk szkła, jęk rykoszetów, trzask, z jakim rozłupywały drewniane słupy. Palba zagłuszyła krzyk ludzi.

Odzyskawszy zdolność ruchu, ostrożnie przewróciłem jeden z bujaków i schowałem się za nim. Balkon miał balustradę z kutego żelaza, więc uznałem, że to wystarczy, jestem dobrze ukryty i bezpieczny. Coś pchało mnie bliżej snajpera. Miałem dwadzieścia cztery lata, byłem właścicielem gazety i wiedziałem, że napiszę długi artykuł o tym dramatycznym wydarzeniu. Potrzebowałem szczegółów.

Wychyłem z bujaka i balustrady i wreszcie go zobaczyłem. Gmach sądu miał

dziwnie spłaszczoną kopułę, której szczyt zdobiła mała kopułka z czterema otwartymi oknami. Tam uwił sobie gniazdo i gdy go ujrzałem, akurat wyglądał znad parapetu. Miał

czarną twarz i białe włosy. Gdy to zobaczyłem, przeszedł mnie zimny dreszcz. Mieliśmy do czynienia z psycholem światowej klasy.

Ponownie nabił strzelbę, lekko się wyprostował i zaczął strzelać zupełnie na oślep, tak jak poprzednio. Zdawało się, że jest bez koszuli, co, zważywszy na sytuację, było jeszcze dziwniejsze, bo termometr wskazywał jeden stopień Celsjusza, a pod wieczór miał spaść lekki śnieg. Trząsałem się z zimna, chociaż byłem w eleganckim wełnianym garniturze od Mitla.

Miał białą pierś w czarne pasy i trochę przypominał zebrego. Tak, to był biały facet, który pomalował

się na czarno.

Ruch zamarł. Policjanci zablokowali ulice i biegali wokoło, kryjąc się za radiowozami. W oknach wystawowych ukazywała się od czasu do czasu czyjaś twarz, ale natychmiast znikła. Strzelanina ustała i snajper ponownie przywarował za parapetem. Trzech funkcjonariuszy z biura szeryfa popędziło w stronę wejścia do sądu i wpadło do środka.

Mijały długie minuty.

Na schodach zadudniły czyjeś kroki i po chwili przycupnął koło mnie Wiley Meek.

Dyszał tak ciężko, jakby całą drogę ze swego podmiejskiego domku do redakcji przebiegł sprintem.

- Trafił nas! - szepnął, jakby snajper mógł go usłyszeć. Patrzył na szkło na podłodze.

- Dwa razy - odrzekłem, ruchem głowy wskazując rozbite szyby.

- Gdzie on jest? - spytał, podnosząc aparat z teleobiektywem.

- W kopułce. Tylko uważaj. Kiedy otworzyłem drzwi, wpakował w nie kulę.

- Widziałeś go?

- Biały mężczyzna w czarne pasy.

- Kurczę, to jeden z tych.

- nie wychylaj się.

Przez kilka minut siedzieliśmy tam przyczajeni i skuleni. Po rynku biegało coraz więcej policjantów. Biegali zupełnie bezładnie i było widać, że choć są podnieceni, nie mają pojęcia, co robić.

- Ranił kogoś? - spytał Wiley zaniepokojony, że mógł przegapić taką gratkę.

- Skąd mam wiedzieć?

Kolejne wystrzały, szybkie i przerażające. Wyjrzelśmy i zobaczyliśmy go od ramion w górę. Wiley wycelował i zaczął pstrykać zdjęcia.

Baggy i jego kumple siedzieli w sądowym barze na drugim piętrze, co prawda nie bezpośrednio pod kopułką, ale i niezbyt daleko. Byli prawdopodobnie jedynymi, którzy znaleźli się tak blisko snajpera, kiedy rozpoczął swój strzelecki trening. Gdy otworzył ogień po raz dziewiąty czy dziesiąty, najwyraźniej przerazili się jeszcze bardziej, przekonani, że zaraz zrobi z nich jatkę, i postanowiwszy wziąć sprawy w swoje ręce, zdołali jakoś otworzyć odporne okno. Otworzyli je i zrzucili na dół elektryczny kabel, którego koniec prawie dotknął

ziemi dwanaście metrów niżej. Potem zza ceglanego parapetu wychyłała prawa noga Baggy'ego, a za nogą sam Baggy, który, mocno kręcąc biodrami, z trudem przepchnął przez okno swoje pulchne ciało. Oczywiście chciał zwać jako pierwszy.

- O Chryste! - szepnął radośnie Wiley i podniósł aparat. - Są nawaleni jak stodoła.

Trzymając się kurczowo kabla, Baggy oderwał się wreszcie od okna, żeby rozpocząć zjazd ku bezpiecznej ziemi. Sęk w tym, że obrał bardzo niejasną taktykę. Wyglądało na to, że w ogóle nie zjeżdża, że po prostu wisi tam z rękami w górze. Pewnie w barze był duży zapas kabla i jego kumple mieli go powoli opuścić.

Ponieważ ręce trzymał bardzo wysoko, podjechały mu do góry nogawki spodni.

Podjeżdżały coraz wyżej i wyżej, zatrzymały się dopiero tuż pod kolanami, odsłaniając długie, białe jak mleko łydki i zwinięte na kostkach czarne skarpetki. Ale Baggy miał gdzieś swój wygląd przed, w trakcie i po incydencie ze snajperem.

Strzelanina ustała i przez chwilę wisiał tam, obracając się powoli półtora metra pod oknem. Widzieliśmy w środku Majora kurczowo trzymającego kabel. Ale Major miał tylko jedną zdrową nogę i bałem się, że noga ta długo nie wytrzyma. Za nim dostrzegłem sylwetki dwóch mężczyzn, pewnie Wobble'a Tacketta i Chicka Elliota, kumpli od pokera.

Wiley parsknął śmiechem, cichym i zduszonym. Śmiał się tak, że aż się trząsał.

Ileć snajper nabijał broń i zapadała cisza, mieszkańcy Clanton brali głęboki oddech i rozglądali się z nadzieją, że to już koniec. A każdy kolejny wystrzał przerażał nas jeszcze bardziej niż poprzedni.

Tym razem gruchnęły tylko dwa. Baggy szarpnął się gwałtownie, jakby oberwał -

choć przyczajony w kopulce snajper nawet go stamtąd nie widział - i szarpnięcie to musiało nadwerężyć zbyt mocno nogę Majora. Noga puściła, kabel smyrgnął za okno, Baggy przeraźliwie wrzasnął i jak betonowy pustak runął prosto na gęsty żywopłot z bukszpanów, które zasadziły tam przed laty Córy Konfederacji. Zamortyzowawszy siłę upadku, żywopłot zadziałał jak trampolina, to znaczy, zaspężynował. Baggy jak melon wylądował na chodniku, zostając jedynym poszkodowanym afery ze snajperem.

Z oddali doszedł czyjś śmiech.

Wiley bezlitośnie rejestrował całe przedstawienie. Jego zdjęcia miały krążyć ukradkiem po mieście przez wiele lat.

Przez długą chwilę Baggy leżał bez ruchu.

- Zostawcie tam sukinsyna! - krzyknął jakiś policjant.

- Pijak wyjdzie cało ze wszystkiego - powiedział Wiley, wypuszczając powietrze.

Baggy w końcu się ruszył. Powoli, z bolesnym trudem, jak potrącony przez ciężarówkę pies, wczołgał się pod żywopłot, który uratował mu życie, i tam przeczekał burzę.

Trzy domy za Tea Shoppe stał policyjny radiowóz. Snajper wpakował weń kilka kul, wybuchł bak i od razu zapomnieliśmy o Baggy. Kryzys na rynku przybrał nowe wymiary, bo spod wozu buchnął najpierw gęsty dym, a potem zobaczyliśmy płomienie. Snajper znalazł

wreszcie podchodzące hobby i przez kilka minut walił tylko do samochodów. Byłem przekonany, że nie oprze się pokusie i skasuje mój, ale spitfire był pewnie za mały.

Ale gdy odpowiedzieliśmy w końcu ogniem na ogień, wreszcie stracił głowę. Dwóch ludzi Coleya wlało na dach i kiedy zaczęli pruć do kopułki, runął za parapet i wypadł z interesu.

- Trafiłem go! - krzyknął do Coleya jeden z zastępców.

Odczekaliśmy dwadzieścia minut; na rynku panowała cisza. Spod żywopłotu wystawały stare buty Baggy'ego, reszty nie było widać. Od czasu do czasu w oknie baru stawał Major ze szklaneczką w rękę i coś do niego krzyczał. Biedny Baggy mógł właśnie umierać, a my nic o tym nie wiedzieliśmy.

Do sądu wpadli policjanci. Uspokoił się i usiedliśmy w bujakiach, ale ani na sekundę nie odrywaliśmy wzroku od kopułki. Przyszedł Gaduła, Margaret i Hardy. Oni też widzieli, jak Baggy spadał, ale tylko Margaret przejmowała się jego ranami.

Radiowóz płonął, dopóki nie nadjechali strażacy. Otworzyły się drzwi sądu i zaczęli wychodzić urzędnicy, zaciekle paląc papierosy. Dwóch ludzi szeryfa wyciągnęło Baggy'ego spod bukszpanów. Prawie nie mógł chodzić i widać było, że bardzo cierpi. Wsadzili go do radiowozu i odjechali.

Potem zobaczyliśmy w kopułce jednego z naszych i miasto odetchnęło. Pobiegliśmy w piątkę do sądu, podobnie jak wszyscy mieszkańcy rynku.

Drugie piętro było odcięte. Na ten dzień nie wyznaczono żadnej rozprawy, więc Coley skierował nas do sali i obiecał, że szybko zapozna nas z sytuacją. Gdy szliśmy korytarzem, zobaczyłem Majora, Chicka Elliota i Wobble'a Tacketta pod eskortą jednego z ludzi szeryfa.

Byli ostro zalani i śmiali się tak głośno, że nie mogli ustać na nogach.

Wiley zszedł na dół, żeby zapolować. Zaraz mieli wynosić zwłoki snajpera i chciał to uwiecznić. Białe włosy, czarna twarz w paski - pytań było co niemiara.

Ci z dachu najwyraźniej spudłowali. Snajpera zidentyfikowano jako Hanka Hootena, miejscowego adwokata, który pomagał Erniemu Gaddisowi podczas procesu Danny'ego Padgitta. Nie odniósł żadnych obrażeń i został aresztowany.

Gdy Coley ogłosił to w sali, byliśmy skonsternowani i zaszokowani. Już i tak mieliśmy zszargane nerwy, ale w to trudno było uwierzyć.

- Pana Hootena znaleziono na schodkach do kopułki - mówił szeryf. Zamurowało mnie do tego

stopnia, że zapomniałem o notowaniu. - nie stawiał oporu i jest już w areszcie.

- W co był ubrany? - spytał ktoś z tłumu.

- W nic.

- W nic?

- Absolutnie w nic. Twarz i pierś miał pomazane czarną pastą do butów, ale poza tym był nagi jak niemowlę.

- Z czego strzelał? - spytałem.

- Znaleźliśmy dwie strzelby o dużej mocy. Na razie mogę powiedzieć tylko tyle.

- Mówił coś?

- Ani słowa.

Wiley zameldował, że owinęli go prześcieradłem i wepchnęli na tylne siedzenie radiowozu. Pstryknął kilka zdjęć, ale nie sądził, żeby coś z tego wyszło.

- Otoczyło go dwunastu gliniarzy - mruknął.

Pojechaliśmy do szpitala odwiedzić Baggy'ego. Jego żona miała tego dnia nocny dyżur na urazówce. Ktoś do niej zadzwonił, obudził ją i ściągnął do szpitala, więc kiedy tam dotarliśmy, była w parszywym humorze.

- Złamał tylko rękę - oznajmiła, wyraźnie rozczarowana, że to nic poważniejszego. -

Ma parę siniaków i zadrapań. Co ten idiota zrobił?

Spojrzałem na Wileya, Wiley spojrzał na mnie.

- Był pijany? - spytała. Baggy zawsze był pijany.

- nie wiem - odrzekłem. - Wypadł z okna sądu.

- O Jezu! To był pijany.

Opowiedziałem jej pokrótce, jak uciekał pod ostrzałem, próbując zrobić z niego bohatera.

- Z drugiego piętra? - spytała.

- Tak.

- A więc grał w pokera, pił whisky, a potem wyskoczył oknem.

- W sumie to tak - potwierdził Wiley, zanim zdążyłem go powstrzymać.

- Niezupełnie - zaprzeczyłem, ale ona już odeszła.

Gdy w końcu trafiliśmy do separatki, Baggy chrapał. Lekarstwa zmieszały się z alkoholem i wyglądał tak, jakby zapadł w śpiączkę.

- Pozałuje, że się w ogóle obudził - szepnął Wiley.

I rzeczywiście tak było. Opowieść o Baggym Piłeczce miała krążyć po Clanton przez wiele lat. Wobble Tackett przysięgał, że to Chick Elliot puścił kabel, natomiast Chick twierdził, że najpierw nie wytrzymał Major, to znaczy jego noga, i że to właśnie ona rozpoczęła tę reakcję łańcuchową. Miasto szybko nabrało przekonania, że bez względu na to, który z nich wypuścił kabel jako pierwszy, tych trzech idiotów celowo zrzuciło Baggy'ego na żywopłot.

Dwa dni później Hanka Hootena przewieziono do szpitala dla umysłowo chorych w Whitfield, gdzie miał spędzić kilkanaście lat. Początkowo oskarżano go o zamiar wymordowania połowy Clanton, ale z czasem od tego odstąpiono. Ponoć wyznał Gaddisowi, że nie strzelał do nikogo konkretnego, nie chciał zrobić nikomu krzywdy, był po prostu zdenerwowany, bo miasto nie skazało Padgitta na śmierć.

Po jakimś czasie dotarła do nas wieść, że wykryto u niego ciężką schizofrenię. Na ulicach powiadano, że to „szajbnięty psychol”.

W całej historii hrabstwa Ford nie było nikogo, kto zwariowałby w tak widowiskowy sposób.

## **ROZDZIAŁ 26**

Rok po kupnie „Timesa” wysłałem babce czek na pięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów -

mój dług plus dziesięcioprocentowe odsetki. Gdy pożyczła mi pieniądze, nie poruszaliśmy tematu odsetek, nie podpisałem również weksła. Dziesięć procent to dość dużo i miałem nadzieję, że skłoni ją do odesłania czeku. Wysłałem go, wstrzymałem oddech, uważnie przeglądałem korespondencję i zgodnie z moimi przypuszczeniami, tydzień później nadszedł

list z Memphis.

*Drogi Williamie!*

*Załączam Twój czek, którego nie oczekiwałam i z którym nie miałabym chwilowo co zrobić. Jeśli z jakichś mało prawdopodobnych powodów będę potrzebowała pieniędzy, przedyskutujemy tę sprawę ponownie. Jestem bardzo dumna, że spłaciłeś dług i wyrosłeś na prawego człowieka. To, co osiągnąłeś przez rok, jest dla mnie źródłem wielkiej radości i z przyjemnością opowiadam przyjacielom o Tobie i Twoich wydawniczych sukcesach. Muszę Ci wyznać, że kiedy wróciłeś z Syracuse, bardzo się o Ciebie martwiłam. Nie wiedziałeś, co ze sobą począć, brakowało Ci motywacji i miałeś za długie włosy. Udowodniłeś, że nie miałam racji, i na dobitkę się ostrzygłeś (choć tylko trochę). Stałeś się też prawdziwym dżentelmenem i pod względem manier, i ubioru.*

*Jesteś wszystkim, co mam, Williamie, i bardzo Cię kocham. Proszę, pisz częściej.*

*Całuję BeeBee*

*PS Czy ten biedak naprawdę rozebrał się do naga i zaczął do was strzelać? Cóż za typy tam macie?*

Jej pierwszy mąż umarł na jakąś malowniczą chorobę w 1924 roku. BeeBee wyszła ponownie za mąż za rozwiedzionego handlarza bawełną i urodziła swoje jedyne dziecko, moją biedną matkę. Drugi mąż, czyli mój dziadek, zmarł w roku 1938, pozostawiając BeeBee pokaźny spadek. Babcia przestała wychodzić za mąż, od trzydziestu lat liczyła pieniądze, grała w brydża i podróżowała. Jako jej jedyny wnuk miałem odziedziczyć wszystko, co miała, chociaż nie wiedziałem, ile tego jest. Skoro chciała, żebym pisał częściej, w czym problem, mogłem pisać. Radośnie podarłem czek, poszedłem do banku i pożyczylem pięćdziesiąt kawałków od Stana Atcavage'a. Hardy znalazł w Atlancie lekko używaną maszynę offsetową i kupiłem ją za sto osiem tysięcy dolarów. Wyrzuciliśmy naszą stareńką prasę i wkroczyliśmy w XX wiek. „Times” zyskał nowy wygląd: o wiele wyraźniejszy druk, ostrzejsze zdjęcia i bogatszą szatę graficzną. Nakład wzrósł do sześciu tysięcy i wzrastał dalej, powoli i z zyskiem. Bardzo pomogły nam wybory w 1971 roku.

Zdumiało mnie, ilu ludzi ubiega się o urzędy publiczne w Missisipi. Każde hrabstwo było podzielone na pięć okręgów, a każdy okręg miał wybieralnego konstabla, urzędnika sądowego powoływanego do pilnowania porządku w mieście, który nosił odznakę, rewolwer i mundur, jeśli zdołał takowy zdobyć i jeśli było go nań stać, a ponieważ stać go było niemal zawsze, montował na samochodzie koguta i zyskiwał tym samym prawo do zatrzymywania każdego za każde możliwe wykroczenie. Nie musiał przechodzić żadnego przeszkolenia. Nie musiał mieć żadnego wykształcenia. Nie podlegał nadzorowi szeryfa ani naczelnika policji -

nie podlegał nikomu z wyjątkiem wyborców, przed którymi rozliczał się co cztery lata.

Teoretycznie miał roznosić wezwania sądowe, ale gdy go tylko wybrano, nie mógł oprzeć się potężnej pokusie: wkładał pas z bronią i zaczynał wypatrywać potencjalnych przestępców.

Im więcej wypisał mandatów, tym więcej zarabiał. Pracował na część etatu, za symboliczną pensję, ale co najmniej jeden z pięciu w każdym hrabstwie próbował z tej pensji wyżyć. I właśnie on stwarzał najwięcej kłopotów.

Każdy obwód wybierał sędziego pokoju, urzędnika sądowego bez żadnego wykształcenia prawniczego; w 1971 roku takiego wykształcenia nie wymagano. Nie wymagano też żadnego doświadczenia. Wystarczyły tylko głosy wyborców. Sędzia pokoju sądził wszystkich tych, których zgarniał z ulicy konstabl, dlatego panujący między nimi układ był wygodny, acz podejrzany. Kierowcom spoza stanu, przydybanym przez konstabla w hrabstwie Ford, groziły zwykle dość poważne nadużycia ze strony naszego sędziego.

Każde hrabstwo miało pięciu inspektorów, pięciu królewiczów, którzy dzierżyli prawdziwą władzę. Dla swoich zwolenników asfaltowali drogi, naprawiali przepusty i kanały kablowe, rozdawali im żwir. Dla przeciwników nie robili prawie nic. Wszystkie zarządzenia rady miejskiej były wcielane w

życie przez złożoną z nich radę nadzorczą.

Każde hrabstwo miało też wybieralnego szeryfa, poborcę podatkowego, taksatora podatkowego, sekretarza sądu słuszności i koronera. Hrabstwa wybierały także senatora i członka stanowej Izby Reprezentantów. W roku 1971 były również dostępne takie posady, jak komisarz drogowy, sekretarz służby państwowej, komisarz rolnictwa, skarbnik stanowy, rewident stanowy, prokurator generalny, wicegubernator i gubernator.

Myślałem, że jest to system idiotyczny i uciążliwy, dopóki kandydaci nie zaczęli zamieszczać ogłoszeń w „Timesie”. Pod koniec stycznia pewien fatalny konstabl z czwartego okręgu (znanego również jako Beat Four) miał jedenastu przeciwników. Większość z tych biedaków przyszło do nas z „ogłoszeniami” odręcznie napisanymi przez ich żony na wyrwanej z notesu kartce. Cierpliwie je czytałem, rozszyfrowywałem, tłumaczyłem i redagowałem. Potem brałem pieniądze i zamieszczałem w gazecie te króciutkie wzmianki, z których niemal każda zaczynała się albo od: „Po wielu miesiącach modlitw...”, albo od:

„Wielu ludzi prosiło mnie, żebym ubiegał się o...”

Chociaż wybory miały być dopiero w sierpniu, już pod koniec lutego całe hrabstwo trawiła wyborcza gorączka. Szeryf Coley miał dwóch przeciwników, dwóch innych groziło przystąpieniem do rywalizacji. Ostatecznym terminem zgłaszania kandydatur był czerwiec i jak dotąd Coley jeszcze się nie zarejestrował. To wywołało falę pogłosek, że może w ogóle nie startować.

Ale przed wyborami do władz lokalnych falę pogłosek mogła wywołać najmniejsza drobnostka.

Panna Callie wyznawała starą zasadę, że jadać w restauracjach jest trwonieniem pieniędzy, a więc grzechem. Jej lista potencjalnych grzechów była dłuższa niż listy większości ludzi, a zwłaszcza moja. Prawie pół roku zajęło mi namówienie jej na czwartkowy lunch u Claude'a. Przekonywałem, że jeśli to ja zapłacę, ona nie zmarnuje ani centa. Nie popełni żadnego występku, a jeśli ja popełnię kolejny, nic mnie to nie obejdzie. Jadać na mieście było z pewnością najłagodniejszym grzechem w moim repertuarze.

nie przejmowałem się tym, że zobaczą mnie w Clanton z Murzynką. Miałem gdzieś, co powiedzą ludzie. Miałem gdzieś, że moja twarz będzie jedyną białą twarzą u Claude'a. nie, najbardziej martwiło mnie - i długo powstrzymywało przed wystąpieniem z tą propozycją -

to, jak wsadzić i wysadzić pannę Callie ze spitfire'a. Nie był przystosowany do przewożenia osób tak masywnych, jak ona.

Rumnowie mieli starego buicka, w którym mieściła się kiedyś cała ósemka ich dzieci.

Panna Callie ważyła teraz czterdzieści pięć kilo więcej, mimo to wciąż mogła bez trudu do niego wsiąść i wysiąść.

Ciała jej nie ubywało. Jej ciśnienie i wysoki poziom cholesterolu bardzo martwiły wszystkich Ruffinów. Miała sześćdziesiąt lat i była zdrowa, lecz na horyzoncie rysowały się kłopoty.



Wyszliśmy na ulicę i spojrzęła na mój samochód. Był marzec, wiał wiatr i zanosilo się na deszcz, więc podniosłem dach. W tym stanie dwumiejscowy spitfire wydawał się jeszcze mniejszy.

- nie wiem, czy to się uda - powiedziała. Pół roku trwało, zanim dała się namówić; nie zamierzałem teraz rezygnować. Otworzyłem drzwiczki od strony pasażera i bardzo ostrożnie podeszła bliżej.

- Ma pan jakieś propozycje?

- Tak. Niech pani spróbuje tyłem naprzód.

Metoda okazała się skuteczna i gdy odpaliłem silnik, siedzieliśmy już ramię w ramię.

- Biali jeżdżą zabawnymi samochodzikami. - Była tak wystraszona, jakby pierwszy raz w życiu miała polecieć małą awionetką Wcisnąłem pedał sprzęgła i dodałem gazu. Spod kół bryznął żwir i śmiejąc się, wyruszyliśmy do miasta.

Zaparkowałem przed siedzibą „Timesa” i pomogłem jej wysiąść; wsiadanie było jednak znacznie łatwiejsze. Przedstawiłem ją Margaret Wright i Daveyowi „Gadule”

Bassowi, po czym oprowadziłem po redakcji. Bardzo ciekawiła ją nasza nowa maszyna drukarska, ponieważ gazeta miała teraz znacznie ładniejszą szatę graficzną.

- Kto robi u was korektę? - szepnęła.

- Pani - odrzekłem. Wyliczyła, że nasza średnia to trzy błędy tygodniowo. Co czwartek wciąż dostawałem ich listę.

Przespacerowaliśmy się po rynku i w końcu dotarliśmy do Claude'a, restauracji dla czarnych, która mieściła się obok miejskiej pralni. Claude prowadził ją od wielu lat i serwował najlepsze żarcie w mieście. Nie potrzebował jadłospisu, bo jadło się tam to, co akurat ugotował. W środy był sum, w piątki coś z rożna, ale w pozostałe cztery dni goście dowiadrywali się, co będą jedli, w ostatniej chwili, od samego Claude'a. Powitał nas w brudnym fartuchu i wskazał stolik przy oknie od ulicy. Połowa stolików była zajęta i kilkoro gości obrzuciło nas zaciekawionym spojrzeniem.

To dziwne, ale panna Callie nie znała Claude'a. Myślałem, że znają się tu wszyscy Murzyni, lecz okazało się, że nie. Claude mieszkał za miastem i po Lowtown krążyły straszne pogłoski, że nie chodzi do kościoła. Dlatego panna Callie nie miała ochoty się z nim zadawać.

Przed laty byli razem na jakimś pogrzebie, ale oficjalnie się nie znali.

Gdy ich sobie przedstawiłem, Claude skojarzył nazwisko z twarzą i rzekł:

- Aha, Ruffinowie, sami lekarze.

- Doktorzy - poprawiła go panna Callie.

Claude był głośny, gburowaty, kazał sobie płacić za jedzenie i nie chodził do kościoła, więc od razu

go zniechęciła. Claude wyczuł to, olał i poszedł nawrzeszczyć na kogoś w kuchni.

Kelnerka przyniosła nam mrożoną herbatę i chleb kukurydziany. Panna Callie znowu się skrzywiła. Herbata była za słaba, prawie bez cukru, chleb niesiony i podany w temperaturze pokojowej, co według niej było niewybaczalnym przestępstwem.

- To jest restauracja - powiedziałem cicho. - Niech się pani odpręży.

- Próbuję.

- Nieprawda. Jak może nam cokolwiek smakować, skoro nic się pani nie podoba?

- Podoba mi się pana muszka.

- Dziękuję.

Moje nowe ubrania nikomu nie sprawiły większej przyjemności niż jej. Wyjaśniła mi, że Murzyni lubią się ładnie ubierać i przywiązują do tego dużą wagę. Murzyni. Wciąż mówiła o sobie: Murzynka.

Konsekwencją ruchu na rzecz praw obywatelskich i skomplikowanych problemów, które wywołał, było to, że ludzie nie bardzo wiedzieli, jak nazywać czarnych. Ci starsi i bardziej dystyngowani, tacy jak panna Callie, woleli określenie „Murzyni”. Stopień niżej stali

„kolorowi”.

Chociaż nigdy nie słyszałem, żeby panna Callie kiedykolwiek użyła tego słowa, zamożniejsi Murzyni nierzadko nazywali swoich gorzej sytuowanych braci czarnuchami.

Ponieważ za nic nie rozumiałem podziału na te wszystkie klasy i kasty, trzymałem się bezpiecznego określenia „czarni”. Ci mieszkający po mojej stronie torów dysponowali całym słownikiem określeń, wśród których niewiele było nazw sympatycznych.

Tak czy inaczej, w tej chwili byłem jedynym białym w lokalu i nikomu to nie przeszkadzało.

- Co jecie?! - wrzasnął Claude zza lady. Na tablicy stało, że tego dnia serwuje teksaskie chili, smażonego kurczaka i schabowego z kością. Panna Callie wiedziała, że kurczak i kotlety będą niesmaczne, więc zamówiliśmy chili.

Złożyła mi raport z ogródka. Najdorodniejszy był jarmuż. Z Esauem przygotowywali się do sadzenia letnich warzyw. „Almanach farmera” przewidywał łagodne lato z umiarkowanymi opadami deszczu - tak samo, jak co roku - i nie mogła się już doczekać, kiedy będzie cieplej i kiedy będziemy mogli jadać lunch na tarasie, a więc tam, gdzie trzeba.

Zacząłem od Alberta, jej najstarszego, a pół godziny później ona skończyła na Samie, swoim najmłodszym. Wrócił do Milwaukee, mieszkał u Roberta, pracował i studiował zaocznie.

Wszystkie dzieci i wnuki miały się dobrze.

Chciała porozmawiać o „biednym panu Hootenie”. Pamiętała go z procesu, chociaż ani razu nie przemówił do przysięgłych. Przekazałem jej najświeższe nowiny. Hank Hooten mieszkał teraz w domu bez klamek i miał tam jeszcze trochę pomieszkać.

W restauracji szybko zrobiło się tłoczno. Przechodząc obok z kilkoma talerzami na rękę, Claude rzucił:

- Jak skończyliście, to pora iść.

Panna Callie udawała, że jest urażona, ale on słyszał z tego, że wyrzucał ludzi, kiedy tylko zjedli. W piątki, gdy kilku białych przychodziło tu na potrawy z rusztu i gdy trudno było o wolny stolik, wyznaczał gościom nieprzekraczalny limit czasu.

- Macie dwadzieścia minut! - wołał głośno.

Panna Callie udawała, że to nowe doświadczenie nie przypadło jej do gustu - sam pomysł, restauracja, tani obrus, jedzenie, Claude, ceny, ten tłum i w ogóle wszystko razem.

Ale wiedziałem, że tak nie jest. W skrytości ducha bardzo się cieszyła, że młody, dobrze ubrany biały dżentelmen zabrał ją na lunch. Nie przeżyła tego żadna z jej przyjaciółek.

Gdy wróciliśmy do Lowtown i łagodnie wyciągnąłem ją z samochodu, wyjęła z torebki mały kawałek papieru. W tym tygodniu były tylko dwa błędy; to dziwne, ale obydwie znalazła w ogłoszeniach, za które odpowiadała Margaret.

Odprowadziłem ją do domu.

- nie było tak źle, prawda? - spytałem.

- Bardzo mi się podobało. Dziękuję. Przyjdzie pan w czwartek? - Co tydzień zadawała to samo pytanie. Moja odpowiedź też była zawsze taka sama.

## **ROZDZIAŁ 27**

W południe święta Czwartego Lipca termometr wskazywał ponad trzydzieści osiem stopni w cieniu, a wilgotność powietrza jeszcze bardziej wzrosła. Paradą prowadził burmistrz, chociaż nie ubiegał się o żaden urząd. Wybory stanowe i lokalne miary odbyć się w 1971

roku. Wybory prezydenckie w 1972. Wybory do władz sądowniczych w 1973. Wybory samorządowe w 1974. Mieszkańcy Missisipi uwielbiali głosować prawie tak samo, jak uwielbiali futbol.

Burmistrz siedział na tylnym siedzeniu corvettki rocznik 1962 i rzucał cukierki dzieciom stojącym tłocznie na chodnikach wokół rynku. Za burmistrzem szły dwie orkiestry szkolne, z Clanton i Karaway, potem szli skauci, za skautami jechali na rowerkach członkowie Bractwa Mistycznej Świątyni, nowy wóz strażacki, sześć platform, konny pościg, szli weterani ze wszystkich wojen tego

stulecia, sunęły lśniące nowością samochody z salonu Forda, dudniły trzy wyremontowane traktory Johna Deere'a. Jeden z nich prowadził

przysięgły numer osiem, Mo Teale. Paradę zamykał sznur wypolerowanych na błysk radiowozów policji miejskiej i okręgowej.

Oglądałem ją z balkonu na drugim piętrze banku gwarancyjnego. Stan Atcavage wydał tam doroczne przyjęcie. Ponieważ byłem mu winny okazałą sumę, zaprosił mnie na lemoniadę i na oglądanie pochodu.

Z powodów, których nikt już nie pamiętał, za przemówienia odpowiadali rotarianie.

Przed pomnikiem konfederata ustawili długą przyczepę i ozdobili ją belami siana oraz czerwono - białymi - niebieskimi flagami. Gdy parada się skończyła, podekscytowany tłum otoczył ją zwartym kręgiem. Nawet publiczna egzekucja nie przyciągnęłaby więcej ludzi.

Mervin Beets, prezes klubu rotariańskiego, podszedł do mikrofonu i wszystkich powitał. Ponieważ każde publiczne wydarzenie w Clanton musiało być poprzedzone modlitwą, w duchu desegregacji zaprosił na platformę wielebnego Thurstona Smalla, pastora panny Callie, żeby odpowiednio zapoczątkował uroczystość. Według Stana, tego roku na rynku było znacznie więcej czarnych.

Mając przed sobą tak wielki tłum, wielebny Smali nie mógł mówić krótko. Co najmniej dwa razy prosił Boga o błogosławieństwo dla wszystkich i dla wszystkiego. Na stojących wokół sądu słupach zamontowano głośniki i jego głos rozbrzmiewał echem po całym rynku.

Pierwszym kandydatem był Timmy Joe Bullock, przerażony młodzieniec z czwartego okręgu, który chciał zostać konstabliem. Przeszedł przez platformę jak po chybotliwym trapie, stanął przed mikrofonem, spojrzął na tłum i omal nie zemdleć. Zdołał wydukać swoje nazwisko i natychmiast sięgnął do kieszeni po przemówienie. Czytał fatalnie, ale w ciągu dziesięciu bardzo długich minut zdążył skomentować wzrost przestępczości w naszym mieście, proces Danny'ego Padgitta i aferę ze snajperem. Nie lubił morderców, ale najbardziej nie podobał mu się snajper. Przynajmniej strzec nas i przed jednymi, i przed drugimi.

nie zyskał dużego aplauzu. Ale przynajmniej się pokazał. W pięciu okręgach było dwudziestu dwóch kandydatów na konstabli, lecz jedynie siedmiu miało odwagę stanąć przed tłumem wyborców. Gdy skończyliśmy z konstablami i sędziami pokoju, Woody Gates i jego Country Boys zagrali kilka bluegrassowych kawałków. Przerwa bardzo się nam przydała.

W kilku miejscach na trawniku przed sądem serwowano jedzenie i przekąski.

Członkowie Lions Club rozdawali kawałki zimnego arbuza. Panie z klubu działkowiczów sprzedawały domowe lody. Członkowie Młodzieżowej Izby Handlowej piekli na ruszcie żeberka. Ludzie uciekali ze słońca, kryjąc się pod starymi dębami.

Mackey Don Coley przystąpił do wyścigu o fotel szeryfa dopiero pod koniec maja.

Miał trzech przeciwników, z których największą popularnością cieszył się T.R. Meredith, policjant.

Gdy Beets ogłosił, że pora na kandydatów na szeryfa, tłum opuścił cieniste schronienie i podszedł do platformy.

Freck Oswald startował po raz czwarty. We wszystkich poprzednich wyborach skończył na ostatnim miejscu; wyglądało na to, że tym razem będzie tak samo, ale chyba robił

to dla samej zabawy. Nie znosił prezydenta Nixona i wypowiedział wiele ostrych słów na temat jego polityki zagranicznej, zwłaszcza stosunków politycznych z Chinami. Ludzie go słuchali, chociaż robili wrażenie lekko skonsternowanych.

Tryce McNatt startował po raz drugi. „Mam gdzieś Chiny” - tak zaczął. Dowcipnie, ale i głupio. Wyrażanie się w miejscu publicznym, w obecności dam, miało kosztować go wiele głosów. Denerwowało go, że nasz system tak hołubi przestępców. Był przeciwny wszelkim próbom budowy nowego aresztu w hrabstwie Ford - to strata naszych pieniędzy!

Żądał surowych kar i większej liczby więzień, a nawet tego, żeby kryminalistów skuwano łańcuchami i wysyłano do obozów pracy przymusowej.

Nigdy dotąd nie słyszałem, żeby ktoś chciał zbudować u nas nowy areszt.

Uważał, że morderstwo w Beech Hill i wybryk szalonego Hootena doprowadził do tego, że fala gwałtownych przestępstw wymknęła się nam spod kontroli. Że potrzebujemy nowego szeryfa, który będzie ścigał zbrodniarzy, a nie się z nimi bratał.

- Oczyszcmy nasze hrabstwo! - Powtarzał to jak refren.

Tłum był po jego stronie.

T.R. Meredith od trzydziestu lat służył w policji. Był okropnym mówcą, ale według Stana, był też spokrewniony z połową hrabstwa. Stan wiedział, co mówi, bo był

spokrewniony z drugą.

- Meredith wygra tysiącem głosów w drugiej turze - przepowiadał. To doprowadziło do kłótni między pozostałymi gośćmi.

Mackey Don występował jako ostatni. Był szeryfem od 1943 roku i chciał nim być jeszcze przez jedną kadencję, już ostatnią.

- Powtarza to od dwudziestu lat - mruknął Stan.

Coley gadał o swoim doświadczeniu, o tym, że doskonale zna teren i ludzi. Zebrał

trochę oklasków, grzecznych, acz niezbyt zachęcających.

Dwóch kandydatów ubiegało się o stanowisko poborcy podatkowego, bez wątplenia najmniej popularny urząd w hrabstwie. Podczas ich przemówień ludzie rozeszli się po lody i arbuza.

Poszedłem do kancelarii Harry'ego Rekxa, przed którą odbywała się kolejna impreza.

Przemówienia trwały do późnego popołudnia. Było lato 1971 roku i do tej pory w Wietnamie zginęło co najmniej pięćdziesiąt tysięcy młodych Amerykanów. W każdej innej części kraju takie zgromadzenie przerodziłoby się w zjadliwy antywojenny wiec. Polityków zrzucano by ze sceny. Palono by karty powołania i flagi.

Ale u nas o Wietnamie nie wspomniano ani słowem.

Świetnie się bawiłem, demonstrując na studenckim kampusie i maszerując ulicami Syracuse, ale na głębokim Południu nie słyszano ani o demonstracjach, ani o marszach. W

Wietnamie trwała wojna i prawdziwi patrioci ją popierali. Powstrzymywaliśmy komunizm, a hippisi, radykałowie i „pokojuwcy” z Północy i z Kalifornii bali się po prostu walczyć.

Kupiłem lody truskawkowe od pań z klubu działkowiczów i spacerując wokół sądu, usłyszałem wrzawę. Z drugiego piętra gmachu, z okna sądowego baru, jakiś dowcipniś zrzucił

wypchaną kukłę Baggy'ego. Kukła wisiała z rękami do góry - dokładnie tak jak prawdziwy Baggy - i miała na piersi napis: OPÓJ żeby wszyscy dobrze zrozumieli, o co chodzi, z każdej kieszeni spodni wystawała pusta butelka jacka danielsa.

nie widziałem Baggy'ego i tego dnia miałem go nie zobaczyć. Twierdził potem, że nic o tej kukle nie słyszał. Wiley zrobił jej oczywiście mnóstwo zdjęć.

- Jest Theo! - usłyszeliśmy krzyk.

Podeksytowany tłum zafalował. Od wielu lat Theo Morton był naszym senatorem.

Jego okręg obejmował części czterech hrabstw i chociaż mieszkał w Baldwin, jego żona pochodziła z Clanton. Miał dwa domy pogodnej starości oraz cmentarz i wyróżniało go to, że przeżył trzy katastrofy samolotowe. Teraz już nie latał. Był barwną postacią i znakomitym mówcą, bezceremonialnym, zabawnym i kompletnie nieprzewidywalnym. Za przeciwnika miał młodziaka tuż po szkole prawniczej, który - takie krążyły plotki - sposobił się do objęcia urzędu gubernatora. Nazywał się Warren i popełnił błąd, atakując Mortona za podejrzaną ustawę, którą ten „przepchnął” przez senat, dzięki czemu stan zwiększył dotacje dla pensjonariuszy domów pogodnej starości.

Atak był ostry. Stałem w tłumie, patrząc na plującego jadem Warrena i tuż nad jego lewym ramieniem widziałem zwisającego z okna Opoja.

Theo najpierw przedstawił swoją żonę, Rex Elle z domu Mabry z Clanton. Potem długo mówił o jej rodzicach, dziadkach, ciotkach i wujkach, tak że wymienił chyba nazwiska połowy zebranych. Clanton było jego drugim domem, jego okręgiem: tu mieszkali jego krewni, jego wyborcy, którym tak usilnie służył w Jackson.

Mówił gładko, płynnie i z głowy. Słuchałem wiecowego mistrza.

Był przewodniczącym senackiej komisji drogowej, więc przez kilka minut chwalił się, ile to nowych dróg zbudował w północnej Missisipi. Podczas każdej sesji plenarnej jego komisja rozpatrywała czterysta aktów prawnych. Czterysta aktów! Czterysta projektów ustaw lub ustaw! Jako przewodniczący odpowiadał za tworzenie prawa. Właśnie to robili senatorowie. Tworzyli prawo. Pisali dobre ustawy i utracali złe.

Jego młody adwersarz niedawno skończył studia, co jest osiągnięciem godnym uwagi.

On, Theo, nie mógł pójść do college'u, bo walczył z Japończykami podczas II wojny światowej. Ale tak czy inaczej, jego młody przeciwnik najwyraźniej zaniedbał studia. W przeciwnym razie zdałby egzamin adwokacki już za pierwszym razem.

A on go oblał, panie i panowie!

Dokładnie w tym samym momencie ktoś stojący za Warrenem wrzasnął:

- To kłamstwo!

Ludzie popatrzyli na młodego prawnika, jakby stracił rozum. Theo spojrział w stronę krzykacza i z niedowierzaniem powtórzył:

- Kłamstwo?

Sięgnął do kieszeni i szybkim ruchem wyjął złożoną kartkę papieru.

- Mam tu dowód! - Chwycił kartkę dwoma palcami, zaczął nią wymachiwać i nie odczytawszy ani słowa z tego, co było na niej napisane, spytał: - Jak można powierzyć komuś tworzenie prawa, skoro ten ktoś nie może na - wet zdać egzaminu adwokackiego? Pan Warren i ja jesteśmy pod tym względem równi sobie, bo ani on nie zdał tego egzaminu, ani ja.

Problem w tym, że pan Warren ma za sobą trzy lata studiów, które pomogły mu go oblać.

Jego zwolennicy pękali ze śmiechu. Warren twardo stał przy platformie, ale miał ochotę zwać.

- Może gdyby studiował w Missisipi zamiast w Tennessee - grzmiał The - może wtedy rozumiałby nasze prawo!

Słynął z takich publicznych rzezi. Kiedyś poniżył przeciwnika, który zrzucił sutannę.

Wyjął z kieszeni „dobrowolne, złożone pod przysięgą oświadczenie” i oznajmił, że jest to dowód, iż „nasz były wielebny” miał romans z żoną diakona. Oświadczenia, rzecz jasna, nie odczytał.

Dziesięciominutowy limit czasu nic dla niego nie znaczył. Rzucił serię obietnic, że zmniejszy podatki, ukróci marnotrawstwo i zrobi wszystko, żeby mordercy częściej dostawali karę śmierci. Kończąc,

podziękował ludziom za dwadzieścia lat wiernego wsparcia i przypomniał, że w poprzednich wyborach poczciwi mieszkańcy hrabstwa Ford oddali na niego i jego żonę prawie osiemdziesiąt procent głosów.

Oklaski były głośnie i długie. W którymś momencie Warren zniknął. Ja też. Miałem dość przemówień i polityków.

Miesiąc później, w pierwszy wtorek sierpnia o zmierzchu, ci sami ludzie przyszli do sądu na liczenie głosów. Znacznie się ochłodziło; były tylko trzydzieści trzy stopnie, a wilgotność powietrza sięgała dziewięćdziesięciu ośmiu procent.

Ostatnie dni wyborów to marzenie każdego reportera. Między dwoma kandydatami na sędziego pokoju doszło do bójki przed kościołem. Do sądu złożono dwa pozwy, bo wzajemnie oskarżali się o zniesławienie, potwarz i rozprowadzanie fałszywych kart do głosowania. Aresztowano mężczyznę przyłapanego na wypisywaniu wulgarnych słów na plakacie wyborczym Mortona. (Po wyborach okazało się, że wynajął go jeden z popleczników Thea, mimo to cała wina i tak spadła na młodego Warrena. Według Baggy'ego, była to powszechnie stosowana sztuczka). Prokuratora generalnego poproszono o wszczęcie śledztwa w sprawie dużej liczby głosów przesłanych pocztą. „Typowe wybory” -

podsumował Baggy. Ich punktem kulminacyjnym był wtorek, kiedy to całe hrabstwo zrobiło sobie przerwę na głosowanie i dzień wyborczego sportu.

Urny zamknięto o szóstej. Godzinę później na rynku zaroilo się od podekscytowanych wyborców. Ludzie zjechali tłumnie ze wsi, stali grupkami wokół swoich kandydatów, a niektórzy oznaczali nawet swoje terytorium transparentami z kampanii. Wielu przyjechało zjedzeniem i pić, większość rozstawiła na trawniku krzesła, jakby zaraz miał rozpocząć się tam mecz baseballowy. Przed drzwiami sądu ustawiono obok siebie dwie olbrzymie tablice do zapisywania wyników.

- Mamy już wyniki z północnych obwodów Karaway - powiedział do mikrofonu sekretarz tak głośno, że słycać go było trzynaście kilometrów dalej. Rozradowani ludzie momentalnie spowaźniali.

- Ci z Karaway zawsze są pierwsi - mruknął Baggy. Było wpół do dziewiątej i zapadł

już zmrok. Siedzieliśmy na ganku przed redakcją, czekając na wieści. Chcieliśmy opóźnić druk „Timesa” o dwadzieścia cztery godziny i wydać w czwartek wydanie specjalne.

Trochę trwało, zanim sekretarz odczytał liczbę głosów oddanych na wszystkich kandydatów na wszystkie urzędy. Mniej więcej w połowie oznajmił:

- A teraz wyniki wyborów na szeryfa. - Kilka tysięcy ludzi wstrzymało oddech. -

Mackey Don Coley osiemdziesiąt cztery. Tryce McNatt dwadzieścia jeden. T.R. Meredith sześćdziesiąt dwa. Freck Oswald jedenaście. - Po drugiej stronie trawnika, gdzie obozowali zwolennicy Coleya, buchnął radosny krzyk.

- Coley zawsze tam wygrywa - powiedział Baggy. - Ale przetrnie.



- Przerznie? - spytałem. Zналиśmy dane tylko z pierwszych dwudziestu ośmiu okręgów wyborczych, a on już typował zwycięzców.

- Przerznie. Jeśli Meredith wypadł nieźle tam, gdzie nie ma poparcia, znaczy, że ludzie mają dość Coleya. Zobaczysz, jakie będą wyniki z Clanton.

Wyniki spływały powoli z miejsc, o których nigdy dotąd nie słyshałem: Pleasant Hill, Shady Grove, Kłębie, Three Corners, Clover Hill, Green Alley, Possum Ridge, Massey Hill, Calico Ridge. Woody Gates i jego Country Boys - wyglądało na to, że zawsze mają mnóstwo czasu - wypełniali przerwy bluegrassowymi melodiami.

Padgittowie głosowali w maleńkim obwodzie Dancing Greek. Kiedy sekretarz odczytał wyniki i okazało się, że Coley dostał tam trzydzieści jeden głosów, podczas gdy wszyscy pozostali kandydaci razem wzięci tylko osiem, przez tłum przetoczyła się podnosząca na duchu fala buczenia i gwizdów. Potem było Clanton Wschodnie, największy obwód, w którym głosowałem między innymi ja. Coley dostał dwieście osiemdziesiąt pięć głosów, Tryce czterdzieści siedem, a gdy podano wynik T.R. Mereditha, sześćset czterdzieści cztery, ludzie oszaleli z radości.

Baggy wyściskał mnie i przyłączyliśmy się do zabawy. Coley przepadł już w pierwszej turze.

Poznawszy swój los, przegrani i ich zwolennicy powoli zbierali manatki i rozchodzili się do domów. O jedenastej na rynku wyraźnie się przersedziło. Kilka minut po północy poszedłem na spacer, chłonąc atmosferę tej cudownej tradycji.

Byłem bardzo dumny ze swego miasta. Po brutalnym morderstwie i zaskakującym werdykcie przysięgłych zwarliśmy szyki, zawalczyliśmy i daliśmy jasno do zrozumienia, że nie będziemy tolerować korupcji. Miażdżącą liczbą głosów oddanych przeciwko Coleyowi uderzyliśmy w Padgittów. Po raz drugi w ciągu stu lat stracili swojego szeryfa.

T.R. Meredith otrzymał sześćdziesiąt jeden procent głosów: oszalamiające i przygniatające zwycięstwo. Theo dostał osiemdziesiąt dwa i spuścił przeciwnikom manto w starym, dobrym stylu. Wydrukowaliśmy osiem tysięcy egzemplarzy specjalnego wydania

„Timesa” i sprzedaliśmy je co do jednego. Zostałem zagorzałym zwolennikiem corocznego głosowania. Nie ma to jak demokracja najwyższych lotów.

## **ROZDZIAŁ 28**

Tydzień przed Świętem Dziękczynienia w 1971 roku Clanton wstrząsnęła wieść, że jeden z synów naszego miasta poległ w Wietnamie. Pete Mooney, dziewiętnastoletni sierżant, został schwytany w zasadzce pod Hue w środkowym Wietnamie. Kilka godzin później znaleziono jego zwłoki.

nie znałem Mooneyów, ale Margaret znała ich bardzo dobrze. Zadzwo niła do mnie z tą nowiną i poprosiła o kilka dni wolnego. Od wielu lat mieszkała z rodziną na tej samej ulicy, co oni. Jej syn i Pete przyjaźnili się od dziecka.

Pogrzebałem w archiwum i w jednym z numerów z 1966 roku znalazłem wzmiankę o niejakim Marvinie Lee Walkerze, młodym Murzynie, pierwszej ofierze wojny w naszym hrabstwie. Plama napisał ją w czasach, kiedy takie sprawy jeszcze go nie obchodziły, dlatego wzmianka była haniebnie krótka. Ani słowa na pierwszej stronie. Na stronie trzeciej artykułik na sto słów bez zdjęcia. Clanton nie miało wtedy pojęcia, gdzie jest Wietnam.

Tak więc młody chłopak, który nie mógł chodzić do lepszych szkół, który prawdopodobnie nie mógł głosować i, co niemal pewne, bał się pić z publicznego poidelka przed sądem, zginął w kraju, który niewielu mieszkańców Clanton potrafiło wskazać na mapie. A jego śmierć uznano za coś dobrego i właściwego. Z komunizmem trzeba było walczyć wszędzie, gdzie się tylko dało.

Margaret po cichu przekazała mi szczegóły, których potrzebowałem do artykułu. Pete skończył nasz ogólniak w 1970 roku. Grał w szkolnej reprezentacji w futbol i baseball, i w nagrodę za osiągnięcia sportowe przez trzy lata nosił na koszulce odznakę w formie pierwszej litery nazwy szkoły. Zrobił maturę z wyróżnieniem, zamierzał przez dwa lata pracować, odłożyć trochę pieniędzy i pójść do college'u. Tak się pechowo złożyło, że jego karta powołania miała wysoki numer i w grudniu 1970 roku dostał bilet.

Według Margaret - nie mogłem puścić tego do druku - bardzo nie chciał jechać na unitarkę. Kłócił się o to z ojcem przez wiele tygodni. Chciał wyjechać do Kanady i przeczekać cały ten burdel. Ojciec był przerażony, że do syna przylgnie etykietka dekownika.

Że reputacja rodziny legnie w gruzach i tak dalej. Nazwał go tchórzem. Służył w Korei i nie miał cierpliwości do ruchów antywojennych. Pani Mooney próbowała ich pojednać, ale w głębi serca ona też nie chciała wysłać syna na tak niepopularną wojnę. Pete w końcu uległ i wrócił do domu w trumnie.

Mszę odprawiono w Pierwszym Kościele Baptystów, w którym Mooneyowie udzielali się od zawsze. Kiedy Pete skończył jedenaście lat, został tam ochrzczony, co było wielkim pocieszeniem dla rodziny i przyjaciół. Teraz przebywał już z Panem, chociaż był za młody, żeby Pan go do siebie wezwał.

Siedziałem obok Margaret i jej męża. Był to mój pierwszy i ostatni pogrzeb dziewiętnastoletniego żołnierza. Dzięki temu, że skupiłem się na trumnie, prawie nie słyszałem rozbrzmiewającego wokół szlochu, a czasem nawet zawodzenia. Szkolny trener Pete'a wygłosił mowę, która wycisnęła łzy z oczu dosłownie wszystkim, łącznie ze mną.

Prawie nie widziałem pana Mooneya, który siedział w pierwszym rzędzie.

Biedaczysko. Jakiż niewysłowiony smutek musiał go teraz przejmować.

Godzinę później uciekliśmy stamtąd i pojechaliśmy na cmentarz, gdzie z pełną wojskową pompą i ceremoniałem złożono Pete'a do grobu. Gdy trębacz zagrał capstrzyk, zadrzałem, słysząc skręcający trzewia krzyk jego matki. Przywarła do trumny i odeszła dopiero wtedy, gdy zaczęli spuszczać ją do grobu. Ojciec w końcu zemdlał i zajęli się nim diakoni.

Cóż za strata, powtarzałem w duchu, wracając samotnie do redakcji. Tego wieczoru zwymyślałem siebie za milczenie i tchórzostwo. Byłem redaktorem, do ciężkiej cholery! Bez względu na to, czy miałem prawo do tego statusu, czy nie, byłem wydawcą jedynej gazety w mieście. I jeśli dręczył mnie jakiś problem, na pewno miałem władzę i status, żeby o tym napisać.

Przed Pete'em Mooneyem w Wietnamie zginęło ponad pięćdziesiąt tysięcy jego rodaków, chociaż wojskowi byli beznadziejni, jeśli chodziło o podawanie dokładnych liczb.

W 1969 roku prezydent Nixon i jego doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Henry Kissinger uznali, że tej wojny nie można wygrać, a raczej że Stany Zjednoczone nie będą dłużej próbowały jej wygrać. Zatrzymali to dla siebie. Nie przerwali naboru. Zamiast tego kontynuowali strategię pozorów, udając, że są przekonani, iż wszystko zakończy się sukcesem.

Od chwili podjęcia tej decyzji do roku 1973, kiedy to wojna dobiegła końca, w Wietnamie poległo osiemnaście tysięcy żołnierzy, w tym Pete Mooney.

Wstępniak zamieściłem w dolnej połowie pierwszej strony, pod dużym zdjęciem Pete'a w wojskowym mundurze.

Wiadomość o śmierci Pete'a Mooneya powinna zrodzić w nas oczywiste pytanie: Co my, do diabła, robimy w tym Wietnamie? Zdolny uczeń i utalentowany sportowiec, szkolny przywódca, przyszły przywódca społeczny, jeden z naszych najlepszych i najzdolniejszych chłopców zabity nad brzegiem rzeki, o której nigdy nie słyszeliśmy, w kraju, który mało nas obchodzi. Oficjalny powód, dla którego zginął i który ma już w sumie dwadzieścia lat, jest taki, że walczymy tam z komunizmem. Jeśli tylko dostrzeżemy, że zaczyna się rozprzestrzeniać, to wtedy, cytując słowa prezydenta Johnsona, musimy przedsięwziąć

„wszystkie niezbędne środki, żeby temu zapobiec”. Korea, Wietnam. Nasze wojska są teraz w Laosie i Kambodży, chociaż prezydent Nixon temu zaprzecza. Który kraj będzie następny?

Czy mamy wysyłać naszych synów wszędzie tam, gdzie toczą się wojny domowe innych?

Wietnam podzielono na dwa kraje, gdy w 1954 roku Francuzi ponieśli tam klęskę.

Wietnam Północny jest biedny i władzę sprawuje tam komunista Ho Szi Min. Wietnam Południowy też jest biedny i władzę sprawował tam brutalny dyktator Ngo Din Diem, którego zamordowano podczas zamachu w 1963 roku. Od tamtego czasu krajem rządzą wojskowi.

Wietnam jest w stanie wojny od roku 1946, kiedy to Francuzi podjęli zgubną próbę powstrzymania komunizmu. Ponieśli spektakularną klęskę, dlatego czym prędzej pojechaliśmy tam, żeby pokazać światu, jak prowadzi się wojnę. Nasza klęska jest jeszcze bardziej widowiskowa i jak dotąd nie widać jej końca. Ilu jeszcze Pete'ów Mooneyów będzie musiało umrzeć, zanim rząd pozostawi Wietnam własnemu losowi? Do ilu jeszcze krajów wyślemy nasze wojska, żeby walczyć z komunizmem? Co, do diabła, robimy w Wietnamie?

My grzebiemy młodych żołnierzy, a prowadzący tę wojnę politycy zastanawiają się, czy by się

stamtąd nie wycofać.

Wiedziałem, że dostanę po łapach za przekleństwa, ale co mnie to obchodziło?

Musiałem użyć mocnych słów, żeby otworzyć oczy ślepcom z naszego hrabstwa. Lecz nim zalała nas fala listów i telefonów, zawarłem nową przyjaźń.

Gdy w czwartek po południu wróciłem do redakcji z lunchu u panny Callie (gulasz cielecy przy kominku w salonie), czekał na mnie Bubba Crocket. Miał długie włosy, był w dżinsach, wojskowych butach i flanelowej koszuli, i przedstawivszy się, podziękował mi za artykuł. Chciał się z czegoś zwierzyć, a ponieważ byłem wypchany jak bożonarodzeniowy indyk, położyłem nogi na biurku i długo go słuchałem.

Urodził się w Clanton i w 1966 roku skończył tu szkołę. Jego ojciec miał szkółkę trzy kilometry za miastem; rodzice byli projektantami terenów zielonych. Kartę powołania dostał

w 1967 roku i od tamtej chwili myślał wyłącznie o wyjeździe i walce z komunizmem. Jego oddział wylądował w południowej części Wietnamu tuż przed rozpoczęciem ofensywy Tet.

Wystarczyły dwa dni i stracił trzech najbliższych przyjaciół.

Potworności, jakich tam doświadczył, nie dawały się opisać, chociaż jak dla mnie, mówił aż za plastycznie. Krzyk płonących żywcem ludzi, potykanie się o części ciała, znoszenie zabitych z pola walki, godziny bez snu i jedzenia, brak amunicji, widok podpełzających nocą nieprzyjaciół. W ciągu pierwszych pięciu dni jego batalion stracił stu ludzi.

- Po tygodniu wiedziałem już, że zginę - mówił z wilgotnymi oczami. - I wtedy stałem się dobrym żołnierzem. Inaczej bym nie przeżył.

Dwa razy był ranny, ale lekko, więc opatrzone go w szpitalu polowym. Z takimi ranami nie wracało się do domu. Mówił o sfrustrowaniu wojną, której rząd nie pozwalał im wygrać.

- Byliśmy lepszymi żołnierzami. Mieliśmy dużo lepszy sprzęt. Nasi dowódcy byli świetni, ale ci głupcy z Waszyngtonu nie pozwalali im walczyć.

Znał Mooneyów i błagał Pete'a, żeby nie jechał. Pogrzeb obserwował z daleka, przeklinając wszystkich, których stamtąd widział, i wielu, których nie widział.

- Dasz wiarę, że tutejsi idioci wciąż tę wojnę popierają? Zginęło ponad pięćdziesiąt tysięcy chłopaków, wycofujemy się z Wietnamu, a oni kłócą się z tobą na ulicy, że to była wojna o wielką sprawę.

- Z tobą się nie kłócą - odparłem.

- nie, ze mną nie. Paru dałem w mordę. Grasz w pokera?

W pokera nie grałem, ale słyszałem wiele barwnych opowieści o rozgrywanych w Clanton

partyjkach. Szybko pomyślałem, że może być ciekawie.

- Trochę - odrzekłem, zamierzając kupić książkę z zasadami gry albo poprosić Baggy'ego, żeby mnie nauczył.

- Gramy w czwartki wieczorem, w szopie u moich starych. Kilku chłopaków, którzy tam walczyli. Może ci się spodoba.

- Dzisiaj też gracie?

- Tak, koło ósmej. Niskie stawki, browar, trochę trawki i wojenne opowieści. Kumple chcą cię poznać.

- Dobra, przyjdę - zdecydowałem, zastanawiając się, gdzie jest Baggy.

Późnym popołudniem znalazłem pod drzwiami cztery listy, wszystkie plujące na mnie jadem za to, że oplułem jadem Wietnam. Pan E.L. Green, weteran dwóch wojen i wieloletni subskrybent „Timesa”, uważał, że sprawy mogą wkrótce przybrać inny obrót, i między innymi napisał tak:

*Jeżeli nie powstrzymamy komunizmu, ta zaraza przeniknie do wszystkich zakątków świata. Pewnego dnia trafi na próg naszego domu, a nasze dzieci i wnuki spytają nas, dlaczego nie mieliśmy odwagi jej powstrzymać, zanim się rozprzestrzeniła.*

Brat pana Herberta Gillenwatera zginął w Korei.

*To, że zginął, jest tragedią, którą przeżywam po dziś dzień. Ale brat był żołnierzem, bohaterem, dumnym Amerykaninem i jego śmierć pomogła powstrzymać Koreańczyków z północy i ich sojuszników, czerwonych z Chin i Rosji. Jeśli będziemy bali się walczyć, tamci pokonają nas i podbiją.*

Pan Felix Toliver z Shady Grove sugerował, że może za długo mieszkałem na Północy, gdzie ludzie boją się broni. Napisał, że w wojsku zawsze przeważali młodzi, dzielni chłopcy z Południa i że jeśli w to nie wierzę, powinienem to gdzieś sprawdzić. Wśród poległych w Korei i Wietnamie zdecydowanie dominowali południowcy. Zakończył dość elokwentnie:

*Za wolność zapłaciliśmy straszliwą cenę, cenę życia niezliczonych żołnierzy. Ale co by było, gdybyśmy bali się walczyć? Władzę wciąż dźrzyłby Hitler i Japończycy. Prawie cały cywilizowany świat leżałby w gruzach. A oni odizolowaliby nasi w końcu zniszczyli.*

Zamierzałem opublikować absolutnie wszystkie listy, chociaż miałem nadzieję, że znajdę wśród nich chociaż parę popierających mój wstępniak. Krytyka wcale mi nie przeszkadzała. Uważałem, że mam rację. Miałem też coraz grubszą skórę, a to najcenniejszy atrybut każdego wydawcy.

Po szybkim kursie u Baggy'ego przegrałem sto dolarów z Bubbą i jego kumplami.

Zaprosili mnie na kolejną partyjkę.

Siedzieliśmy przy stole w piątkę i wszyscy mieliśmy po dwadzieścia kilka lat. Trzech z nich walczyło w Wietnamie: Bubba, Darrell Radke, którego rodzice nabijali butle propanem, i Cedric Young, Murzyn ciężko ranny w nogę. Piątym graczem był David, starszy brat Bubby, którego nie wzięli do wojska ze względu na oczy. Przyszedł tam - moim zdaniem

- tylko po to, żeby wypalić kilka skrętów.

Dużo mówiliśmy o narkotykach. Przed wstąpieniem do wojska żaden z nich nie słyszał o trawce ani o niczym takim. Na myśl, że w latach sześćdziesiątych ktoś mógłby tu ćpać, wybuchli śmiechem. W Wietnamie ćpali prawie wszyscy. Palili trawkę, kiedy się nudzili i kiedy tęsknili za domem, palili ją, żeby uspokoić nerwy podczas walki. W szpitalach polowych faszerowano rannych najsilniejszymi środkami przeciwbólowymi, jakie były wtedy dostępne, i po dwutygodniowym pobycie Cedric uzależnił się od morfiny.

Bardzo prosili, żebym opowiedział im coś o college'u, ale byłem tylko amatorem wśród zawodowców. Nie przypuszczam, żeby przesadzali. Nic dziwnego, że przegraliśmy tę wojnę: wszyscy żołnierze byli ostro nawaleni.

Wyrazili wielki podziw dla mojego artykułu i wielkie rozgoryczenie, że ich tam wysłano. Każdy z nich nosił jakieś blizny. Cedric bliznę fizyczną. Bubba i Darrell bliznę palącego gniewu, ledwo powstrzymanej wściekłości i żądy przyłożenia komuś na oślep.

Tylko komu?

Pod koniec gry zaczęli przerzucać się koszmarnymi wspomnieniami z pola walki.

Słyszałem, że wielu żołnierzy nie chce rozmawiać o doświadczeniach wojennych. Ale im to nie przeszkadzało. Traktowali to jak terapię.

Grali w pokera prawie w każdy czwartek i bardzo mnie zapraszali. Wyszedłem o północy, a oni wciąż pili, wciąż palili trawkę i wciąż gadali o Wietnamie. Miałem dość wojny jak na jeden dzień.

## **ROZDZIAŁ 29**

Całą stronę kolejnego numeru poświęciłem wywołanej przeze mnie kontrowersji.

Zamieściłem na niej listy do redakcji, w sumie siedemnaście, z których jedynie dwa popierały

- choć nie do końca - moje antywojenne nastawienie. Nazywano mnie w nich komunistą, liberałem, zdrajcą, obcym z Północy i - to było najgorsze - tchórzem, bo nigdy nie nosiłem munduru. Każdy list był dumnie podpisany; anonimów w tym tygodniu nie dostałem. Ludzie ci uważali się za gorących patriotów i chcieli, żeby całe hrabstwo o tym wiedziało.

Miałem to gdzieś. Poruszyłem gniazdo os i miasto nareszcie zaczęło mówić o wojnie.

Większość dyskusji była stronicza, ale wzbudziłem przynajmniej silne emocje.

Odpowiedź na listy była zdumiewająca. Na ratunek pospieszyła mi grupa uczniów z ogólniaka z grubym plikiem odręcznych listów. Ostro występowali przeciwko wojnie, nie zamierzali w niej uczestniczyć i co więcej, uznali, że to dziwne, iż autorami większości listów z poprzedniego tygodnia są ludzie za starzy, żeby nosić broń. „To nasza krew, nie wasza” - to zdanie podobało mi się najbardziej.

Wielu uczniów skupiło się na jednym lub paru listach z gazety i zrobiło z nich jatkę.

Becky Jenkins uraziło stwierdzenie Roberta Earla Huffa: „...Ameryka wyrosła na krwi naszych żołnierzy. Zawsze będziemy prowadzić wojny”.

Odpowiedziała na to tak: „Będziemy prowadzić wojny dopóty, dopóki chciwi ignoranci będą narzucać swoją wolę innym”.

Kirk Wallace zaprotestował przeciwko wyczerpującej charakterystyce mojej skromnej osoby, którą pani Mattie Louise Ferguson zawarła w swoim liście. W ostatnim akapicie napisał tak: „To smutne, ale pani Ferguson nie rozpoznałaby komunisty, liberała, zdrajcy i obcego z Północy, nawet gdyby stanęła z nimi twarzą w twarz. Życie w Possum Ridge skutecznie chroni ją przed takimi ludźmi”.

Tydzień później znowu poświęciłem całą stronę na listy do redakcji, tym razem na korespondencję od uczniów. Nadeszły również trzy spóźnione listy od podżegaczy wojennych, więc wydrukowałem i te. W odpowiedzi nadeszła kolejna fala listów i wszystkie zamieściłem w następnym numerze.

Prowadziliśmy tę korespondencyjną wojnę aż do Bożego Narodzenia, kiedy to nagle wszyscy podpisali zawieszenie broni i zajęli się świętami.

Max Hocutt zmarł w Nowy Rok 1972. Wczesnym rankiem tego dnia do okna mojego mieszkania zapukała Gilma i w końcu zdołała wyciągnąć mnie z łóżka. Spałem niecałe pięć godzin, chociaż potrzebowałem całego dnia twardego snu. Może nawet dwóch.

Poszedłem do starego domu - pierwszy raz od wielu miesięcy - i zaszokowało mnie, że jest w tak złym stanie. Ale mieliśmy na głowie pilniejsze sprawy. Koło schodów we frontowym holu czekała na nas Wilma. Zakrzywionym palcem wskazała na górę i powiedziała:

- Jest tam. Pierwsze drzwi na prawo. Już u niego byliśmy.

Schody raz dziennie - nigdy nie przekraczały limitu. Prawie doganiały Maksa, bo obydwie dobijały osiemdziesiątki.

Leżał na wielkim łożu, pod naciągniętym aż po szyję brudnym prześcieradłem. Jego skóra była koloru prześcieradła. Przez chwilę stałem obok, żeby upewnić się, czy naprawdę nie oddycha. Nigdy dotąd nie musiałem stwierdzać czyjegoś zgonu, ale ten przypadek należał

do łatwych: Max wyglądał tak, jakby nie żył co najmniej od miesiąca.

Zszedłem na dół, do Wilmy i Gilmy, które wciąż stały u stóp schodów. Patrzyły na mnie z nadzieją, że przynoszę inną diagnozę.

- Boję się, że jednak nie żyje - powiedziałem.

- Tak, wiemy - odrzekła Gilma.

- Niech pan powie, co teraz robić - poprosiła Wilma.

O procedurę postępowania ze zwłokami pytano mnie pierwszy raz w życiu, ale kolejny krok wydawał się oczywisty.

- Może powinniśmy zadzwonić do pana Magargela z domu pogrzebowego?

- A nie mówiłam? - rzuciła Wilma do Gilmy.

Ani drgnęły, więc zadzwoniłem sam.

- Jest Nowy Rok - powiedział; było oczywiste, że go obudziłem.

- Co nie zmienia faktu, że on nie żyje - odparłem.

- Na pewno?

- Na pewno. Przed chwilą go widziałem.

- Gdzie leży?

- W łóżku. Odszedł bardzo spokojnie.

- Ci starzy potrafią mocno spać.

Odwróciłem się, żeby siostry nie słyszały, jak sprzecząmy się o to, czy ich brat na pewno umarł.

- On nie śpi. On nie żyje.

- Będę za godzinę.

- Mam coś zrobić? - spytałem.

- Na przykład co?

- nie wiem. Może zawiadomić policję?

- Ktoś go zamordował?

- nie.

- To po co policja?

- Przepraszam, że spytałem.



Zaprosiły mnie do kuchni na filiżankę rozpuszczalnej kawy. Na ladzie stało pudełko płatków Cream of Wheat, a obok duża miska płatków z mlekiem, już wymieszanych i gotowych do jedzenia. Wilma albo Gilma przygotowała pewnie śniadanie dla brata i gdy nie zszedł, poszły do niego na górę.

Kawa nadawała się do picia dopiero po dodaniu dużej ilości cukru. Siostry usiadły po drugiej stronie wąskiego blatu, obserwując mnie ciekawie. Miały zaczerwienione oczy, ale nie płakały.

- nie możemy tu zostać - powiedziała Wilma z nieodwołalnością, która przychodzi po wieloletnich dyskusjach.

- Chcemy, żeby kupił pan ten dom - wyjaśniła Gilma. Jedna zaczynała zdanie, druga je kończyła i zaczynała następne.

- Sprzedamy go panu...

- Za sto tysięcy dolarów.

- Weźmiemy pieniądze... - I wyjedziemy na Florydę.

- Na Florydę? - powtórzyłem.

- Mamy tam kuzynkę...

- Mieszka w osiedlu dla emerytów.

- To urocze miejsce i...

- Dobrze się tam nami zaopiekują.

- I Melberta mieszka niedaleko.

Melberta? Myślałem, że jest gdzieś w domu, że przemyka ukradkiem przez mroczne pokoje. Okazało się jednak, że nie, że przed kilkoma miesiącami umieściły ją „w domu”.

„Dom” był gdzieś pod Tampa I właśnie tam chciały spędzić resztę swoich dni. Tego domu, ukochanego domu rodzinnego, nie dałyby rady utrzymać. Chorowały na biodra, kolana i oczy. Schodami chodziły tylko raz dziennie - „mają dwadzieścia cztery stopnie” -

poinformowała mnie Gilma - i bardzo się bały, że spadną i się zabiją. Nie miały pieniędzy na ich zabezpieczenie, a tego, co miały, nie chciały marnować na gosposię, na tych, co koszą trawę, no i teraz na kierowcę.

- I chcemy, żeby pan kupił naszego mercedesa...

- Bo my nie umiemy prowadzić.

- Zawsze woził nas Max...

Co jakiś czas, ot tak dla zabawy, zerkałem na licznik jego wozu. Rocznie robił średnio niecałe tysiąc sześćset kilometrów. W przeciwieństwie do domu, samochód był jak z fabryki.

Dom miał sześć sypialni, trzy piętra, piwnicę, cztery czy pięć łazienek, salon i jadalnię, bibliotekę, kuchnię, kilka zapadających się okazałych werand i strych wypchany -

byłem tego pewien - rodzinnymi skarbami, które ukryto tam przed wiekami. Kilka miesięcy zajęłoby samo uprzątnięcie wszystkich pomieszczeń, nie wspominając już o remoncie. Jak na taki dom, sto tysięcy dolarów było ceną dość niską, ale nawet gdybym jakimś cudem zgarnął

pieniądze ze sprzedaży wszystkich gazet w naszym stanie, i tak nie starczyłoby mi na odnowienie i przebudowę tego molocha.

Poza tym, co z tymi wszystkimi zwierzakami? Koty, ptaki, króliki, wiewiórki, złote rybki - Wilma i Gilma miały tu prawdziwe zoo.

Owszem, szukałem domu, ale szczerze mówiąc, pięćdziesięciodolarowy czynsz tak mnie zepsuł i rozpuścił, że trudno mi było się stamtąd wyprowadzić. Miałem dwadzieścia cztery lata, byłem kawalerem i świetnie się bawiłem, patrząc, jak rośnie mi konto. Miałbym zaryzykować, kupić ten worek bez dna i zostać bankrutem? Po co?

Kupiłem go dwa dni po pogrzebie Maksa.

Pewnego zimnego, wilgotnego dnia w lutym zajechałem przed dom Ruffinów w Lowtown. Esau czekał na tarasie.

- Handluje pan samochodami? - spytał, patrząc na ulicę.

- nie, ciągle jeżdżę tym małym - odrzekłem. - To wóz Hocuttów.

- Myślałem, że jest czarny. - Po naszym hrabstwie jeździło niewiele mercedesów i rzucały się w oczy.

- Położyłem nowy lakier. - Był ciemnobrazowy. Musiałem zamalować noże, którymi Max ozdobił drzwiczki, i będąc w warsztacie, postanowiłem przemalować wóz na zupełnie inny kolor.

Rozeszła się plotka, że ich okantowałem, tymczasem kupiłem go po cenie giełdowej: dokładnie dziewięć i pół tysiąca dolarów. Umowa kupna została zatwierdzona przez sędziego Reubena V. Atlee, wieloletniego przewodniczącego sądu słuszności hrabstwa Ford. Atlee zatwierdził również umowę kupna domu za sto tysięcy dolarów i ta pozornie mała kwota wyglądała znacznie lepiej po dwóch oficjalnych inspekcjach przeprowadzonych przez dwóch sądowych rzeczoznawców, z których jeden wycenił posiadłość na siedemdziesiąt pięć, a drugi na osiemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Któryś z nich zapisał w protokole, że odnowienie domu „pochłonie duże i trudne do przewidzenia środki”.

Harry Rex kazał mi uważnie ten dopisek przeczytać.

Esau był markotny i nie odzyskał humoru, gdy weszliśmy do środka. Cały dom jak zwykle dusił się w sosie czegoś pysznego, co panna Callie piekła w duchówce. Tego dnia siedział tam królik.

Objąłem ją na dzień dobry i od razu wyczułem, że stało się coś niedobrego. Esau pokazał mi jakąś kopertę.

- Bilet. Dla Sama. - Rzucił kopertę na stół i wyszedł z kuchni.

Podczas lunchu rozmawialiśmy niewiele. Oboje byli przygaszeni i bardzo dezorientowani. Esau uważał - choć raz po raz zmieniał zdanie - że Sam powinien respektować wszystkie zobowiązania wobec kraju. Panna Callie już raz go straciła. Myśl, że mogłaby go stracić po raz drugi, była nie do zniesienia.

Wieczorem zadzwoniłem do Sama i przekazałem mu złą nowinę. Pojechał na kilka dni do Toledo, do Maksa. Przegadaliśmy godzinę i przez całą godzinę nieugięcie twierdziłem, że nie ma żadnego interesu w wyjeździe do Wietnamu. Na szczęście Max podzielał moją opinię.

Przez cały następny tydzień wisiałem na telefonie, rozmawiając z Samem, Bobbym, Alem, Leonem, Maksem i Mariem, wymieniając się poglądami na temat tego, co Sam powinien zrobić. Zarówno on, jak i jego bracia uważali, że wojna w Wietnamie jest niesprawiedliwa, ale Mario i Al mocno stali na stanowisku, że nie powinno łamać się prawa.

Byłem zdecydowanie największym zwolennikiem rozwiązań pokojowych, podczas gdy Bobby i Leon stali gdzieś pośrodku. Sam codziennie zmieniał zdanie - jak chorągiewka na wietrze. Dyskusja była rozzierająca, ale w miarę upływu czasu rozmawiał ze mną coraz dłużej. Na pewno bardzo wpłynął na to fakt, że już od dwóch lat uciekał.

Po dwóch tygodniach zastanawiania się przeszedł do podziemia, zniknął i wypłynął w Ontario. Zadzwonił do mnie na mój koszt i prosił, bym przekazał rodzicom, że u niego wszystko dobrze. Nazajutrz wczesnym rankiem pojechałem do Lowtown i powiedziałem Esauowi i pannie Callie, że ich najmłodszy syn właśnie podjął najmądrzejszą decyzję w życiu.

Kanada była dla nich krajem leżącym milion kilometrów stąd. Powiedziałem im, że leży znacznie bliżej niż Wietnam.

## **ROZDZIAŁ 30**

Drugim wykonawcą, którego wynająłem do kapitalnego remontu i przebudowy domu Hocuttów, był niejaki Lester Klump z Shady Grove. Baggy, który oczywiście doskonale wiedział, jak remontuje się domy, bardzo go polecał. Polecał go również Stan Atcavage z banku i Stana posłuchałem, bo pożyczyłem od niego sto tysięcy dolarów na hipotekę.

Pierwszy wykonawca w ogóle się nie pokazał, a gdy odczekawszy trzy dni, zadzwoniłem do niego ponownie, okazało się, że ma odcięty telefon. Zły znak.

Klump i jego syn Lester junior łazili po domu przez trzy dni. Rozmach projektu ich przeraził i

wiedzieli, że czeka ich koszmar, zwłaszcza że mi się spieszyło. Byli powolni i metodyczni - nawet mówili wolniej niż większość mieszkańców hrabstwa Ford - i szybko zrozumiałem, że robią wszystko na drugim biegu. Sytuacji nie polepszyło pewnie i to, że powiedziałem im, iż mieszkam w bardzo wygodnym mieszkaniu na terenie posesji, czyli nie będę bezdomny, jeśli się nie pośpieszą.

Mieli reputację majstrów trzeźwych i dotrzymujących terminu. To stawiało ich zdecydowanie na pierwszym miejscu w światku budowlańców.

Po kilku dniach drapania się w głowę i kopania żwiru na podjeździe przyjęliśmy plan, według którego mieli wystawiać mi co tydzień rachunek za wykonawstwo i materiały wraz z dziesięcioprocentowym dodatkiem na „koszty ogólne”, czyli chyba na zysk. Nakłonienie Harry'ego Rekxa do spisania umowy, która by to ujęła, kosztowało mnie tydzień przeklinania.

Przy pierwszym podejściu odmówił i obrzucił mnie stekiem barwnych wyzwisk.

Klumpowie mieli zacząć od gruntownego sprzątnięcia i wyburzania, żeby następnie wziąć się do dachu i werandy. Potem mieliśmy usiąść i zaplanować kolejny etap prac. W

kwietniu 1972 roku rozpoczął się remont.

Codziennie przyjeżdżał co najmniej jeden Klump z ekipą. Przez pierwszy miesiąc tępil szkodniki oraz florę i faunę, która gnieździła się tam od dziesięcioleci.

Kilka godzin po uroczystości wręczenia świadectw policjant stanowy zatrzymał

samochód pełen maturzystów. Samochód był również pełen piwa i policjant, nowicjusz świeżo po szkole, gdzie uczulali ich na tego rodzaju rzeczy, zwęszył coś dziwnego. Do hrabstwa Ford trafiły w końcu narkotyki.

W samochodzie znaleziono marihuanę. Całą szóstkę absolwentów oskarżono o posiadanie narkotyków i o wszystkie możliwe przestępstwa, o jakie tylko można ich było oskarżyć. Miasto doznało szoku - jak to możliwe, żeby do ich małej, niewinnej społeczności przeniknęły narkotyki? Jak można to powstrzymać? Napisałem o tym w gazecie, ale powściągliwie, uznawszy, że nie ma sensu dobijać sześcioro dzieciaków, którzy popełnili błąd. Zacytowałem słowa szeryfa Mereditha, który oświadczył, że jego biuro podejmie zdecydowane kroki, by „wyplenić tę zarazę” z naszej społeczności. „To nie Kalifornia” -

dodał.

Co u nas typowe, wszyscy mieszkańcy Clanton natychmiast zaczęli wypatrywać dealerów, chociaż żaden z nich nie wiedział, jak taki dealer może wyglądać.

Ponieważ policjanci byli w stanie najwyższego pogotowia i nic nie sprawiłoby im większej radości jak kolejny, uwieńczony sukcesem nalot na ćpunów, czwartkowego pokera przeniesiono w inne, bardziej zakamuflowane miejsce. Bubba Crockett i Darrell Radke mieszkali w rozpadającej się chacie z niegrającym w pokera weteranem wojennym Olliem Hindsem. Nazywali tę chatę lisią dziurą. Stała ukryta w gęsto zalesionym jarze, na końcu drogi, której nikt nie znalazłby nawet za dnia.

Ollie Hinds cierpiał na wszystkie możliwe urazy wojenne i pewnie na kilka przedwojennych. Pochodził z Minnesoty, walczył w Wietnamie z Bubą i przeżył koszmar.

Ranny, poparzony i wzięty na krótko do niewoli, zdołał uciec i w końcu odesłano go do domu, bo wojskowy świrołap stwierdził, że nie obejdzie się bez intensywnej terapii psychiatrycznej. Gdy zobaczyłem go pierwszy raz, był bez koszuli, cały w bliznach i tatuażach i miał szkliste oczy; wkrótce się przekonałem, że to jego normalny stan.

Cieszyłem się, że nie gra w pokera. Dwa złe rozdania i mógłby sięgnąć po pistolet maszynowy, żeby wyrównać rachunki.

Zatrzymanie absolwentów ogólniaka i reakcja mieszkańców miasta była źródłem humoru i drwin. Ludzie zachowywali się tak, jakby przed tą szóstką nikt tu nigdy nie ćpał, a ponieważ przyłapano akurat ich, hrabstwu groził głęboki kryzys. Myśleli, że jak zachowają czujność i wypowiedzą kilka ostrych, stanowczych słów, plaga ucieknie stąd do innego stanu.

Nixon kazał zaminować port w Hajfongu i wściekle bombardował Hanoi. Podniosłem ten temat, chcąc sprawdzić, jak zareagują, ale tego wieczoru okazywali małe zainteresowanie wojną Darrell słyszał, że jakiś czarny poborowy z Clanton dał nogę do Kanady. Zbyłem to milczeniem.

- Mądry chłopak - rzucił Bubba. - Mądry chłopak.

Szybko wrócili do tematu narkotyków. W pewnym momencie Bubba spojrział z podziwem na swego skręta i wymruczał:

- Kurczę, supertowar, gładki i mocny. Na pewno nie od Padgittów.

- Z Memphis - odrzekł Darrell. - Meksykańska trawka.

Ponieważ nie wiedziałem nic na temat zaopatrzenia i miejscowej dystrybucji, przez kilka minut przysłuchiwałem się uważnie rozmowie, a gdy wątek się urwał, powiedziałem:

- Myślałem, że trawka Padgittów jest niezła.

- Powinni trzymać się bimbru - mruknął Bubba.

- Jest niezła, kiedy nie ma nic lepszego - wyjaśnił Darrell. - Kilka lat temu mieli tam prawdziwą kopalnię złota, bo zaczęli ją uprawiać na długo przed innymi. Teraz mają konkurencję.

- Słyszałem, że powoli się wycofują, wracają do bimbru i handlu kradzionymi wozami

- powiedział Bubba.

- Dlaczego? - spytałem.

- Bo coraz więcej gliniarzy zajmuje się teraz prochami. Stanowi, federalni, miejscowi, jest ich od

cholery. Mają śmigłowce, agentów. To nie Meksyk, gdzie nikogo nie obchodzi, co tam sobie uprawiasz.

Gdzieś niedaleko padła seria strzałów. Żaden z nich nawet nie drgnął.

- Co to? - spytałem.

- Ollie - odrzekł Darrell. - Poluje na oposy. Wkłada noktowizor, bierze M - I6 i wali.

Nazywa to polowaniem na żółtka.

Na szczęście przegrałem trzy razy z rzędu i był to doskonały moment, żeby się pożegnać.

Z wielkim opóźnieniem Sąd Najwyższy stanu Missisipi zatwierdził wreszcie wyrok Danny'ego Padgitta. Cztery miesiące wcześniej, większością głosów sześć do trzech, utrzymał

w mocy wyrok dożywocia. Lucien Wilbanks złożył apelację i jego wniosek został przyjęty.

Harry Rex uważał, że będą kłopoty.

Sąd Najwyższy zebrał się ponownie i niemal dwa lata po procesie w Clanton ostatecznie rozstrzygnął sprawę. Pięciu sędziów głosowało za utrzymaniem wyroku, czterech przeciw.

Ta różnica zdań była wodą na młyn Wilbanksa, który krzykliwie dowodził, że Ernie Gaddis miał za dużo swobody w maltretowaniu Danny'ego Padgitta w krzyżowym ogniu pytań. Dzięki pytaniom o obecność dzieci zamordowanej w sypialni, o to, czy widziały gwałt, mógł skutecznie przedstawić przysięgłym zafałszowane fakty, których w żaden sposób nie można uznać za dopuszczalne dowody.

Harry Rex, który czytał wszystkie komunikaty i na bieżąco śledził postępowanie apelacyjne, bał się, że Wilbanks ma w ręku mocny argument. Gdyby uznało go pięciu sędziów, sprawę odesłano by z powrotem do Clanton i czekałby nas drugi proces. Z jednej strony proces taki byłby żyłą złotą dla gazety. Z drugiej nie chciałem, żeby Padgittowie przy leźli tu z tej swojej wyspy i zaczęli rozrabiać.

Koniec końców tylko czterech sędziów głosowało za powtórzeniem procesu i sprawa została ostatecznie zamknięta. Zamieściłem tę dobrą wiadomość na pierwszej stronie

„Timesa” z nadzieją, że już nigdy więcej nie usłyszę o Danny'ym Padgicie.

### **CZEŚĆ III**

#### **ROZDZIAŁ 31**

Pięć lat i dwa miesiące od chwili, gdy Lester Klump senior i Lester Klump junior postawili nogę w domu Hocuttow, remont dobiegł końca. Dobiegła też końca moja gehenna i rezultaty były wspaniałe.

Pogodziwszy się, z ospałym tempem prac i nastawiwszy się na wieloletnią mordęgę, robiłem wszystko, co mogłem, żeby sprzedawać jak najwięcej ogłoszeń. W ostatnim roku przedsięwzięcia

dwa razy podjąłem niemądrą próbę zamieszkania w domu i egzystowania w rumowisku. Nie przeszkadzał mi pył, smród farby, zawałone rupieciami korytarze, instalacja elektryczna, która raz działała, raz nie, brak ciepłej wody, ogrzewania i klimatyzacji, ale za nic nie mogłem przywyknąć do porannych odgłosów piłowania i walenia młotkiem.

Klumpowie nie należeli do rannych ptaszków - dowiedziałem się, że wśród budowlańców to rzadkość - ale dzień w dzień zaczynali najpóźniej o wpół do dziewiątej. Naprawdę lubiłem sypiać do dziesiątej. Tak więc nie wypaliło i po każdej próbie zamieszkania w dużym domu uciekałem na drugą stronę wyżwirowanego podjazdu i wracałem z powrotem nad garaż, gdzie było trochę ciszej.

W ciągu tych pięciu lat tylko raz nie zapłaciłem Klumpom w terminie. Nie chciałem pożyczać pieniędzy na remont, chociaż Stan Atcavage gotów był je wyłożyć. W każdy piątek po pracy zasiadaliśmy z Lesterem seniorem - zwykle przy prowizorycznym stole z płyt pilśniowych w holu - i przy zimnym piwie podsumowywaliśmy tygodniowe wydatki na robociznę i materiały. Potem dodawałem umówione dziesięć procent i wypisywałem czek.

Wszystkie rachunki wkładałem do specjalnej teczki i przez dwa lata na bieżąco prowadziłem zestawienie całkowitych kosztów remontu. Potem przestałem. Nie chciałem wiedzieć, ile pakuję w to pieniędzy.

Tak więc byłem splukany, ale miałem to gdzieś. Worek bez dna nareszcie miał dno.

Balansowałem na krawędzi niewypłacalności, zdołałem jej uniknąć i mogłem teraz znowu tłuc kasę.

No i za cenę czasu, olbrzymiego wysiłku i środków mogłem pochwalić się czymś naprawdę okazałym. Doktor Miles Hocutt zbudował ten dom mniej więcej w 1900 roku. Jak na klasyczny przykład architektury wiktoriańskiej przystało, od frontu miał dwa wysokie, uwieńczone szczytem dachy, trzypiętrową wieżyczkę i dwie szerokie werandy po bokach.

Hocuttowie pomalowali go na niebiesko, po latach na żółto, a pod trzema warstwami farby Klump senior znalazł nawet fragment jaskrawoczerwony. Postanowiłem nie ryzykować i pozostać przy bieli i beżu z jasnobrązowymi wykończeniami. Dach był miedziany. Z

zewnątrz dom wyglądał zwyczajnie, jak każda wiktoriańska rezydencja, ale miałem wiele lat, żeby go jakoś ożywić.

Sosnowym podłogom na wszystkich piętrach przywrócono pierwotne piękno.

Wyburzono ściany, pootwierano na przestrzał wszystkie pokoje i korytarze. Zmusiłem Klumpów do wyburzenia całej kuchni i zbudowania jej od nowa, od piwnicy w górę.

Kominek w salonie zapadł się od ciągłego walenia młotami pneumatycznymi. Z biblioteki zrobiłem gabinet i wyburzyłem kilka kolejnych ścian, tak żeby wchodząc do frontowego przedpokoju, za gabinetem można było zobaczyć kuchnię. Wszędzie pododawałem okna; w pierwotnym stanie dom przypominał ciemną grootę.

Klump przyznał, że nigdy dotąd nie pił szampana, ale gdy usiedliśmy na werandzie, żeby skromnie

uczcić zakończenie remontu, chętnie wychylił kielicha. Wręczyłem mu ostatni czek - miałem nadzieję, że kolejnych już nie będzie - uścisnęliśmy sobie ręce i kiedy Wiley Meek pstryknął nam zdjęcie, wystrzelił korek.

Wiele pokoi było kompletnie nagich; zdawałem sobie sprawę, że ich urządzenie potrwa lata i że wymaga to wiedzy oraz gustu o wiele lepszego niż mój. Chociaż na wpół

pusty, dom robił jednak olbrzymie wrażenie. Musiałem wydać przyjęcie! Parapetówkę!

Pożyczyłem od Stana dwa tysiące dolarów, zamówiłem w Memphis wino i szampana.

Znalazłem w Tupelo odpowiednią firmę obsługującą imprezy (ta w Clanton, jedyna w mieście, specjalizowała się w żeberkach i w sumie, a ja chciałem czegoś z klasą).

Oficjalna lista zaproszeń liczyła trzysta pozycji i obejmowała wszystkich, których tu znałem, i kilku, których nie znałem. Lista nieoficjalna obejmowała wszystkich tych, którzy słyszeli, jak mówię: „Kiedy skończę remont, wydam wielkie przyjęcie”. Zaprosiłem BeeBee i jej trzy przyjaciółki z Memphis. Zaprosiłem ojca, ale za bardzo martwiła go inflacja i rynek papierów wartościowych. Zaprosiłem pannę Callie, Esaua, wielebnego Thurstona Smalla, Claude'a, trzech sekretarzy sądowych, dwóch nauczycieli, pomocnika trenera drużyny koszykarskiej, kasjera z banku i najmłodszego stażem adwokata w mieście. Dawało to w sumie dwunastu czarnych i zaprosiłbym ich więcej, gdybym tylko znał. Postanowiłem wydać pierwsze w pełni zintegrowane przyjęcie w Clanton.

Harry Rex przyniósł bimber i wielki półmisek pieczonych flaczków, które omal nie doprowadziły do zerwania imprezy. Bubba Crockett i chłopcy z lisiej nory przyszli nawaleni i gotowi do zabawy. Pan Mitlo jako jedyny wystąpił w smokingu. Wpadł Tłok; widziano, jak wychodził potem kuchennymi drzwiami z torbą dość drogiego żarcia. Woody Gates i jego Country Boys grali godzinami na werandzie. Przyszli Klumpowie z całą ekipą budowlaną; była to dla nich wielka chwila i zrobiłem wszystko, żeby zebrali jak najwięcej pochwał.

Lucien Wilbanks się spóźnił, ale przyszedł i niebawem wdał się w zacieklą dyskusję polityczną z senatorem Mortonem, którego żona, Rex Ella, powiedziała mi potem, że od dwudziestu lat nie była w Clanton na tak wspaniałym przyjęciu. Nasz nowy szeryf Tryce McNatt wpadł z kilkoma umundurowanymi funkcjonariuszami. (T.R. Meredith zmarł rok wcześniej na raka jelita grubego). Jeden z moich ulubionych sędziów, Reuben V. Atlee, brylował w gabinecie, racząc zebranych barwnymi opowieściami o doktorze Milesie Hocutcie. Wielebny Millard Stark z Pierwszego Kościoła Baptistów został tylko dziesięć minut i po cichu wyszedł, zobaczywszy, że serwuje się u mnie alkohol. Widziano, jak wielebny Congrove z Pierwszego Kościoła Prezbiteriańskiego pił szampana, w którym wyraźnie zagustował. Baggy urznął się w pień i padł na pierwszym piętrze, gdzie znalazłem go dopiero nazajutrz po południu. Stukesowie, bliźniacy, właściciele sklepu żelaznego, przyszli w nowiuteńkich, twarzowych kombinezonach. Mieli siedemdziesiąt lat, mieszkali razem, nigdy się nie ożenili i codziennie nosili identyczne kombinezony. Strojów wieczorowych nie wymagałem. W zaproszeniu stało: „Stroje dowolne”.

Na trawniku rozbiłem dwa wielkie białe namioty i od czasu do czasu wylewał się spod nich tłum.



Impreza rozpoczęła się o pierwszej po południu w sobotę i gdyby nie zabrakło wina i żarcia, pewnie ciągnęłaby się do północy albo i dłużej. O dziesiątej Woody Gates i jego orkiestra padli ze zmęczenia, a oprócz kilku ciepłych piw i kilku paczek chipsów nie zostało nic do picia ani do jedzenia. Nie było też nic do oglądania, bo cały dom został

dokładnie obejrzany i wychwalony.

Późnym rankiem w niedzielę zrobiłem jajecznicę dla BeeBee i jej przyjaciółek. Potem usiedliśmy na werandzie i pijąc kawę, podziwialiśmy bałagan sprzed ledwie kilku godzin.

Sprzątałem przez cały tydzień.

W ciągu tych wszystkich lat, które spędziłem w Clanton, nasłuchiwałem się koszmarnych opowieści o więzieniu stanowym w Parchman. Mieściło się na rozległej równinie delty Missisipi, w najżyźniejszym rejonie stanu, dwie godziny jazdy na zachód od Clanton. Warunki życia były tam straszne: zatłoczone baraki, w których więźniowie dusili się latem i marzli zimą, obrzydliwe jedzenie, prawie całkowity brak opieki lekarskiej, system niewolniczy, brutalny seks. Przymusowa praca fizyczna, sadystyczni strażnicy - lista nie miała końca.

Ileć razy myślałem o Danny'ego Padgitta, a myślałem o nim często, zawsze pocieszała mnie świadomość, że siedzi w Parchman i ma to, na co zasłużył. Powinien się cieszyć, że nie przywiązali go do krzesła w komorze gazowej.

Okazało się, że byłem w błędzie.

Żeby zmniejszyć panujące w Parchman zatłoczenie, pod koniec lat sześćdziesiątych zbudowano dwa więzienia satelickie, obozy, jak je nazywano. Były przeznaczone dla tysiąca spokojniejszych więźniów, których chciano umieścić w bardziej cywilizowanych warunkach, Miano ich tam szkolić i wysyłać nawet do pracy do miasta. Jeden z tych obozów mieścił się pod Broomfield, trzy godziny jazdy na południe od Clanton.

Sędzia Loopus zmarł w 1972 roku. Podczas procesu Danny'ego Padgitta jego stenotypistką była skromna, bezpretensjonalna Darla Clabo. Stenografowała dla Loopusa przez kilka lat, a po jego śmierci wyprowadziła się z miasta. Gdy pewnego późnego popołudnia latem 1977 roku weszła do redakcji, od razu wiedziałem, że skądś ją znam.

Przedstawiła się i natychmiast ją sobie skojarzyłem. Przez pięć dni procesu siedziała przed stołem sędziowskim, tuż obok stołu z dowodami rzeczowymi, i zapisywała każde słowo, jakie padło w sali. Teraz mieszkała w Alabamie i jechała aż pięć godzin, żeby mi coś powiedzieć. Ale najpierw kazała mi przysiąc, że dochoвам tajemnicy.

Pochodziła z Broomfield. Przed dwoma tygodniami odwiedziła tam matkę i w porze lunchu zobaczyła na ulicy znajomą twarz: Danny'ego Padgitta na spacerze z kolegą. Tak się wystraszyła, że potknęła się o krawężnik i omal nie upadła na jezdnię.

Tamci weszli do restauracji. Widziała ich przez okno, ale postanowiła nie wchodzić.

Padgitt mógł ją rozpoznać, chociaż nie bardzo wiedziała, dlaczego to ją przerażało.

Towarzyszający mu mężczyzna był w mundurze, który widywano w Broomfield dość często: granatowe spodnie i biała koszula z krótkimi rękawami i kieszonką, na której małutkimi literami wyhaftowano napis: „Zakład penitencjarny w Broomfield”. Mężczyzna był w czarnych kowbojskich butach i nie miał przy sobie ani pistoletu, ani rewolweru, ani nic.

Otóż strażnicy pilnujący więźniów pracujących w mieście mieli prawo do noszenia broni.

Trudno było wyobrazić sobie białego mieszkańca Missisipi, który dobrowolnie by z tego prawa zrezygnował, ale podejrzewała, że może Padgitt nie chciał, żeby jego osobisty strażnik nosił broń.

Danny był w białych drelachach i białej koszuli, możliwe, że więziennej. Zjedli długi lunch i wyglądało na to, że są bardzo zaprzyjaźnieni. Obserwowała ich z samochodu, jak wychodzili z restauracji, a potem dyskretnie ich śledziła. Przeszli niespiesznie kilka ulic i Padgitt zniknął w gmachu, w którym mieściła się filia stanowego departamentu budowy dróg.

Strażnik wsiadł do służbowego samochodu i odjechał.

Nazajutrz poszła tam jej matka pod pretekstem złożenia skargi na zły stan jezdni na jej ulicy. Niegrzecznie poinformowano ją, że skargi złożyć nie może, że nie ma takiej procedury.

Wybuchła sprzeczka i właśnie wtedy matka zauważyła młodego mężczyznę, którego opisała jej Darla. Trzymał w ręku deskę z klipsem i wyglądał na jeszcze jednego bezużytecznego urzędnika.

Matka Darli miała przyjaciela, którego syn pracował w obozie. Przyjaciel potwierdził, że Danny'ego Padgitta przeniesiono do Broomfield w 1974 roku.

Skończywszy opowiadać, spytała:

- Napisze pan o tym?

Kręciło mi się w głowie, ale oczami wyobraźni już widziałem artykuł.

- Na pewno to sprawdzę - odrzekłem. - Zależy, co znajdę.

- Niech pan napisze. To nie w porządku.

- Niewiarygodna historia.

- Ten śmieć powinien siedzieć w celi śmierci.

- To prawda.

- Stenografowałam osiem procesów o morderstwo, ale tego nie mogę zapomnieć.

- Ani ja.

Jeszcze raz kazała mi przysiąc, że nie powiem, skąd o tym wiem, i zostawiła mi swój adres. Prosiła, bym przysłał jej gazetę, jeśli napiszemy coś o Padgicie.

Nazajutrz o szóstej rano bez trudu wyskoczyłem z łóżka. Jechaliśmy z Wileym do Broomfield. Ponieważ w każdym małym mieście w Missisipi spitfire i mercedes rzucałyby się w oczy, postanowiliśmy wziąć jego pikapa. Do leżącego pięć kilometrów za miastem obozu trafiliśmy jak po sznurku. Potem znaleźliśmy filię stanowego departamentu budowy dróg i w południe zajęliśmy pozycję na głównej ulicy. Ponieważ istniało bardzo duże prawdopodobieństwo, że Padgitt nas rozpozna, czekało nas nie lada zadanie: musieliśmy ukryć się na ruchliwej ulicy w obcym mieście w taki sposób, żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń. Wiley przywarował w pikapie z odbezpieczonym i gotowym do strzału aparatem fotograficznym. Ja ukryłem się za gazetą na ławce.

Ale tego dnia Padgitt się nie pokazał. Wróciliśmy do Clanton i nazajutrz wczesnym rankiem znowu wyruszyliśmy w drogę. O wpół do dwunastej przed siedzibą departamentu budowy dróg zatrzymał się więzienny samochód. Strażnik wszedł do środka, odebrał więźnia i poszedł z nim na lunch.

Na pierwszej stronie „Timesa” z siedemnastego lipca 1977 roku widniały cztery duże zdjęcia: roześmianego Danny'ego Padgitta i więziennego strażnika na chodniku w Broomfield, Padgitta i strażnika wchodzących do restauracji City Grill, zdjęcie siedziby departamentu budowy dróg i jednej z bram obozu. Nagłówek krzyczał: PADGITT

**PRZENIESIONY Z WIĘZIENIA DO OBOZU.** Artykuł zaczynał się tak: Cztery lata po brutalnym gwałcie i zamordowaniu Rhody Kassellaw skazany na karę dożywocia Danny Padgitt został przeniesiony z więzienia stanowego w Parchman do nowego, satelickiego obozu w Broomfield. Spędził tam trzy lata i cieszy się teraz wszystkimi przywilejami dobrze ustosunkowanego więźnia. Pracuje w stanowym departamencie budowy dróg, ma osobistego strażnika i jada długie lunche (cheeseburgery i koktajle mleczne) w miejscowej restauracji, której goście nigdy nie słyszeli ani o nim, ani o jego zbrodniach.

Artykuł był zjadliwy i maksymalnie tendencyjny. Postraszyłem kelnerkę z City Grill i powiedziała mi, że Padgitt właśnie zjadł cheeseburgera z frytkami, że przychodzi do nich trzy razy w tygodniu i że to on zawsze płaci. Wykonałem kilkanaście telefonów do departamentu budowy dróg i wreszcie znalazłem kierownika, który wiedział coś o Padgicie. Wiedział, ale nie chciał odpowiadać na pytania, więc zrobiłem z niego kryminalistę. Spenetrowanie obozu okazało się równie frustrujące. W artykule zamieściłem wszyściutkie szczegóły, sugerując, że urzędnicy kryją zbrodniarza. W Parchman nikt o niczym nie wiedział, a jeśli wiedział, nie chciał o tym gadać. Dzwoniłem do komisarza drogowego (stanowisko wybieralne), do naczelnika więzienia (naczelników na szczęście mianowano), do prokuratora generalnego, do wicegubernatora, wreszcie do samego gubernatora. Oczywiście wszyscy byli zajęci, więc pogawędziłem trochę z ich przydupasami i zrobiłem z nich kretynów.

Senator Theo Morton był wstrząśnięty. Obiecał natychmiast się tym zająć i oddzwonić. Czekałem, ale nie oddzwonił.

Mieszkańcy Clanton zareagowali różnie. Wielu z tych, którzy do mnie dzwonili lub zagadywali mnie na ulicy, wyrażało złość i chciało coś z tym zrobić. Szczerze wierzyli, że gdy Padgitta skazano na

dożycie i wyprowadzono w kajdankach z sali, wyprowadzono go na dobre, po to, żeby resztę życia spędził w piekle Parchman. Inni robili wrażenie obojętnych i chcieli jak najszybciej o nim zapomnieć. Pagitt był dla nich tylko historią.

Jeszcze inni wcale nie byli tym zaskoczeni i okazywali to w sposób cyniczny i frustrujący. Twierdzili, że Padgittowie po raz kolejny machnęli czarodziejską różdżką, znaleźli właściwą kieszeń, pociągnęli za właściwe sznurki. W obozie tym był Harry Rex.

- Co się tak dziwisz, chłopcze? - mówił. - Oni kupowali już gubernatorów.

Zdjęcie wolnego jak ptaszek Danny'ego, spacerującego po ulicy, bardzo wystraszyło pannę Callie.

- Dzisiaj ani trochę nie spała - mruknął Esau, gdy w czwartek przyjechałem na lunch. -

Lepiej by było, gdyby pan go nie znalazł.

Na szczęście historię tę podchwyciły gazety z Memphis i Jackson. Sprawa zaczęła żyć własnym życiem. Dziennikarze rozdmuchali ją do tego stopnia, że musieli włączyć się w to politycy. I się włączyli. Gubernator, prokurator generalny i senator Morton stanęli na czele krucjaty przeciwko Pagittowi.

Dwa tygodnie po tym, jak opublikowałem mój artykuł, Danny został „przeniesiony z powrotem” do stanowego zakładu karnego w Parchman.

Nazajutrz odebrałem dwa telefony, jeden w redakcji, drugi w domu; ten drugi oczywiście mnie obudził. Dwa różne głosy, ta sama wiadomość. Byłem już trupem.

Zawiadomiłem FBI w Oksfordzie i odwiedziło mnie dwóch agentów. Dałem cynk reporterowi z Memphis i wkrótce całe miasto wiedziało, że mi grożono i że FBI prowadzi w tej sprawie śledztwo. Przez cały miesiąc przed redakcją stał policyjny radiowóz wysłany tam przez szeryfa McNatta. Inny radiowóz stał przez całą noc na moim podjeździe. Po siedmioletniej przerwie znowu zacząłem nosić rewolwer.

## **ROZDZIAŁ 32**

nie doszło do rozlewu krwi, przynajmniej nie od razu. O pogrózkach nie zapomniałem, ale z biegiem czasu stary się mniej złowieszcze. Wciąż nosiłem broń - była zawsze w zasięgu ręki - ale przestałem się nią interesować. Trudno mi było uwierzyć, że Padgittowie chcieliby stawić czoło gwałtownemu sprzeciwowi, który by wybuchł, gdyby zamordowali wydawcę miejscowej gazety. Nawet jeśli nie podbiłem całego miasta - wzorem ukochanej przez wszystkich panny Callie - wrzawa i poruszenie byłoby zbyt wielkie, żeby chcieli ryzykować.

Odizolowali się od nas jeszcze bardziej. Po klęsce Mackeya Dona Coleya w 1971 roku po raz kolejny udowodnili, że zmiana taktyki przychodzi im bez najmniejszego trudu. Danny dość już nazwracał na nich uwagę i rozpaczliwie chcieli uniknąć tego w przyszłości. Jeszcze głębiej okopali się na wyspie. Jeszcze bardziej wzmocnili ochronę, myśląc, że szeryf T.R.

Meredith albo jego następcy, Tryce McNatt, będą ich tam ścigać. Uprawiali marihuanę, pędzili bimber i szmuglowali to wszystko samolotami, łodziami, pikapami i wielkimi ciężarówkami z tarcicą.

Wyczuwając, że interes z marihuaną może stać się wkrótce zbyt ryzykowny, z typową dla siebie przebiegłością zaczęli pompować pieniądze w interesy zupełnie legalne. Kupili firmę specjalizującą się w budowie dróg i już niebawem, jako wiarygodni przedsiębiorcy, zaczęli stawać do rządowych przetargów. Kupili fabrykę asfaltu, cementownię oraz kilka żwirowni w północnej części stanu. Budownictwo drogowe było w Missisipi bardzo skorumpowane, a oni doskonale znali zasady tej gry.

Obserwowałem ich poczynania najdokładniej, jak umiałem. Było to, zanim w życie weszła ustawa o swobodnym dostępie do informacji i o jawności zgromadzeń. Znałem nazwy kilku spółek, które kupili, ale było ich za dużo, żebym mógł się w tym wszystkim połapać.

Nie było tematu, nie mogłem nic napisać, bo działali niby legalnie.

Czekałem, chociaż nie bardzo wiedziałem na co. Wiedziałem za to, że pewnego dnia Danny Padgitt tu wróci, a kiedy wróci, pewnie zniknie na swojej wyspie i już nigdy go nie zobaczymy. Ale mógł też wcale nie zniknąć.

Niewielu mieszkańców Clanton nie chodziło do kościoła. Ci, którzy chodzili, doskonale wiedzieli, którzy nie chodzą, i często ich zapraszali: „Pomódl się z nami”.

Pożegnanie: „Do zobaczenia w niedzielę” było niemal tak powszechne jak: „Odwiedź nas w kościele”.

Przez pierwsze dwa lata nie mogłem się od tych zaproszeń opędzić. Gdy rozeszła się wieść, że właściciel i wydawca „Timesa” nie chodzi do kościoła, stałem się najsłynniejszym heretykiem w mieście. Postanowiłem coś z tym zrobić.

Margaret redagowała co tydzień naszą stronę religijną, czyli dość długą listę kościołów ułożoną według wyznań. Zamieszczaliśmy również nieliczne ogłoszenia co zamożniejszych parafii. Zawiadomienia o spotkaniach religijnych, zjazdach, zrzutkowych posiłkach i o wielu innych imprezach.

Na podstawie tej strony, i na podstawie książki telefonicznej, sporządziłem listę wszystkich kościołów w hrabstwie Ford. W sumie naliczyłem ich osiemdziesiąt osiem, lecz cel był trudno uchwytny, ponieważ kościoły te często dzieliły się na frakcje, rozpadały i znikaly, żeby po jakimś czasie wypłynąć w zupełnie innym miejscu. Moim celem było odwiedzenie każdego z nich, a więc coś, czego nikt dotąd na pewno nie dokonał, wyczyn, dzięki któremu stałbym się klasą samą dla siebie nawet wśród najwierniejszych.

Wyznania były bardzo różnorodne i dość zaskakujące - jak protestanci, którzy twierdzili, że w zasadzie wyznają te same doktryny, mogli się tak bardzo podzielić? Zgadza się co do tego, że: (1) Jezus był jedynym synem Bożym; (2) narodził się z dziewicy; (3) wiódł

wzorowe życie; (4) prześladowany przez Żydów, został zatrzymany i ukrzyżowany przez Rzymian; (5) trzeciego dnia zmartwychwstał i wstąpił do niebios; (6) niektórzy wierzyli też -

choć w różnych stopniu - że aby tam trafić, trzeba naśladować go w chrzcie i wierze.

Sama doktryna była w sumie prosta, lecz diabeł tkwił w szczegółach.

nie było u nas ani katolików, ani zwolenników episkopalizmu, ani mormonów.

Zdecydowanie przeważali baptyści, choć podzieleni na przeróżne frakcje i odłamy. Na drugim miejscu byli zielonoświątkowcy i najwyraźniej kłócili się między sobą tak samo, jak baptyści.

Moją epicką przygodę rozpocząłem w 1974 roku. Na pierwszy ogień poszli ewangeliści z Golgoty, awanturniczy odłamek zielonoświątkowców, którzy zbierali się w kościele przy żwirowce trzy kilometry za miastem. Zgodnie z tym, co wyczytałem, nabożeństwo rozpoczęło się o wpół do jedenastej, a ja wypatrzyłem dla siebie miejsce w ostatniej ławce, jak najdalej od centrum wydarzeń. Powitano mnie bardzo ciepło i rozeszła się wieść, że w ich progi zawitał gość, który ma uczciwe zamiary. Nikogo tam nie znałem.

Kaznodzieja, Bob, był w białym garniturze, granatowej koszuli, białym krawacie, a całą głowę miał obwiniętą czarnymi włosami, szczelnie przyklejonymi do podstawy czaszki.

Ludzie zaczęli wrzeszczeć już podczas ogłoszeń i zapowiedzi. Machali rękami i krzyczeli podczas występu solistki. Gdy godzinę później rozpoczęło się wreszcie kazanie, miałem ochotę wyjść. Trwało pięćdziesiąt pięć minut, kompletnie mnie wyczerpało i skołowało.

Ludzie tupali nogami tak mocno, że chwilami trząsał się cały budynek. Gdy w któregoś z nich wstępował duch, dopingowali go tak głośno, że brzęczały szyby w oknach. Kaznodzieja Bob

„nałożył ręce” na trzech cierpiących na różne choroby i ci oznajmili, że ich uleczył. W pewnej chwili wstał jeden z diakonów i dał oszałamiający pokaz przemawiania w języku, jakiego nigdy dotąd nie słyszałem. Zacisnął pięści, mocno zamknął oczy i z jego ust popłynął

równomierny potok słów. Nie udawał, to nie była sztuczka. Po kilku chwilach jedna z chórzystek zaczęła przekładać to na angielski. Okazało się, że diakon ma wizję, że przemawia przez niego sam Bóg. Byli wśród nas ludzie obarczeni niewybaczalnym grzechem!

- Żałujcie! - wrzasnęła kaznodzieja i pochyliliśmy głowy.

Czyżby diakon mówił o mnie? Rozejrzałem się ukradkiem i zobaczyłem, że drzwi są zamknięte i pilnuje ich dwóch kolejnych diakonów.

W końcu zabrakło im pary i dwie godziny później czym prędzej stamtąd zviałem.

Musiałem się napić.

Napisałem krótkie, miłe sprawozdanie i zamieściłem je na stronie religijnej.

Wspomniałem o cieplej atmosferze, o pieśni w uroczym wykonaniu panny Helen Hatcher, o przejmującym kazaniu Boba i tak dalej.

nie muszę dodawać, że sprawozdanie cieszyło się dużą popularnością.

Co najmniej dwa razy w miesiącu chodziłem do kościoła panny Callie. Siadałem z nią i Esauem i przez dwie godziny i dwanaście minut słuchałem kazania wielbnego Thurstona Smalla (za każdym razem mierzyłem mu czas). Najkrótsze wygłosił pastor Phil Bish ze Zjednoczonego Kościoła Metodystów w Karaway - trwało siedemnaście minut. Kościół ten dostał również nagrodę za najzimniejszą świątynię w okolicy. Zepsuł im się piec, był styczeń i możliwe, że właśnie to skróciło kazanie. Poszedłem z Margaret do Pierwszego Kościoła Baptystów w Clanton i wysłuchałem dorocznego kazania wielbnego Millarda Starka na temat grzechu opilstwa. Fatalnie trafiłem: tego ranka miałem kaca, a on cały czas patrzył na mnie.

Na zapleczu porzuconej stacji serwisowej w Beech Hill znalazłem Świątynię Plonów i wraz z sześcioma wiernymi wysłuchałem kazania proroka Petera, zwiastuna Sądu Ostatecznego, który z obłędem w oku wrzeszczał na nas prawie przez godzinę. Tego tygodnia moje sprawozdanie było bardzo krótkie.

W Kościele Chrystusowym w Clanton nie było żadnych instrumentów muzycznych.

Potem wyjaśniono mi, że zakaz ich używania wypływa z Pisma Świętego. Za to wysłuchałem tam pięknej partii solowej, o której napisałem dużo i pochlebnie. W nabożeństwie brakowało emocji. Zdecydowanie. Choćby takich, jakich doświadczyłem w Kaplicy Góry Pisgah w Lowtown, gdzie wokół pulpitu stały bębny, gitary, rogi i wzmacniacze. Na rozgrzewkę przed kazaniem zespół dał pełny koncert, taki ze śpiewem i tańcami. Panna Callie mówiła, że to

„gorszy kościół”.

Numerem sześćdziesiątym czwartym na mojej liście był Niezależny Kościół z Calico Ridge w północno - wschodniej części hrabstwa. Według archiwów „Timesa” w 1965 roku podczas niedzielnego późnowieczornego nabożeństwa w kościele tym grzechotnik dwa razy ukąsił niejakiego Randy'ego Bovee. Pan Bovee przeżył, a grzechotniki poszły na jakiś czas w odstawkę. Jednakże legenda wciąż żyła i w miarę wzrostu popularności naszej religijnej strony kilkakrotnie pytano mnie, czy naprawdę chcę tam pójść.

- Zamierzam odwiedzić wszystkie kościoły - odpowiadałem.

- Oni nie lubią gości - ostrzegał mnie Baggy.

W każdym kościele - czarnym czy białym, dużym czy małym, w mieście czy na wsi -

witano mnie tak ciepło, że nie wyobrażałem sobie, żeby chrześcijanie z Calico Ridge mogli być dla mnie niegrzeczni.

I nie byli, chociaż nie ucieszyli się za bardzo na mój widok. Chciałem zobaczyć te grzechotniki, ale z bezpiecznego miejsca, z ławki w ostatnim rzędzie. Pojechałem tam w niedzielę późnym wieczorem,

ponieważ według legendy, za dnia „węży nie poskramiali”.

Przejrzałem Biblię, chcąc zrozumieć, skąd to zastrzeżenie, lecz na próżno.

Węży nie było. Były za to konwulsje i drgawki przed pulpitem, gdy kaznodzieja wrzasnął: „A teraz wystąpcie, by jęczeć i stękać w grzechu!” Rytmicznie brzdęknęły elektryczne gitary, chór zaczął coś skandować i monotonie nucić, i nabożeństwo zmieniło się w upiorny, plemienny obrzęd. Chciałem czym prędzej wyjść, zwłaszcza że nie było tam żadnych węży.

Pod koniec nabożeństwa mignął mi człowiek, którego skądś znałem. Bardzo się zmienił, gdyż był teraz szczupły, blady i wymizerowany, z czołem przesłoniętym siwiejącymi włosami. Nie mogłem sobie skojarzyć, ale wiedziałem, że na pewno skądś go znam. Siedział

w drugim rzędzie od przodu, po drugiej stronie przejścia, i zdawało się, że nie dostrzega panującego w kościele chaosu. Chwilami jakby się modlił, a gdy wszyscy wstawali, on wciąż siedział. Ci, którzy siedzieli wokół niego, akceptowali go i ignorowali zarazem.

W pewnej chwili odwrócił głowę i spojrzał prosto na mnie. To był Hank Hooten, adwokat, który w 1971 roku chciał wystrzelać pół miasta! W kaftanie bezpieczeństwa trafił

do stanowego szpitala dla umysłowo chorych, a kilka lat później rozeszła się plotka, że został wypisany. Ale nikt go od tamtej pory nie widział.

Próbowałem go wytropić przez dwa dni. Telefony do szpitala zaprowadziły mnie donikąd. Hank miał brata w Shady Grove, ale brat nie chciał ze mną rozmawiać. Powąszyłem trochę w Calico Ridge, ale, co dla nich typowe, nikt nie chciał zamienić ani słowa z obcym takim jak ja.

## **ROZDZIAŁ 33**

Wielu z tych, którzy modlili się żarliwie w niedzielę rano, w niedzielę wieczorem jakby traciło wiarę. Podczas moich kościelnych wypraw kaznodzieje często strofowali wiernych, każąc im wrócić za kilka godzin i dopełnić obrządku Dnia Pańskiego. Nigdy nie liczyłem głów, ale zwykle wracała mniej więcej połowa. Uczestniczyłem też w paru nabożeństwach wieczornych - z nadzieją na barwny rytuał poskramiania węży czy uzdrawianie chorych - i raz w „kościelnym konklawe”, które miało postawić przed sądem i skazać zbłąkanego brata za to, że pożył żony innego brata. Moja obecność musiała nimi wstrząsnąć, bo zbłąkany brat został ulaskawiony.

Zwykle jednak studia religioznawczo - porównawcze prowadziłem wyłącznie za dnia.

W niedzielę wieczorem w Clanton odprawiano wiele innych rytuałów. Harry Rex pomógł Meksykaninowi Pepe wynająć dom i otworzyć restaurację na ulicy za rynkiem. W

latach siedemdziesiątych Pepe miał się całkiem nieźle, pewnie dlatego, że serwował smaczne, choć niezwykle ostre posiłki. Nie potrafił zrezygnować z pieprzu i papryki bez względu na to, jak bardzo paliły gardło jadających u niego gringo.



W niedzielę w hrabstwie Ford obowiązywała prohibicja. Alkoholu nie można było sprzedawać ani podawać w restauracjach. Pepe miał salę na zapleczu, takąż długim stołem i zamykanymi na klucz drzwiami; pozwalał Harry'emu Reksowi i jego gościom jeść tam i pić, co tylko chcieli. Szczególnie smakowały nam jego margarity. Jadaliśmy tam wiele wymyślnych i ostrych posiłków, a wszystkie zapijaliśmy margaritami. Zwykle przychodziło nas dwunastu, samych młodych mężczyzn, w tym mniej więcej połowa od niedawna żonatych. Harry Rex zagroził nam śmiercią, jeśli powiemy komuś o tej sali.

Raz zrobiła na nas nalot miejscowa policja i nagle okazało się, że Pepe nie mówi ani słowa po angielsku. Drzwi były zamknięte i częściowo ukryte. Pepe zgasił światło i przez dwadzieścia minut czekaliśmy po ciemku, wciąż pijąc i słuchając, jak gliniarze próbują się z nim dogadać. Nie wiem, czym się tak denerwowaliśmy. Nasz sędzia, Harold Finkley, siedział

na końcu stołu, żłopiąc czwartą albo piątą margaritę.

Niedzielne wieczory u Pepe były często długie i burzliwe, a potem żaden z nas nie mógł oczywiście prowadzić. Szedłem wtedy do redakcji i kładłem się na sofie. Właśnie odsypiałem tequilę, gdy tuż po północy zadzwonił telefon. Chciał ze mną pogadać reporter z dużego dziennika w Memphis.

- Jedziesz jutro na przesłuchanie w sprawie zwolnienia warunkowego? - spytał.

Jutro? Byłem tak otumaniony toksycznymi oparami tequili, że nie wiedziałem nawet, jaki to dzień.

- Jutro? - wymamrotałem.

- Poniedziałek, osiemnastego września - powiedział powoli i wyraźnie.

Względnie pewien byłem tylko jednego - że mamy rok 1978.

- Czyjego zwolnienia? - spytałem, rozpaczliwie próbując się obudzić i zebrać choć dwie myśli.

- Danny'ego Padgitta. Nic nie wiesz?

- A skąd, cholera!

- O dziesiątej w Parchman.

- Żartujesz!

- nie. Właśnie się dowiedziałem. Widać tego nie rozgłaszają.

Siedziałem po ciemku, przeklinając zacofanie stanu, który prowadził tak ważne sprawy w tak debilny sposób. Zwolnienie warunkowe dla Danny'ego Padgitta? Jak mogli w ogóle o czymś takim pomyśleć? Od śmierci Rhody Kassellaw i od jego skazania minęło osiem lat. Dostał karę podwójnego dożywocia, a każde dożywocie oznaczało co najmniej dziesięć lat paki. Wszyscy zakładaliśmy, że odsiedzi minimum dwadzieścia lat.

O trzeciej nad ranem wróciłem do domu, spałem niespokojnie dwie godziny, a potem obudziłem Harry'ego Reksa, który wciąż nie nadawał się do życia. Wziąłem kanapki z kiełbaskami, mocną kawę i o siódmej spotkaliśmy się w jego kancelarii. W paskudnym, kłótlwym nastroju przekopywaliśmy się przez jego księgi prawnicze, klnąc i przeklinając, ale nie siebie nawzajem, tylko niejasny i zupełnie nieporadny system zwolnień warunkowych, przyjęty przez naszą władzę ustawodawczą przed trzydziestu laty. Wytyczne były bardzo mgliście zdefiniowane, dzięki czemu politycy oraz mianowani przez nich urzędnicy mogli dowolnie lawirować między przepisami.

Większość praworządnych obywateli nie ma z tym systemem żadnej styczności, więc legislatora stanowa uznała, że jego ewentualna modyfikacja nie jest zadaniem priorytetowym.

A ponieważ wśród więźniów stanowych przeważali biedacy i czarni, którzy nie umieli odpowiednio go wykorzystać, łatwo było przygwoździć ich surowym wyrokiem i w nieskończoność trzymać pod kluczem. Ale dla więźnia ustosunkowanego i nadzianego system był cudownym labiryntem sprzecznych ze sobą praw, które umożliwiały komisji do spraw zwolnień warunkowych wydawanie korzystnych orzeczeń.

Gdzieś między systemem sądowym, systemem karnym i systemem zwolnień warunkowych dwie konsekwentne kary dożywotniego więzienia Danny'ego Padgitta zmieniono na dwie kary symultaniczne, równoległe. Harry Rex wyjaśnił mi, że Padgitt odsiadywa je w tym samym czasie, jednocześnie.

- Jak to? - spytałem.

- Robi się tak, kiedy na oskarżonym ciąży kilka zarzutów. Gdyby dostał

konsekwentną, spędziłby w więzieniu osiemdziesiąt lat. Ponieważ sprawiedliwy wyrok to dycha, dają mu karę równoległą.

Znowu pokręciłem głową, co jeszcze bardziej go zirytowało.

Szeryf Tryce McNatt wreszcie odebrał telefon. Był tak samo skacowany jak my, chociaż podobno nigdy nie pił. Nic nie wiedział o przesłuchaniu. Spytałem go, czy się tam wybiera, ale cały dzień miał wypełniony ważnymi spotkaniami.

Zadzwońiłbym do sędziego Loopusa, ale Loopus nie żył już od sześciu lat. Ernie Gaddis przeszedł na emeryturę i łowił ryby w Smoky Mountains. Jego następca, Rufus Buckley, mieszkał w hrabstwie Tyler i miał zastrzeżony numer.

O ósmej wskoczyłem do samochodu z kanapką i kubkiem zimnej kawy.

Godzinę jazdy na zachód teren gwałtownie się spłaszczył i zaczynała się delta Missisipi. Ziemia była tam bardzo żyzna, a warunki życia podłe, lecz nie miałem nastroju ani na oglądanie widoków, ani na przemyślenia społeczne. Byłem zbyt zdenerwowany tym, co mnie zaraz czekało: wtargnięciem na tajne posiedzenie w sprawie zwolnienia warunkowego Danny'ego Padgitta.

No i tym, że miałem zstąpić do piekieł, czyli wkroczyć do legendarnego, budzącego grozę Parchman.

Dwie godziny później zobaczyłem ogrodzenie, a wkrótce potem drut kolczasty. I drogowskaz przed skrzyżowaniem do głównej bramy. Strażnikowi w budce powiedziałem, że jestem reporterem i przyjechałem na przesłuchanie w sprawie zwolnienia warunkowego.

- Prosto i w lewo za drugim pawilonem - odrzekł usłużnie, zapisując moje nazwisko.

Przy drodze stał kompleks budynków i rząd białych domków, które pasowałyby do każdej ulicy Klonowej w Missisipi. Stałem przed pawilonem administracyjnym A i wbiegłem do środka, szukając sekretarza. Okazało się, że sekretarz to kobieta, i gdy ją wreszcie znalazłem, odesłała mnie do sąsiedniego budynku, na pierwsze piętro. Dochodziła dziesiąta.

Przed salą na końcu korytarza krążyli bez celu jacyś ludzie, więzienny strażnik, policjant stanowy i facet w wymiętym garniturze.

- Ja na przesłuchanie w sprawie zwolnienia warunkowego - oznajmiłem.

- To tam. - Strażnik wskazał mi drzwi. Jak na nieustraszonego reportera przystało, bez pukania przekręciłem klamkę i wparowałem do środka. Przesłuchanie właśnie się zaczynało i oczywiście nikt się tam mnie nie spodziewał.

Pięciu członków komisji siedziało przy stole na małym podwyższeniu; przed każdym z nich stała tabliczka z nazwiskiem. Stół pod ścianą okupowali Padgittowie: Danny, jego ojciec, matka, wuj i Lucien Wilbanks. Przy stole naprzeciwko siedzieli przeróżni urzędnicy i funkcjonariusze, przedstawiciele komisji i więzienia.

Gdy wpadłem do środka, spojrzeli na mnie jak jeden mąż. Spotkałem się wzrokiem z Dannyem i przez jedną krótką chwilę zdołaliśmy przekazać sobie całą pogardę, jaką żywiliśmy do siebie nawzajem.

- Pan w jakiej sprawie? - warknął zza stołu gruby, fatalnie ubrany oldboj. Nazywał się Barret Ray Jeter i był przewodniczącym komisji. Podobnie jak jego czterech kolegów, gubernator mianował go na to stanowisko w nagrodę za uczynne zbieranie głosów.

- Na przesłuchanie w sprawie Danny'ego Padgitta - odparłem.

- On jest reporterem! - Wilbanks to wykrzyczał. Przez chwilę bałem się, że zaraz mnie aresztują i wrzucą do jakiegoś lochu, gdzie spędzę resztę życia.

- Gdzie pan pracuje? - warknął Jeter.

- W „Ford County Timesie” - odrzekłem.

- Pańskie nazwisko?

- Willie Traynor. - Łypałem spode łba na Wilbanka, Wilbanks łypał spode łba na mnie.

- To jest zamknięte przesłuchanie - wyjaśnił Jeter. Prawo nie precyzowało, czy tego rodzaju

posiedzenia są jawne, czy nie, więc zwykle je utajniano.

- Kto ma prawo w nim uczestniczyć? - spytałem.

- Członkowie komisji, osadzony, jego rodzina, świadkowie, adwokat i świadkowie strony przeciwnej. - „Świadkowie strony przeciwnej”, czyli rodzina ofiary, co w tym otoczeniu zabrzmiało jak „ci źli”.

- A szeryf naszego hrabstwa? - dążyłem.

- Szeryf też.

- Nasz szeryf nie został powiadomiony. Rozmawiałem z nim trzy godziny temu.

Dokładniej mówiąc, dowiedziałem się o tym przesłuchaniu dziś o dwunastej w nocy, jako pierwszy i chyba jedyny mieszkaniec naszego hrabstwa.

Członkowie komisji długo drapali się w głowę. Padgittowie zbili się w gromadkę wokół Wilbanka.

Drogą eliminacji szybko wydedukowałem, że jeśli chcę obejrzeć to przedstawienie, muszę zostać świadkiem.

- Cóż - powiedziałem jak najgłośniej i najwyraźniej - skoro nie ma tu przedstawiciela hrabstwa Ford, będę uczestniczył w posiedzeniu jako świadek.

- nie może pan być reporterem i świadkiem - odparł Jeter.

- Czy kodeks naszego stanu tego zabrania? - spytałem, wymachując księgą od Harry'ego Reksa. - Gdzie? W którym miejscu?

Jeter spojrział niepewnie na młodego mężczyznę w ciemnym garniturze.

- Jestem prawnikiem komisji - powiedział ten grzecznie. - Może pan zeznawać, ale nie wolno panu o tym pisać.

Zamierzałem wysmarować sążnisty, szczegółowy artykuł, a potem ukryć się za Pierwszą Poprawką.

- Dobra - odrzekłem. - To wy stanowicie prawo. - W niecałą minutę została nakreślona granica: ja stałem po jednej stronie, wszyscy pozostali po drugiej.

- Zaczynamy - rzucił Jeter i dołączyłem do garstki widzów.

Prawnik rozdał członkom komisji raport, po czym szybko omówił części składowe wyroku Padgitta, starannie unikając określeń, takich jak „kara konsekwentna” i „kara równoległa”. Ponieważ przez cały okres pobytu w zakładzie karnym osadzony zachowywał

się „wzorowo”, został zakwalifikowany jako więzień „rokujący nadzieję”, co było mglistym

terminem ukutym nie przez stanową legislaturę, tylko przez tych od systemu zwolnień warunkowych. Odjąwszy od wyroku czas, jaki już odsiedział, uznali, że ma prawo ubiegać się o przedterminowe zwolnienie.

Prowadząca jego sprawę długo omawiała łączące ich stosunki. Zakończyła niczym nieuzasadnioną opinią, że Danny Padgitt, jest całkowicie skruszony”, „całkowicie zrehabilitowany”, że „nie stwarza żadnego zagrożenia dla społeczeństwa”, a nawet ma szansę

„stać się w pełni produktywnym obywatelem”.

Ile to wszystko kosztowało? nie mogłem się powstrzymać i cały czas o tym myślałem.

Ile? I jak długo Padgittowie szukali odpowiedniej kieszeni?

Potem wystąpił Wilbanks. Ponieważ pod nieobecność szeryfa McNatta i Erniego Gaddisa nikt nie mógł mu zaprzeczyć ani zatkać mu ust, przeinaczał fakty i wydarzenia, w szczególności podkreślając wagę zeznań Lydii Vince, która zapewniła osadzonemu

„niepodważalne” alibi. W jego wersji procesu przysięgli długo wahali się, nim uznali go za winnego. Kusiło mnie, żeby czymś w niego rzucić i zacząć wrzeszczeć. Może wtedy byłby choć trochę uczciwszy.

Miałem ochotę wstać i krzyknąć: Jak Padgitt może być skruszony, skoro jest taki niewinny?

Wilbanks utyskiwał na proces, na to, jak bardzo był niesprawiedliwy. Szlachetnie wziął na siebie winę za brak stanowczości w naleganiu na zmianę właściwości terytorialnej sądu, na przeniesienie procesu do innej części stanu, gdzie ludzie byli bezstronni i światlejsi.

Zanim się w końcu zamknął, dwóch członków komisji zdążyło przysnąć.

Po nim zeznawała pani Padgitt, opowiadając o listach, które ona i jej syn pisali do siebie przez osiem bardzo długich lat. Dzięki tym listom widziała, jak syn dojrzewa, jak umacnia się jego wiara, jak rośnie tęsknota za wolnością i chęcią niesienia pomocy innym.

To znaczy, że co? Że chciał opychać im mocniejszą trawkę? A może czystszy bimber?

Ponieważ oczekiwano łez, pani Padgitt dała im łzy. Stanowiło to część spektaklu i miało niewielki wpływ na komisję. Mało tego: obserwując ich twarze, odniosłem wrażenie, że decyzja została podjęta już dawno temu.

Jako ostatni zeznawał Danny i odwalił kawał dobrej roboty, umiejętnie balansując między nieprzyznawaniem się do zbrodni i okazywaniem skruchy.

- Uczyłem się na własnych błędach - mówił, jakby gwałt i morderstwo były drobnymi, nieszkodliwymi występkami. - I na tych błędach dorosłem.

W więzieniu wprost tryskał pozytywną energią: na ochotnika pomagał w bibliotece, śpiewał w chórze, pomagał na rodeo, organizował grupy penitencjariuszy, którzy chodzili po szkołach i odstraszaali dzieci od przestępstwa.

Dwóch członków komisji słuchało. Jeden spał. Dwóch pozostałych zapadło w przypominającą trans

medytację, która mogła być również oznaką całkowitej martwicy mózgu.

Danny nie płakał, ale zakończył swoje wystąpienie żarliwą prośbą o przedterminowe zwolnienie.

- Ilu świadków ma strona przeciwna? - spytał Jeter.

Wstałem, rozejrzałem się, nie zobaczyłem nikogo z hrabstwa Ford i odparłem:

- Chyba tylko mnie.

- Proszę, panie Traynor.

nie miałem pojęcia, co powiedzieć, nie wiedziałem też, co wolno, a czego nie wolno mówić przed takim forum. Ale na podstawie tego, co przed chwilą widziałem, doszedłem do wniosku, że mogę gadać, co chcę, że gruby Jeter na pewno przywoła mnie do porządku, jeśli wkroczę na zakazany teren.

Popatrzyłem na członków komisji i starając się nie myśleć o niebezpieczeństwach grożących mi ze strony Padgittów, nakreśliłem niezwykle plastyczny opis gwałtu i morderstwa. Wywaliłem dosłownie wszystko, co pamiętałem, kładąc szczególny nacisk na fakt, że świadkami tych zbrodni były małe dzieci ofiary.

Czekałem, kiedy Wilbanks zgłosi sprzeciw, ale w ich obozie panowała cisza. Do niedawna odmóżdzeni członkowie komisji nagle ożyli i przyglądali mi się uważnie, chłonąc makabryczne szczegóły morderstwa. Opisałem im wszystkie rany. Odmalowałem rozdzierającą serce scenę Rhody umierającej w ramionach pana Deece'a. Zacytowałem jej ostatnie słowa: „To był Danny Padgitt. To był Danny Padgitt”.

Powiedziałem też, że Wilbanks jest kłamcą, i wyszydziłem jego wersję procesu.

Ustalenie werdyktu - wyjaśniłem - zajęło przysięgłym niecałą godzinę.

I ze szczegółami, których dokładność zadziwiła nawet mnie, opowiedziałem im o żalonych zeznaniach Padgitta w sądzie: o jego kłamstwach, które miały zakamufłować inne kłamstwa, o całkowitym braku prawdomówności.

- Powinno się go skazać za krzywoprzysięstwo - dodałem. - A kiedy skończył

zeznawać, zamiast wrócić na miejsce, pogroził palcem przysięgłym i powiedział: „Skażecie mnie, a dorwę każdego z was! Wszystkich, każdego!”

Członek komisji nazwiskiem Horacy Adler drgnął, spojrzał na Padgittów i warknął:

- To prawda?

- Wszystko jest w stenogramie - odrzekłem szybko, żeby nie dać Wilbanksowi okazji do dalszych kłamstw.

Wilbanks powoli wstał.

- To prawda? - powtórzył Adler.

- Groził przysięgłym? - spytał ktoś inny.

- Mam stenogram - wypaliłem. - Chętnie wam go przyślę.

- Czy to prawda? - powtórzył po raz trzeci Adler.

- W sali było trzystu ludzi - powiedziałem, patrząc Wilbanksowi prosto w oczy wzrokiem, który mówił: nie rób tego. Nie łżyj.

- Zamknij się pan - warknął któryś z członków komisji.

- Wszystko jest w stenogramie - powtórzyłem.

- Dość tego! - krzyknął Jeter.

Wilbanks stał, próbując coś wymyślić. Wszyscy czekali.

- nie pamiętam wszystkiego, co się wtedy mówiło - odparł wreszcie, a ja prychnąłem najgłośniejszym, jak umiałem. - Możliwe, że mój klient zrobił coś takiego, ale była to niezwykle nerwowa chwila, a w ferworze walki słowa takie zawsze mogą paść. Jednakże w kontekście...

- W jakim kontekście?! - wrzasnąłem, robiąc krok w jego stronę, jakbym chciał mu przyłożyć. W tym samym momencie ruszył na mnie strażnik, więc się zatrzymałem. - W

stenogramie jest każde słowo, czarno na białym! - warknąłem gniewnie i spojrzałem na członków komisji. - Jak możecie siedzieć tu i pozwalać na takie kłamstwa? nie chcecie poznać prawdy?

- Coś jeszcze, panie Traynor? - spytał Jeter.

- Tak! Mam nadzieję, że ta komisja nie zakpi z naszego systemu i nie uwolni skazanego po ledwie ośmiu latach więzienia. Ten człowiek ma szczęście, że nie siedzi teraz w celi śmierci, gdzie jego miejsce. Mam też nadzieję, że kiedy - jeśli w ogóle - zorganizujecie kolejne przesłuchanie w sprawie zwolnienia warunkowego, zaprosicie tu kogoś z naszego hrabstwa. Może szeryfa albo prokuratora. I czy nie moglibyście powiadomić członków rodziny zamordowanej? Mają prawo tu być, żebyście widzieli ich twarze, kiedy będziecie wypuszczać na wolność tego mordercę.

Usiadłem, kipiąc gniewem. Przeszyłem wzrokiem Wilbanksa i postanowiłem usilnie nad sobą pracować, żeby nienawidzić go do końca życia, jego albo mojego, gdybym miał

umrzeć pierwszy. Jeter zarządził krótką przerwę pewnie po to, żeby przegrupować się na zapleczu i jeszcze raz przeliczyć kasę. Albo wezwać starego Padgitta, żeby zasilili któregoś z nich dodatkowym zastrzykiem gotówki. Żeby zirytować ich prawnika, zapełniłem kilkanaście stron notatkami do artykułu, którego zabronili mi napisać. Czekaliśmy pół godziny i wreszcie wrócili, każdy z gębą



winnego jakiejś machlojki. Jeter zarządził głosowanie. Dwóch głosowało za, dwóch przeciw, jeden się wstrzymał.

- Prośba o zwolnienie warunkowe tym razem zostaje odrzucona - ogłosił Jeter.

Pani Padgitt wybuchła płaczem, objęła syna i zaraz potem go wyprowadzono.

Wychodząc z sali, Wilbanks i pozostali Padgittowie przeszli bardzo blisko mnie. Nie zwracałem na nich uwagi, gapiąc się w podłogę, wyczerpany, skacowany i wstrząśnięty tym, że jednak mu odmówili.

- Sprawa Charlesa D. Bowie'ego! - zawołał Jeter.

Wokół stołów zapanował ruch i wprowadzono kolejnego łudzącego się nadzieją.

Zacząli mówić coś o przestępstwie na tle seksualnym, ale byłem zbyt wypluty, żeby mnie to obeszło. W końcu wyszedłem i idąc korytarzem, na wpół chciałem, żeby wyrosli przede mną Padgittowie i żeby wreszcie z tym skończyć.

Ale Padgittowie przepadli jak kamień w wodę; nie widziałem ich również, wyjeżdżając główną bramą, i skręcając w kierunku Clinton.

## **ROZDZIAŁ 34**

Sprawozdanie

z

posiedzenia

komisji

zamieściłem

na

pierwszej

stronie.

Naszpikowałem je wszystkimi szczegółami, jakie tylko zdołałem zapamiętać, a na stronie piątej wysmarowałem zjadliwy artykuł na temat procesu. Egzemplarz gazety wysłałem każdemu członkowi komisji, a ponieważ ostro się nakręciłem, po jednym egzemplarzu wysłałem

również

wszystkim

członkom

senatu,

prokuratorowi

generalnemu,

wicegubernatorowi i samemu gubernatorowi. Większość to zignorowała - większość, ale nie przewodniczący komisji do spraw zwolnień warunkowych.

Napisał do mnie długi list, w którym wyraził głęboki niepokój moim „świadomym naruszeniem obowiązujących w komisji procedur”. Zastanawiał się, czy nie porozmawiać z prokuratorem generalnym, który miałby „ocenić szkodliwość mojego postępuku” i przedsięwziąć kroki „o daleko idących konsekwencjach”.

Mój adwokat Harry Rex zapewnił mnie, że polityka utajniania posiedzeń komisji do spraw zwolnień warunkowych jest ewidentnie sprzeczna z konstytucją, że jest pogwałceniem Pierwszej Poprawki i że chętnie będzie bronił mnie w sądzie federalnym. Po promocyjnych stawkach godzinowych, rzecz jasna.

Wymieniałem listy z komisją przez cały miesiąc, wreszcie chyba stracili zainteresowanie i przestali mnie ścigać.

Rafe, główny naganiacz Rekxa, miał kumpla Bustera, wielkiego, barczystego kowboja ze spluwą w każdej kieszeni. Wynająłem go za sto dolców tygodniowo, żeby udawał mojego osobistego goryla. Przez kilka godzin dziennie kręcił się przed redakcją, siedział na moim podjeździe albo na werandzie, słowem - łąził wszędzie tam, gdzie można go było zobaczyć i pomyśleć, że Willie Traynor, ważny gość, ma własnego ochroniarza. Gdyby Padgittowie podeszli na tyle blisko, żeby oddać strzał, dostaliby przynajmniej coś w zamian.

Po latach systematycznego przybierania na wadze i ignorowania ostrzeżeń lekarzy panna Callie wreszcie się ugięła. Pojechała na badania do kliniki i ponieważ wypadły źle, oznajmiła mężowi, że przechodzi na dietę: tysiąc pięćset kalorii dziennie, nie licząc - na szczęście - czwartków. Minął miesiąc i nie zauważyłem, żeby schudła. Ale dzień po tym, gdy opublikowaliśmy w „Timesie” sprawozdanie z posiedzenia komisji do spraw zwolnień warunkowych, wyglądała tak, jakby nagle zrzuciła ponad dwadzieścia kilo.

Zamiast smażyć kurczaka, teraz go piekła. Zamiast dusić ziemniaki z masłem i gęstą śmietaną i polewać je sosem mięsny, teraz je gotowała. Wciąż były pyszne, ale mój organizm przywykł do cotygodniowej dawki ciężkiego sosu.

Po modlitwie dałem jej dwa listy od Sama. Niecierpliwie je przeczytała - jak zwykle od razu - podczas gdy ja pałaszowałem lunch. Potem - też jak zwykle - uśmiechnęła się, roześmiała i otarła łzy.

- Dobrze sobie radzi - powiedziała i rzeczywiście tak było.

Z typową dla Ruffinów wytrwałością Sam skończył college, zrobił magisterium z ekonomii i zbierał pieniądze na studia w szkole prawniczej. Strasznie tęsknił za domem i bardzo męczyła go tamtejsza pogoda. Krótko mówiąc, brakowało mu mamy. I jej kuchni.

Prezydent Carter ułaskawił uchylających się od wojska dekowników i Sam zmagał się teraz ze sobą, nie wiedząc, czy zostać w Kanadzie, czy wrócić do kraju. Wielu z jego kolegów wygnańców poprzysięgło sobie zostać i ubiegać się o obywatelstwo; wywierali na niego duży wpływ. Była też jakaś kobieta, chociaż nie powiedział o niej rodzicom.

Czasami zaczynaliśmy od najświeższych wiadomości, ale często od nekrologów, a nawet ogłoszeń. Ponieważ panna Callie czytała każde słowo, doskonale wiedziała, kto sprzedaje szczeniaki rasy beagle i kto chce kupić używaną kosiarkę w dobrym stanie. A ponieważ czytała każde słowo co tydzień, wiedziała też, od jak dawna ktoś próbuje sprzedać tę czy inną farmę i ten czy inny domek na kółkach. Znała wszystkie ceny i wyceny.

Podczas lunchu ulicą przejechał samochód.

- Co to za wóz? - pytała.

- Plumouth duster z siedemdziesiątego pierwszego - odpowiadałem. Wahala się przez sekundę i mówiła:

- Jeśli jest czysty, pójdzie za dwa i pół tysiąca dolarów.

Stan Atcavage chciał kiedyś sprzedać siedmiometrową łódź rybacką z odzysku.

Zadzwoń do panny Callie.

- Tak - powiedziała - jakiś dżentelmen z Karaway szukał takiej łodzi trzy tygodnie temu.

Zajrzałem do archiwum i znalazłem jego ogłoszenie. Nazajutrz Stan opchnął łódź.

Panna Callie uwielbiała ogłoszenia prawnicze, jedne z najbardziej lukratywnych ogłoszeń w gazecie. Umowy i akty prawne, zastrzeżenia hipoteczne, pozwy rozwodowe, sprawy spadkowe, bankructwa oraz dziesiątki innych ogłoszeń, których zamieszczanie było nakazane prawem. Zgarnialiśmy wszystkie, i to za wysokie stawki.

- Widzę, że toczy się postępowanie spadkowe w sprawie majątku pana Everetta Wainwrighta - powiedziała.

- Tak, jak przez mgłę pamiętam jego nekrolog - odrzekłem z pełnymi ustami.

- Kiedy umarł?

- Pięć, sześć miesięcy temu. Marny nekrolog.

- Piszę na podstawie tego, co da mi rodzina. Znała go pani?

- Przez wiele lat miał sklep spożywczy przy torach. - Po sposobie, w jaki modulowała głos, poznałem, że nie darzyła go sympatią.

- Dobry człowiek czy zły?

- Miał dwa zestawy cen, jeden dla białych, drugi, z wyższymi cenami, dla Murzynów.

Nie oznaczał towarów i był tam jedynym kasjerem. Biały pytał: „Jeanie Wainwright, ile kosztuje puszka skondensowanego mleka?”, a on odpowiadał: „Trzydzieści osiem centów”.

Chwilę później pytałam: „Przepraszam pana, ile kosztuje puszka skondensowanego mleka?”, a on rzucił: „Pięćdziesiąt cztery centy”. Nigdy się z tym nie ukrywał. Było mu wszystko jedno.

Opowiadała mi te stare historie od prawie dziewięciu lat. Myślałem, że już wszystkie znam, ale jej kolekcja nie miała końca.

- Dlaczego robiła pani u niego zakupy?

- Bo tylko tam mogliśmy je robić. Pan Monty Griffin miał ładniejszy sklep za starym kinem, ale kupujemy tam dopiero od dwudziestu lat.

- Dlaczego?

- Przedtem pan Griffin nam zabraniał. Nie chciał widzieć u siebie Murzynów, nawet jeśli mieli pieniądze.

- nie lubił pieniędzy?

- Lubił, i to bardzo. Nas nie, ale nasze pieniądze tak.

Opowiedziała mi o pewnym murzyńskim chłopcu, który kręcił się po sklepie, dopóki Wainwright nie uderzył go szczotką i nie wypędził. Z zemsty chłopak dwa razy rocznie włamywał się do sklepu i chociaż robił to przez wiele lat, nigdy go nie schwytano. Kradł

papierosy i cukierki, połamał też wszystkie kije od szczotek.

- Czy to prawda, że cały majątek zapisał kościołowi metodystów? - spytała.

- Takie krążą plotki.

- To znaczy, ile zapisał?

- Coś około stu tysięcy dolarów.

- Ludzie powiadają, że próbował kupić sobie przepustkę do nieba. - Plotki, które docierały do panny Callie z drugiej strony torów, już dawno przestały mnie zadziwiać. Wiele jej przyjaciółek pracowało tam jako gosposie. A gosposie wiedziały wszystko.

Pewnego razu znowu skierowała rozmowę na temat życia pozagrobowego. Bardzo martwiła się o moją duszę. O to, że nie jestem prawdziwym chrześcijaninem, że „nie narodziłem się ponownie” i „nie zostałem zbawiony”. Uważała, że chrzest, który przeszedłem w niemowlęctwie i którego oczywiście nie pamiętałem, to absolutnie za mało. Żeby zostać

„ocalonym” przed wiecznym potępieniem w piekle, ktoś, kto osiąga pewien wiek, „wiek odpowiedzialności”, musi przejść głównym przejściem kościoła (wybór odpowiedniego kościoła był przedmiotem ciągłych dyskusji) i publicznie wyznać wiarę w Jezusa Chrystusa.

Panna Callie dźwigała wielki ciężar, bo tego nie zrobiłem.

Odwiedziwszy siedemdziesiąt siedem różnych kościołów, musiałem przyznać, że znakomita większość mieszkańców hrabstwa Ford podziela jej poglądy. Były jednak pewne wyjątki. Działa u nas potężna sekta Kościoła Chrystusowego. Jej członkowie wyznawali dziwną doktrynę, że do nieba trafiają oni i tylko oni. Że wszystkie pozostałe kościoły „są doktrynerskie i sekciarskie”. Podobnie jak wiele innych zgromadzeń wierzyli też, że człowiek zbawiony może to zbawienie utracić poprzez złe zachowanie. Natomiast baptyści, przedstawiciele najpopularniejszego w hrabstwie wyznania, uważali, że człowiek „raz zbawiony, pozostaje zbawiony na wieki”.

Było to niewątpliwym pocieszeniem dla kilku moich znajomych, baptystów, którzy zeszli na złą drogę.

Ale wciąż mogłem mieć nadzieję. Panna Callie była zachwycona, że chodzę do kościoła i chłonę ewangelię. Żywiła głębokie przekonanie - i nieustannie się o to modliła - że pewnego dnia Pan wyciągnie z góry rękę i dotknie mego serca. Że za nim pójdę i spędzimy razem wieczność, ona i ja.

Naprawdę żyła w oczekiwaniu dnia, kiedy będzie mogła „wrócić w chwale do Domu”.

- W niedzielę wielebny Smali będzie przewodniczył Wieczerzy Pańskiej.

- Było to jej cotygodniowe zaproszenie do kościoła. Wielebny Smali i jego długie kazania zaczynały wychodzić mi bokiem.

- Dziękuję, ale w niedzielę prowadzę badania - odparłem.

- Niech pana Bóg błogosławi. Gdzie?

- W Pierwotnym Kościele Baptystów Maranatha.

- Nigdy o takim nie słyszałam.

- Jest w książce telefonicznej.

- Gdzie się mieści?

- Chyba gdzieś w Dumas.

- Dla czarnych czy dla białych?

- nie jestem pewien.

Numer siedemdziesiąty ósmy na mojej liście, Pierwotny Kościół Baptystów Maranatha, mały klejnot u stóp wzgórza, stał nad brzegiem strumienia, między dębami, które miały co najmniej dwieście lat. Był to mały biały budynek, wąski i długi, ze spiczastym blaszanym dachem i czerwoną wieżyczką tak wysoką, że ginęła między wierzchołkami drzew. Otwarte na oścież drzwi zapraszały wszystkich chętnych do modlitwy. Na kamieniu węgielnym widniała data: 1813.

Jak zwykle wślizgnąłem się do ostatniej ławki i usiadłem obok dobrze ubranego jegomościa, starego jak sam kościół. Naliczyłem pięćdziesięciu sześciu wiernych. Okna były szeroko otwarte i łagodny wiatr poruszał liśćmi drzew, wygładzając ostre wręby gorączkowego poranka. Przez półtora wieku ludzie przychodzili tu, siadali na tych samych ławach, przez te same okna patrzyli na te same drzewa i czcili tego samego Boga. Chór -

złożony tylko z siedmiu osób - zaśpiewał łagodny hymn i odpłynąłem w przeszłość.

Pastorem był jowialny J.B. Cooper. Przez te dziewięć lat rozmawiałem z nim tylko dwa razy, gdy miotałem się po okolicy, szukając materiałów do jakichś nekrologów. Jedną z korzyści ubocznych mojej kościelnej tury było to, że poznałem chyba wszystkich kapłanów, dzięki czemu nekrologi nabierały smaczku.

Pastor Cooper ogarnął wzrokiem wiernych i stwierdził, że jestem jedynym gościem.

Wywołał mnie po nazwisku, powitał i zażartował, że ma nadzieję na przychylną recenzję w

„Timesie”. Po czterech latach jeżdżenia i siedemdziesięciu siedmiu barwnych tudzież wspaniałomyślnych artykułach na naszej stronie religijnej nie mogłem zakraść się do kościoła niezauważenie.

Wiejskie kościółki - nigdy nie wiedziałem, czego się w nich spodziewać. Kazania były najczęściej głośne i długie i wiele razy zastanawiałem się, dlaczego poczciwi ludzie przychodzą tu tydzień w tydzień na takie połajanki. Potępiając wiernych za grzechy z ostatnich siedmiu dni, niektórzy kaznodzieje zachowywali się niemal jak sadyści. Tu, na wsi, wszystko było grzechem, nie tylko to, co ujmowało Dziesięcioro Przykazań. Słyszałem zjadliwe potępienie telewizji, kin, gry w karty, popularnych czasopism, zawodów sportowych, mundurów cheerleaderek, desegregacji, kościołów mieszanych, takich dla czarnych i białych, filmów Disneya - bo wyświetlano je w niedzielę wieczorem - tańca, picia alkoholu w towarzystwie, seksu małżeńskiego, dosłownie wszystkiego.

Ale pastor Cooper żył ze sobą w pokoju. Jego kazanie - czas: dwadzieścia osiem minut - mówiło o tolerancji i miłości. Miłość to podstawowe przesłanie Chrystusa. Jediną rzeczą, jakiej Chrystus chciał, było to, żebyśmy się wzajemnie kochali. Zaśpiewaliśmy *Just As I Am*, ale wierni wciąż siedzieli bez ruchu. Ci ludzie byli tu nie pierwszy raz.

Po nabożeństwie jak zwykle pokręciłem się tam przez kilka minut, żeby porozmawiać z pastorem.

Powiedziałem mu, że bardzo mi się podobało - mówiłem tak każdemu kaznodziei bez względu na to, jak było naprawdę - i zapisałem nazwiska chórzystów. Wierni okazali się ludźmi serdecznymi i przyjaznymi, a ponieważ wiedzieli już o moich wyprawach, chcieli trochę pogawędzić i przekazać mi kilka małych perełek z nadzieją, że je wydrukuję. „W

dziewięćset drugim mój dziadek kładł tu dach”. „Podczas jednego z naszych letnich spotkań w trzydziestym ósmym ominęło nas tornado”.

Wychodząc na dwór, zobaczyłem mężczyznę, który zjeżdżał rampą na wózku inwalidzkim. Znałem go, więc podszedłem się przywitać. Lenny'emu Fargarsonowi,

„kalekiemu chłopakowi”, przysięgłemu numer siedem czy osiem, najwyraźniej się pogorszyło. Podczas procesu w 1970 roku mógł jeszcze chodzić, chociaż nie był to miły widok. Teraz jeździł na wózku.

Przedstawił mi się jego ojciec. Matka stała w grupce pań, po raz kolejny się z nimi żegnając.

- Ma pan chwilę? - spytał Lenny. W Missisipi oznaczało to: „Musimy pogadać i trochę nam zejdzie”. Usiadłem na ławce pod dębami. Ojciec Lenny'ego podtoczył wózek i odszedł.

- Codziennie czytam pana gazetę. Myśli pan, że Padgitt wyjdzie?

- Na pewno. Pytanie tylko kiedy. Może występować o zwolnienie warunkowe raz w roku.

- Wróci tu?

Wzruszyłem ramionami, bo skąd miałem wiedzieć.

- Prawdopodobnie. Wszystkich Padgittów ciągnie na wyspę.

Fargarson myślał o tym przez chwilę. Był wychudzony i pochylony jak starzec. O ile pamięć mnie nie myliła, w 1970 roku miał dwadzieścia pięć lat. Byliśmy mniej więcej w tym samym wieku, ale on wyglądał dwa razy starzej. Słyszałem o jego nieszczęściu - przetrącił

sobie kręgosłup w tartaku.

- Boi się pan? - spytałem. Uśmiechnął się i odrzekł:

- Ja się niczego nie boję, redaktorze. Pan jest moim pasterzem.

- Ano tak, ano tak... - powiedziałem, wciąż rozemocjonowany kazaniem. Był kaleką i jeździł na wózku, dlatego nie umiałem go rozgryźć. Tyle wycierpiał. Wciąż był człowiekiem niezachwianej wiary, jednak przez ułamek sekundy wydawało mi się, że dostrzegam w jego oczach cień lęku.

Szła ku nam pani Fargarson.

- Pojedzie pan tam, kiedy będą go zwalniać?

- Chciałbym, ale nie jestem pewien, jak się to załatwia.

- Zadzwoń pan do mnie, kiedy wyjdzie?

- Oczywiście.

Na niedzielny lunch pani Fargarson przygotowała duszoną wołowinę i nie chciała słyszeć o odmowie. Poza tym nagle zgłodniałem, a w domu jak zwykle nie miałem nic, co choćby odrobinę dorównywało smakiem duszonej wołowinie. Ojciec Lenny'ego był wiejskim listonoszem, matka nauczycielką. Starsza siostra mieszkała w Tupelo. Przy wołowinie z ziemniakami i herbacie niemal równie słodkiej, jak herbata panny Callie wspominaliśmy proces Padgitta i rozmawialiśmy o pierwszym przesłuchaniu w sprawie zwolnienia warunkowego. Może Lenny nie przejmował się jego ewentualnym wyjściem z więzienia, ale jego rodzice bardzo się tym niepokoiili.

## **ROZDZIAŁ 35**

Wiosną 1978 roku po mieście rozeszła się wielka nowina. Do Clanton miało zawitać Bargain City! Wraz z McDonaldem i wieloma innymi barami szybkiej obsługi, które podążały za ich marketami po całych Stanach, Bargain City, ogólnokrajowa sieć wielkich domów towarowych, rozpoczęła szybki marsz przez miasteczka Południa. Jednakże niektórzy z nas uważali, że jest to początek końca.

Firma podbijała świat, budując wielkie markety, a raczej magazyny czy hurtownie, które oferowały towary po bardzo niskich cenach. Markety były przestronne i czyste, i mieściły się tam również restauracje, apteki, banki, a nawet gabinety okulistyczne i biura podróży. Małe miasto bez marketu Bargain City po prostu się nie liczyło.

Dostali prawo zakupu dwudziestu hektarów przy Market Street, niecałe dwa kilometry od rynku. Niektórzy sąsiedzi zaprotestowali i rada miejska zorganizowała publiczne posiedzenie, na którym miano podjąć decyzję o budowie. Firma nie pierwszy raz napotykała opór i wypracowała gładką, bardzo skuteczną strategię działania.

Sala obrad pękała w szwach od ludzi z czerwono - białymi transparentami: BARGAIN

CITY TO DOBRY SĄSIAD i CHCEMY PRACY! Przyszli inżynierowie, architekci, prawnicy i budowlańcy z sekretarkami, żonami i dziećmi. Ich rzecznik odmalował różowy obraz rozwoju gospodarczego miasta, wzrostu wpływów z podatku od sprzedaży, stu pięćdziesięciu miejsc pracy dla miejscowych i najlepszych towarów po najniższych cenach.

W imieniu przeciwników budowy marketu przemawiała Dorothy Hockett. Jej posesja graniczyła z ich działką i pani Hockett nie życzyła sobie tych wszystkich świateł i hałasów.

Rada bardzo jej współczuła, ale decyzję podjęto już dawno temu. Ponieważ po pani Hockett nikt nie chciał zabrać głosu, wstałem i podszedłem do podium.

Kierowało mną przeświadczenie, że zachowanie śródmieścia Clanton w niezmiennym stanie wymaga ochrony sklepów, restauracji i urzędów przy rynku. Gdy zabudowa zacznie się rozciągać,



nie będzie temu końca. Miasto rozbuduje się w kilkunastu kierunkach naraz, a każdy inwestor wyssie dla siebie mały kawałek starego Clanton.

Posady, które obiecywali ci z Bargain City, były bardzo nisko płatne. Wzrost dochodów z podatków od sprzedaży nastąpi owszem, ale kosztem kupców i sklepikarzy, których firma gigant szybko wyeliminuje z rynku. Mieszkańcy Clanton nie obudzą się pewnego dnia i nie zaczną nagle kupować więcej rowerów czy lodówek tylko dlatego, że market oszołomił ich wystawami.

Wspomniałem o miasteczku Titus, godzinę jazdy na południe od Clanton. Przed dwoma laty Bargain City otworzyło tam market. Od tamtej pory w mieście zamknięto czternaście sklepów detalicznych i jedną restaurację. Główna ulica niemal całkowicie opustoszała.

Wspomniałem o miasteczku Marshall w delcie Missisipi. W ciągu trzech lat od otwarcia marketu Bargain City prowadzący małe, rodzinne firmy handlowcy zamknęli tam dwie apteki, dwa małe domy towarowe, sklep z paszą, sklep żelazny, butik z odzieżą dla pań, sklep z pamiątkami, małą księgarnię i dwa bary. W jednym z ocalałych barów jadłem lunch i kelnerka, która pracowała tam od trzydziestu lat, powiedziała mi, że obroty spadły im o połowę. Rynek w Marshall był podobny do naszego, z tym że parkowało tam ledwie kilka samochodów. Na chodniku prawie nie widywało się ludzi.

Wspomniałem o miasteczku Tackerville z taką samą liczbą mieszkańców jak Clanton.

Rok po otwarciu marketu Bargain City miasto musiało wydać milion dwieście tysięcy dolarów na modernizację dróg i jezdnii, żeby wytrzymały natężenie ruchu wokół kompleksu.

Burmistrzowi i radnym wręczyłem kopię raportu sporządzonego przez profesora ekonomii z uniwersytetu stanowego w Georgii. Profesor śledził poczynania Bargain City na Południu od sześciu lat, oceniając finansowy i społeczny wpływ, jaki firma ta miała na miasta poniżej dziesięciu tysięcy mieszkańców. Dochody z podatków od sprzedaży utrzymywały się na mniej więcej takim samym poziomie, bo zamiast u starych sklepikarzy, ludzie kupowali w Bargain City. Zatrudnienie też nie wzrosło, ponieważ starych sprzedawców z miasta zastąpili nowi sprzedawcy z marketu. Nie licząc zakupu terenu pod budowę i budowy samego obiektu, firma nie inwestowała w miasto praktycznie ani centa. Co więcej, nie trzymała nawet pieniędzy w miejscowych bankach. O północy cały utarg dzienny przelewano na konto głównej siedziby firmy w Gainesville na Florydzie.

Badania profesora dowodziły, że budowa marketu jest z pewnością korzystna dla udziałowców Bargain City i ekonomicznie katastrofalna dla każdego miasteczka.

Największymi szkodami były jednak szkody kulturalne. Z pozamykanymi sklepami i opustoszałymi chodnikami bogate życie na rynku i głównych ulicach miasta szybko zamierało.

Petycję popierającą budowę marketu podpisało czterysta osiemdziesiąt osób. Naszą zaledwie dwanaście. Rada zagłosowała jednomyślnie: pięć do zera.

Napisałem bardzo krytyczny wstępniak i przez miesiąc czytałem paskudne listy. Po raz pierwszy nazwano mnie „zwariowanym ekologiem”.

W ciągu miesiąca buldożery całkowicie zniwelowały dwadzieścia hektarów ziemi.

Osadzono krawężniki, wykopano rynsztoki i zapowiedziano, że pierwszego grudnia, a więc tuż przed świętami, odbędzie się wielkie otwarcie. Firma zaangażowała olbrzymie pieniądze i nie traciła czasu. Była znana z przebiegłego i zdecydowanego zarządzania.

Market wraz z parkingiem zajmował około dziesięciu hektarów. Pozostały teren szybko odsprzedano innym sieciom handlowym i już wkrótce miasto zaakceptowało budowę samoobsługowej stacji benzynowej na szesnaście dystrybutorów, otwartego przez całą dobę sklepu ogólnospożywczego, trzech restauracji fast food, sklepu obuwniczego z towarami po obniżonych cenach, sklepu meblowego sprzedającego meble z rabatem i wielkiego sklepu spożywczego.

nie mogłem odmówić przyjmowania ich ogłoszeń. Pieniądze miałem gdzieś, ale ponieważ „Times” był jedyną gazetą o zasięgu obejmującym całe hrabstwo, musieli je u mnie zamieszczać. (W 1977 roku, w odpowiedzi na panikę, którą wywołałem w związku z planami nowego podziału na strefy urbanizacyjne, powstał mary prawicowy szmatławiec „Clanton Chronicle”; wciąż egzystował, choć ciężko walczył o utrzymanie się na powierzchni).

W połowie listopada przyszedł do mnie przedstawiciel Bargain City i opracowaliśmy serię dość kosztownych ogłoszeń do kampanii reklamowej przed otwarciem marketu.

Zażądałem najwyższych stawek; zapłacili bez szemrania.

Pierwszego grudnia burmistrz Clanton, senator Morton oraz kilku innych dygnitarzy przecięli wstęgę. Rozszalały tłum wpadł do środka i zaczął kupować jak banda wygłodniałych ludzi, którzy wreszcie znaleźli coś do jedzenia. Na drogach dojazdowych do miasta powstały korki.

nie miałem ochoty tego nagłaśniać. Na siódmej stronie zamieściłem jedynie krótką wzmiankę, co rozzłościło burmistrza, senatora i dygnitarzy. Myśleli, że całe to przecinanie wstęgi trafi na pierwszą stronę, do środkowej kolumny.

Świąteczny sezon był brutalny dla kupców ze śródmieścia. Trzy dni po Bożym Narodzeniu odnotowano pierwszą ofiarę: Hollis Barr, właściciel Western Auto, zapowiedział

likwidację sklepu. Sklep mieścił się w tym samym budynku od czterdziestu lat; Barr sprzedawał tam rowery, sprzęt gospodarstwa domowego i telewizory. Powiedział mi, że pewien model kolorowego telewizora marki Zenith kosztował go czterysta trzydzieści osiem dolarów i że maksymalnie obniżywszy cenę, próbował sprzedawać go po pięćset dziesięć. W

markecie Bargain City identyczny model kosztował trzysta dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów.

Wiadomość o zamknięciu Western Auto zamieściłem oczywiście na pierwszej stronie.

W styczniu zamknięto aptekę Swaina, tę obok Tea Shoppe, a zaraz potem sklep z pamiątkami Maggie's Gifts przy sklepie z galanterią męską pana Mitla. O zamknięciu każdego z nich pisałem jak o czyjejś śmierci i moje artykuły miały w sobie coś z nekrologów.

Spędziłem popołudnie ze Stukesami, bliźniakami ze sklepu żelaznego. Sklep mieścił

się w cudownym starym domu z zakurzonymi drewnianymi podłogami, zwichrowanymi półkami, na których leżały tysiące dziwnych rzeczy, i z piecem na drewno w kącie, gdzie pod nieobecność klientów toczyły się ważne dysputy. Nikt nie mógł tam niczego znaleźć, ale wcale nie musiał. Ludzie przychodzili i pytali na przykład o „taki mały, płaski dinks, który przykręca się do tego czegoś, co wystaje z wichajstra od spłuczki w kibelku”. Jeden ze Stukesów zniknął między stosami walających się w beładzie części i kilka minut później wracał z czym trzeba. Takiego pytania nie można było zadać w markecie.

Tego zimowego dnia siedzieliśmy przy piecu i słuchaliśmy tyrad Cecila Clyde'a Poole'a, emerytowanego wojskowego, majora, który - gdyby tylko powierzyć mu pieczę nad polityką kraju - pospuszczałby bomby atomowe na wszystkich oprócz Kanadyjczyków.

Bombę zrzuciłby również na market Bargain City i najbarwniejszym, najdosadniejszym językiem, jaki kiedykolwiek słyszałem, rozniósł tę firmę na strzępy, nie pozostawiając na niej suchej nitki. Mieliśmy mnóstwo czasu, bo do sklepu prawie nikt nie zaglądał. Jeden ze Stukesów wyznał, że ich obroty spadły o siedemdziesiąt procent.

Miesiąc później zamknęli drzwi sklepu, które ich ojciec otworzył w 1922 roku. Na pierwszej stronie „Timesa” zamieściłem jego zdjęcie, jak siedzi za ladą w roku 1938. Dla tych, którzy wciąż czytali moje małe diatryby, jak przemądrzały dupek wysmarowałem też kolejny wstępniak z cyklu: „A nie mówiłem?”

- Za bardzo moralizujesz - ostrzegał mnie nieustannie Harry Rex. - I tak nikt cię nie słucha.

Salkę od frontu rzadko kiedy sprzątano. Stało tam kilka stołów z porozrzucanymi egzemplarzami najświeższych numerów „Timesa”. Była tam również lada, na której Margaret czasem układała ogłoszenia. Ludzie przychodzili i wychodzili, dzwonek u drzwi dzwonił

przez cały dzień. Mniej więcej raz w tygodniu ktoś obcy zaglądał na górę, do mojego gabinetu, którego drzwi zwykle stały otworem. Najczęściej był to pogrążony w smutku krewny z materiałami do nekrologu.

Pewnego marcowego popołudnia w 1979 roku podniosłem wzrok znad papierów i w progu zobaczyłem mężczyznę w ładnym garniturze. W przeciwieństwie do Harry'ego Reksa, który wchodził na górę tak głośno, że słysząc go było już na ulicy, a zaraz potem w całej redakcji, ten wszedł schodami bezszelestnie.

Nazywał się Gary McGrew i był konsultantem z Nashville, specjalizującym się w małomiasteczkowych gazetach. Gdy parzyłem kawę, powiedział mi, że jeden z jego bogatych klientów zamierza kupić kilka gazet w Missisipi, teraz, jeszcze w tym roku. Ponieważ miałem siedem tysięcy subskrybentów i żadnych długów, ponieważ drukowaliśmy u nas cały nakład sześciu mniejszych tygodników i własny przewodnik handlowy, klient był bardzo zainteresowany kupnem „Timesa”.

- Bardzo? - spytałem. - Jak bardzo?

- Bardzo, bardzo. Gdybyśmy mogli przejrzeć pańskie księgi, zrobilibyśmy wycenę.

Gdy wyszedł, zadzwoniłem w kilka miejsc, żeby sprawdzić jego wiarygodność.

Sprawdzian wypadł pomyślnie, więc zrobiłem bilans. Trzy dni później spotkaliśmy się ponownie, tym razem wieczorem. Nie chciałem, żeby widział nas Wiley, Baggy czy ktoś inny. Wiadomość, że „Times” zmienia właściciela, wywołałaby taką falę plotek, że bary otwierano by już o trzeciej, zamiast o piątej rano.

McGrew analizował bilans jak doświadczony rewident. Czekałem, dziwnie zdenerwowany, jakby jego werdykt miał gruntownie odmienić moje życie.

- Ma pan sto tysięcy dolarów czystego zysku i bierze pan pięćdziesiąt tysięcy dolarów pensji. Dochodzi do tego dwadzieścia tysięcy amortyzacji, bez odsetek, bo nie ma pan długów. Mamy więc sto siedemdziesiąt tysięcy w gotówce. Sto siedemdziesiąt tysięcy razy standardowe sześć daje nam milion dwadzieścia tysięcy dolarów.

- A budynek? - spytałem.

McGrew spojrział w prawo, w lewo i w górę, jakby zaraz miał zawalić się sufit.

- Takie idą zwykle za bezcen.

- Za sto tysięcy.

- Zgoda. Plus sto tysięcy za maszynę offsetową i pozostały sprzęt. Tak więc dostałby pan w sumie około miliona dwustu tysięcy dolarów.

- Czy to oferta? - spytałem.

- Możliwe. Będę musiał omówić to z moim klientem.

nie miałem najmniejszego zamiaru sprzedawać „Timesa”. Trafiłem do tej branży zupełnie przypadkowo. Kilka razy miałem fart, ciężko pracowałem, pisząc artykuły, nekrologi i sprzedając ogłoszenia, i teraz, po dziewięciu latach harówki, wartość mojej małej firmy wyceniono na ponad milion dolarów.

Wciąż byłem młody i wolny, chociaż zmęczyło mnie samotne życie z trzema starymi kotami Hocuttów, które za nic nie chciały zdechnąć. Pogodziłem się z tym, że w naszym hrabstwie narzeczonej nie znajdę. Te najlepsze rozchwytało, zanim skończyły dwadzieścia lat i byłem za stary, żeby z kimś konkurować. Umawiałem się chyba ze wszystkimi młodymi rozwódkami, gotowymi wskoczyć mi do łóżka, obudzić się w moim pięknym domu i wydawać olbrzymie pieniądze, jakie ponoć zarabiałem. Jedyna, która mi się naprawdę podobała i z którą chodziłem przez rok, miała troje małych dzieci.

Ale to zabawne, co pieniądze mogą zrobić z człowiekiem. Wystarczyła jedna propozycja i ciągle myślałem o tym milionie. Praca stała się nudna. Z coraz większą niechęcią pisałem te głupie nekrologi, coraz gorzej znosiłem nieustanną presję terminów. Co najmniej raz dziennie obiecywałem sobie, że przestanę łązić po ulicach i sprzedawać ogłoszenia. Że odpuszczę sobie pisanie wstępniaków. Nie musiałbym przynajmniej czytać wrednych listów do redakcji.

Tydzień później powiedziałem Gary'emu, że „Times” nie jest na sprzedaż. On na to, że jego klient chce kupić trzy gazety do końca roku, tak więc mam jeszcze czas na namysł.

To niezwykle, ale nikt się o naszych pertraktacjach nie dowiedział.

## **ROZDZIAŁ 36**

W czwartek po południu na początku maja zadzwonił do mnie prawnik z komisji do spraw zwolnień warunkowych. Znowu Danny Padgitt - w poniedziałek miało odbyć się kolejne posiedzenie.

- Bardzo wygodny termin - odparłem.

- Dlaczego? - spytał.

- Bo w środę numer idzie na maszynę i nie zdążę o tym napisać.

- nie śledzimy pańskich terminów, panie redaktorze.

- Akurat - warknąłem. - nie wierzę.

- To, w co pan wierzy, jest nieistotne. Komisja zdecydowała, że nie ma pan prawa uczestniczyć w posiedzeniu. Ostatnim razem pogwałcił pan nasze zasady, zamieszczając w gazecie sprawozdanie.

- Mam zakaz wstępu?

- Otóż to.

- I tak przyjadę.

Odłożyłem słuchawkę i zadzwoniłem do szeryfa McNatta. Jego też zawiadomiono o posiedzeniu, ale nie wiedział, czy się wyrobi. Był na tropie zaginionego dziecka (z Wisconsin) i po jego głosie poznałem, że nie chce zadzierać z Padgittami.

Rufus Buckley, nasz prokurator okręgowy, jechał w poniedziałek na proces do hrabstwa Van Buren. Obiecał napisać list protestujący przeciwko zwolnieniu, ale żaden list tam nie dotarł. Rozprawie w Van Buren przewodniczył sędzia sądu objazdowego Omar Noose, więc on też odpadał. Zacząłem już myśleć, że nikt tam nie pojedzie i nie zabierze głosu w imieniu strony przeciwnej.

Dla zabawy poprosiłem o to Baggy'ego. Najpierw zaniemówił, a potem zasypał mnie imponującą ilością wymówek.

Poszedłem do Harry'ego Reksa. W poniedziałek miał paskudną rozprawę rozwodową w Tupelo i gdyby nie to, pojechałby ze mną do Parchman.

- Zwolnią chłopaka - prorokował.

- W zeszłym roku ich powstrzymaliśmy.

- Kiedy już zaczną, rozpatrywać podania, to tylko kwestia czasu.

- Ktoś musi zawalczyć.

- Po co? I tak w końcu wyjdzie. Po cholere wkurzać Padgittów? nie znajdziesz żadnego ochotnika.

I rzeczywiście, całe miasto schowało głowę w piasek. A ja wyobrażałem sobie, że do sali posiedzeń wtargnie rozwścieczony tłum.

Mój rozwścieczony tłum składał się z trzech osób.

Pojechał ze mną Wiley Meek, chociaż zastrzegł, że nic nie będzie mówił. Gdyby tamci nie wpuścili mnie do sali, miał siedzieć do końca przesłuchania, a potem wszystko mi opowiedzieć. Swoją obecnością zaskoczył nas szeryf McNatt.

Na korytarzu przed salą roilo się od mundurowych. Zauważył mnie prawnik z komisji.

Wpadł w złość i zamieniliśmy kilka ostrych słów. Otoczyli mnie strażnicy. Byłem bez broni, no i mieli nade mną zdecydowaną przewagę liczebną. Wyprowadzili mnie z pawilonu, wepchnęli do samochodu, a przy samochodzie postawili dwóch oprychów o byczych karkach i niskim ilorazie inteligencji.

Według Wileya, wszystko poszło jak po maśle. Padgittom towarzyszył Wilbanks.

Przewodniczący komisji odczytał raport opiniujący, w którym Danny wypadł jak wzorowy harcerz. Prowadząca jego sprawę poparła wniosek o przedterminowe zwolnienie. Wilbanks przez dziesięć minut wygadywał prawnicze bzdury. Jako ostatni wystąpił ojciec Danny'ego, który z wielkim wzruszeniem prosił o wypuszczenie syna z więzienia. Był bardzo potrzebny w domu, potrzebny rodzinie, jej tartakom, żwirowniom, zakładom asfaltowym, firmom przewozowym, budowlanym i spedycyjnym. Będzie pracował na tylu stanowiskach i przez tyle godzin tygodniowo, że nie starczy mu czasu na zadzieranie z prawem.

Szeryf McNatt mężnie wystąpił w imieniu obywateli hrabstwa Ford. Był

zdenerwowany i nie należał do dobrych mówców, mimo to całkiem znośnie opisał przebieg zbrodni Padgitta. To zdumiewające, ale nie przypominał członkom komisji, że Danny groził

przysięgłym wyłonionym z tych samych ludzi, którzy wybrali go na szeryfa.

Stosunkiem głosów cztery do jednego Padgitt został zwolniony z więzienia.

Miasto przeżyło ciche rozczarowanie. Podczas procesu łaknęło krwi i było rozgoryczone, gdy ława przysięgłych nie wysłała go do komory gazowej. Ale od tamtej pory minęło dziewięć lat i już od pierwszego posiedzenia komisji wszyscy wiedzieli, że Padgitt w końcu wyjdzie. Może nie spodziewali się, że tak prędko, ale żadnego szoku nie było.

Wpływ na jego zwolnienie wywarły dwa niezwykle czynniki. Po pierwsze, Rhoda Kassellaw nie miała u nas żadnych krewnych. Nie było pograżonych w bólu rodziców, którzy mogliby wzbudzać współczucie i żądać sprawiedliwości. Nie było braci czy sióstr, którzy nie pozwalaliby sprawie przyschnąć. Dzieci wyjechały i nikt już o nich nie pamiętał. Rhoda prowadziła samotne życie i nie miała bliskich przyjaciół, którzy żywiliby urazę do jej zabójcy.

Po drugie, Padgittowie żyli w zupełnie innym świecie. Widywano ich tak rzadko, że nietrudno było pomyśleć, iż Danny zniknie na wyspie i już nigdy go nie zobaczymy.

Więzienie w Parchman czy więzienie na wyspie - w sumie co to za różnica? Jeśli nigdy więcej nie będziemy go oglądać, nie przypomni nam o swoich zbrodniach. Przez dziewięć lat, jakie minęły od procesu, nie widziałem w Clanton ani jednego Padgitta. W moim dość ostrym wstępniaku na temat jego zwolnienia napisałem, że „ten bezduszny morderca znowu zamieszkał wśród nas”. Ale nie była to prawda.

W odpowiedzi na zamieszczony na pierwszej stronie wstępniak nie dostałem ani jednego listu. Owszem, ludzie mówili o Padgittcie, ale krótko i po cichu.

Pewnego ranka, tydzień po jego zwolnieniu, wpadł do mnie Baggy. Wpadł i zamknął drzwi, co zawsze było dobrym znakiem. Widać, słyszał gdzieś plotkę tak pikantną, że musiał mija sprzedać w cztery oczy.

Normalnego dnia przychodziłem do pracy około jedenastej. Normalnego dnia w południe Baggy zaczynał pić, tak że mieliśmy zwykle godzinę na opowieści i plotki.

Rozejrzał się ukradkiem, jakby w ścianach był podsłuch, i powiedział:

- Wyciągnięcie Danny'ego z pierdła kosztowało Padgittów sto tysięcy.

nie zaszokowała mnie ani kwota, ani fakt, że ktoś wziął łapówkę, ale zaskoczyło mnie, że Baggy o tym wie.

- Niemożliwe. - Ta odżywka miała spowodować go do dalszych zwie rzeń.

- Mówię ci - odparł z zadowoloną miną, jak zwykle, gdy zwęszył gdzieś sensację.

- Kto wziął?

- Właśnie to jest najlepsze. Nie uwierzysz.

- No kto?

- Padniesz.

- Kto?

W tym miejscu jak zwykle odprawił długi rytuał przypalania papierosa. Kiedyś, przed laty, siedziałbym jak na szpilkach, czekając, aż sprzeda mi wreszcie jakąś dramatyczną wiadomość, ale wraz z upływem czasu przekonałem się, że spowalnia to tylko opowieść.

Dlatego wróciłem do pisania.

- Wiesz - powiedział, wypuszczając kłęb dymu - w sumie nie powinno mnie to dziwić.

I nie zdziwiło.

- Powiesz mi wreszcie czy nie?

- Theo.

- Senator Morton?

- Mówię ci.

Byłem wstrząśnięty. Musiałem być wstrząśnięty, inaczej Baggy straciłby parę.

- Theo? - powtórzyłem.

- Jest wiceprzewodniczącym senackiej komisji do spraw więziennictwa. Siedzi w niej od lat i wie, jak pociągnąć za sznurki. On chciał wziąć, Padgittowie chcieli dać, dobili targu i chłopak wyszedł. Ot tak.

- Myślałem, że Theo nie bierze łapówek - rzekłem poważnie. - Że to poniżej jego godności.

- nie bądź naiwny. - Baggy jak zwykle wszystko wiedział najlepiej.

- Gdzie to słyszałeś?

- Tajemnica. - Było całkiem prawdopodobne, że plotkę rozpuścili jego kumple od pokera, żeby sprawdzić, jak długo będzie krążyła po rynku, za nim do nich wróci. Ale równie prawdopodobne było to, że Baggy na coś wpadł. W sumie nie miało to żadnego znaczenia.

Jeden dał, drugi wziął - gotówki nie wytropisz.

Gdy przestałem już marzyć o wcześniejszym przejściu na emeryturę, o zgarnięciu kasy, o samolotowych wycieczkach po Europie i zwiedzeniu z plecakiem całej Australii, gdy ponownie wpadłem w rutynę pisania artykułów i nekrologów tudzież polowania na miejskich kupców i ich



ogłoszenia, w moje życie po raz trzeci wkroczył Gary McGrew. Tym razem przyszedł ze swoim klientem.

Ray Noble był jednym z trzech wspólników firmy, która miała trzydzieści tygodników na głębokim Południu i chciała mieć ich jeszcze więcej. Podobnie jak Nick Diener, mój kumpel z college'u, on też wychował się w reporterskiej rodzinie i znał się na rzeczy. Kazał

mi przysiąc, że nic nikomu nie powiem, a potem wyłożył swój plan. Jego firma chciała kupić

„Timesa” i dwie gazety w hrabstwach Tyler i Van Buren. Sprzęt z Tyler i Van Buren chcieli sprzedać i drukować wszystko w Clanton, bo mieliśmy lepszą maszynę. Zamierzali prowadzić wspólną dla trzech gazet księgowość i scentralizować system zamieszczania ogłoszeń.

McGrew proponował mi przedtem milion dwieście tysięcy dolarów, maksymalną, jego zdaniem, cenę.

Teraz proponowali milion trzysta. Gotówką.

- Po odtrąceniu podatku zostałby panu okrągły milion - podsumował Noble.

- Umiem liczyć - odparłem, jakbym zawierał takie transakcje co tydzień. „Okrągły milion” - określenie to zadudniło we mnie jak w studni.

Próbowali mnie trochę naciskać. Złożyli już ofertę dwóm pozostałym gazetom, ale odniosłem wrażenie, że nie wszystko idzie po ich myśli. Najważniejszym elementem tej układanki był mój „Times”. Mieliśmy lepszy sprzęt i ociupinę większy nakład.

Ponownie odmówiłem i wyszli; wszyscy trzej wiedzieliśmy, że nie jest to nasza ostatnia rozmowa.

Jedenaście lat po ucieczce z Clanton Sam Ruffin wrócił do miasta w taki sam sposób, w jaki stąd wyjechał: autobusem w środku nocy. Zanim się o tym dowiedziałem, był w domu już od dwóch dni. Przyszedłem na co - czwartkowy lunch, no i proszę, siedział sobie na huśtanej ławce z uśmiechem szerokim jak uśmiech jego matki. Teraz, gdy syn wrócił

bezpiecznie do rodzinnego domu, panna Callie wyglądała i zachowywała się tak, jakby ubyłó jej dziesięć lat. Usmażyła kurczaka i ugotowała chyba wszystkie warzywa z ogródka.

Przyłączył się do nas Esau i ucztowaliśmy przez trzy godziny.

Sam skończył college i chciał pójść na prawo. Niewiele brakowało i ożeniłby się z Kanadyjką, ale jej rodzina była bardzo przeciwna temu związkowi, dlatego ze sobą zerwali.

Wiadomość ta przyniosła wielką ulgę pannie Callie. Sam nie wspominał jej w listach o swoim romansie.

Zamierzał zostać w Clanton kilka dni, siedzieć w domu i wychodzić do miasta tylko wieczorem. Obiecałem pogadać z Harrym Reksem, żeby trochę powęszył i sprawdził, co porabia Durant i jego

synowie. Z ogłoszeń prawnych, które zamieszczaliśmy w „Timesie”, pamiętałem, że się ożenił, a potem po raz drugi się rozwiódł.

Sam bardzo chciał zobaczyć miasto, więc pod wieczór wsadziłem go do spitfire'a i pojechaliśmy. Naciągnął na oczy czapkę baseballową Tygrysów z Detroit i jak gąbka chłonał widoki miasteczka, które wciąż nazywał swoim domem. Pokazałem mu redakcję, mój dom, nowy market i rozległe przedmieścia. Objechaliśmy gmach sądu i opowiedziałem mu o snajperze i o dramatycznej ucieczce Baggy'ego. Prawie o wszystkim wiedział z listów matki.

- Czy Padgitt naprawdę wyszedł? - spytał, gdy wysadziłem go przed domem.

- Nikt go nie widział. Ale na pewno siedzi już na wyspie.

- Spodziewasz się jakichś kłopotów?

- nie, raczej nie.

- Ja też nie. Ale nie mogę uspokoić mamy.

- Nic się nie stanie, Sam.

## **ROZDZIAŁ 37**

Pojedynczą kulę, która zabiła Lenny'ego Fargarsona, wystrzelono z myśliwskiej strzelby kalibru 30.06. Zabójca mógł czyhać nawet dwieście metrów od werandy, na której umarł Lenny. Za otaczającym jego dom trawnikiem rozciągał się gęsty las, dlatego istniało duże prawdopodobieństwo, że człowiek, który pociągnął za spust, wspiał się na drzewo, skąd

- doskonale ukryty - miał świetny widok na biednego Fargarsona.

Nikt nie słyszał wystrzału. Lenny siedział na wózku, czytając książkę, których wiele wypożyczał co tydzień z biblioteki w Clanton. Jego ojciec roznosił listy. Matka robiła zakupy w markecie. Wszystko wskazywało na to, że nie poczuł bólu i umarł natychmiast. Kula przebiła policzek tuż nad szczęką i utworzyła rozległą ranę wylotową nad lewym uchem.

Gdy matka go znalazła, nie żył już od jakiegoś czasu. Pani Fargarson zdołała się opanować i powstrzymać od dotyknięcia ciała; nie dotknęła też niczego na miejscu zbrodni.

Weranda była zalana krwią. Krew ściekała nawet na schodki.

Wiley przechwycił meldunek o morderstwie swoim policyjnym skanerem i od razu zadzwonił, żeby przekazać mi tę przyprawiającą o dreszcz wiadomość.

- Zaczęło się - powiedział. - Fargarson nie żyje. Ten kaleki chłopak.

Wpadł do redakcji, wskoczyliśmy do jego pikapa i pojechaliśmy. Żaden z nas nie powiedział ani słowa, ale obydwaj myśleliśmy o tym samym.

Lenny wciąż był na werandzie. Siła uderzenia pocisku zrzuciła go z wózka i leżał na boku z twarzą zwróconą w stronę domu. Szeryf McNatt prosił nas, żebyśmy nie robili zdjęć, więc nie robiliśmy. I tak nie zamieściłbym ich w gazecie.

Schodzili się już krewni i przyjaciele. Funkcjonariusze z biura szeryfa kierowali ich do bocznych drzwi. Stali też na werandzie, żeby zasłonić ciało. Odszedłem na bok i objąłem wzrokiem całą scenę: krzątający się wokół Lenny'ego policjanci, jego najbliżsi, którzy spiesząc do środka, żeby pocieszyć rodziców, próbowali choć na niego zerknąć.

Gdy zwłoki przeniesiono w końcu na nosze i załadowano do karetki, szeryf podszedł do mnie i oparł się o pikap parkujący obok naszego.

- Myśli pan o tym samym co ja? - spytał. - Tak.

- Mógłby pan skombinować listę przysięgłych?

nie opublikowaliśmy jej, ale była gdzieś w starych aktach.

- Jasne.

- Ile to potrwa?

- Godzinę. Co pan zamierza?

- Trzeba ich zawiadomić.

Gdy odjeżdżaliśmy, jego ludzie zaczęli przeczesywać las wokół domu.

Zawiozłem listę szeryfowi i przejrzelismy ją, nazwisko po nazwisku. W 1977 roku napisałem nekrolog przysięgłego numer pięć, niejakiego Freda Bilroya, emerytowanego strażnika leśnego, który zmarł nagle na zapalenie płuc. O ile wiedziałem, pozostałych dziesięciu wciąż żyło.

McNatt dał listę trzem funkcjonariuszom i ci rozjechali się po mieście, żeby przekazać wiadomość, której żaden z nich na pewno nie chciał słyszeć. Ja pojechałem na ochotnika do Callie Ruffin.

Siedziała na tarasie, patrząc, jak Esau i Sam toczą warcabową wojnę. Ucieszyli się na mój widok, ale szybko im przeszło.

- Mam niepokojącą wiadomość - zacząłem poważnie.

Czekali.

- Dziś po południu zamordowano Lenny'ego Fargarsona, tego kalekiego chłopaka z ławy przysięgłych.

Panna Callie zasłoniła ręką usta i opadła na oparcie bujaka. Sam podtrzymał ją i poklepał po

ramieniu. Opowiedziałem im pokrótce, co się stało.

- Był takim dobrym chrześcijaninem - szepnęła panna Callie. - Modliliśmy się razem przed rozpoczęciem narady. - nie płakała, ale miała wilgotne oczy. Esau przyniósł tabletki na ciśnienie. On siedział z synem przy bujaku, ja na huśtanej ławce. Zbici w gromadkę na małym tarasie, długo milczeliśmy. Panna Callie pogrążyła się w smutnej zadumie.

Zapadł ciepły wieczór. W świetle półksiężyca w Lowtown roiło się od dzieci na rowerach i rozmawiających przez płot sąsiadów. Na ulicy trwał głośny mecz w kosza, a mój spitfire zafascynował grupę dziesięciolatków do tego stopnia, że Sam musiał ich w końcu przepędzić. Dopiero drugi raz byłem u nich po zmroku.

- Tu tak codziennie? - spytałem.

- Tak, kiedy pogoda jest ładna - odrzekł Sam, chcąc się wygadać. - Cudownie się tu dorastało. Wszyscy wszystkich znają Kiedy miałem dziewięć lat, zbiłem baseballówką szybę samochodową. Wziąłem nogi za pas i zwałem prosto do domu, a na tarasie czekała na mnie mama. Już wiedziała. Musiałem wrócić na miejsce przestępstwa, przyznać się do winy i w pełni zrekompensować szkodę.

- I zrekompensowałeś - wtrącił Esau.

- Uzbieranie stu dwudziestu dolców zajęło mi pół roku.

Panna Callie prawie się uśmiechnęła, ale myślami wciąż była przy Lennym Fargarsonie. Chociaż nie widziała go od dziewięciu lat, zachowała o nim miłe wspomnienia.

Jego śmierć szczerze ją zasmuciła, ale i przeraziła.

Esau poszedł zrobić słodkiej herbaty z cytryną i wróciwszy na taras, po cichu schował dubeltówkę za bujakiem, tak że choć ukryta, była w zasięgu ręki.

W miarę upływu godzin ruch pieszych coraz bardziej malał; sąsiadów też ubywało.

Doszedłem do wniosku, że nie wychodząc z domu, panna Callie będzie trudnym celem. Miała sąsiadów, z obydwu stron i naprzeciwko, a w pobliżu nie było wzgórz, wież czy opustoszałych parceli.

nie powiedziałem o tym ani słowa, ale jestem pewien, że Sam i Esau myśleli o tym samym. Gdy panna Callie wstała, żeby pójść spać, pożegnałem się i pojechałem do aresztu.

W areszcie było pełno policjantów i panowała tam prawdziwie karnawałowa atmosfera, jaką może wprowadzić tylko porządne morderstwo. Wbrew sobie cofnąłem się myślą dziewięć lat wstecz, do nocy, kiedy przywieziono tu Danny'ego Padgitta w zakrwawionej koszuli.

nie znaleziono jedynie dwóch przysięgłych. Obydwaj się wyprowadzili i szeryf McNatt próbował ich namierzyć. Spytał mnie o pannę Callie, więc powiedziałem, że jest bezpieczna. O powrocie Sama nie

wspomniałem.

Szeryf zamknął drzwi i poprosił mnie o przysługę.

- Mógłby pan pogadać jutro z Wilbanksem?

- Dlaczego ja?

- Bo ja tego sukinsyna nie znoszę, a on nie znosi mnie.

- Nikt go tutaj nie lubi.

- Z wyjątkiem...

- Z wyjątkiem... Harry'ego Reksa?

- Właśnie. Może pogadalibyście z nim razem? Spytali, czy nie zostałby naszym łącznikiem w kontaktach z Padgittami. Chciał, nie chciał, kiedyś będę musiał porozmawiać z Dannym. Prawda?

- Chyba tak. Jest pan szeryfem.

- Pogadajcie z Wilbanksem, tylko tyle. Spróbujcie go wyczuć. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, może ja też z nim pogadam. Jak szeryf idzie pierwszy, zawsze jest gorzej.

- Wolałbym już chyba chłostę bykowcem. - Wcale nie żartowałem.

- Ale pogada pan?

- Prześlę się z tym.

Harry Rex nie był zachwycony. Niby po co mielibyśmy się w to mieszać?

Przedyskutowaliśmy tę kwestię przy wczesnym śniadaniu w barze i chociaż pora była jak dla nas dość niezwykła, nie chcieliśmy przegapić pierwszej fali plotek. Bar pękał oczywiście w szwach od rozemocjonowanych ekspertów, którzy sypali wszystkimi możliwymi szczegółami i teoriami na temat morderstwa. Dlatego więcej słuchaliśmy, niż jedliśmy i wyszliśmy stamtąd o wpół do dziewiątej.

Dwa domy dalej stał dom Wilbanksów.

- Dobra, chodźmy - rzuciłem, gdy go mijaliśmy.

W epoce przedlucienowskiej rodzina Wilbanksów była opoką naszej społeczności, podporą handlu i palestry. W złotych latach minionego stulecia mieli ziemię i banki. Wszyscy mężczyźni w rodzinie pokończyli prawo, niektórzy na uniwersytetach Ivy League. Ale z biegiem lat zaczęli podupadać, wreszcie stoczyli się na samo dno. Lucien był ostatnim męskim potomkiem Wilbanksów, który jeszcze się liczył, chociaż istniało wielkie prawdopodobieństwo, że wyrzucą go z palestry.

Ethel Twitty, jego wieloletnia sekretarka, powitała nas nieuprzejmie, szyderczo patrząc na Harry'ego Reksa, który cicho wymamrotał:

- Najzłośliwsza suka w mieście.

Chyba to słyszała. Było oczywiste, że drą ze sobą koty od wielu lat. Tak, szef jest u siebie. Czego chcemy?

- Chcemy się z nim zobaczyć - odparł Harry Rex. - Po co innego mieli byśmy tu przychodzić?

Podniosła słuchawkę telefonu, wybrała numer. Czekaliśmy.

- nie będę tu sterczał przez cały dzień! - warknął w pewnej chwili Harry Rex.

- Proszę - odrzekła chyba tylko po to, żeby się nas pozbyć.

Weszliśmy na górę. Gabinet Wilbanksa był wielki; miał co najmniej dziewięć metrów szerokości, dziewięć długości, ze trzy wysokości i rząd przeszklonych drzwi balkonowych wychodzących na rynek. Kancelaria mieściła się w jego północnej części, dokładnie naprzeciwko redakcji „Timesa”. Na szczęście dzielił nas gmach sądu i z mojego balkonu nie widziałem jego okien.

Powitał nas obojętnie, jakbyśmy przerwali mu długie, poważne rozważania. Chociaż było wcześniej, patrząc na jego zavalone papierami biurko, odnosiło się wrażenie, że pracował przez całą noc. Miał siwawe, opadające niemal do ramion włosy, niemodną hiszpańską bródkę i zmęczone, przekrwione oczy tęgiego pijaka.

- Cóż to za okazja? - spytał powoli.

Łypaliśmy na siebie spode łba z największą pogardą, na jaką było nas stać.

- Wczoraj mieliśmy kolejne morderstwo - zaczął Harry Rex. - Przysięgły. Fargarson, ten kaleki chłopak.

- Rozumiem, że rozmawiamy nieoficjalnie - odparł Wilbanks, patrząc na mnie.

- Jak najbardziej - odrzekłem. - Szeryf McNatt prosił mnie, żebym wpadł do pana się przywitać. Zaprosiłem Harry'ego Reksa.

- A więc jest to rozmowa czysto towarzyska, tak?

- Powiedzmy. Mała wymiana plotek o morderstwie.

- Znam szczegóły.

- Rozmawiałeś ostatnio z Dannym Padgittem? - spytał Harry Rex.

- Kiedy zwalniali go z więzienia.

- Jest gdzieś na terenie hrabstwa?

- Na pewno na terenie stanu, ale nie wiem gdzie. Jeśli przekroczy bez pozwolenia granicę stanu, pogwałci warunki zwolnienia.

Dlaczego nie mogli zwolnić go i wyrzucić na przykład do Wyoming? Prawo nakazywało, żeby morderca przebywał w pobliżu miejsca zbrodni - uznałem, że to dziwne.

Pozbyć się go, i już!

- Szeryf chciałby z nim pogadać - rzuciłem.

- Doprawdy? Dlaczego miałyby mnie to obchodzić? Niech sobie idzie i pogada.

- To nie takie proste, dobrze o tym wiesz - wtrącił Harry Rex.

- Czy szeryf ma jakieś dowody przeciwko mojemu klientowi? Jakikolwiek dowód obciążający? Słyszałeś kiedyś o prawdopodobieństwie winy, Harry Rex? nie możesz zgarniać wiecznie tych samych podejrzanych. To nie wystarczy.

- Groził przysięgłym - zauważyłem.

- Dziewięć lat temu.

- Ale groził i wszyscy o tym pamiętają Komisja wypuszcza go z więzienia i dwa tygodnie później ginie jeden z przysięgłych.

- To za mało, panowie. Przedstawcie mi więcej dowodów i porozmawiam z moim klientem. To, co mówicie, to tylko czyste domysły. Jest ich sporo, ale nasze miasto chętnie kupi każdą plotkę.

- nie wiesz, gdzie on teraz jest? - spytał Harry Rex.

- Przypuszczam, że na wyspie, z całą resztą.

„Z całą resztą” - zabrzmiało to tak, jakby mówił o stadzie szczurów.

- Co będzie, jeśli zastrzelą kolejnego przysięgłego? - drażył Harry Rex.

Wilbanks rzucił na biurko notatnik i podparł się łokciami.

- Niby co mam teraz zrobić? Zadzwoń do niego i powiedz: „Cześć, Danny. To na pewno nie ty mordujesz przysięgłych, ale gdybyś ich przypadkiem mordował, bądź tak dobry i przestań”? Myślisz, że mnie posłucha? Do niczego by nie doszło, gdyby posłuchał mojej rady. Kretyn. Nie chciałem, żeby zeznawał. Tak, to kretyn, zgoda! Ale jesteś adwokatem i na pewno też miałeś takich kretynów. Nie zapanujesz nad nimi, żebyś się nawet skitrał!

- Co będzie, jeśli zastrzelą kolejnego przysięgłego? - powtórzył Harry Rex.

- A co ma być? Umrze kolejny przysięgły. Zerwałem się z krzesła, ruszyłem do drzwi i rzuciłem:

- Obrzydliwy skurwysyn.

- Tylko ani słowa w gazecie - warknął.

- Idź do diabła! - wrzasnąłem, trzaskając drzwiami.

Pod wieczór z domu pogrzebowego zadzwoniła do mnie Margaret i spytała, czy mógłbym przyjechać. Byli tam Fargarsonowie. Wybierali trumnę i załatwiali ostatnie formalności. Jak wiele razy przedtem, wszedłem do saloniku C, najmniejszej sali, gdzie wystawiano zwłoki. Rzadko jej używano.

Towarzyszył im pastor J.B. Cooper z Pierwotnego Kościoła Baptistów Maranatha.

Święty człowiek. Słuchali każdej jego rady.

Co najmniej dwa razy w roku spotykałem się tu z członkami rodziny po tragicznej śmierci ich ukochanego czy ukochanej. Ludzie ci niemal zawsze ginęli w katastrofie samochodowej albo w jakimś makabrycznym wypadku na farmie. Umierali nieoczekiwanie, dlatego ich bliscy byli zbyt wstrząśnięci, żeby trzeźwo myśleć, zbyt zranieni, żeby podejmować decyzje. Ci silniejsi przechodzili przez to jak we śnie. Ci słabsi popadali w odrętwienie i mogli jedynie płakać. U Fargarsonów silniejsza była matka Lenny'ego, jednak koszmar, jaki przeżyła na widok syna z na wpół odstrzeloną głową, zmienił ją w rozdygotaną zjawę. Ojciec nic nie mówił, tylko tępo patrzył w podłogę.

Łagodnym głosem pastor opowiedział mi o zmarłym; wiele faktów z jego życia już znałem. Odkąd przed piętnastu laty Lenny przetrącił sobie kręgosłup, zawsze marzył o pójściu do nieba, o odrodzeniu w nowym ciele, o spacerach za rękę ze swoim Zbawcą. W tym duchu popracowaliśmy trochę nad sformułowaniami i pani Fargarson była nam głęboko wdzięczna. Dała mi zdjęcie syna siedzącego z wędką nad stawem. Obiecałem zamieścić je na pierwszej stronie.

Jak wszyscy pogrążeni w bólu rodzice, Fargarsonowie bardzo mi dziękowali, a gdy chciałem odejść, objęli mnie na pożegnanie. Bliskich zmarłego ciągnie do ludzi, zwłaszcza w domu pogrzebowym.

Wstąpiłem do Pepe, kupiłem trochę meksykańskiego jedzenia na wynos i pojechałem do Lowtown. Sam grał w kosza, panna Callie spała, Esau pilnował domu z dubeltówką. W

końcu zjedliśmy na ganku, chociaż panna Callie tylko skubała te obce jej podniebieniu potrawy. Nie była głodna. Esau powiedział, że w ciągu dnia prawie nic nie jadła.

Przywiozłem tryktraka i nauczyłem Sama grać. Esau wolał warcaby. Panna Callie była pewna, że każda czynność wymagająca rzutu kośćmi jest ewidentnie grzeszna, ale nie miała nastroju na wykład. Siedzieliśmy tam przez wiele godzin, długo po zapadnięciu zmroku, obserwując wieczorne rytuały Lowtown. Właśnie skończyła się szkoła, dni były dłuższe i gorętsze.

Co pół godziny przed domem przejeżdżał Buster, mój goryl. Gdy zwalniał, machałem mu ręką, że wszystko w porządku i wracał na podjazd przed domem Hocuttów. Dwa domy dalej zaparkował policyjny radiowóz i stał tam przez długi czas. Szeryf McNatt mianował



trzech czarnoskórych funkcjonariuszy i dwóch z nich przydzielił do pilnowania domu Ruffinów.

Inni też nas obserwowali. Gdy panna Callie poszła spać, Esau wyciągnął rękę i wskazał zaciemniony ganek domu Braxtonów po drugiej stronie ulicy.

- Tully tam jest - powiedział. - Ma oko na całą ulicę.

- Mówił, że będzie siedział całą noc - dodał Sam. Sprowokowanie strzelaniny w Lowtown byłoby teraz bardzo niebezpieczne.

Wyszedłem po jedenastej. Przeciąłem tory i przejechałem się pustymi ulicami Clanton. Miasto pulsowało napięciem i oczekiwaniem, bo to, co się zdarzyło, było jedynie początkiem.

## ROZDZIAŁ 38

Panna Callie chciała pójść na pogrzeb. Sam i Esau głośno protestowali, ale jak zawsze gdy już podjęła decyzję, kończyły się wszystkie rozmowy. Omówiłem to z szeryfem, który podsumował sprawę, mówiąc: „Pani Ruffin jest dorosła”. Nie słyszał, żeby w pogrzebie mieli uczestniczyć inni przysięgli, ale trudno to było ustalić.

Zadzwoiłem również do pastora Coopera, żeby go uprzedzić. Pastor powiedział:

„Chętnie powitamy ją w naszym kościółku. Niech przyjdzie wcześniej”.

nie licząc rzadkich przypadków, biali i czarni nigdy nie uczestniczyli we wspólnych nabożeństwach. Gorąco wierzyli w tego samego Boga, ale czcili go w zupełnie odmiennym stylu. W niedzielę większość białych wychodziła z kościoła pięć po dwunastej i dwadzieścia pięć minut później siadała już do lunchu. Czarnym było wszystko jedno, kiedy skończy się nabożeństwo; całkowicie obojętne było im również to, kiedy się rozpocznie. Podczas swoich wypraw odwiedziłem dwadzieścia siedem czarnych kościołów i ani razu nie widziałem, żeby kapłan pobłogosławił zebranych przed wpół do drugą. Normą była trzecia. Niektóre nabożeństwa trwały przez cały dzień, z krótką przerwą na lunch w holu wspólnoty, po którym wierni wracali do kościoła na kolejną rundę modłów.

Taka gorliwość zabiłaby każdego białego chrześcijanina.

Ale z pogrzebami było zupełnie inaczej. Kiedy panna Callie, Sam i Esau weszli do kościoła, ten i ów spojrzął na nich i na tym się skończyło. Gdyby przyszli tam w niedzielę, na zwykłe nabożeństwo, ludzie mieliby pretensje.

Chociaż przyjechaliliśmy czterdzieści pięć minut przed czasem, uroczy kościółek był

już prawie całkowicie wypełniony. Przez wysokie, otwarte na oścież okno widziałem, jak w naszą stronę ciągnie samochód za samochodem. Na jednym z prastarych dębów zawieszono głośnik i gdy w środku zabrakło miejsca, zebrał się tam tłum. Chór zaśpiewał *The Old Rugged Cross* i popłynęły łzy. Kazanie pastora Coopera było łagodną przestrogą, żebyśmy nigdy nie pytali, dlaczego złe rzeczy przytrafiają się dobrym ludziom. Bóg wie, co robi, i chociaż jesteśmy za maluczcy, żeby zrozumieć Jego nieskończoną mądrość i majestat, pewnego dnia na pewno się nam objawi. Lenny jest już z Nim,

tam gdzie zawsze chciał być.

Pochowano go za kościołem, na idealnie utrzymanym cmentarzyku za ogrodzeniem z kutego żelaza. Gdy spuszczano trumnę, panna Callie ścisnęła mnie za rękę i żarliwie się modliła. Solistka zaśpiewała *Amazing Grace* i pastor podziękował nam za przybycie. W holu wspólnoty za świątynią czekał poncz i ciasteczka i większość żałobników została, żeby trochę porozmawiać i zamienić słowo z państwem Fargarson.

Szeryf kiwnął do mnie głową, jakby chciał pogadać. Wyszliśmy przed kościół, gdzie nikt nie mógł nas podsłuchać. McNatt był w mundurze i jak zwykle żuł wykałaczkę.

- Widzieliście się z Wilbanksem? - spytał.

- Tylko wtedy. Wczoraj Harry Rex poszedł sam, ale niczego nie wskórał.

- Chyba będę musiał z nim porozmawiać.

- Może pan, ale to nic nie da.

Wykałaczka przesunęła się z jednego kącika ust do drugiego, jak cygaro Harry'ego Reksa; szeryf też potrafił to zrobić, nie przerywając mówienia.

- Nic innego nie mamy. Przeczesałszy las wokół domu i nic, żadnych śladów, dosłownie nic. Ale nie napisze pan o tym, prawda?

- nie.

- Głęboko w lesie natrafiliśmy tylko na stare koleiny przy wycince. Zbadaliśmy każdą i też nic.

- A więc jedynym dowodem jest kula.

- Kula i denat.

- Czy ktoś widział Danny'ego?

- Jak dotąd nie. Wysłałem dwa wozy na szosę 401. Stoją przy skręcie na wyspę. Mało tam widać, ale Padgittowie wiedzą przynajmniej, że mamy na nich oko. Z wyspy można uciec na sto sposobów, ale tylko oni znają wszystkie.

Powoli szli ku nam Ruffinowie, rozmawiając z jednym z czarnych zastępców.

- Ona jest chyba najbezpieczniejsza - powiedział McNatt.

- Czy w ogóle ktoś jest bezpieczny?

- To się okaże. On spróbuje znowu, Willie, niech pan zapamięta moje słowa. Jestem tego pewny.

- Ja też.

Ned Ray Zook miał dwa tysiące hektarów ziemi we wschodniej części stanu. Uprawiał

bawełnę i soję i robił to na skalę wystarczająco dużą, żeby zapewnić sobie niezły dochód.

Powiadano, że należy do garstki niedobitków, którzy potrafią wyssać z ziemi duże pieniądze.

To właśnie tam, na jego gospodarstwie, w przebudowanej oborze w głębi lasu, przed dziewięciu laty widziałem walkę kogutów, na którą zabrał mnie Harry Rex.

Wczesnym rankiem czternastego czerwca do jego szopy ze sprzętem zakradł się wandal i częściowo spuścił olej z silników dwóch dużych traktorów. Zlał go do puszek, a puszki schował za szpargałami, dlatego traktorzyści, którzy przyszli tam o szóstej, nie dostrzegli niczego podejrzanego. Jeden z nich sprawdził poziom oleju, zauważył ubytek, pomyślał, że to dziwne, i nic nikomu nie mówiąc, dołał do pełna. Ten drugi sprawdzał olej poprzedniego dnia, po południu, jak miał to w zwyczaju. Godzinę później jego ciągnik stanął

nagle z zatartym silnikiem. Traktorzysta wrócił piechotą do szopy - miał stamtąd ledwie kilkaset metrów - i zameldował zarządcy o awarii.

Dwie godziny później na polnej drodze pojawiła się zielono - żółta półciężarówka, która podskakując na wybojach, skręciła w stronę unieruchomionej maszyny. Dwaj mechanicy powoli wysiedli, spojrzeli na palące tego dnia słońce i bezchmurne niebo, po czym podeszli do ciągnika, żeby dokonać wstępnych oględzin. Po oględzinach niechętnie otworzyli wbudowane w samochód skrzynki i zaczęli wyjmować narzędzia i klucze. Słońce prażyło i już niebawem ociekali potem.

Żeby choć trochę umilić sobie pracę, włączyli radio w ciągniku i podkręcili głośność.

Po drugiej stronie sojowego pola pyркаł traktor.

Muzyka zagłuszyła suchy trzask odległego wystrzału. Kula trafiła Mo Teale'a w górną część klatki piersiowej, przebiła płuco i utworzyła wielką ranę wylotową w piersi. Red, jego kolega, powtarzał potem, że na sekundę, może na dwie przed tym, jak Mo upadł pod przednią oś, usłyszał tylko gniewne, zduszone stęknienie, nic więcej. Początkowo myślał, że nagle coś pękło albo się obluźowało i Mo tym czymś oberwał. Wciągnął go do samochodu i popędził na farmę, martwiąc się o kumpla i nie myśląc o tym, co mogło go ranić. Zarządca wezwał

karetkę, ale było już za późno. Mo Teale zmarł na betonowej podłodze jego małego, zakurzonego biura za szopą z narzędziami. Podczas procesu nazywaliśmy go Johnem Deere'em. Środek pierwszego rzędu, źle wróżący język ciała.

W chwili śmierci miał na sobie jaskrawożółtą koszulę; codziennie przychodził w takich do sądu. Była doskonałym celem.

Widziałem go tylko z daleka, przez otwarte drzwi. Szeryf McNatt nie wpuścił nas do szopy, wydając standardowy już teraz zakaz robienia zdjęć. Wiley zostawił aparat w pikapie.

Znowu kręcił gałkami policyjnego skanera, gdy w głośniku zatrzeszczało: „Strzały na farmie Neda Raya Zooka!” Ostatnio ciągle siedział na nasłuchu, ale nie on jeden. W

hrabstwie panowała tak napięta atmosfera, że pełną parą pracowały wszystkie skanery, a każdy wystrzał stanowił znakomity pretekst do tego, żeby wskoczyć do samochodu, popędzić na miejsce zdarzenia i zbadać sytuację.

Kilka minut później McNatt kazał nam odjechać. Jego ludzie znaleźli puszki ze spuszczonej olejem i wyważone okno, którym wandal wszedł do środka. Szukali odcisków palców, ale bez skutku. Szukali śladów stóp na żwirze - na próżno. Przetrzęsnęli las wokół

sojowego pola, lecz zabójcy już tam nie było. Znaleźli za to łuskę kalibru 30.06 i szybko ustalili, że jest identyczna jak łuska pocisku, od którego zginął Lenny Fargarson.

Siedziałem w biurze szeryfa do późnego wieczoru. Zgodnie z oczekiwaniami, roiło się tam od zastępców i konstabli, którzy gadali, porównywali szczegóły i zmyślali nowe.

Nieustannie dzwoniły telefony. Zaobserwowałem też nowe zjawisko. Nie mogąc pohamować ciekawości, wpadało tam coraz więcej przypadkowych ludzi, żeby wypytać o nowiny.

Ale nowin nie było. McNatt zabarykadował się w gabinecie i odbył naradę wojenną ze swoimi najlepszymi specami. Najważniejszym zadaniem była ochrona pozostałych ośmiu przysięgłych. Trzech już nie żyło: Fred Bilroy (zmarł na zapalenie płuc), Lenny Fargarson, no i Mo Teale. Jeden przeprowadził się na Florydę dwa lata po procesie. Przed domem każdego z tej ósemki stał już policyjny radiowóz.

Jechałem do redakcji, żeby napisać artykuł o morderstwie Mo Teale'a, ale zobaczyłem światło w oknach kancelarii Harry'ego Reksa. Sam Harry Rex siedział w sali konferencyjnej, po uszy w zeznaniach i aktach, a ponieważ na widok tego prawniczego rumowiska zawsze dostawałem bólu głowy, wzięliśmy z lodówki dwa piwa i pojechaliśmy na przejażdżkę.

W robotniczej części miasta, znanej jako Coventry, skręciliśmy w wąską uliczkę i powoli minęliśmy dom, przed którym zderzak w zderzak, niczym leżące jedna na drugiej kostki domina, parkowało kilkanaście samochodów.

- Dom Maxine Root - powiedział Harry Rex. - Tej przysięgłej.

Pamiętałem ją jak przez mgłę. Jej ceglany domek miał ganek tak mały, że sąsiedzi musieli siedzieć na składanych krzesłach na trawniku wokół podjazdu. Niektórzy mieli strzelby. W domu paliły się wszystkie światła. Przy skrzynce pocztowej stał policyjny radiowóz. Pałac papierosa i uważnie nas obserwując, o maskę opierało się dwóch funkcjonariuszy z biura szeryfa. Harry Rex zatrzymał samochód.

- Dobry wieczór, Troy - rzucił do jednego z nich.

- Jak się masz, Harry Rex - odrzekł tamten, podchodząc krok bliżej.

- Siedzą tam jak w fortcey, co?

- Tylko idiota zacząłby tu rozrabiać.

- Byliśmy w pobliżu, więc wpadliśmy.

- Lepiej jedźcie dalej, swędzą ich palce.

- Trzymaj się.

Pojechaliśmy do północnej części miasta i za miejską oborą skręciliśmy w długi, mroczny zaułek niedaleko wieży ciśni. Mniej więcej w połowie zaułka po obu stronach jezdni stało kilkanaście samochodów.

- Kto tu mieszka? - spytałem.

- Earl Youry. Siedział w ostatnim rzędzie, najdalej od publiczności.

Na werandzie tłoczyli się ludzie. Niektórzy przycupnęli na schodkach, inni na krzesłach na trawie. Gdzieś tam, dobrze strzeżony przez przyjaciół i sąsiadów, ukrywał się Youry.

Panna Callie też nie była bezbronna. Po obu stronach jezdni przed jej domem stały rzędy samochodów, niemal blokując ulicę. Na samochodach siedzieli mężczyźni z papierosami w ustach i strzelbami w rękach. Na werandach i podwórzach sąsiednich domów roiło się od ludzi. Żeby ją chronić, przyszło tam chyba pół miasta. Panowała świąteczna atmosfera, zwykle towarzysząca wydarzeniom rzadkim i wyjątkowym.

Jako biali, zostaliśmy poddani szczególnie dokładnej inspekcji. Jechaliśmy powoli, stanęliśmy dopiero przy radiowozie i gdy po krótkiej rozmowie zastępcy szeryfa pozwolili nam zostać, czarni strażnicy zdjęli palce ze spustów. Zaparkowaliśmy i wszedłem na taras, gdzie czekał na mnie Sam. Harry Rex został pogadać z zastępcami.

Panna Callie czytała Biblię w sypialni z przyjaciółką z kościoła. Samowi i Esauowi towarzyszyło kilku diakonów i wszyscy zaczęli wypytywać mnie o szczegóły morderstwa.

Powiedziałem tyle, ile wiedziałem, to znaczy niewiele.

O północy tłum zaczął powoli rzednąć. Ludzie szeryfa zorganizowali całonocną wartę na tarasie i na ganku od podwórza. Wartownicy mieli zmieniać się co kilka godzin i ochotników nie brakowało. Panna Callie nigdy nie myślała, że jej uroczy, bogobojny domek stanie się kiedyś obsadzoną zbrojnymi warownią, ale w tych okolicznościach nie mogła narzekać.

Niespokojnymi ulicami dojechaliśmy do domu Hocuttów i na podjeździe znaleźliśmy śpiącego Bustera. Znaleźliśmy też flaszkę bourbona i usiedliśmy na werandzie, odganiając komary i próbując ocenić sytuację.

- Jest bardzo cierpliwy - mówił Harry Rex. - Odczeka kilka dni, aż są siedzi zmęczą się

wysiadywaniem na gankach i wszystko się uspokoi. Przysięgli nie wytrzymają długo w zamknięciu. Facet odczeka.

Policja nie ujawniła nikomu pewnego wywołującego zimny dreszcz faktu, że tydzień wcześniej nasz warsztat mechaniczny otrzymał wezwanie do awarii. Na farmie Andersena na południowym krańcu miasta w podobnych okolicznościach zepsuł się ciągnik. Ale zamiast Mo Teale'a, jednego z czterech głównych mechaników, pojechał tam ktoś inny. I to jego żółtą koszulę obserwował przez lunetkę zabójca.

- Tak - odrzekłem. - Jest cierpliwy i pedantyczny. - Od śmierci Lenny'ego Fargarsona minęło jedenaście dni i jak dotąd nie znaleziono nic, co mogłoby naprowadzić na trop zabójcy. Jeżeli rzeczywiście był nim Danny, jego pierwsza zbrodnia - zamordowanie Rhody Kassellaw - diametralnie różniła się od dwóch kolejnych. Z brutalnego mordercy zabijającego z na mierności Padgitt awansował na bezdusznego kata. Może nauczyło go tego więzienie.

Miał mnóstwo czasu, żeby zapamiętać twarze dwunastu ludzi, którzy go tam wsadzili, i zaplanować zemstę.

- Jeszcze nie skończył - mówił Harry Rex.

Gdyby doszło tylko do jednego morderstwa, można by uznać, że ofiara była przypadkowa. Dwa tworzyły już pewien wzór. Trzecie ściągnęłoby na Wyspę Padgittów armię policjantów i straży obywatelskiej, którzy rozpętaliby tam otwartą wojnę.

- Tak, będzie czekał, pewnie długo...

- Słuchaj, chcę sprzedać gazetę.

Harry Rex pociągnął długi łyk bourbona.

- Po co?

- Żeby mieć pieniądze. Pewna spółka z Georgii złożyła mi poważną propozycję.

- Ile dają?

- Dużo. Więcej, niż kiedykolwiek marzyłem. Przez długi czas nie musiałbym pracować. Może już nigdy bym nie pracował.

Ta myśl rąbnęła go, że hej. On harował po dziesięć godzin na dobę, w nieustannym chaosie burzliwych rozmów z wkurzonymi rozwodnikami. Często przesiadywał do późnej nocy, gdy w kancelarii było cicho i mógł spokojnie pomyśleć. Żył mu się nieźle, ale musiał

walczyć o każdego centa.

- Kiedyś ty ją kupił?

- Gazetę? Dziewięć lat temu.
- Trudno sobie wyobrazić innego redaktora.
- Może właśnie dlatego powinienem ją sprzedać. Nie chcę stać się kolejnym Wilsonem Caudle'em.
- Co będziesz robił?
- Wezmę urlop, popodróżuję, zwiedzę świat, znajdę sobie miłą dziewczynę, ożenię się, zrobię jej dziecko, potem drugie, trzecie... To duża chałupa.
- nie wyprowadzisz się?
- Dokąd? Tu jest mój dom. Kolejny łyk bourbona.
- Sam nie wiem. Daj mi się z tym przespać. - Wstał, wyszedł i odjechał.

## **ROZDZIAŁ 39**

Liczba ofiar narastała, było więc nieuniknione, że sprawa ta stanie się głośna nie tylko w „Timesie”. Nazajutrz rano wpadł do redakcji mój znajomy reporter z Memphis, a dwadzieścia minut później dołączył do nas reporter z Jackson. Obydwaj grasowali po północnej części Missisipi, gdzie najbardziej sensacyjną wiadomością była zwykle eksplozja w fabryce czy proces jakiegoś urzędnika z rady miejskiej.

Nakreśliłem im sytuację, opowiedziałem o zwolnieniu Padgitta i o strachu, jaki zapanował w całym hrabstwie. Nie byliśmy rywalami - obydwoj pisali dla dużych dzienników, które nie wchodziły sobie w paradę. Większość moich czytelników subskrybowała też gazety z Memphis albo z Jackson. Popularnością cieszył się również dziennik z Tupelo.

Poza tym, szczerze mówiąc, powoli przestawało mnie to bawić; nie, nie te wszystkie morderstwa, tylko dziennikarstwo jako zawód. Wzywał mnie świat. Siedząc tam, pijąc kawę i gawędząc z tymi dwoma weteranami, z których każdy był starszy ode mnie i zarabiał

czterdzieści tysięcy dolarów rocznie, trudno mi było uwierzyć, że mógłbym wstać i wyjść stąd z milionem dolarów na koncie. Nie potrafiłem się skupić.

W końcu wyszli, żeby napisać o tym każdy po swojemu. Kilka minut później zadzwonił Sam z pilnym wezwaniem.

- Musisz tu wpaść - powiedział.

Zdezorganizowany i rozprzężony oddział strażników wciąż biwakował na tarasie Ruffinów. Wszyscy czterej mieli zmęczone oczy i byli niewyspani. Sam przeprowadził mnie przez posterunek i weszliśmy do kuchni, gdzie panna Callie łuskała fasolę; zwykle robiła to na ganku od podwórza. Posłała mi ciepły uśmiech i jak zawsze wyściskała mnie na powitanie, tak na niedźwiedzia, ale czułem, że jest mocno zaniepokojona.

- Tam - rzuciła.

Sam kiwnął głową i weszliśmy do małej sypialni. Panna Callie zamknęła drzwi, jakby wejść tam mógł ktoś obcy, i zniknęła w ciasnej garderobie. Czekaliśmy w niezręcznej ciszy, a ona buszowała w środku.

W końcu wyszła ze starym kołonoratnikiem, który najwyraźniej dobrze tam ukryła.

- Coś tu nie pasuje - oznajmiła, siadając na brzegu łóżka. Sam usiadł obok niej, a ja w starym bujaku. Panna Callie przerzuciła kilka odręcznie zapisanych kartek. - Jest. Uroczyście przyrzekliśmy, że nigdy nikomu nie powiemy, co działo się w sali narad, ale to zbyt ważne.

Uznaliśmy Padgitta za winnego po głosowaniu szybkim i jednomyślnym. Ale kiedy przyszło do głosowania nad karą śmierci, napotkaliśmy sprzeciw. Nie chciałam wysłać nikogo do komory gazowej, ale obiecałam przestrzegać prawa. Wybuchła burzliwa dyskusja, padały ostre słowa, oskarżenia i pogrożki. Nieprzyjemnie było tam siedzieć. Kiedy każdy z nas zajął

już stanowisko, okazało się, że trzech przysięgłych jest przeciwnych karze śmierci i nie zamierzają zmieniać zdania.

Pokazała mi notatnik. Na jednej ze stron widniały dwie kolumny nazwisk zapisanych czystym, wyraźnym pismem. W jednej było dziewięć, w drugiej tylko trzy: L. Fargarson, Mo Teale i Maxine Root. Gapiłem się na nie, myśląc, że może mam przed sobą listę ofiar mordercy.

- Kiedy to pani napisała? - spytałem.

- Podczas procesu, prowadziłam notatki.

Dlaczego Danny Padgitt miałby mordować ludzi, którzy nie chcieli skazać go na śmierć, którzy uratowali mu życie?

- Zabija nie tych, co trzeba, prawda? - rzucił Sam. - To znaczy, źle robi, że w ogóle zabija, ale jeśli ktoś szuka zemsty, po co miałby mordować ludzi, którzy próbowali go ocalić?

- No właśnie - powiedziała panna Callie. - To nie ma sensu.

- Za dużo spekulujecie - odparłem. - Zakładacie, że dobrze znał rozkład głosów. O ile wiem, a węszyłem wokół tego dość długo, żaden z nich nikomu tego nie zdradził. Zaraz potem zrobiło się głośno o desegregacji i ludzie szybko zapomnieli o procesie. A Padgitta przewieziono do Parchman tego samego dnia, kiedy uznaliście go za winnego. nie, moim zdaniem on zaczyna od najłatwiejszych ofiar, a to, że Fargarson i Teale wyszli mu pod łufę, to czysty przypadek.

- Trochę za dużo tych przypadków - zauważył Sam.

Myśleliśmy o tym przez chwilę. Nie byłem pewien, czy moja teoria jest do przyjęcia; nie byłem już pewien niczego. I nagle przyszło mi do głowy coś jeszcze.



- Pamiętajcie - powiedziałem - że wszyscy przysięgli, cała dwunastka, uznali go za winnego i było to zaraz po tym, jak wam groził.

- Może - szepnęła bez przekonania panna Callie. Próbowaliśmy zrozumieć coś, co było zupełnie niezrozumiałe.

- Tak czy inaczej, muszę przekazać to szeryfowi - zdecydowałem.

- Obiecaliśmy, że nigdy nikomu nie powiemy.

- To było dziewięć lat temu, mam - odparł Sam. - Poza tym nikt nie mógł przewidzieć, że dojdzie do tych morderstw.

- To ważne - dodałem. - Zwłaszcza dla Maxine Root.

- Myślisz, że inni przysięgli jeszcze tego nie rozgłosili? - spytał Sam.

- Może, ale od tamtego czasu minęło kupę lat. Poza tym wątpię, żeby prowadzili tak dokładne notatki.

Przed drzwiami wybuchło małe zamieszanie. Przyjechali Bobby, Leon i Al. Spotkali się w St. Louis i jechali całą noc. Wypiliśmy kawę przy kuchennym stole i zapoznałem ich z przebiegiem ostatnich wydarzeń. Panna Callie nagle ożyła. Zaczęła planować obiad i sporządziła dla Esaua listę warzyw do zebrania.

Szeryf McNatt był w terenie; wciąż odwiedzał przysięgłych. Musiałem się na kimś wyładować, więc wpadłem jak burza do kancelarii Harry'ego Reksa i niecierpliwie czekałem, aż skończy spisywać czyjeś zeznanie. Gdy zostaliśmy sami, powiedziałem mu o liście przysięgłych panny Callie. Przez dwie godziny wyklócał się z salą adwokatów, więc też był podkrecony.

I jak to on, wysnuł zupełnie inną, bardziej cyniczną teorię.

- Tych troje miało doprowadzić do tego, żeby ława utknęła w martwym punkcie już w fazie orzekania o winie - zawyrokował po krótkim namyśle. - Ale z jakichś powodów cała trójka pękła. Pewnie uważali, że robią dobrze, darując mu życie, ale Padgitt myśli oczywiście inaczej. Wkurzał się przez dziewięć lat, bo przekupieni przez niego ludzie gruntownie zawalili. Postanowił, że najpierw załatwi ich, a potem zapoluje na pozostałych.

- Danny Padgitt przekupił Lenny'ego Fargarsona? Zwariowałaś.

- Bo co? Bo był kaleką?

- nie, bo był głęboko wierzącym chrześcijaninem.

- Wierzącym i bezrobotnym. Wiedział, że z biegiem lat jego stan się pogorszy. Może potrzebował pieniędzy. Cholera, wszyscy potrzebują pieniędzy. A Padgittowie wożą szmal ciężarówkami.

- nie, to niemożliwe.

- Trzyma się kupy bardziej niż twoje świrnięte hipotezy. To co ty właściwie twierdzisz? Że ktoś inny ich morduje?

- Tego nie powiedziałem.

- To dobrze, bo już miałem nazwać cię kretynem.

- Nazywałeś mnie gorzej.

- Ale nie dzisiaj.

- Według twojej teorii, Mo Teale i Maxine Root też wzięli w łapę od Padgittów, potem wykiwali ich, uznając Danny'ego za winnego morderstwa, jeszcze potem głosowali przeciwko karze śmierci, a teraz płacą za to najwyższą cenę, bo ława miała utknąć w martwym punkcie, a nie utknęła, tak?

- A żebyś wiedział!

- Wiesz co? To ty jesteś kretyn, nie ja. Po co taki Mo Teale, człowiek uczciwy, ciężko pracujący, wierzący, praktykujący i nienawidzący zbrodni, miałby brać pieniądze od Padgittów?

- Może mu grozili.

- Może! A może nie?

- No to jaką masz teorię?

- Zabija ich Padgitt i tak się przypadkiem złożyło, że dwiema pierwszymi mi ofiarami byli dwaj z trojga przysięgłych, którzy głosowali przeciwko karze śmierci. Padgitt nie wie, jak rozłożyły się głosy. Dwanaście godzin po werdykcie siedział już w Parchman. Zrobił listę.

Fargarson poszedł na pierwszy ogień, bo był najłatwiejszym celem. Potem załatwił Teale'a, bo wiedział, jak i gdzie go wywabić.

- Kto będzie trzeci?

- nie wiem, ale ci ludzie nie będą siedzieć w domu do końca życia. Zagra na czas, zaczeka, aż sprawa przycichnie, i znowu zaczną planować.

- Mógł mieć współnika.

- Otóż to.

Telefon dzwonił nieustannie. Gdy na chwilę przestał, Harry Rex łypnął nań spode łba i mruknął:

- Mam robotę.

- Pójdę do szeryfa. Na razie.

Byłem już w progu, gdy nagle zawołał:

- Willie, jeszcze jedno!

Odwrociłem się.

- Sprzedaj gazetę, zgarnij szmal i jedź się zabawić. Zasłużyłeś na to.

- Dzięki.

- Ale nie wyprowadzaj się stąd. Jasne?

- nie zamierzam.

Earl Youry jeździł równiarką. Wyrównywał wiejskie drogi w najodleglejszych zakątkach hrabstwa, od Possum Ridge aż po Shady Grove i jeszcze dalej. Ponieważ pracował

sam, postanowiono, że kilka dni spędzi w miejskiej zajezdni, gdzie miał wielu czujnych przyjaciół ze strzelbami w samochodach. Szeryf naradził się z nim, pogadał z jego przełożonym i opracował plan ochrony.

Youry zadzwonił do niego z ważną informacją. Przyznał, że nie pamięta wszystkiego dokładnie, ale jest pewien, że ten Fargarson, ten kaleki chłopak, i Mo Teale kategorycznie sprzeciwiali się wysłaniu Padgitta do komory gazowej. Przypominał też sobie, że był ktoś jeszcze, jakaś kobieta, chyba ta czarna. A potem zadał McNattowi to samo pytanie: „Dlaczego Danny Padgitt miałby zabijać przysięgłych, którzy uratowali mu życie?”

Gdy wszedłem do biura, szeryf właśnie skończył z nim rozmawiać i był kompletnie zdezorientowany. Zamknąłem drzwi i streściłem mu rozmowę z panną Callie.

- Widziałem te notatki - zakończyłem. - Tą trzecią była Maxine Root.

Przez godzinę powielaliśmy argumenty, które padły podczas mojej rozmowy z Samem i Harrym Reksem, i obydwaj stwierdziliśmy, że to nie ma sensu. Szeryf nie wierzył, żeby Padgittowie przekupili lub zastraszyli Lenny'ego czy Mo Teale'a; co do Maxine Root, nie był

tego pewny, ponieważ pochodziła z dość szemranej rodziny. Mniej więcej zgadzał się ze mną, że wybór dwóch pierwszych ofiar był przypadkowy i że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Padgitt nie wiedział, jak głosowali przysięgli. Co ciekawe, twierdził też, że rok po zakończeniu procesu dowiedział się, iż doszło wśród nich do podziału - troje nie chciało kary śmierci i Mo Teale gwałtownie przeciwko niej protestował.

Jednakże obydwaj zgodnie przyznaliśmy, że dzięki Wilbanksowi Padgittowie mogli znać więcej szczegółów niż my. Tak więc wszystko było możliwe.

I nic nie miało sensu.

Zadzwoił przy mnie do Maxine Root. Była księgową w fabryce butów na północ od miasta i uparła się, żeby pójść do pracy. Rano szeryf odwiedził ją w biurze, żeby wszystko sobie obejrzyć, porozmawiać z jej szefem i kolegami i dodać wszystkim otuchy. Przed budynkiem administracyjnym czuwało dwóch funkcjonariuszy, wypatrując kłopotów i czekając, aż Maxine wyjdzie z pracy i będą mogli odwieźć ją do domu.

Przez kilka minut gawędzili przez telefon jak starzy przyjaciele.

- Posłuchaj - powiedział w pewnej chwili McNatt. - Wiem, że przeciwko karze śmierci dla Padgitta głosowała tylko wasza trójka, ty, Mo Teale i chłopak Fargarsonów, dlatego...

Musiała mu przerwać, bo nagle umilkł.

- Nieważne, skąd wiem. Ważne jest to, że niepokoję się o twoje bezpieczeństwo, i to bardzo.

Ona gadała, a on słuchał, od czasu do czasu wtrącając kilka słów w rodzaju:

- Powiedz braciom, że jak gdzieś jadą, to niech jadą z bronią.

Albo:

- Pracuję nad tym i kiedy tylko zdobędziemy dowody, zdobędę nakaz aresztowania.

Albo:

- Już za późno, żeby wpakować go do komory. Zrobiłaś to, co uważałaś za słuszne, przynajmniej wtedy.

Pod koniec rozmowy się rozplakała.

- Biedactwo - mruknął McNatt. - Nerwy ma w strzępach.

- Wcale się jej nie dziwię - odrzekłem. - Ja też nie podchodzę do okna.

## **ROZDZIAŁ 40**

Nabożeństwo żałobne odbyło się w kościele metodystów przy Willow Road; kościół

ten zajmował trzydzieste szóste miejsce na liście moich ulubionych świątyń. Stał na samym skraju miasta, na południe od rynku. Ponieważ nie znałem Teale'a, nie poszedłem na pogrzeb

- w przeciwieństwie do wielu innych, którzy poszli, choć też go nie znali.

Gdyby zmarł na atak serca w wieku pięćdziesięciu jeden lat, byłaby to śmierć nagła i tragiczna, i nabożeństwo na pewno przyciągnęłoby imponujący tłum ludzi. Jednakże to, że zastrzelił go z zemsty

niedawno zwolniony morderca, dla każdego ciekawskiego stanowiło pokusę nie do odparcia. Przyszli wszyscy, łącznie z jego dawno zapomnianymi kolegami z ogólniaka, starymi, wścibskimi wdowami, które rzadko kiedy opuszczały ładny pogrzeb, reporterami z sąsiednich hrabstw oraz kilkoma dżentelmenami, których łączyło z Teale'em tylko to, że byli właścicielami ciągników marki John Deere.

Ja siedziałem w redakcji, pisząc nekrolog. Jego najstarszy syn raczył wpaść do mnie z materiałami. Miał trzydzieści trzy lata - Mo i jego żona musieli wcześniej założyć rodzinę - i sprzedawał samochody w salonie Forda w Tupelo. Siedział u mnie prawie dwie godziny i rozpaczliwie chciał, abym dał mu słowo, że Danny Padgitt zostanie zawleczony na sznurze za miasto i ukamienowany.

Teale'a pochowano na naszym cmentarzu. Kondukt żałobny ciągnął się przez wiele ulic. Zahaczył o rynek, skręcił w Jackson Avenue i przeszedł tuż pod oknami redakcji

„Timesa”. Ruchu nie tamował - wszyscy byli na pogrzebie.

Za pośrednictwem Harry'ego Reksa Lucien Wilbanks umówił się na spotkanie z szeryfem McNattem, wyraźnie zaznaczając, że nie życzy sobie mojej obecności. Miałem to gdzieś; Harry Rex robił notatki i wszystko mi opowiedział z zastrzeżeniem, że o tym nie napiszę.

Do kancelarii Wilbanksa przyszedł również prokurator okręgowy Rufus Buckley, który do 1975 roku zastępował Erniego Gaddisa. Buckley kochał reklamę i chociaż jeszcze niedawno nie chciał mieszać się w sprawę zwolnienia warunkowego Padgitta, teraz był gotów stanąć na czele tłumu i go zlinczować. Harry Rex Buckleya nie znosił, i z wzajemnością.

Wilbanks też go nie znosił, ale on nie znosił dosłownie nikogo, bo nikt nie znosił jego. Szeryf nie cierpiał Wilbanksa, tolerował Harry'ego Reksa i musiał stanąć po tej samej stronie barykady co Buckley, chociaż prywatnie go nie lubił.

Zważywszy na tę burzę sprzecznych emocji, cieszyłem się, że nie zaproszono mnie na spotkanie.

Wilbanks zaczął od poinformowania zebranych, że odbył rozmowę zarówno z Dannym Padgitem, jak i z jego ojcem, Gillem. Nie, nie rozmawiali na wyspie, tylko gdzieś za miastem. Danny sprawował się dobrze. Pracował w biurze rodzinnego przedsiębiorstwa budowy dróg na zapewniającej bezpieczny azyl wyspie.

Naturalnie zaprzeczył, że ma coś wspólnego ze śmiercią Lenny'ego Fargarsona i Mo Teale'a. Był wstrząśnięty tym, co się stało, i zły, że ludzie go podejrzewają. Wilbanks podkreślił, że maglował go długo i ostro, że Danny się w końcu zirytował, ale nawet wtedy nie zdradził się z niczym, co mogłoby wskazywać, iż kłamie.

Lenny'ego Fargarsona zastrzelono dwudziestego trzeciego maja po południu. W tym czasie Danny był w biurze i miał czterech świadków, którzy mogli to potwierdzić. Do domu Fargarsonów jechało się stamtąd co najmniej pół godziny i świadkowie ci dawali głowę, że przez całe popołudnie Danny był w firmie albo gdzieś w pobliżu.

- Ilu z tych świadków to Padgittowie? - spytał szeryf McNatt.

- Nazwisk na razie nie ujawnimy - odparł Wilbanks, grając na zwłokę, jak każdy dobry adwokat.

Jedenaście dni później, trzeciego czerwca kwadrans po dziewiątej rano zastrzelono Mo Teale'a. Dokładnie o tej godzinie Danny stał na poboczu świeżo wybetonowanej drogi w hrabstwie Toppah, odbierając dokumenty podpisane przez jednego z majstrów. Majster i jego dwaj pracownicy chętnie zeznają, gdzie był o tej porze. Miejsce to leżało co najmniej dwie godziny jazdy od farmy Raya Zooka we wschodniej części hrabstwa Ford.

Tak więc za pośrednictwem Wilbanka Danny przedstawił niepodważalne alibi, chociaż Harry Rex, szeryf McNatt i Buckley potraktowali je bardzo sceptycznie. Oczywiście Padgittowie wszystkiemu by zaprzeczyli. A zważywszy, że umieli znakomicie łąać, łamać ludziom nogi czy przekupywać ich tęą kasą, na pewno znaleźliby świadków.

Szeryf dał wyraz swojemu sceptycyzmowi. Zapewnił, że będzie kontynuował

śledztwo i kiedy tylko dojdzie do wniosku, że zachodzi prawdopodobieństwo winy, załatwi nakaz aresztowania i zorganizuje najazd na wyspę. Rozmawiał kilka razy ze stanową policją i jeśli nawet wypłoszenie Danny'ego wymagać będzie ściągnięcia stu policjantów, to ich ściągnie.

Wilbanks odrzekł, że szkoda fatygi. Że jeśli McNatt przedstawi ważny nakaz, on zrobi wszystko, żeby przyprowadzić Danny'ego osobiście.

- Jeżeli dojdzie do kolejnego morderstwa - dodał szeryf - miasto eksploduje. Tysiąc wsioków chwyci za broń, przejdzie przez most i zacznie strzelać do każdego Padgitta, jakiego tylko znajdą Buckley powiedział, że dwa razy rozmawiał na ten temat z sędzią Omarem Noosem i ma podstawy uważać, że sędzia Jest „niemal gotów” wystawić nakaz aresztowania.

Wilbanks zasypał go gradem pytań o prawdopodobieństwo winy i dowody. Buckley odpierał

zarzuty, twierdząc, że wystarczającym powodem, by uznać Padgitta za podejrzanego o dokonanie dwóch morderstw, jest sam fakt, że podczas procesu groził przysięgłym.

Rozmowa zбочyła z tematu, ponieważ zaczęli wyklócać się o szczegóły prawnicze.

Szeryf w końcu nie wytrzymał, wstał, oświadczył, że usłyszał już to, co chciał usłyszeć, i wyszedł. Zaraz potem wyszedł Buckley. Harry Rex został jeszcze chwilę, żeby pogadać z Wilbanksem w luźniejszej atmosferze.

- Kłamcy chronią kłamców - warknął godzinę później, nerwowo chodząc przed moim biurkiem. - Wilbanks mówi prawdę tylko wtedy, kiedy prawda dobrze brzmi, co w przypadku jego i jego klientów zdarza się rzadko. A Padgittowie w ogóle nie znają tego słowa.

- Pamiętasz Lydię Vince? - spytałem.

- Kogo?

- Tą dziwkę z procesu. Wilbanks wezwał ją na świadka. Zeznała, że kiedy zamordowano Rhodę, była w łóżku z Dannym. Padgittowie znaleźli ją, przekupili i przekazali Wilbanksowi. Banda zakłamanych złodziei.

- A potem zastrzelili jej byłego męża, tak?

- Tuż po procesie. Pewnie rozwalił go któryś z ich bandziorów. Dowody? Tylko kula.

Żadnych podejrzanych. Nic. Skąd my to znamy.

- McNatt nie uwierzył Wilbanksowi. Buckley też nie.

- A ty?

- nie żartuj. Nieraz widziałem, jak płakał przed przysięgłymi. Jest przekonujący. Nie zawsze, ale często. Miałem wrażenie, że za bardzo chce nam coś wmówić. To robota Danny'ego. Danny'ego i jego współników.

- McNatt też tak uważa?

- Tak, ale nie ma dowodów. Areszt byłby stratą czasu.

- Padgitt przestałby grasować po mieście.

- Tylko na jakiś czas. Bez dowodów nie można trzymać go w pace w nie skończoność.

Jest cierpliwy. Czekał na to dziewięć lat.

Chociaż żartownisiów nigdy nie zidentyfikowano i chociaż mieli na tyle rozsądku, żeby zachować tajemnicę aż po grób, przez wiele miesięcy mówiono, że byli to dwaj nastoletni synowie naszego burmistrza. Widziano, jak stamtąd uciekali, o wiele za szybko, żeby ktokolwiek dał radę ich złapać. Obydwaj mieli na koncie wiele zwariowanych wyczynów i cieszyli się opinią zuchwałych kawalarzy.

Pod osłoną ciemności odważnie prześlizgnęli się za gęstym żywopłotem i przycupnęli niecałe piętnaście metrów od narożnika werandy Earla Youry'ego. Wyteżając słuch, obserwowali stamtąd tłumek przyjaciół i sąsiadów obozujących na trawniku przed domem.

Cierpliwie czekali na odpowiedni moment, żeby zaatakować.

Kilka minut po jedenastej rzucili w stronę werandy długą, bo liczącą aż osiemdziesiąt cztery sztuki taśmę małych petard i gdy zaczęły wybuchać, w Clanton omal nie rozpętała się wojna. Mężczyźni zaczęli krzyczeć, kobiety przeraźliwie wrzeszczeć, pan Youry rzucił się na podłogę i na czworakach uciekł do domu. Jego ochroniarze pospadali z krzesel i zalegli w trawie, a petardy wciąż strzelały i podskakiwały jak oszalałe. Upłynęło trzydzieści sekund, zanim eksplodowała ostatnia, osiemdziesiąta czwarta, i kilkunastu uzbrojonych po zęby mężczyzn zdążyło ukryć się w tym czasie za drzewami i wycelować broń. Oczywiście celowali, gdzie popadło, gotowi strzelać do wszystkiego,

co się tylko poruszy.

Huk wyrwał ze snu Trávisa, jednego z ludzi szeryfa. Travis zerwał się z maski radiowozu, wyszarpnął z kabury magnum kaliber 44 i mocno pochylony popędził w kierunku wystrzałów. Zobaczył rozbiegających się na wszystkie strony ludzi i z powodów, których ani on sam, ani jego przełożeni nie potrafili później wyjaśnić, wypalił w powietrze. Wystrzał był

głośny. Bardzo głośny. Zagłuszył huk eksplodujących petard. Słyszając tę kanonadę, ktoś, kogo najwyraźniej bardzo swędziały palce - i kto się później do tego nie przyznał - pociągnął za spust dwunastostrzałowej strzelby i wpakował kulę w drzewo. Nie ulega wątpliwości, że wielu innych też by wypaliło i doszłoby tam do prawdziwej jatki, gdyby nie inny funkcjonariusz z biura szeryfa, niejaki Jimmy, który nagle wrzasnął:

- Wstrzymajcie ogień, kretyni!

Strzelanina momentalnie ustała, ale petardy wciąż wybuchały. Gdy wybuchła ostatnia, wszyscy podeszli do kopącego się kręgu wypalonej trawy, żeby sprawdzić, co to było.

Okazało się, że petardy. Tylko petardy. Pan Youry ostrożnie wyjrzał zza frontowych drzwi i w końcu wyszedł na werandę.

Mieszkająca kilka domów dalej Alice Wood usłyszała wystrzały i biegła właśnie do drzwi, żeby je zamknąć, gdy wtem, kilka kroków za gankiem od podwórza, przemknęło dwóch śmiejących się do rozpuku nastolatków. Twierdziła, że byli biali i mieli około piętnastu lat.

Ja byłem w tym czasie niecałe dwa kilometry dalej i schodziłem właśnie ze schodów werandy panny Callie, gdy usłyszałem odległy wybuch. Nocna straż - Sam, Leon i dwóch diakonów z kościoła - zerwała się z krzeseł i wbiła wzrok w dal. Wystrzał z czterdziestkiczwórki zabrzmiał jak salwa z haubicy. Czekaliśmy i czekaliśmy, i gdy wreszcie ucichło, Leon mruknął:

- To chyba petardy.

Sam wszedł do domu, żeby sprawdzić, co z matką, ale szybko wrócił.

- Śpi - szepnął.

- Pojadę sprawdzić, co to było - powiedziałem. - Zadzwonię, jeśli to coś ważnego.

Na ulicy Earla Youry'ego migotały czerwone i niebieskie światła sześciu policyjnych radiowozów. Ruch był większy niż za dnia bo ciekawscy chcieli podejść jak najbliżej domu.

Po kilkuminutowych poszukiwaniach znalazłem Bustera - jego wóz parkował w płytkim rowie - i wszystko mi opowiedział.

- Dwóch szczeniaków - zakończył.

Uznałem, że to zabawne, ale byłem w zdecydowanej mniejszości.



## ROZDZIAŁ 41

W ciągu dziewięciu lat, które minęły, odkąd kupiłem „Timesa”, ani razu nie przerwałem pracy na dłużej niż na cztery dni. W każdy wtorek gazeta szła na maszynę, w środę była już gotowa, a w każdy czwartek stawiałem czoło budzącemu grozę terminowi ostatecznemu.

Jedną z przyczyn jej sukcesu było to, że pisałem tak dużo o mieście, w którym działa się tak mało. Każdy numer miał trzydzieści sześć stron. Odjąwszy od tego pięć stron na ogłoszenia drobne, trzy na prawnicze i około sześciu na reklamy, co tydzień musiałem zapełnić mniej więcej dwadzieścia dwie strony miejscowymi wiadomościami.

Nekrologi zajmowały co najmniej stronę i osobiście za nie odpowiadałem, dosłownie za każde słowo. Davey „Gaduła” Bass zabierał dwie strony na sport, chociaż często pomagałem mu pisać relacje z meczów futbolowych drużyn z ogólniaka czy pilny artykuł na temat rekordowego kozła ustrzelonego przez jakiegoś dwunastolatka. Margaret redagowała stronę religijną, ślubno - zaręczynową i ogłoszenia drobne. Baggy, który w minionych latach wnosił, delikatnie mówiąc, niewiele, prawie całkowicie uległ wódzied i pisywał najwyżej jeden artykuł tygodniowo, oczywiście zawsze chcąc, żebym dał go na pierwszą stronę. Pracownicy redakcyjni przychodzili i odchodzili z frustrującą regularnością. Zwykle zatrudnialiśmy jednego, czasem dwóch i sprawiali więcej kłopotów, niż byli warci. Musiałem robić korektę każdego ich artykułu i wprowadzać tyle poprawek, że najchętniej napisałbym go sam od początku.

I pisałem. Chociaż studiowałem dziennikarstwo, nie zauważyłem u siebie skłonności do produkowania wielu słów w krótkim czasie. Ale gdy nagle wszedłem w posiadanie gazety i musiałem rzucić się na głęboką wodę, odkryłem, że potrafię tworzyć długie, barwne i górnolotne opowieści niemal o wszystkim i niczym zarazem. Mało groźny wypadek samochodowy bez żadnych ofiar był sensacją na pierwszej stronie, wiadomością pełną zapierających dech w piersi wypowiedzi świadków i kierowców karetek pogotowia.

Rozbudowę małej fabryczki opisywałem tak, jakby było to dobrodziejstwo dla produktu narodowego brutto. Relacja ze sprzedaży ciasteczek upieczonych przez panie z Kobiecego Związku Misyjnego przy kościele baptystów mogła liczyć sobie aż osiemset słów. Artykuł na temat aresztowania za posiadanie trawki brzmiał tak, jakby na nasze niewinne dzieci maszerowała niepowstrzymana armia Kolumbijczyków. Organizowana przez Klub Obywatelski akcja krwiodawstwa nosiła wszelkie znamiona pilnej akcji wojennej. Trzy skradzione w ciągu tygodnia pikapy sugerowały, że w Clanton działa dobrze zorganizowana mafia.

Pisałem o mieszkańcach naszego hrabstwa. Pierwszym artykułem z tego cyklu była opowieść o pannie Callie i przez te wszystkie lata starałem się pisać co najmniej jedną miesięcznie. Historia jeńca wojennego, który przeżył marsz śmierci na Bataan, historia ostatniego miejscowego weterana I wojny światowej, marynarza z Pearl Harbor, emerytowanego pastora, który przez czterdzieści pięć lat służył małej, wiejskiej społeczności, starego misjonarza, który przez trzydzieści jeden lat mieszkał w Kongu, absolwenta naszej szkoły, który tańczył w musicalu na Broadwayu, kobiety, która mieszkała w dwudziestu dwóch stanach, mężczyzny, który był siedem razy żonaty i chciał podzielić się swoimi doświadczeniami z przyszłymi żonkosiami, historia pana Mitla, naszego reprezentacyjnego imigranta, historia ustępującego trenera drużyny koszykarskiej, kucharza z Tea

Shoppe, który od wieków smażył jajka. I tak dalej, i tak dalej. Opowieści te cieszyły się olbrzymią popularnością.

Jednakże po dziewięciu latach lista naprawdę ciekawych mieszkańców hrabstwa Ford była bardzo krótka.

Pisanie mnie znużyło. Dwadzieścia stron tygodniowo przez pięćdziesiąt dwa tygodnie w roku.

Codziennie rano budziłem się, myśląc albo o nowej historii, albo o nowym ujęciu historii starej. Każda wiadomość czy niezwykle wydarzenie było inspiracją do stworzenia i opublikowania kolejnego rozbuchanego tekstu. Pisałem o psach, o starych ciężarówkach, o legendarnych tornadach, o nawiedzonych domach, o zaginionym kucyku, o skarbie z okresu wojny secesyjnej, o legendzie bezgłowego niewolnika, o chorym na wściekliznę skunksie. I o tym, co zwykle: o procesach sądowych, wyborach, przestępstwach, nowo otwartych firmach, o firmach bankrutujących, o nowych postaciach w naszym mieście. Pisanie mnie zmęczyło.

I zmęczyło mnie Clanton. Miasto niechętnie mnie zaakceptowało, zwłaszcza gdy okazało się, że nie zamierzam nigdzie wyjeżdżać. Ale było bardzo małe i czasem się w nim dusiłem. Spędziłem w domu tyle samotnych weekendów, czytając i pisząc, że już do tego przywykłem. I bardzo mnie to frustrowało. Nocami próbowałem grywać w pokera z Bubbą Crocketem i jego kumplami z lisiej nory albo piekłem kozy z Harrym Reksem i jego znajomkami. Ale nigdy nie czułem się wśród nich jak wśród swoich.

Clanton się zmieniało, co bynajmniej mnie nie cieszyło. Podobnie jak większość małych miast na Południu, rozpełzało się we wszystkich kierunkach naraz, bez żadnego konkretnego planu. Market Bargain City prosperował i okoliczne tereny przyciągały wszelkie możliwe spółki i firmy koncesyjne, zwłaszcza bary i restauracje fast food. Śródmieście podupadało, chociaż sąd oraz mieszczące się przy rynku urzędy zawsze przyciągały tłum interesantów. Potrzebowaliśmy silnych polityków, ludzi z wizją, a takich było niewiele.

Podejrzewałem też, że miasto zmęczyło się mną. Ponieważ swego czasu prawilem kazania na temat wojny w Wietnamie, uważano mnie za radykalnego liberała. Robiłem niewiele, żeby poprawić moją reputację. Gazeta kwitła i przynosiła coraz większy zysk, a ja miałem coraz grubszą skórę i robiłem się coraz bezczelniejszy. Rozpętałem kampanię przeciwko zamkniętym posiedzeniom rady miejskiej i rady nadzorczej. Wniosłem sprawę do sądu, żeby uzyskać dostęp do miejskich archiwów. Przez cały rok zrzędziłem, że w naszym hrabstwie nie obowiązują żadne plany urbanizacyjne, że nie mamy urzędu ziemskiego, a gdy zawitało do nas Bargain City, powiedziałem i napisałem stanowczo za dużo. Wyśmiałem system finansowania stanowych kampanii wyborczych, dzięki którym bogaci mogli wybierać swoich faworytów. A gdy wypuszczono z więzienia Danny'ego Padgitta, wyładowałem się na systemie zwolnień warunkowych.

W latach siedemdziesiątych zawsze coś głosiłem i prawilem kazania. I chociaż

„Times” był dzięki temu ciekawszy i dobrze się sprzedawał, w oczach mieszkańców Clanton zacząłem uchodzić za swoistego dziwaka. Za malkontenta, za kaznodzieję. Ale chyba nie za despotę; bardzo bym tego nie chciał. Jednakże patrząc wstecz, muszę przyznać, że kilka razy sprowokowałem

awanturę nie tyle z przekonania, ile z nudy.

Byłem coraz starszy i chciałem, by uważano mnie na zwyczajnego obywatela.

Zdawałem sobie sprawę, że zawsze będę autsajderem, ale przestało mi to przeszkadzać.

Pragnąłem wyjeżdżać z Clanton i wracać, żyć, jak mi się spodoba, zniknąć na dłużej, gdy ogarnie mnie nuda. To zdumiewające, jak perspektywa wejścia w posiadanie dużych pieniędzy może odmienić przyszłość.

Zacząłem obsesyjnie marzyć o odejściu, o urlopie spędzonym gdzieś, gdzie jeszcze nie byłem, o zwiedzeniu świata.

Na kolejne spotkanie z Garym McGrew umówiłem się w restauracji w Tu - pelo.

Wiele razy odwiedzał mnie w redakcji. Jeszcze jedna wizyta i moi pracownicy zaczęliby coś poszeptywać. Przy lunchu przejrzał moje książki, opowiedział mi o planach swojego klienta, próbował coś tam wynegocjować. Zaznaczyłem, że gdybym kiedykolwiek sprzedawał

„Timesa”, jego przyszły właściciel musiałby zatwierdzić nową, pięcioletnią umowę, którą zawarłem z Daveyem Gadułą Bassem, z Hardym i Margaret. Baggy i tak miał wkrótce przejść na emeryturę albo umrzeć na marskość wątroby. Wiley zawsze pracował u nas dorywczo, poza tym polowanie na ciekawe zdjęcia powoli przestawało go bawić. Był jedynym współpracownikiem, któremu powiedziałem o negocjacjach, i poradził mi, żebym wziął kasę i dał chodu.

Klient Gary'ego McGrew chciał, żebym został co najmniej przez rok - proponował

bardzo wysoką pensję - i wyszkolił nowego redaktora naczelnego. Ale nie miałem najmniejszego zamiaru. Gdybym już odszedł, odszedłbym na dobre. Nie chciałem mieć nad sobą szefa i wolałem uniknąć zamieszania, które wybuchłoby po sprzedaży miejscowego tygodnika dużej firmie wydawniczej spoza stanu.

Dawali milion trzysta. Rzeczoznawca z Knoxville wycenił „Timesa” na milion trzysta pięćdziesiąt.

- Powiem panu w sekrecie, że kupiliśmy już gazety w Tyler i Van Buren - powiedział

McGrew pod koniec bardzo długiego lunchu. - Wszystko zaczyna się układać.

Był ze mną szczery. Prawie. Owszem, właściciel tygodnika z hrabstwa Tyler chciał

sprzedać gazetę, ale nie podpisali jeszcze umowy.

- Poza tym wyskoczyło coś nowego - dodał McGrew. - Niewykluczone, że będą sprzedawać tygodnik w hrabstwie Polk. Jeśli pan zrezygnuje, chce my się temu przyjrzeć. Jest trochę tańszy.

- Aha, znowu naciskacie - odparłem.

„Polk County Herald” miał cztery tysiące czytelników i marnych redaktorów.

Przeglądałem go co tydzień.

- nie, ależ skąd. Wyłożyłem tylko karty na stół.

- Chcę półtora miliona dolarów.

- To przesada, Willie.

- Cena jest wysoka, ale wszystko wam się zwróci. Może potrwa to trochę dłużej, ale za dziesięć lat na pewno. Popatrzcie na to perspektywicznie.

- nie jestem pewien, czy możemy tyle zapłacić.

- Jeżeli chcecie mieć tę gazetę, będziecie musieli.

Zaczynało im się spieszyć. McGrew wspomniał o ostatecznym terminie i w końcu wypalił:

- Rozmawiamy od kilku miesięcy i mój klient coraz bardziej się niecierpliwi. Albo zamkniemy tę sprawę do końca miesiąca, albo pójdzie gdzie indziej.

Ich taktyka mnie nie ruszała. Ja też miałem dość rozmów. Pytanie było proste: sprzedać czy nie? Nadeszła pora. Musiałem podjąć decyzję.

- To dopiero za dwadzieścia trzy dni - wyliczyłem.

- Tak.

- Dobra.

Nadeszło lato, trzymiesięczny okres nieznośnych upałów i wilgoci. Robiłem to co zwykle: zwiedzałem kościoły, jeździłem na mecze softballowe, na turnieje golfowe, na arbuzobranie. Ale Clanton wciąż czekało i rozmawialiśmy tylko o tym.

Zgodnie z przewidywaniami, pozostali przy życiu przysięgli poczuli, że pętla na ich szyi trochę się rozluźniła. Naturalną kolejną rzeczą zmęczył ich dobrowolny areszt domowy, zmiana od dawna ustalonego porządku dnia, zmęczyły ich bandy sąsiadów czuwających nocą na ganku. Zaczęli wychodzić z domu, wracali do normalnego życia.

Cierpliwość zabójcy wyprowadzała nas z równowagi. Miał przewagę czasu i wiedział, że wcześniej czy później cała ta ochrona wszystkich znuży. Że ofiary opuszczą gardę i popełnią jakiś błąd. My też o tym wiedzieliśmy.

Panna Callie pierwszy raz w życiu nie poszła na trzy kolejne nabożeństwa i postanowiła, że dość tego. W niedzielę rano, pod obstawą złożoną z Sama, Esaua i Leona, wmaszerowała do kościoła i zaczęła oddawać cześć Bogu z takim namaszczeniem, jakby nie robiła tego co najmniej przez rok. Jej

bracia i siostry obejmowali ją, przytulali i żarliwie się za nią modlili. Wielebny Smali zmienił na poczekaniu kazanie i błagał Pana o bezpieczeństwo dla wiernych. Sam powiedział mi potem, że gadał prawie trzy godziny.

Dwa dni później panna Callie wcisnęła się do mojego mercedesa. Z siedzącym obok niej Esauem i z Samem ze strzelbą w rękę, pod eskortą policyjnego radiowozu uciekliśmy z miasta. Radiowóz odprowadził nas do granicy hrabstwa i godzinę później byliśmy już w Memphis. Na przedmieściach otwarto nowe centrum handlowe - wszyscy o tym mówili i panna Callie marzyła, żeby tam pójść. Ponad sto sklepów pod jednym dachem! Pierwszy raz w życiu jadła pizzę. Pierwszy raz w życiu widziała lodowisko, dwóch mężczyzn trzymających się za ręce i mieszaną, białą - czarną rodzinę. Podobało jej się tylko lodowisko.

Po godzinie koszmarnego pilotowania Sam trafił wreszcie na cmentarz w południowej części miasta i korzystając ze zdobytego w stróżówce planu, w końcu znaleźliśmy grób Nicoli Rossetti DeJarnette. Panna Callie położyła nań kwiaty z domowego ogródka i gdy stało się jasne, że chce tam trochę pobyć, odeszliśmy kawałek dalej i zostawiliśmy ją w spokoju.

Dla uczczenia pamięci Nicoli zapragnęła zjeść coś włoskiego. Zarezerwowałem stół u Grisantiego i zjedliśmy tam długą, przemiłą kolację złożoną z lasagne i ravioli z kozim serem. Ona zdołała przezwyciężyć niechęć do spożywania kupnego jedzenia, ja zaś ustrzegłem ją od grzechu, płacąc rachunek.

nie chcieliśmy wracać. Na kilka godzin uciekliśmy od strachu przed niewiadomym, od nerwowego wyczekiwania. Zdawało się, że od Clanton dzieli nas milion kilometrów i że to jeszcze za mało. Wyruszyliśmy późnym wieczorem, jechałem coraz wolniej i wolniej.

Im bliżej domu, tym rozmawialiśmy ciszej i niechętniej. W naszym hrabstwie grasował zabójca i panna Callie była na jego liście. Gdyby nie dwa trupy, nigdy byśmy w to nie uwierzyli.

Według Baggy'ego - zweryfikowałem to, przeglądając archiwum „Ti - mesa” - w tym stuleciu nie było u nas ani jednego morderstwa, którego sprawcy by nie wykryto. Niemal wszystkie popełniono pod wpływem gwałtownego impulsu, niemal zawsze na oczach świadków. A teraz mieliśmy tu niezwykle inteligentnego i wyrachowanego zabójcę i wszyscy wiedzieli, na kogo poluje. Dla tak bogobojnej, tak bardzo przestrzegającej prawa społeczności rzecz była wprost nie do pojęcia.

Bobby, Al, Max i Leon wielokrotnie - i usilnie - namawiali matkę, żeby na kilka miesięcy zamieszkała u któregoś z nich. Popieraliśmy te żarliwe prośby - Sam, ja, a nawet Esau - ale panna Callie nie chciała ustąpić. Utrzymywała bliski kontakt z Bogiem i wiedziała, że Bóg ją ochroni.

W ciągu tych dziewięciu lat tylko raz się na nią wkurzyłem, a ona tylko raz mnie zrugowała. Dyskutowaliśmy wtedy o jej ewentualnym wyjeździe do Milwaukee i miesięcznym pobycie u Bobby'ego.

- Duże miasta są niebezpieczne - powiedziała.

- Każde jest bezpieczniejsze niż Clanton - odparłem.

Ja podniosłem głos, on powiedziała, że powinienem okazywać jej więcej szacunku, i natychmiast się zamknąłem.

Gdy późnym wieczorem przekroczyliśmy granicę hrabstwa, zacząłem zerkać w lusterko. Niby głupie, ale z drugiej strony wcale nie. Domu Ruffinów wciąż strzegł

funkcjonariusz w radiowozie i przyjaciel Esaua na tarasie.

- Spokojna noc - zameldował. Innymi słowy, nikt nikogo nie zamordował i nikt do nikogo nie strzelał.

Panna Callie poszła spać, a ja pograłem z Samem w warcaby. Clanton wciąż czekało.

## **ROZDZIAŁ 42**

W 1979 roku odbywały się w Missisipi miejscowe wybory, moje trzecie, odkąd się zarejestrowałem. Były znacznie spokojniejsze niż poprzednie. Szeryf nie miał przeciwnika, rzecz wprost niesłychana. Krążyły plotki, że Padgittowie kogoś przekupili, ale wycofali się po klęsce ze zwolnieniem warunkowym Danny'ego. Rywala miał za to senator Morton. Facet przyszedł do mnie z ogłoszeniem, które krzyczało: DLACZEGO SENATOR MORTON

UWOLNIŁ DANNY'EGO PADGITTA? DLA FORSY! OTO DLACZEGO! Bardzo chciałem je opublikować, ale nie miałem ani czasu, ani energii na sądowe spory.

W okręgu numer cztery do walki o stanowisko konstabla stanęło trzynastu kandydatów, ale poza tym wybory przebiegały w letargicznej atmosferze. Całe hrabstwo myślało tylko o śmierci Fargarsona i Teale'a i o tym, kto będzie następny. Szeryf McNatt, śledczy z policji stanowej i eksperci ze stanowego laboratorium kryminalistycznego zbadali wszystkie możliwe ślady, poszlaki i tropy. Pozostawało nam jedynie czekać.

Zbliżał się czwarty lipca i dostrzegłem wyraźny brak entuzjazmu przed dorocznym świętem. Chociaż niemal wszyscy czuli się bezpiecznie, nad hrabstwem wisiała ciemna chmura. Krążyły dziwne plotki, że czwartego, gdy ludzie zgromadzą się na rynku, stanie się coś złego. Plotki krążyły u nas zawsze, ale w lipcu tego roku były wyjątkowo barwne i rozchodziły się wyjątkowo szybko.

Dwudziestego piątego czerwca w luksusowej kancelarii w Tupelo podpisałem plik dokumentów, przenosząc prawo własności „Timesa” na spółkę medialną Raya Noble'a z Atlanty. Noble wręczył mi czek na półtora miliona dolarów, a ja szybko i z lekkim niepokojem zaniósłem go na drugą stronę ulicy, gdzie w swoim przestronnym gabinecie czekał mój nowy przyjaciel Stu Holland, szef banku handlowego. Wiadomość o tak wielkim depozycie przeciekłaby w Clanton w jeden dzień, dlatego przekazałem mu pieniądze i pojechałem do domu.

Jechałem ledwie godzinę, lecz była to najdłuższa przejażdżka w moim życiu. Z jednej strony bardzo radosna, bo sprzedałem „Timesa” za maksymalnie wyśrubowaną cenę.

Wycisnąłem wszystko, co mogłem z nadzianego i uczciwego kupca, który nie zamierzał

wprowadzać w gazecie żadnych większych zmian. Wzywała mnie przygoda i miałem teraz środki,

żeby na to wezwanie odpowiedzieć.

Z drugiej jednak strony było mi smutno, bo kresu dobiegła duża, dająca spełnienie część mojego życia. Razem dorosiliśmy i dojrzeliliśmy, „Times” i ja; ja jako dorosły już człowiek, „Times” jako dobra, przynosząca zysk gazeta. Stała się tym, czym powinien być każdy małomiasteczkowy tygodnik: żywym obserwatorem aktualnych wydarzeń, kronikarzem i komentatorem wydarzeń politycznych i społecznych. Natomiast ja byłem młodym człowiekiem, który zawzięcie i na oślep tworzył coś od zera. Powinienem chyba odczuwać brzemień lat, ale chciałem tylko pojechać na plażę. A potem znaleźć sobie dziewczynę.

Wszedłem do pokoju Margaret, zamknąłem drzwi i powiedziałem jej o sprzedaży.

Wybuchła płaczem i zanim się spostrzegłem, ja też miałem łzy w oczach. Jej bezgraniczna lojalność zawsze mnie zdumiewała i chociaż - podobnie jak panna Callie - za bardzo przejmowała się moją duszą, w końcu mnie jednak pokochała. Powiedziałem jej, że nowi właściciele są cudownymi ludźmi, że nie planują żadnych drastycznych zmian i że zatwierdzili jej pięcioletnią umowę wraz z nową, wyższą pensją. Słyszając to, rozplakała się jeszcze bardziej.

Hardy nie płakał. Ale on drukował „Timesa” prawie od trzydziestu lat. Był

humorzasty, zręczliwy, jak większość drukarzy za dużo pił i wiedziałem, że jeśli nie spodoba się nowym, rzuci robotę i pojedzie na ryby. Ale za nową umowę mi podziękował.

Tak samo jak Davey „Gaduła” Bass. Był wstrząśnięty, lecz myśl o większych pieniądzach bardzo przypadła mu do gustu.

Baggy był na urlopie gdzieś na zachodzie, z bratem, nie z żoną. Noble nie zgodził się na kolejne pięć lat jego ospałej pisaniny i gdybym zażądał dla niego etatu, gryzłoby mnie sumienie. Tak więc Baggy musiał radzić sobie sam.

Zatrudniliśmy pięciu innych pracowników i osobiście przekazałem tę nowinę każdemu z nich. Zajęło mi to całe popołudnie i gdy wreszcie skończyłem, byłem zupełnie wypłuty. Zamknąłem się z Harrym Reksem w salce na zapleczu knajpki Pepe i ucziliśmy to wydarzenie margaritami.

Ciągnęło mnie, żeby gdzieś wyjechać, ale nie mogłem. Seria zabójstw wciąż trwała.

Prawie przez cały czerwiec profesorowie Ruffinowie to przyjeżdżali do Clanton, to wyjeżdżali. Poprzekładali zajęcia, pozmieniali plany urlopowe, robiąc wszystko, żeby co najmniej dwoje lub troje z nich zawsze było przy pannie Callie. Sam rzadko wychodził z domu. Siedział w Lowtown, żeby chronić matkę, ale też żeby nie rzucać się w oczy. Durant wciąż mieszkał w Clanton. Znowu się ożenił, lecz jego zbuntowani synowie się wyprowadzili.

Sam przesiadywał godzinami na tarasie, pochłaniając książki i grając w warcaby z ojcem czy z wartownikami. Ze mną grał w tryktraka i gdy w końcu załapał w czym rzecz, zaproponował, żebyśmy zagrali po dolarze od partii. Niebawem wisiałem mu pięć dych. Na tarasie panny Callie ten ewidentny hazard był naszą najpilniej strzeżoną tajemnicą.

Na tydzień przed Świętem Niepodległości pospiesznie zorganizowano rodzinny zjazd.

Ponieważ mój dom miał pięć pustych sypialni i żałośnie odczuwał brak kontaktu z ludźmi, postanowiłem wypełnić go Ruffinami. Od 1970 roku, gdy ich poznałem, bardzo się rozmnożyli. Wszyscy oprócz Sama byli żonaci i mężaci i panna Callie miała już dwadzieścioro jeden wnucząt. W sumie było ich trzydzieścioro pięcioro, nie licząc Sama, panny Callie i Esaua, a do Clanton dotarło trzydzieścioro czworo; zachorował ojciec żony Leona z Chicago.

Z tych trzydzieściorga czworga dwadzieścioro troje wylądowało na kilka dni w domu Hocuttów. Zjeżdżali się z całego kraju, głównie z północy, o różnych porach, falami, a każdą falę witano niezwykle uroczyście. Gdy o trzeciej nad ranem z Los Angeles przyjechała Carla z mężem i dwojgiem małych dzieci, w domu zapłonęły wszystkie światła, a żona Bobby'ego, Bonnie, zaczęła smażyć racuchy.

Tak w ogóle to objęła w posiadanie moją kuchnię i trzy razy dziennie wysyłała mnie do spożywczego z listą pilnych sprawunków. Lody kupowałem na tony i dzieciaki wkrótce odkryły, że jestem gotów jechać po nie o każdej porze dnia.

Ruffinów najbardziej ciągnęło na moje werandy, pewnie dlatego, że były długie, szerokie i rzadko wykorzystywane. Popołudniami Sam i Esau przywozili pannę Callie, która rozpaczliwie pragnęła wyrwać się z Lowtown. Jej mały domek był teraz jak więzienie.

Często słyszałem, jak młodzi Ruffinowie rozmawiają o matce. Lecz o wiele częściej niż o oczywistej groźbie zamachu na jej życie rozmawiali o jej stanie zdrowia. Z biegiem lat zdołała zrzucić trzydzieści pięć kilogramów, ale teraz znowu przytyła i lekarzy niepokoiło jej ciśnienie. Stres zbierał swoje żniwo. Według Esaua, spała bardzo niespokojnie, choć twierdziła, że to wina proszków. Nie była już tak żwawa, rzadziej się uśmiechała i wyraźnie traciła siły.

Całą winę zrzucano na „ten kociokwik z Padgitem”. Gdy tylko go złapią i gdy ustaną te wszystkie morderstwa, panna Callie szybko dojdzie do siebie.

Ten optymistyczny pogląd podzielała większość jej dzieci.

W poniedziałek drugiego lipca Bonnie i spółka przygotowali lekki lunch, sałatki i pizzę. Przyszli wszyscy Ruffinowie i zasiedliśmy na bocznej werandzie, pod sennie wirującym i praktycznie bezużytecznym wiatrakiem. Wiał jednak lekki wiatr, temperatura spadła do trzydziestu paru stopni, więc mogliśmy rozkoszować się długim, leniwym posiłkiem.

Czekałem na odpowiedni moment, żeby powiedzieć panie Callie o sprzedaży

„Timesa”. Wiedziałem, że będzie wstrząśnięta i bardzo rozczarowana. Ale nie widziałem powodu, żebyśmy mieli rezygnować z tradycji czwartkowych lunchów. Wyszukiwanie literówek i błędów popełnionych przez kogoś innego mogło być jeszcze zabawniejsze.

Przez te dziewięć lat opuściłem tylko siedem czwartków, z powodu choroby albo wizyty u dentysty.

Leniwe pogawędki nagle ustały. W oddali, gdzieś po drugiej stronie miasta, zawyły syreny.



Przesyłka miała trzydzieści centymetrów długości, trzydzieści szerokości, dwanaście i pół centymetra wysokości i była owinięta w papier w amerykańskie barwy narodowe.

Przysła z farmy orzechów pekanowych Bolana w Hazelhurst, w stanie Missisipi, jako podarek dla Maxine Root od jej siostry z Concord w Kalifornii. Prawdziwe amerykańskie orzechy pekanowe z okazji Święta Niepodległości. Około południa listonosz włożył ją do skrzynki pocztowej i minawszy samotnego wartownika pod drzewem na frontowym trawniku, trafiła stamtąd do kuchni, gdzie zobaczyła ją Maxine.

Minął prawie miesiąc, odkąd szeryf McNatt wypytywał ją o głosowanie podczas narady przysięgłych. Niechętnie przyznała, że była przeciwna karze śmierci dla Danny'ego Padgitta, i pamiętała, że wsparli ją w tym Lenny Fargarson i Mo Teale. Ponieważ obydwaj już nie żyli, szeryf przyniósł jej pośpęną wiadomość, że może być następną ofiarą.

Przez wiele lat po procesie miała wyrzuty sumienia. Miasto było rozgoryczone i wrogo nastawione, co od razu wyczuła. Na szczęście przysięgli dochowali tajemnicy, dzięki czemu ona, Lenny i Mo uniknęli nieprzyjemności. Wraz z kojącym biegiem czasu zdołała nabrać do tego dystansu.

Ale teraz świat wiedział już, jak głosowała. Teraz polował na nią jakiś szaleniec.

Wzięła urlop. Nerwy miała w strzępach, nie mogła spać. Miała dość ukrywania się we własnym domu, dość podwórza, na którym co wieczór zbierali się sąsiedzi, jakby była to odpowiednia pora na towarzyskie spotkania, miała dość omijania okien. Brała tyle różnych proszków, że ich sprzeczne ze sobą działanie dawało zerowy skutek ogólny.

Zobaczyła pudełko z orzechami i się rozplakała. A jednak ktoś ją kochał. Siostra myślała o niej. Och, jak bardzo by chciała być z nią teraz w Kalifornii!

Zaczęła rozpakowywać przesyłkę, gdy wtem przysła jej do głowy pewna myśl.

Podniosła słuchawkę i wykręciła numer Jane. Nie rozmawiały ze sobą od tygodnia.

Jane była w pracy i ucieszyła się z telefonu siostry. Porozmawiały trochę o tym, o owym i o strasznej sytuacji w Clanton.

- Jesteś taka kochana, że przysłałaś mi te pekany - powiedziała Maxine.

- Jakie pekany? - zdziwiła się Jane. Krótka pauza.

- Z farmy Bolana w Hazelhurst. Duża puszka, ponad kilogram. Znowu pauza.

- To nie ja, siostrzyczko. Pewnie ktoś inny.

Minutę później Maxine odłożyła słuchawkę i jeszcze raz obejrzała pudełko. Na etykietce widniał napis: „Upominek od Jane Parham”. Oczywiście nie znała innej Jane Parham.

Podniosła je, ostrożnie i delikatnie. Było chyba za ciężkie jak na kilogramową puszkę pekanów.

Tak się przypadkiem złożyło, że ulicą przejeżdżał funkcjonariusz Travis z biura szeryfa. Towarzyszył mu niejaki Teddy Ray, przyszczytany wyrostek w za dużym uniformie i ze służbowym rewolwerem, z którego nigdy w życiu nie wystrzelił. Maxine zapędziła ich do kuchni, gdzie na ladzie niewinnie spoczywało czerwono - białe - niebieskie pudełko.

Przyszedł też samotny wartownik spod drzewa na trawniku i przez długi czas we czworo gapili się na przesyłkę. Maxine opowiedziała im o rozmowie z siostrą.

Z wielkim wahaniem Travis podniósł pudełko i lekko nim potrząsnął.

- Za ciężkie jak na orzechy - ocenił. Popatrzył na Teddy'ego Raya, który zdążył już zblednąć, i na sąsiada ze strzelbą gotowego w każdej chwili rzucić się do ucieczki.

- Czy to bomba? - spytał sąsiad.

- O Boże... - wymamrotała Maxine; wyglądało na to, że zaraz zemdleje.

- Możliwe - odrzekł Travis i z przerażeniem skonstatował, że trzyma tę bombę w rękach.

- Wynieś ją na dwór - szepnęła Maxine.

- Może lepiej zadzwonić po szeryfa? - wykrztusił Teddy Ray.

- Chyba tak - odrzekł Travis.

- A jeśli jest tam jakiś zegar czy coś? - rzucił sąsiad.

Travis zawahał się i głosem wskazującym na całkowity brak doświadczenia powiedział:

- Już wiem, co zrobimy.

Kuchennymi drzwiami wyszli na wąski taras biegnący wzdłuż tylnej ściany domu.

Travis ostrożnie postawił pudełko na jego skraju, niecały metr nad ziemią. Potem wyjął swoją czterdziestkęczwórkę.

- Co ty robisz? - spytała Maxine.

- Sprawdzimy, czy to bomba.

Teddy Ray i sąsiad zbiegli z tarasu i zajęli bezpieczną pozycję na trawniku, piętnaście metrów dalej.

- Chcesz strzelić do moich pekanów? - spytała Maxine.

- Masz lepszy pomysł? - warknął Travis.

- Chyba nie.

Ukrywając się za framugą, Travis wystawił za siatkowe drzwi swoją grubą rękę, tudzież wielką głowę i wycelował. Maxine schowała się za nim, przykucnęła i wyjrzała zza jego pośladków.

Pierwszy strzał chybił, za to huk był tak głośny, że Maxine nie mogła przez chwilę oddychać.

- Piękny strzał! - krzyknął Teddy Ray i zachichotał, sąsiad też.

Travis wycelował i pociągnął za spust po raz drugi.

Eksplozja rozniosła cały taras i wyrwała wielką dziurę w kuchennej ścianie. Szrapnele poszybowały na odległość stu metrów, roztrzaskując okna, siekąc deski i raniąc czworo obserwatorów. Teddy Ray i sąsiad oberwali w pierś i nogi. Travis miał pokiereszowane ramię i dłoń, w której trzymał rewolwer. Maxine została ranna w głowę, i to aż dwukrotnie: kawałek szkła obciął jej koniuszek prawego ucha, a mały gwóźdź przebił prawą szczękę.

Na chwilę wszyscy czworo stracili przytomność od podmuchu eksplozji tysiąca czterystu gramów plastycznego materiału wybuchowego, naszpikowanego szkłem, gwoździami i stalowymi kulkami.

Słyszając złowieszcze zawodzenie syren, zadzwoniłem do Wileya Meeka. Właśnie miał dzwonić do mnie.

- Próbowali wysadzić w powietrze Maxine Root! - krzyknął.

Powiedziałem Ruffinom, że był jakiś wypadek, i zostawiłem ich na werandzie. Gdy dojechałem w pobliżu domu Rootów, okazało się, że główne ulice są zablokowane i policja nikogo nie przepuszcza. Popędziłem do szpitala i odszukałem znajomego lekarza. Powiedział, że jest czworo rannych, ale życiu żadnego z nich nic nie zagraża.

Tego popołudnia sędzia Omar Noose prowadził w Clanton rozprawę; później przyznał, że też słyszał wybuch. Rufus Buckley i szeryf McNatt konferowali z nim przez godzinę w gabinecie, ale o czym rozmawiali, nie ujawniono. Czekałem w sali rozpraw wraz z Harrym Reksem i innymi prawnikami, którzy byli pewni, że tamci trzej zastanawiają się, jak aresztować Danny'ego Padgitta praktycznie bez żadnych dowodów, że zrobił coś złego.

Ale zareagować musieli. Musieli kogoś aresztować. Szeryf miał nas strzec i obowiązek nakazywał mu przedsięwziąć jakieś kroki, nawet jeśli nie były to kroki całkowicie zgodne z prawem.

Dotarła do nas wiadomość, że Trávisa i Teddy'ego Raya przewieziono do szpitala w Memphis na operację. Maxine i jej sąsiada właśnie krojono.

Lekarze potwierdzili, że ich życiu nic nie zagraża. Ale Travis mógł stracić rękę.

Ilu mieszkańców hrabstwa Ford umiało skonstruować bombę pułapkę? Kto miał

dostęp do materiałów wybuchowych? Kto miał motyw? My zastanawialiśmy się nad tym w sali rozpraw, tamci w gabinecie. Noose, Buckley i McNatt byli urzędnikami wybieralnymi.

Musieli bronić obywateli naszego hrabstwa. Ponieważ Danny był jedynym podejrzanym, sędzia wydał w końcu nakaz.

Powiadomiono Wilbanksa, który przyjął tę wiadomość bez żadnych protestów. Doszło do tego, że nawet on, adwokat Padgittów, nie mógł zakwestionować słuszności przyjętej strategii. Zawsze mógł zażądać, żeby Danny'ego zwolniono po przesłuchaniu.

Kilka minut po piątej konwój radiowozów wyjechał z miasta i pomknął w kierunku wyspy. Harry Rex, który miał już policyjny skaner (w Clanton pojawiło się ostatnio sporo nowych), siedział w kancelarii, pił piwo i z niepohamowaną furią wsłuchiwał się w dochodzące z głośnika piski. Było to najbardziej ekscytujące aresztowanie w historii hrabstwa i wielu z nas chciałoby je zobaczyć. Czy Padgittowie zablokują drogę i pokrzyżują policjantom szyki? Czy dojdzie do strzelaniny? Do małej wojny?

Dzięki skrzekliwym komunikatom mogliśmy śledzić to, co się tam działo. Na szosie numer 42 do McNatta i jego ludzi dołączyły „jednostki” patrolu drogowego. Założyliśmy, że

„jednostka” to po prostu radiowóz, ale brzmiało to o wiele poważniej. Wjechali na szosę 401, skręcili w polną drogę, która prowadziła na wyspę, i na moście, w miejscu gdzie według wszystkich miało dojść do dramatycznej rozgrywki, zobaczyli Danny'ego Padgitta siedzącego w samochodzie ze swoim adwokatem.

Policjanci meldowali teraz szybko i nerwowo.

- Jest z adwokatem!

- Z Wilbanksem?

- Tak.

- Rozwalmy obu!

- Wysiadają.

- Wilbanks podnosi ręce do góry. A to sukinkot!

- Tak, to Danny Padgitt, to on. Łapy w górze.

- Jakbym mu przypieprzył, to przestałby szczerzyć zęby.

- Już założyli mu obrączki.

- Niech to szlag! - wrzasnął Harry Rex. - Myślałem, że będą się strzelać. Jak za dawnych czasów.

Godzinę później przed areszt zajechała kawalkada radiowozów z migającymi kogutami na dachu. Szeryf wsadził Padgitta do radiowozu policjantów ze stanówki i postąpił

bardzo mądrze, bo podczas jazdy jego funkcjonariusze mogliby mu przyłożyć. Ich dwóch kolegów leżało w szpitalu i swędziały ich ręce.

Przed aresztem czekał tłum. Gdy Danny szedł pod eskortą przez podjazd, ludzie wyzywali go, gwizdali i krzyczeli, wreszcie szeryf nie wytrzymał i gniewnym głosem kazał

im wracać do domu.

Widok Padgitta w kajdankach przyniósł nam wielką ulgę. Wiadomość, że został

aresztowany, podziałała jak balsam na całe hrabstwo. Czarne chmury odpłynęły. Tego wieczoru Clanton ponownie ożyło.

Gdy o zmroku wróciłem do domu Hocuttów, Ruffinowie świętowali. Od dawna nie widziałem, żeby panna Callie była tak spokojna i odprężona. Długo siedzieliśmy na werandzie, snując opowieści, śmiejąc się, słuchając Arethy Franklin i Temptations. Nie przeszkadzał nam nawet huk wybuchających od czasu do czasu petard.

## **ROZDZIAŁ 43**

Nikt o tym nie wiedział, ale w tych zwariowanych godzinach tuż przed aresztowaniem sędzia Omar Noose i Lucien Wilbanks zawarli układ. Sędzia martwił się o jedno: co będzie, jeśli Danny Padgitt postanowi uciec na wyspę albo, co gorsze, stawić zbrojny opór. Hrabstwo Ford było beczką prochu z lontem, który tylko czekał, aż ktoś trzaśnie zapałką. Teddy Ray i Travis, o których głupocie chwilowo zapomniano, lizali rany i policjanci łaknęli krwi. Maxine Root pochodziła z rodziny gwałtownych i nieokrzesanych drwali, z dużego, zawziętego klanu myśliwych, którzy polowali przez cały rok, żyli z ziemi i zawsze wyrównywali rachunki z wrogami.

Wilbanks rozumiał sytuację. Zgodził się dostarczyć Padgitta, ale pod jednym warunkiem: żądał natychmiastowego przesłuchania sądowego w sprawie zwolnienia za kaucją. Miał co najmniej dwunastu świadków, którzy gotowi byli zapewnić mu

„niepodważalne” alibi, i chciał, żeby mieszkańcy Clanton wysłuchali ich zeznań. Szczerze wierzył, że za zabójstwami stoi ktoś inny, i pragnął przekonać o tym miasto.

Miesiąc później miano wykluczyć go z palestry w związku z zupełnie inną sprawą.

Wiedział, że koniec jest blisko i że przesłuchanie Danny'ego będzie jego ostatnim występem.

Noose wyraził zgodę i wyznaczył termin: trzeci lipca, dziesiąta rano, a więc już nazajutrz. Sala rozpraw sądu hrabstwa Ford znowu była pełna, co budziło upiorne wspomnienia sprzed dziewięciu lat. Przyszedł tłum wrogo nastawionych ludzi, którzy chcieli popatrzeć na Padgitta z nadzieją, że uda się go powiesić już tu, na miejscu. Bliscy Maxine Root, gniewni, potężnie zbudowani brodacze w kombinezonach, przyjechali dużo wcześniej i usiedli z przodu. Przerażali mnie, choć rzekomo

staliśmy po tej samej stronie barykady.

Maxine powracała do zdrowia i już za kilka dni oczekiwano jej w domu.

Ruffinowie nie chcieli przepuścić tak ekscytującego wydarzenia, zwłaszcza że tego ranka nie mieli nic do roboty. Sama panna Callie nalegała, żeby wcześniej wstać i zająć dobre miejsca. Cieszyła się, że znowu może pójść do miasta. Włożyła swoją najładniejszą sukienkę i w otoczeniu rodziny, z prawdziwą rozkoszą zasiadła wśród ludzi w miejscu publicznym.

Doniesienia ze szpitala w Memphis były mieszane. Teddy'ego Raya już pozszywano i chłopak powoli wracał do zdrowia. Travis miał za sobą ciężką noc i lekarze wciąż martwili się o jego rękę. Ich towarzysze przyszedli do sądu w pełnym składzie, czekając na kolejną okazję, żeby popatrzeć spode łba na bombiarza.

Z tyłu, w trzecim rzędzie od końca, siedzieli Fargarsonowie i nie mogłem sobie wyobrazić, o czym myśleli.

Padgittów nie było; mieli dość zdrowego rozsądku, żeby się trzymać z dala od sali. Na widok któregoś z nich wybuchłyby zamieszki. Harry Rex szepnął mi do ucha, że siedzą na górze, za zamkniętymi na klucz drzwiami sali narad przysięgłych. Tego dnia ich nie zobaczyliśmy.

Przyszedł Rufus Buckley ze swoją świtą, jako przedstawiciel stanu Missisipi. Jedną z dobrych stron sprzedaży „Timesa” było to, że nie musiałem już mieć z nim do czynienia. Był

arogancki, pompatyczny i wszystko, co robił, robił pod publiczność, żeby zostać gubernatorem stanu.

Czekając i obserwując wypełniającą się salę, zdałem sobie sprawę, że ostatni raz jestem tu jako redaktor i reporter. Ale nie było mi smutno. W duchu już się z tego wypisałem, już przepuściłem trochę pieniędzy. A teraz, po aresztowaniu Danny'ego, jeszcze bardziej chciałem uciec z Clanton i zwiedzić świat.

Za kilka miesięcy rozpocznie się kolejny proces. Kolejny cyrk z Padgittami, lecz poważnie wątpię, czy tu wtedy będę. Miałem to gdzieś. Opisz to wszystko ktoś inny.

O dziesiątej wszystkie krzesła były już zajęte, a pod ścianami stał gruby rząd widzów.

Kwadrans później za stołem sędziowskim coś zaszurało, otworzyły się drzwi i do sali wszedł

Lucien Wilbanks. Miało to posmak wydarzenia sportowego; Wilbanks był graczem, zawodnikiem i mieliśmy ochotę go wygwizdać. Tuż za nim szybko weszło dwóch woźnych i jeden z nich krzyknął:

- Proszę wstać! Sąd idzie!

Sędzia Noose poprawił czarną togę i usiadł na swoim tronie.

- Proszę siadać - powiedział do mikrofonu. Popatrzył na tłum i zdawało się, że jest zdumiony.

Kiwnął głową i trzech zastępców szeryfa wprowadziło Danny'ego Padgitta. Był w jaskrawopomarańczowym aresztanckim kombinezonie i miał skute ręce i nogi. Minęło kilka minut, zanim zdjęto mu to całe żelastwo i gdy wreszcie go uwolniono, nachylił się i szepnął coś do Wilbanka.

- To jest przesłuchanie w sprawie zwolnienia za kaucją - oznajmił Noose i zapadła cisza. - nie widzę powodu, żebyśmy nie mieli załatwić tego rozsądnie i krótko.

Przesłuchanie miało potrwać o wiele krócej, niż się spodziewaliśmy.

Gdzieś wysoko nad nami gruchnął wystrzał tak głośny, że przez ułamek sekundy myślałem, iż ktoś wygarnął do nas z armaty. W ciężkim, stężalym powietrzu coś trzasnęło i rozdygotani ostatnimi wydarzeniami mieszkańcy Clanton zamarli z niedowierzania, jak na zdjęciu. Potem, z dziwnym opóźnieniem, Danny Padgitt głucho stęknął i rozpętało się piekło.

Kobiety wrzeszczały. Wrzeszczeli mężczyźni. Ktoś krzyknął: „Padnij!” i połowa widzów się skuliła, połowa dała nura na podłogę. Ktoś inny zawołał: „Postrzelił go!”

Lekko pochyliłem głowę, ale nie chciałem niczego przegapić. Ludzie szeryfa wyszarpnęli z kabur rewolwery i rozglądali się na wszystkie strony, żeby wpakować komuś kulę. Celowali w górę i w dół, w lewo i w prawo, tu i tam.

Chociaż sprzeczailiśmy się o to przez wiele lat, drugi strzał padł nie dłużej jak trzy sekundy po pierwszym. Kula trafiła Danny'ego w bok, ale nie była już potrzebna. Pierwsza przebiła mu głowę. Jednakże drugi strzał zwrócił uwagę funkcjonariusza z przodu sali.

Skuliłem się na krześle, mimo to widziałem, że pokazuje na balkon.

Ktoś otworzył podwójne drzwi i rozhisteryzowani ludzie zaczęli się tratować.

Wybuchła panika, aleja zostałem na miejscu, próbując to wszystko zarejestrować. Pamiętam, jak Wilbanks kręcił się wokół Danny'ego. Pamiętam, jak Rufus Buckley uciekał na czworakach przed fotelami dla przysięgłych. I nigdy nie zapomnę sędziego Noose'a, który w okularach na czubku nosa siedział za stołem tak spokojnie, jakby panujący w sali chaos widywał co tydzień.

Każda sekunda dłużyła się jak minuta.

Kule, które trafiły Padgitta, wystrzelono znad balkonu. I chociaż na balkonie było pełno ludzi, nikt nie widział, że trzy metry nad nimi wystaje kilka centymetrów lufy. Tak samo jak ci na dole, oni też patrzyli tylko na Danny'ego.

Na przestrzeni dziesiątków lat salę sądową łątano i remontowano wiele razy, zawsze wtedy, gdy udało się wycisnąć kilka dolarów z miejskiej kasy. Żeby poprawić oświetlenie, w latach sześćdziesiątych zamontowano w niej podwieszany sufit i tuż nad sufitem, nad biegnącym tamtędy szybem grzewczym, snajper wypatrzył idealne miejsce. Właśnie tam, w tym ciemnym, ciasnym zakamarku, cierpliwie czekał, obserwując salę przez dwunasto -

centymetrowej szerokości szparę, którą zrobił, podważając jedną z brudnych od zacieków płyt.

Myśląc, że to już koniec strzelaniny, podkradłem się ostrożnie do barierki. Policjanci krzyčili, żeby wychodzić z sali. Wypychali ludzi i rzucali sprzeczne ze sobą rozkazy. Padgitt leżał pod stołem - zajmował się nim Wilbanks i kilku funkcjonariuszy z biura szeryfa.

Widziałem tylko jego stopy; były nieruchome. Minęło parę minut i panika zaczęła mijać.

Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem ludzi czmychających do sklepów przy rynku.

Zobaczyłem też starca, który wskazywał ręką do góry, na dach sądu.

Szeryf McNatt zdążył już odkryć ciasny przełaz nad sufitem, gdy znowu huknęły wystrzały. Wziął dwóch funkcjonariuszy, wszedł na drugie piętro i wąskimi, krętymi schodami wspiął się aż do kopuły. Klapa do kopuły była zakleszczona, ale tuż nad głową słyszeli nerwowe kroki snajpera. Słyszeli też brzęk spadających na podłogę łusek.

Snajper strzelał teraz tylko w budynek kancelarii Wilbanka, a konkretnie w górne okna. Rozwalał je z wielkim namaszczeniem, jedno po drugim. Ethel Twitty leżała pod biurkiem na parterze, wyjąc i krzycząc zarazem.

W końcu wyszedłem z sali i zbiegłem na dół, gdzie czekał tłum ludzi niepewnych, co robić. Naczelnik policji kazał im zostać w środku. Między kolejnymi seriami wystrzałów rozmawiali ze sobą szybko i nerwowo. Ilekroć snajper otwierał ogień, patrzyliśmy na siebie i myśleliśmy: kiedy to się wreszcie skończy?

Stałem z Ruffinami. Gdy w sali huknął pierwszy wystrzał, panna Callie zemdląca.

Max i Bobby podtrzymywali ją, chcąc jak najszybciej wrócić do domu.

Trzymał miasto w szachu przez godzinę i w końcu zabrakło mu amunicji. Ostatnią kulę zachował dla siebie i pociągnąwszy za spust, runął ciężko na klapę w podłodze kopuły.

Szeryf odczekał kilka minut, potem pchnął klapę i zdołał ją otworzyć. Hank Hooten znowu był nagi. I martwy jak świeżo przejechane przez samochód zwierzę. Jeden z zastępców McNatta zbiegł na dół i wrzasnął:

- Już po wszystkim! Facet nie żyje! To Hank Hooten!

Ich zdumione miny były niemal komiczne. Hank Hooten? Wszyscy powtarzali to nazwisko, chociaż nie padło ani jedno słowo. Hank Hooten?

- Ten adwokat, co zwariował.

- Myślałem, że wysłali go do zakładu.

- To on nie siedzi w Whitfield?



- Myślałem, że nie żyje.

- Kto to jest Hank Hooten? - spytała mnie Carlota, ale byłem zbyt skonsternowany, żeby odpowiedzieć. Wysypaliśmy się na rynek i stanęliśmy pod drzewami, nie wiedząc, czy zostać - na wypadek gdyby miało dojść do kolejnego niezwykłego wydarzenia - czy wrócić do domu i spróbować zrozumieć to, co przed chwilą przeżyliśmy. Ruffinowie szybko odjechali. Pan na Callie źle się czuła.

Karetka pogotowia z Dannym Padgitem odjechała sprzed sądu bez żadnego pośpiechu. Wydostanie zwłok Hanka Hootena nastęrczyło trochę więcej kłopotów, lecz z czasem zniesiono je na parter, od stóp po głowę przykryto białym prześcieradłem i wywieziono na wózku.

Poszedłem do redakcji, gdzie pijąc świeżo zaparzoną kawę, czekali na mnie Margaret i Wiley. Byliśmy zbyt oszołomieni, żeby poprowadzić inteligentną rozmowę. Całe miasto jakby przygasło.

W końcu zadzwoniłem w kilka miejsc, dowiedziałem się tego, czego chciałem się dowiedzieć, i koło południa wyszedłem. Jadąc przez rynek, zobaczyłem Deksa Pratta, właściciela naszego zakładu szklarskiego, który co tydzień ogłaszał się w „Timesie”: stał na balkonie kancelarii Wilbanka i wyjmował drzwi, żeby je na nowo oszkląć. Wilbanks musiał

być już w domu. Pewnie siedział na ganku, pił i patrzył na kopułę i kopułkę sądu.

Whitfield leży trzy godziny jazdy na południe od Clanton. Nie byłem pewien, czy tak daleko zajadę, bo w każdej chwili mogłem skręcić w prawo, ruszyć na zachód, w Greemdlle czy w Vicksburgu przekroczyć rzekę i o zmierzchu być już w Teksasie. Albo skręcić w lewo, na wschód, i gdzieś pod Atlantą wstąpić na późną kolację.

Co za obłąd. Jak to możliwe, żeby w takim małym, uroczym miasteczku zapanował taki koszmar? Chciałem stamtąd jak najszybciej uciec.

Z tego transu wyrwałem się dopiero pod Jackson.

Stanowy szpital dla umyślowo chorych mieścił się trzydzieści dwa kilometry na wschód od Jackson, tuż przy autostradzie. Przy bramie zablefowałem, powołując się na lekarza, którego nazwisko znalazłem w książce telefonicznej.

Doktor Vero był bardzo zajęty, więc przez godzinę czytałem czasopisma w jego poczekalni. Ale gdy poinformowałem recepcjonistkę, że nie odejdę i w razie konieczności pojedę za nim aż do domu, zdołał mnie jakoś wcisnąć.

Vero miał długie włosy i szpakowatą brodę. Mówił z wyraźnym środkowozachodnim akcentem. Dwa dyplomy na ścianie wskazywały, że studiował w Northwestern i na Uniwersytecie Johna Hopkina, chociaż w słabym świetle zagraconego gabinetu trudno było odczytać szczegóły.

Opowiedziałem mu o porannych wydarzeniach w Clanton.

- nie mogę nic powiedzieć o panu Hootenie. Jak już mówiłem przez telefon, obowiązuje mnie tajemnica lekarska.

- Obowiązywała. On już nie żyje.

- Wszystko jedno, panie redaktorze. Tajemnica wciąż obowiązuje i nie mogę o nim rozmawiać.

Za długo znałem Harry'ego Reksa, żeby zrezygnować po pierwszym „nie”. Opisałem doktorowi Vero szczegółowo sprawę Padgitta, od jego procesu do zwolnienia warunkowego, i sytuację w mieście. Powiedziałem mu, że nikt nic nie wie o ostatnich latach życia Hootena i że pewnego niedzielnego wieczoru widziałem go w Niezależnym Kościele w Calico Ridge.

Chciałem go przekonać, że mieszkańcy Clanton powinni wiedzieć, dlaczego postradał

zmysły. Czy był bardzo chory? Dlaczego został wypisany? Pytań było wiele i żeby zapomnieć o tym tragicznym epizodzie, musimy poznać prawdę. Przyłapałem się na tym, że błagam go o informacje.

- Ile z tego da pan do gazety? - spytał Vero, przełamując pierwsze lody.

- Tylko to, co pan zechce. Jeśli uzna pan, że nie mogę o czymś napisać, wystarczy powiedzieć.

- Chodźmy się przejść.

Z papierowym kubkiem kawy w ręku usiedliśmy na betonowej ławce na małym, cienistym podwórzu.

- Oto, co może pan puścić do druku - powiedział Vero. - Hank Hooten został przyjęty do szpitala w styczniu 1971 roku z objawami schizofrenii. Przeszedł leczenie i został

wypisany w październiku siedemdziesiątego szóstego.

- Kto go zdiagnozował?

- Od tej chwili nasza rozmowa jest nieoficjalna. Zgoda?

- Zgoda.

- To są wiadomości ściśle poufne, panie redaktorze. Musi pan dać mi słowo, że nikt się o tym nie dowie.

Odłożyłem długopis i notatnik.

- Przysięgam na Biblię, że o tym nie napiszę.

Długo się wahał, wypił kilka łyków kawy i przez chwilę myślałem, że zaraz zamknie się w sobie i każe mi odejść. Ale potem trochę się odprężył.

- Początkowo leczyłem go ja. W jego rodzinie były przypadki schizofrenii. Cierpiała na nią jego

matka, możliwe, że i babka. W tej chorobie dużą rolę często odgrywa genetyka.

Pan Hooten leczył się tu już podczas studiów, mimo to, co doprawdy niezwykle, zdołał

ukończyć prawo. Po drugim rozwodzie, w połowie lat sześćdziesiątych, przeprowadził się do Clanton, żeby zacząć wszystko od nowa. Potem był trzeci rozwód. Hooten uwielbiał kobiety, ale nie potrafił wytrwać w żadnym związku. Jakiś czas później oczarowała go Rhoda Kassellaw. Mówił, że kilka razy prosił ją o rękę. Jestem przekonany, że pani Kassellaw mu nie ufała. Bardzo przeżył to morderstwo. I kiedy ława przysięgłych nie skazała Padgitta na śmierć... Cóż, powiedzmy, że dostał wtedy pomieszania zmysłów.

- Dzięki za zrozumiałe określenie. - Miasto nazywało go kiedyś szajbniętym psycholem.

- Słyszał głosy, szczególnie głos pani Kassellaw. Przemawiały do niego jej dzieci.

Błagały, żeby ją ratował. Mówiły, jakim koszmarem był dla nich widok matki gwałconej i zasztyletowanej we własnym łóżku i oskarżały go, że jej nie ocalił. Danny Padgitt szydził z niego z więzienia. W izolatkach są kamery i wiele razy widziałem, jak pan Hooten go wyzywał.

- Mówił coś o przysięgłych?

- O tak, cały czas. Wiedział, że troje z nich, pan Fargarson, pan Teale i pani Root, nie chciało skazać go na śmierć. Wywrzaskiwał ich nazwiska w środku nocy.

- Niesamowite. Przysięgli zobowiązali się do zachowania tajemnicy. Wyniki głosowania poznaliśmy dopiero miesiąc temu.

- Cóż, był oskarżycielem posiłkowym.

- Ano był. - Doskonale pamiętałem, jak podczas procesu siedział obok Erniego Gaddisa, nic nie mówiąc i sprawiając wrażenie znużonego i całkowicie oderwanego od rzeczywistości. - Mówił, że chce się zemścić?

Łyk kawy i długa pauza. Vero zastanawiał się, czy odpowiedzieć.

- Tak. Nienawidził ich. Chciał ich pozabijać, wszystkich, łącznie z Dannym Padgitem.

- W takim razie dlaczego go wypisano?

- nie mogę o tym mówić. W tym czasie już mnie tu nie było, a niewykluczone, że szpital ponosi za to jakąś odpowiedzialność.

- nie było tu pana?

- Przez dwa lata wykładałem w Chicago. Hanka Hootena wypisano przed moim powrotem.

- Ale przeglądał pan jego kartę chorobową.

- Tak. Podczas mojej nieobecności jego stan radykalnie się poprawił. Lekarze znaleźli odpowiednią mieszankę leków antypsychotycznych i symptomy choroby w znacznej mierze ustąpiły. Wysłano go na terapię grupową do Tupelo i tam straciliśmy go z oczu. Nie muszę chyba dodawać, że leczenie umyślowo chorych nie należy w tym stanie do priorytetów, podobnie jak prawie w całym kraju. Mamy duże braki kadrowe i jesteśmy niedofinansowani.

- Pan by go wypisał?

- nie odpowiem na to pytanie. Myślę, że dość już powiedziałem.

Podziękowałem mu za jego czas i szczerłość i jeszcze raz obiecałem, że dochowam tajemnicy. Poprosił o gazetę, gdybyśmy coś o tym napisali.

W Jackson wstąpiłem na cheeseburgera. Zadzwoiłem z budki do redakcji, zastanawiając się podświadomie, czy nie ominęła mnie przypadkiem kolejna strzelanina.

Margaret z ulgą usłyszała mój głos.

- Musisz natychmiast przyjechać, Willie.

- Dlaczego?

- Callie Ruffin miała wylew. Jest w szpitalu.

- To coś poważnego?

- Boję się, że tak..

## **ROZDZIAŁ 44**

W 1977 roku zapłaciliśmy obligacjami za staranną renowację naszego szpitala. Na końcu holu głównego była nowoczesna, choć ciemna kaplica, gdzie kiedyś siedziałem z rodziną Margaret po śmierci jej matki. Właśnie tam znalazłem Ruffinów, ośmioro dzieci, dwadzieścioro jeden wnucząt, wszystkie małżonki i wszystkich małżonków z wyjątkiem żony Leona. Był tam również wielebny Thurston Smali wraz z liczną reprezentacją kościoła. Esau czekał przed drzwiami pokoju panny Callie na OIOM - ie.

Sam powiedział mi, że obudziła się z drzemki z ostrym bólem lewej ręki i zdrętwiałą nogą. Zaraz potem zaczęła niezrozumiale bełkotać. Karetka błyskawicznie przewiozła ją do szpitala. Lekarz nie miał wątpliwości, że to był wylew, który doprowadził do lekkiego ataku serca. Panna Callie otrzymywała silne leki i była pod nieustanną obserwacją. Ostatni raz rozmawiali z nim o ósmej wieczorem. Powiedział, że jej stan jest „poważny, lecz stabilny”.

nie wolno było jej odwiedzać, więc mogliśmy jedynie czekać, modlić się i witać jej przyjaciół, którzy przychodzili do szpitala. Po godzinie siedzenia w kaplicy zachciało mi się spać. Max, syn trzeci w kolejności, lecz niewątpliwy przywódca, sporządził harmonogram czuwania. O każdej porze nocy i dnia w szpitalu miało przebywać co najmniej dwoje dzieci panny Callie.

Około jedenastej ponownie zagadaliśmy lekarza, który z umiarkowanym optymizmem stwierdził, że stan pacjentki jest wciąż stabilny. Pani Ruffin „spała”, jak to określił, lecz przyparty do muru, przyznał, że celowo „ogłuszyli” ją lekami, żeby zapobiec kolejnemu atakowi.

- Wracajcie do domu i odpocznijcie - dodał. - Jutro czeka was długi dzień.

Zostawiwszy w kaplicy Maria i Glorię, wróciliśmy wszyscy do domu Hocuttów i zjedliśmy lody na bocznej werandzie. Sam zawiózł Esaua do Lowtown. Ucieszyłem się, że reszta rodziny woli zostać u mnie.

Z trzynastu dorosłych tylko Leon i mąż Carloty, Sterling, pili alkohol. Otworzyłem butelkę wina i nałożyliśmy sobie lodów.

Wszyscy byli wykończeni, zwłaszcza dzieci. Dzień zaczął się od ekscytującej wyprawy do sądu, bo chcieliśmy popatrzeć na człowieka, który terroryzował nasze miasto.

Zdawało się, że od tamtego czasu upłynął cały tydzień. O północy Al zebrał rodzinę w moim pokoju na ostatnią modlitwę. W tym „modlitewnym łańcuchu”, jak ją nazywał, każdy dorosły i każde dziecko dziękowało za coś Panu i prosiło o zdrowie dla panny Callie. Siedząc na sofie i mocno ściskając ręce Bonnie i żony Maria, czułem obecność Boga. Wiedziałem, że moja ukochana przyjaciółka, ich matka i babka, wyzdrowieje.

Dwie godziny później leżałem już w łóżku, nie śpiąc i wciąż słysząc huk wystrzałów w sali rozpraw, głucho uderzenie kuli, która zabiła Danny'ego, krzyki ogarniętych paniką ludzi. Odtworzyłem w myśli każde słowo doktora Vero i nie potrafiłem sobie wyobrazić, jakie piekło musiał przeżywać biedny Hooten przez ostatnie lata. Dlaczego pozwolono mu na powrót do społeczeństwa?

Martwiłem się też o pannę Callie, chociaż jej stan był stabilny i była w dobrych rękach.

W końcu zasnąłem, spałem dwie godziny, a potem zszedłem na dół i w kuchni zastałem Maria i Leona przy kawie. Przed godziną Mario wrócił ze szpitala; stan matki nie uległ zmianie. Planowali już dla niej surowy reżim dietetyczny. Miała też zacząć ćwiczyć i chodzić na spacer po Lowtown. Regularne wizyty u lekarza, witaminy, chude mięsa i tak dalej.

Podchodzili do tego bardzo poważnie, chociaż wszyscy wiedzieli, że panna Callie i tak zrobi, co zechce.

Kilka godzin później zacząłem sprzątać gabinet, to znaczy pakować do pudeł rzeczy i szpargały, które zgromadziłem przez dziewięć lat urzędowania w redakcji. Nowa redaktorka, przemiła kobieta z Meridian w stanie Missisipi, chciała rozpocząć pracę pod koniec tygodnia.

Margaret zaproponowała pomoc, ale wolałem zrobić to powoli i opróżniając szuflady, trochę powspominać. Była to chwila bardzo osobista i chciałem zostać sam.

Wreszcie usunąłem książki pana Caudle'a, które spoczęły na zakurzonych półkach na długo przed moim przybyciem. Zamierzałem przechować je gdzieś w domu na wypadek, gdyby pojawił się któryś z jego przodków i zaczął zadawać pytania.

Miotają mną sprzeczne uczucia. Wszystko, czego się tylko dotknąłem, przywodziło na myśl jakąś historię, termin, wyprawę w głąb hrabstwa w poszukiwaniu tropów, wywiad ze świadkiem czy spotkanie z kandydatem na bohatera mojego miesięcznego cyklu. Z drugiej strony wiedziałem, że im szybciej skończę pakowanie, tym szybciej wyjdę stąd i złapię samolot.

O wpół do dziesiątej zadzwonił Bobby Ruffin. Panna Callie się obudziła, usiadła i wypła trochę herbaty. Lekarz zezwolił na krótką wizytę. Popędziłem do szpitala. W holu czekał Sam, który przeprowadził mnie przez labirynt separarek i boksów na OIOM - ie.

- Tylko nic nie mów o tym, co było wczoraj, dobra? - rzucił po drodze.

- Jasne.

- Ona nie może się niczym ekscytować. Nie wpuszczają do niej nawet wnuków, boją się, że serce nie wytrzyma. Cicho i spokojnie.

Panna Callie nie spała, ale wyglądała tak, jakby spała. Myślałem, że znowu zobaczę te jasne oczy, ten wspaniały uśmiech, lecz ona była ledwo przytomna. Poznała mnie, objęła, poklepałem ją po prawej ręce. W lewej miała igłę od kroplówki. W pokoju byliśmy tylko my, Sam, Esau, Gloria i ja.

Choć na kilka minut chciałem zostać z nią sam na sam, żeby wreszcie powiedzieć jej o sprzedaży „Timesa”, ale teraz by tego nie zniosła. Obudziła się przed dwiema godzinami i wyraźnie potrzebowała więcej snu. Postanowiłem pogadać z nią za parę dni, wesoło i z życiem.

Kwadrans później lekarz wyprosił nas z separatki. Wyszliśmy, wróciliśmy i czuwanie trwało przez całe Święto Niepodległości, chociaż na OIOM już nas nie wpuszczono.

Burmistrz postanowił, że nie będzie fajerwerków. Słyszeliśmy dość wybuchów, dość wycierpieliśmy od prochu. Choć w mieście wciąż panowała nerwowa atmosfera, nie było żadnych zorganizowanych sprzeciwów. Przemaszerowały orkiestry, przeszła parada, przemówienia polityczne były takie jak zawsze, chociaż chętnych do ich wygłaszania wyraźnie ubyło. Odnotowano nieobecność senatora Theo Mortona. Były lody, lemoniada, był

grill i wata cukrowa - coroczne przekąski i napoje na trawniku przed sądem.

Miasto było przygaszone. A może tylko ja. Może miałem tak dość Clanton, że nic mi się nie podobało. Ale niedawno znalazłem na to lekarstwo.

Po przemówieniach znowu pojechałem do szpitala; trasa ta stawała się już monotonna.

Pogadałem z Fuzzym, który zamiatał szpitalny parking, i z Ralphem, który mył okna w holu.

Wstąpiłem do stołówki, kupiłem lemoniadę u Hazel, a potem zamieniłem kilka słów z Esther Ellen Trussel, która z ramienia wolontariuszek z Pink Ladies pracowała w informacji. W

poczekalni na pierwszym piętrze siedział Bobby i żona Ala; niczym dwa żywe trupy, oglądali

telewizję. Właśnie otworzyłem czasopismo, gdy wpadł Sam.

- Miała drugi atak!

Zerwaliśmy się z krzesel, jakby było dokąd biec.

- Przed chwilą! Jest u niej zespół reanimacyjny!

- Zadzwoń do domu - powiedziałem i zbiegłem do budki telefonicznej w holu.

Odebrał Max i kwadrans później wszyscy Ruffinowie byli już w kaplicy.

Minęły wieki, zanim powiedziano nam, co się dzieje. Dochodziła ósma wieczorem, gdy do kaplicy zajrzał lekarz prowadzący. Lekarzy trudno rozgryźć, lecz jego poważne oczy i zmarszczone czoło mówiło samo za siebie. Gdy zaczął opowiadać o „zatrzymaniu akcji serca”, z ośmiorga dzieci panny Callie jakby uszło powietrze. Ich matka nie mogła już sama oddychać i podłączono ją do respiratora.

Godzinę później kaplica wypełniła się znajomymi i przyjaciółmi. Wielebny Smali nieustannie wiódł grupową modlitwę przed ołtarzem; ludzie przyłączali się do niej, kiedy chcieli, wstawali i odchodzili, a ich miejsce zajmowali inni. Biedny Esau siedział w ostatnim rzędzie, pochylony, skurczony i kompletnie wykończony. Otoczyły go wnuki. Wszystkie zachowywały się cicho i z szacunkiem.

Czekaliśmy godzinami. I chociaż próbowaliśmy się uśmiechać i zachowywać optymizm, czuliśmy, że zbliża się katastrofa. Było tak, jakby już zaczął się pogrzeb.

Przyszła Margaret i pogawędziliśmy w holu. Potem zagadnęli mnie państwo Fargarsonowie, którzy chcieli porozmawiać z Esauem. Weszliśmy do kaplicy, gdzie ciepło powitali ich Ruffinowie, wyrażając współczucie w związku ze śmiercią ich syna.

O północy wszyscy byliśmy odrętwiali i zaczęliśmy tracić poczucie czasu. Minuty wlokły się w nieskończoność, lecz ilekroć spojrzałem na ścienny zegar, ze zdumieniem stwierdzałem, że minęła kolejna godzina. Miałem ochotę wyjść na dwór, żeby pooddychać świeżym powietrzem, ale lekarz kazał nam być w pobliżu.

Największą zgrozę przeżyliśmy, gdy poprosił, żebyśmy podeszli bliżej, i posępnie oświadczył, że nadeszła pora na „ostatnią chwilę z rodziną”. Jedni zachłysłeni się z przerażenia, inni wybuchli płaczem. Nigdy nie zapomnę Sama, który głośno i wyraźnie powtórzył:

- Na ostatnią chwilę?

- To już? - szepnęła z trwogą Gloria.

Zalęknieni i oszołomieni wyszliśmy za lekarzem z kaplicy, przecięliśmy hol i weszliśmy na schody, powłócząc nogami jak skazańcy przed egzekucją. Przez labirynt OIOM

- u przeprowadziły nas pielęgniarki. Ich miny mówiły to, czego najbardziej się obawialiśmy.

Gdy jeden po drugim Ruffinowie wchodzili do małej, ciasnej separatki, lekarz dotknął

mojego ramienia i powiedział:

- Tylko rodzina.

- Aha - odrzekłem, przystając.

- Wszystko w porządku - szepnął Sam. - On jest z nami.

Stanęliśmy ciasno wokół panny Callie i w większości odłączonej już aparatury. Dwa najmniejsze wnuki posadzono w nogach łóżka. Najbliżej stanął Esau, który delikatnie poklepał żonę po policzku. Miała zamknięte oczy i zdawało się, że nie oddycha.

Wyglądała bardzo spokojnie. Esau i każde z dzieci dotknęło jej twarzy lub ręki, rozdzierająco płacząc. Stałem w kącie, wciśnięty między męża Glorii i żonę Ala, i po prostu nie mogłem uwierzyć, gdzie jestem i co robię.

Gdy Max wreszcie się opanował, dotknął ramienia matki i szepnął:

- Pomódlmy się.

Pochyliliśmy głowy i większość z nas przestała płakać, przynajmniej chwilowo.

- Dobry Boże, nie nasza to wola, lecz Twoja. W Twoje ręce przekazuję my ducha tego wiernego dzieciątka Bożego. Przygotuj dla niego miejsce w królestwie niebieskim. Amen.

Wschód słońca zastał mnie na balkonie redakcji. Chciałem zostać sam i spokojnie się wypłakać. W domu nie mogłem. Za dużo było tam łez.

Marzyłem o podróży dookoła świata i często nawiedzała mnie wizja powrotu do Clanton z podarunkami dla panny Callie. Przywiózłbym jej srebrną wazę z Anglii, bieliznę pościelową z Włoch, których już nigdy nie miała zobaczyć, perfumy z Paryża, czekoladki z Belgii, urnę z Egiptu, mały brylant z południowoafrykańskiej kopalni. Wręczyłbym jej to wszystko na tarasie, przed lunchem, a potem rozmawialibyśmy o miejscach, z których pochodzą. Wysyłałbym jej pocztówkę z każdego postoju. Dokładnie obejrzelibyśmy wszystkie zdjęcia. Moimi oczami zobaczyłaby cały świat. Byłaby tu, niecierpliwie czekałaby, aż wrócę, aż obejrzy to, co jej przywiozłem. Zapełniłaby dom bezcennymi kawałeczkami świata i rzeczami, których żaden biały czy czarny mieszkaniec Clanton nigdy nie miał.

Boleśnie cierpiałem po odejściu ukochanej przyjaciółki. To, że umarła tak nagle, było czymś okrutnym, jak zawsze. Jej śmierć stanowiła dla mnie stratę tak bezmierną, że nie wyobrażałem sobie, przynajmniej wtedy, iż kiedykolwiek dojdę do siebie.

Gdy miasto zaczęło ospale budzić się do życia, podszedłem do biurka, odsunąłem pudła i usiadłem. Wziąłem długopis i długo patrzyłem na czystą stronę w notatniku. W końcu powoli, z udręką, zacząłem pisać mój ostatni nekrolog.



# OD AUTORA

*Niewiele praw nie ulega zmianie. Gdy się je uchwala, są analizowane, modyfikowane, zmieniane, a potem często uchylane. To dobrze, że sędziowie i prawodawcy nieustannie w nich grzebią. Złe prawa usuwa się jak chwasty. Słabe się poprawia. Dobre ulepsza.*

*Pozwoliłem sobie na dużą poufalość w stosunku do kilku praw, które obowiązywały w stanie Missisipi w latach siedemdziesiątych. Te, nad którymi znęcałem się w tej książce, zostały zmienione i ulepszone. Nadużyłem ich, żeby akcja powieści toczyła się bardziej wartko. Robię tak cały czas i nigdy nie mam wyrzutów sumienia, ponieważ zawsze mogę wyprzeć się wszystkiego na tej stronie.*

*Proszę, nie piszcie do mnie listów, jeśli zauważycie te błędy. Przyznaję się do nich.*

*Popętniłem je celowo.*

*Dziękuję Grady'emu Tollisonowi i Edowi Perry'emu z Oksfordu w Missisipi za wspomnienia o starych prawach i procedurach. I Donowi Whittenowi, tudzież Jessiemu Phillipsowi z „Oxford Eagle”. I Gary'emu Greenowi za porady techniczne.*